



Leonardo Patrignani

Utopia

Spis treści

Prolog 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28
29 30 31 32 UTOPIA 33 34 35 36 37 38 39 40 41 42 43 44 45 46 ROK PÓŹNIEJ
EPILOG SŁOWO OD AUTORA PODZIĘKOWANIA

Dla Eleny i Alberta,

Strażników mojego szczęścia

Nadejdzie taki dzień, w którym człowiek przebudzi się z zapomnienia i nareszcie zrozumie, kim naprawdę jest i kto przewodzi jego istnieniem, umysł omylny, kłamliwy, który czyni z niego niewolnika... Nie ma ograniczeń dla człowieka i kiedy pewnego dnia to sobie uświadomi, będzie wolny nawet na tym świecie.

Giordano Bruno

Nasze sukcesy i porażki są ze sobą nierozdzielnie połączone, dokładnie jak ciało z duszą. Gdy się je rozdzieli, człowiek umiera.

Nikoła Tesla

Prolog

To było w innym miejscu, w innym czasie. Twardy, zimny asfalt. Reflektory wojskowych ciężarówek, które wyłoniły się zza zakrętu wąskiej drogi wijącej się wśród zarośli. Pisk opon terenówki gwałtownie hamującej na śliskiej nawierzchni. Krzyk mężczyzny i rozkaz natychmiastowego opuszczenia pojazdu. Podniesione ręce Alexa, Jenny i Marca. Przepelnieni rezygnacją mrużą oczy oślepione samochodowymi światłami, przed nimi szpaler karabinowych luf. Potem strzały. W tę księżycową, jasną noc nadszedł kres. Wszystko obserwowała kobieta ukryta wśród drzew na poboczu. Po chwili odwróciła się i zniknęła w ciemności, uciekając jak najdalej od rozgrywającego się przed nią horroru. W jej wnętrzu już na zawsze miał rozbrzmiewać głuchy odgłos, z jakim trzy ciała runęły na ziemię. Miał nawiedzać ją w snach przez długi, bardzo długi czas... Uciekała ile sił byle dalej od tego miejsca. Jedną ręką ścisnęła przestraszoną kotkę, drugą przyciskała do kieszeni, w której bezpiecznie spoczywały dwie fiołki z kodem genetycznym Jenny i Alexa. Dzięki niej życie miało się niedługo odrodzić w innym miejscu. W nieskończonych wersjach Wszechświatów, na rozdrożach czasu i przestrzeni, gdzieś musiało istnieć dobre miejsce. Idealny zakątek, bezpieczny, spokojny, w którym będzie można na nowo rozkręcić karuzelę. Pierwszy jęk. Pierwszy płacz. Pierwszy oddech w nowym świecie, tak dalekim od karabinów, od hipokryzji społeczeństwa niewolników bez sumienia. Świat daleki od lodowatego, niewzruszonego, przesiąkniętego śmiercią asfaltu.

Sam-en-Kar, rok 381 K.S.
Pora Słońca, dzień 38

Dziś jest za dużo światła.

Jest prawie oślepiające. Będę musiał zasłonić okna i wyjąć kilka świec. Wczoraj słyszałem jak wujek rozmawiał z mamą. O mnie. Byli na polu, siali. Nie widzieli mnie. Z dębu, na którym siedziałem z książką, słyszałem każde ich słowo. „Jak to możliwe, że jest tak inteligentny?” – pytał wujek swoim ciężkim, chrapliwym głosem. „Nie wiem” – odpowiadała moja mama, a ściślej mówiąc moja mama adopcyjna. Mam nadzieję, że nigdy tego nie przeczyta, bo pewnie zrobiłoby jej się przykro. „Nigdy nie widziałem, żeby dziecko było w stanie rozplanować cały cykl pór roku, zbiorów i Er. Jego zdolności matematyczne nie są normalne”. „Na dodatek wyliczył wszystko aż do roku 600...” – dodał wujek. Mama, bardziej zdziwiona niż dumna: „Ponad dwieście lat kalendarzowych... a sam nie przeżył ich nawet pięciu! Jak to możliwe? Może opętał go zły duch? Powinniśmy zaprowadzić go do spowiednika”. Nie rozumiem czemu moja rodzina dziwi się czy wręcz wstydzi moich zdolności. Kiedy słyszę takie rozmowy, a nie jest to pierwszy raz, zastanawiam się czy to wszystko jest sprawiedliwe. Przecież nie robię niczego złego. Wiem, dzieci z sąsiedztwa są inne. Może woleliby mieć normalnego syna, który całe dni spędza nad rzeką i myśli tylko o puszczaniu kaczek po wodzie. W ich oczach jestem mały. Wciąż to określenie: mały. Wszyscy go używają. Tylko co ono tak naprawdę oznacza? Mały wzrostem? W porządku, nie mogę zaprzeczyć. Jednak według mnie, umysł mierzy się głębokością, nie wzrostem. Wszyscy znajomi ojca, którzy pracują na polu lub handlują w mieście, są wysocy i potężni, ale nie wykazują specjalnej inteligencji. Domowy budżet, koszty produkcji i data ostatniego zbioru to maksimum ich możliwości. Kiedy patrzą w niebo, myślą, że gwiazdy i ich konstelacje wiszą wszystkie w tej samej odległości od nas. Sądzę, że nie mają pojęcia o prawach postępu czasu ani o ruchu Ziemi względem Słońca i innych planet. Nie są w stanie wybiec myślą poza przyszłą porę roku. Czy w takim razie ja powinienem okrzyknąć ich małymi? Po prostu oddają się pracy rąk, ja poświęcam się rozmyśleniom i kalkulacjom. To nie moja wina, że przez te pięć lat stałem się w tym biegły. W każdym razie jestem znużony. Chciałbym zobaczyć inne miejsca, jestem pewny, że istnieją. Poznać

innych ludzi. Sam-en-Kar to miłe miasteczko, ale mam dość wciąż tych samych zabaw, mijania wciąż tych samych twarzy. Na przykład, nigdy nie pokazali mi oceanu. Widziałem go tylko na obrazach, musi być cudowny. No i góry, których piękne, ośnieżone szczyty można dostrzec w pogodne dni. Pewnie niedługo inne dzieci przybiegną zawołać mnie do zabawy. Oby mama powiedziała im, że odpoczywam. Nie mam ochoty na zabawę. Pragnę tylko jednego – odejść. Pewnego dnia... mam nadzieję. Wczoraj znów miałem ten sen. Ten, w którym myślę i mówię w innym języku. To się powtarza od bardzo dawna. Już go nie opowiadam mamie, boję się, że oprócz do spowiednika, mogłaby także zabrać mnie do lekarza. Lepiej zatrzymać to dla siebie. Zaczął się jak zwykle, ale tym razem skończył się inaczej. Byłem w ciemnym pokoju, tym co zawsze, naciskałem jakieś guziki, które uwalniały z podłużnych tub niebieskawe, sztuczne światło. Jego blask odbijał się w szklanych pokrywach trzech kabin. W pierwszych dwóch spoczywały ciała pary młodych ludzi, którzy byli mi bliscy jak rodzeństwo, czułem z nimi niezwykle silną mentalną więź. Ich oczy były zamknięte. Na boku metalowych sarkofagów wyryto cyfry 2014. We śnie byłem pewny, że chodzi o rok i że był to ostatni rok. Ostatni w swym cyklu. Aż do tego momentu sen był taki jak zawsze. Nigdy wcześniej nie udało mi się zobaczyć więcej. Wczoraj poszedłem dalej. Życzyłem przyjaciółom szczęśliwej podróży i podniosłem wieko ostatniej kabiny. Tej pustej. Odwróciłem się w stronę stolika, na którym spoczywała strzykawka. Podniosłem ją i spojrzałem na swoje odbicie w niewielkim lustrze stojącym obok. Przypatrywałem się swojej twarzy skąpanej w jarzeniowym świetle. Byłem dorosły, jak w innych snach. Na oko, koło dwudziestki. Przez chwilę wydawało mi się, że w głębi własnych oczu dostrzegam jakieś obrazy. Rozmyte. Siedziałem na tylnym siedzeniu jakiegoś samochodu. Wokół mnie wszystko wirowało jak na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie. Skały, śnieżyca, krzyki. To ja krzyczę. Potem to potworne uczucie zapadania się w nicłość, głuchy huk i powrót do rzeczywistości. A właściwie do snu. Do lustra. Jest przejmująco zimno, włosy mam sztywne jak z masy papierowej, zęby dzwonią donośnie. Znów spojrzałem w lustro i usłyszałem swoją myśl, jakbym wypowiedział ją na głos. „Obudzimy się. Pewnego dnia się obudzimy. I będziemy żywi. Wiem, że się uda”. Potem jeszcze coś mówiłem lub myślałem, w tym dziwnym języku, który we śnie wydawał mi się taki znajomy, ale wszystko się rwało. Ostatni obraz, jaki zachował się w mojej pamięci to strzykawka w dłoni, igła gotowa przebić skórę. Czasem przyglądam się mamie i tacie i mam ochotę krzyczeć ze złości. To złość, spowodowana brakiem odpowiedzi, brakiem jakiegokolwiek wyjaśnienia moich wątpliwości. Jednak im więcej mija czasu, tym więcej śnię. Im więcej śnię, tym więcej pamiętam. Już od dłuższego czasu mam w sobie tę pewność: te wydarzenia naprawdę miały miejsce. W przeszłości. W jakiejś dalekiej i niezrozumiałej przeszłości. Te wspomnienia są częścią mojego życia.

Przeszłego życia jak powiedziałaby stary, mądry Meuron, z którym czasem dyskutujemy o sensie istnienia. On jeden mnie nie ocenia. Nie uważa za małego. Wręcz przeciwnie, twierdzi, że jestem bardzo, bardzo dojrzały. Zresztą moi rodzice nie są moimi prawdziwymi rodzicami. Nie wiedzą, że ja wiem, ale to nic. Od kilku lat mam świadomość, że mnie adoptowali. Może kiedyś wymyknęło im się o kilka słów za dużo, może myśleli, że nie opanowałem jeszcze dostatecznie języka Sam-en i nie mógłbym zrozumieć. Ale ja rozumiałem. I to jak. Zostałem zakupiony choć nie znoszę tego sformułowania. Niestety tak właśnie było. Zostałem wymieniony za pewną ilość artykułów spożywczych i tłustego prosiaka. Z zasłyszanych opowieści wynika, że nieznana rudowłosa kobieta zostawiła mnie w Centrum Solidarności Garen, kiedy byłem zaledwie niemowlęciem. To właśnie stamtąd niedługo potem zabrała mnie moja obecna rodzina. Nie mogli mieć własnych dzieci, więc kupili mnie. Wydarzenia te miały miejsce w roku 376 Kalendarza Sam-en podczas Pory Księżyca. Nigdy wcześniej nie opisywałem powyższego w dzienniku, obawiając się, że któreś z rodziców mogłoby to przeczytać. Pragnienie odejścia jest jednak we mnie coraz silniejsze. A ty, wierny strażniku moich wspomnień, papierowy przyjacielu i milczący powierniku, odejdiesz ze mną.

SAM-EN KAR, ROK 388 K.S.

Marco zamknął oprawiony w skórę zeszyt, przez chwilę wpatrywał się w ósemkę wytłoczoną na grzbiecie, po czym odłożył go na stertę książek leżących na półce przy łóżku. Ten dziennik był jedynym świadkiem życia, które do niego nie należało, które do niego nie przystawało. Pamiętnik był także cennym zbiorem wszystkich wizji, objawień, zasłyszanych opowieści, które zdołał zgromadzić podczas swojego krótkiego życia. Upłynęło siedem lat od wydarzeń opisanych w roku 381. Czytał w kółko te same słowa zastanawiając się co robi w tym miejscu, wśród tych ludzi? Jednak słońce wschodziło każdego ranka i rozgrzewało poranione serce. Serce pragnące odnaleźć odrobinę spokoju i pogody. Czy tak miało wyglądać jego życie w regionie Sam-en? Bezpieczny port, schronienie? Czy może była to tylko jedna z nieskończenie wielu kombinacji rzuconych przez los kości. Tym razem to złota klatka, ochronny klosz. Szczęśliwy numer, ale nie należący do niego. Znał podstępną geografię Wszechświatów, Miał dużo czasu, aby przypomnieć sobie każdy krok, każdą twarz, każdą historię. Sny bardzo mu w tym pomogły, od kiedy nauczył się wyluskiwać z ich onirycznej gęstwiny realne wspomnienia. Wszystkie zapisał w dzienniku z cyfrą osiem wytłoczoną na skórzanej okładce. Czasem przyglądał jej się z innej perspektywy, ósemka stawała się wtedy symbolem nieskończoności. Nie, to nie była część tradycji Sam-en-Kar, ani nawet Gai czy mieszkańców wyspy Limen, choć wspomnienia tamtego okresu

udało mu się odzyskać już niemal w całości. Zapętlona nieskończoność tak naprawdę cofała go o pół tysiąclecia, do jego Mediolanu, do Italii. Tam, gdzie wszystko się rozpoczęło. Wtedy również zeszyt z identycznym symbolem towarzyszył mu w podróży. Jego osobista antologia Wszechświatów. Marco zdjął okulary i położył je na drewnianym stole, tym samym, na którym pisał w wieku pięciu lat, kiedy wszyscy uważali go za dziwoląga, ofiarę ciemnych mocy, a wszystko z powodu jego ponadprzeciętnego intelektu. Sam-en-Kar było miasteczkiem zakorzenionym w przeszłości, pełnym przesądów, zabobonów i ludowych wierzeń, zupełnym przeciwieństwem nowoczesnych zagórskich metropolii, które z entuzjazmem patrzyły w przyszłość goniąc postęp technologiczny. Był tam. Zarówno w Sam-en-Tor jak i w Sam-en-Garen. Mając pięć lat marzył o śnieżnych szczytach majaczących na horyzoncie. Dotarł do nich w wieku dziewięciu lat. Zobaczył, przeżył, zrozumiał. Wtedy wrócił, choć wszyscy uznali go już za bezpowrotnie zaginionego. W tobołku miał niewiele prowiantu i wierny dziennik, w którym zdążył już zapisać dwie trzecie kartek. Z czasem wspomnienia wracały jedno po drugim. Jak butelki wrzucone do morza, które w końcu wypływają na powierzchnię skąpane w oślepiającym blasku słońca, skrywają drogocenne wiadomości wprost z przeszłości. Kolejne fragmenty układanki wracały na swoje miejsce podczas długiej i wyboistej drogi, która doprowadziła go do tego punktu. To nie były koszmary. To były prawdziwe wydarzenia, rzeczywiste i namacalne. Przez długie lata targały nim wątpliwości. Co dzień zadawał sobie te same pytania, jakby próbował rozwiązać antyczną enigmę, którą z nikim nie mógł się podzielić. Zresztą ani jego przyjaciele, ani adopcyjni rodzice, ani spowiednik, który wyciągał od naiwnych pieniądze za oczyszczenie ich duszy przy pomocy dyskusyjnych rytuałów, nikt nie mógłby wysłuchać żadnej z opowieści Marco i nie uznać go za szaleńca. A szaleńców wysyłano do Centrum Rehabilitacyjnego w Garen. Lepiej było nie weryfikować osobiście krążących o nim opowieści. Marco przeczesał ręką swoje czarne, niezmiennie rozczochrane włosy, po czym przetarł okulary. Przez okno wpadały pierwsze promienie porannego słońca. Z daleka słychać było nieśmiałe dźwięki fletów i piszczałek zaczynające powoli rozbrzmiewać na okolicznych polach. Tego dnia zaplanowano jedno z licznych lokalnych świąt, tym razem ludzie ziemi oddawali cześć Karowi, Panu Zbiorów według starego zwyczaju zrodzonego w 125 K.S. Kalendarza Sam-en. Z zamyślenia wyrwało go rytmiczne walenie pięścią we framugę okna, sześć uderzeń w seriach po dwa. Poderwał się z miejsca i szybko otworzył okno, przesuwając przeszkłone skrzydło do góry. Kiwnął na powitanie do jasnowłosego chłopaka, który balansował na metalowym pręcie wystającym ze ściany, trzymając się jedynie lewą ręką jakiejś pokruszonej cegły, gdyż prawą zajęta miał przyjacielskim machaniem.

– Drzwi na parterze to dla frajerów, co? – rzucił sarkastycznie Marco,

sadowiąc się z powrotem na brzegu łóżka.

Blondyn przeskoczył z gracją przez parapet, ale w ostatniej chwili zahaczył o krzesło i runął jak długi na środek pokoju. Szybko się jednak podniósł i otrząpął z kurzu.

– To by było za łatwe – oświadczył, unosząc brwi.

– Kiedyś w końcu skręcisz kark, zobaczysz. – Marco otaksował go od stóp do głów, po czym prychnął z ledwie widocznym uśmiechem. – Twój rodzice nie świętują ze wszystkimi?

– Świętują, dlatego tu jestem. Nie mam ochoty kisić się w procesji.

– A twoja siostra?

– Poszła. Jej zależy. Żadnej jeszcze nie opuściła.

– Jak sobie chce...

– A ty, co robisz?

Marco odwrócił lekko głowę, a jego wzrok mimowolnie powędrował do dziennika leżącego pod stertą książek.

– Nic, przeglądałem niektóre...

– Znowu ten pamiętnik?

– Znowu mój cenny dziennik, Alex – uściślił Marco.

– Mamy po dwanaście lat – roześmiał się blondyn. – Naprawdę nie umiesz bawić się jak wszyscy inni? Siedzisz tu ciągle czytając, obliczając i bredząc coś o czymś, czego nikt nie rozumie... Marco zerwał się z miejsca i odwrócony do chłopaka plecami stał zapatrzony w widok za oknem. Z roztargnieniem gładził palcami policzek. Jego duszą targwały wątpliwości i przemyślenia, których przyjaciel najwyraźniej nie był w stanie pojąć.

– Może byś mnie tym razem wysłuchał – podjął Alex.

– Co jest? – zapytał Marco, odwracając się z powrotem w jego stronę, rękę trzymał w przepastnych kieszeniach swoich ciężkich, zimowych spodni zupełnie nieprzystających do upalnej pogody 67 dnia Pory Słońca.

– Muszę koniecznie z tobą porozmawiać o pewnej sprawie, dość... osobistej.

– No to mów

– Gorąco tu u ciebie – Alex włożył palec za kołnierzyk i spróbował go nieco poluzować. Nie, nie jest gorąco, tylko ty się pocisz. No dalej, mów. Co jest tym razem? Alex błędził wzrokiem, unikając spojrzenia przyjaciela. Orzechowa skrzynia z otwartym wiekiem opartym o ścianę, a w niej kupka ubrań. Biurko zaważone ołówkami, papierami, książkami i zeszytami. Znajdowała się tam też pęknięta ramka, w którą oprawiono rysunek przedstawiający firmament nieba w szczególnym momencie roku, kiedy to trzy gwiazdy z pasa Oriona zdawały się stanowić idealne przedłużenie Wieży Edilea stojącej na południowym krańcu doliny, należącej do bogatej metropolii Sam-en-Garen, która wykorzystywała ją do pomiarów astronomicznych i meteorologicznych. Za każdym razem, gdy jego

wzrok padał na ten obraz ogarniało go dziwne uczucie. Jakiś niejasny, łagodny podziw, który czuł wpatrując się w tę konstelację – niekwestionowaną królową na wieczornym niebie. W końcu przełamał zakłopotanie i spojrzał na Marco, który przyglądał mu się pytająco.

– No dobra, powiem wprost... Od jakiegoś czasu co noc mam ten sam dziwny sen.

– Jak dziwny?

– Bezsensowny.

– Opowiedz.

Alex prychnął zniecierpliwiony, po czym westchnął i w końcu zebrał się na odwagę.

– Tylko się nie śmieję! To mi się powtórzyło już ze trzy albo cztery razy... No więc ja... Tylko się nie śmieję, OK?

– Nie będę się śmiał.

– Śni mi się, że całuję swoją siostrę.

Marco stał nieruchomo, jego twarz nie wyrażała niczego.

– Rozumiesz? – kontynuował Alex. – To nie ma żadnego sensu.

– Jaki to typ pocałunku? Przelotny, w policzek, w usta?

– To... prawdziwy pocałunek.

Alex usiadł i ukrył twarz w dłoniach, jakby próbował schronić się przed wstydem.

– Co to według ciebie może znaczyć – zapytał, czerwieniąc się coraz bardziej, kiedy przyjaciel siadał obok niego.

– Że jesteś zwykłym świrem.

– Przestań się ze mnie nabijać – odciął się ponuro chłopak, podnosząc z powrotem wzrok na Marca. – Nic ci już więcej nie opowiem.

– Przestań, przecież żartuję. Masz zamiar z nią o tym porozmawiać?

– Po moim trupie!

Marco pokiwał głową, jakby z tych kilku informacji zdążył już wyciągnąć jakieś wnioski.

– Rozumiem. Powiedz mi jeszcze jedną rzecz, w tym śnie... gdzie ją całowałeś?

– Już ci mówiłem, nie udawaj głupka... W usta!

– Nie o to mi chodzi, gdzie się znajdowaliście?

– Aha. Za każdym razem w innym miejscu. W pierwszym śnie siedzieliśmy w jakimś ogrodzie... przed nami była furka. W drugim byliśmy w ciemnym pokoju, nie umiem go opisać, prawie nic nie było widać, tylko ją. Potem jeszcze w jakimś zatłoczonym miejscu na świeżym powietrzu, wokół nas byli ludzie i dziwne pojazdy... Takie długie maszyny poruszające się po podwójnych torach, trochę jak powozy, których używają w Tor, wiesz o których mówię? Te tory...

– Tak, wiem o czym mówisz. Lokomotory z Gerber. Byliście na jakiejś stacji.

– No właśnie. Niesamowite te pojazdy, co? Kto wie jakie mają osiągi...

– Robią wrażenie, owszem, ale opisz ten pocałunek... Tylko szczerze, co czułeś? Alex pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w słowa, które właśnie zamierzał wypowiedzieć.

– Było fantastycznie. To uczucie... nie wiem jak to opisać. Było jak... szczęście. Tylko że to nie ma sensu! To moja siostra, do cholery!

– Uwierz mi – odpowiedział spokojnie przyjaciel z lekkim uśmiechem – w twoich snach nie ma niczego niestosownego.

– Oszalałeś?

Marco odchrząknął i ciągnął dalej.

– Zrób coś dla mnie, nawet jeśli teraz wyda ci się to głupie. Porozmawiaj z nią. Opowiedz jej o tym, co widziałeś we śnie.

– Żartujesz sobie chyba?! Po co miałbym jej o tym mówić? – Zaufaj mi.

– Nigdy w życiu!

Alex odwrócił strapioną twarz.

– Posłuchaj mnie i spróbuj – naciskał Marco.

Alex przeczesał palcami jasne włosy, świeżo ostrzyżone przez jego matkę, potem podniósł się i podszedł do okna. W jego głowie wciąż rozbrzmiewały słowa przyjaciela „w twoich snach nie ma niczego niestosownego”. Przełożył nogę przez parapet i odwrócił się do Marca.

– Nie ma mowy. Nigdy jej o tym nie powiem. Wzięłaby mnie za czubka.

SAM-ENGAREN, ROK 394 K.S.
PORA KSIEŻYCA, DZIEŃ 5.

Kobieta zeszła po wąskich schodach prowadzących z apteki do obszernego salonu zamienionego na magazyn i laboratorium. Złożyła razem palec wskazujący ze środkowym prawej dłoni i przeciągnęła je pospiesznie po długim rzędzie przełączników w skrzynce elektrycznej na końcu podestu. Panele świetlne wiszące pod sufitem zapaliły się kolejno, jeden za drugim. Po kilku chwilach światło rozblysło pełną mocą, wydobywając z mroku rzędy regałów uginających się pod ciężarem pudeł, kartonów i innych ciężkich do zidentyfikowania różności. Po drugiej stronie pomieszczenia, na długich stołach wyposażonych w ceramiczne zlewy, wśród stosu dokumentów, ołówków i próbek stały instrumenty optyczne.

– Anna! – zabrzmiał stłumiony głos dobiegający gdzieś z drugiego piętra. – Pomyliłem się! To nie będzie sto dwadzieścia jeden tylko dwieście dwadzieścia jeden!

– Dobra! – odrzyknęła kobieta, spoglądając przez ramię w stronę schodów, po czym przemknęła zwinnie między stołami, aż dotarła do regałów. Slev, jej mąż, mógł po prostu podać jej nazwę produktu, nie potrzebowała numeru seryjnego. Mierząca metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ognistoruda żona ubrana w bluzeczkę bez rękawów podkreślającą jej chude, długie ręce, znała na pamięć cały katalog liczący szesnaście tysięcy trzysta dwadzieścia sześć pozycji i uzupełniany co roku o kolejne trzysta, czterysta nazw leków opatentowanych przez różne koncerny farmaceutyczne z Garen. Slev nie miał pełnej wiedzy o naturze Anny. Kochał ją, więc zadowalał się ocenzurowaną wersją jej wspomnień, starając się nie gnębić jej dociekliwymi pytaniami o przeszłość. A Anna była inna, wiedział o tym od dnia, w którym odbyła się aukcja budynku, który upatrzyli sobie na aptekę. Na sali było przynajmniej czterech bardziej doświadczonych kupców, ale Anna rozmówiła się z każdym z nich przed rozpoczęciem licytacji. Wszyscy wycofali się po kilku nieznaczących podbiciach oferty. To był 382 rok Kalendarza Sam-en, dzień 39 Pory Słońca, data, która na zawsze miała pozostać w pamięci Sleva. Nie był to jednak jedyny fragment ich wspólnej historii, który skłonił tego potężnego czterdziestopięcioletka o szerokich barach i krzaczastej, czarnej brodzie do podejrzeń, że jego żona pilnie strzeże jakiejś tajemnicy. Po pierwsze zagadką

pozostawały nadnaturalne zdolności mnemoniczne Anny. Pamiętała imię, nazwisko, datę urodzenia i numer identyfikacji medycznej każdego klienta, który kiedykolwiek przekroczył próg ich apteki. Poza tym jej wrodzona skłonność do komunikacji międzyludzkiej często przeradzała się w coś niezwykłego i niewytłumaczalnego – Anna nie pytała innych o zdanie, Anna im je sugerowała. Taka umiejętność w handlu stanowiła niemałą przewagę nad konkurencją. Apteka Anny i Sleva była najpopularniejszą w całej Strefie 5 Garen, stolicy Regionu Sam—en. Interesy szły świetnie, pozwalając parze przeznaczyć nieco czasu na badania, których część prowadzili w laboratorium pod apteką, a inne zlecali centrom naukowym rozsianym po całym Regionie. Anna sięgnęła po produkt, którego potrzebował jej mąż i odwróciła się do wyjścia. Jej oczy spoczęły na drewnianym przedmiocie wiszącym na ścianie, kalendarzu ręcznie wyrzeźbionym przez stolarza z Kar. Kupili go wiele lat wcześniej na jakimś wiejskim festynie. Anna przerzuciła czwórkę na miejsce trójki, tworząc w ten sposób rok 394. Od pięciu dni trwał okres Pory Księżyca, która była pierwszą połową roku Sam—en. Zaczynała się wraz z zimą, a kończyła przy pierwszych deszczach zwiastujących nadejście Pory Słońca. Jednak ani ona, ani Slev nie pamiętali o kalendarzu. Teraz Anna wpatrywała się w liczbę 394, a w jej głowie pojawiły się niespodziewane obrazy. Trzy bambusowe kołyski, jedna obok drugiej, wyściełane miękką tkaniną. Trzy zdrowe niemowlęta, oczy zamknięte, buzie spokojne, pogrążone w sennej nieświadomości. Za kołyskami majestatyczny porton Centrum Solidarności, instytucji prowadzonej przez grupę wolontariuszek całkowicie oddanych dobroczynności, nie związanych z żadnym nurtem religijnym, których ostatnio w Sam—en wciąż przybywało. Politycy Sam—en co roku starali się zawrzeć w swoich programach jakiś punkt na temat Centrum Solidarności i wesprzeć niezłomne kobiety, którym za wynagrodzenie starczał wikt, opierunek i duma z wykonywanej pracy. Szmaciana bransoletka okalała rączkę każdego z niemowlaków. Towarzyszył im bilecik wetknięty do środkowej kołyski. Amenar odczytała go na głos swoim koleżankom – ochotniczkom zebranych w głównej sali.

Proszę, abyście zaopiekowały się tymi dziećmi. Nazywają się Alex, Jenny i Marco. Żywiąc nadzieję, że uszanujecie ich imiona i okażecie pomoc, dziękuję wam z całego serca.

– Minęło już prawie osiemnaście lat – szepnęła w zamyśleniu Anna. Centrum Solidarności przyjęło rolę sierocińca. Nie minęła połowa Pory a Marco został adoptowany przez rodzinę z Sam—en—Kar. Kolejna połowa Pory i Alex z Jenny również znaleźli dom w tym samym miasteczku. Anna śledziła dyskretnie

wszystkie te wydarzenia, przysłuchując się zarówno krążącym po okolicach pogłoskom, jak i oficjalnym komunikatom, które Centrum zobowiązane było wydawać. Uśmiechała się z nutką goryczy na myśl o tym, że Alex i Jenny, o których stary Ian tyle jej opowiadał i których zdołała poznać w ostatniej chwili przed tragicznie zakończoną ucieczką w równoległej rzeczywistości, mieli wychowywać się jako brat i siostra. Jednak liczyło się tylko to, że byli bezpieczni. Była to winna Ianowi. Była to również winna temu, który w Gai był jej ojcem, Nathanowi. Upewniwszy się co do ich losu, Anna odsunęła się w cień. Nie śmiała więcej eksperymentować z klonowaniem ludzi. Osiągnęła dawno upragniony spokój u boku Sleva i straciła jakikolwiek kontakt z równoległymi światami. Postanowiła skończyć z podróżami. Jednak spomiędzy nieskończenie wielu fałd czasu i przestrzeni, co jakiś czas odzywały się głosy zdolne zachwiać tożsamością, zdolne przeciągnąć ją na swoją stronę. Ta potężna energia potrafi złamać siłę woli i zawładnąć umysłem. To zew przyzywający do domu. Kilka dni po tym, gdy Anna przesunęła czwórkę na miejsce trójki w kalendarzu Sam-en, wpadła w jeden z tych niespodziewanych stanów i znów zaczęła widzieć. Zobaczyła miejsce, które dobrze pamiętała. Zobaczyła zaskakujący rozwój życia, o którym pragnęła zapomnieć. Znów zobaczyła Gaję i zrozumiała, jak bardzo się pomyliła. Wszystko wydarzyło się nagle. Kiedy wreszcie powróciła do swojej rzeczywistości, długo zastanawiała się czy był to sen, czy może jeden z tych spontanicznych przeskoków, które zdarzały jej się w dzieciństwie, gdy jeszcze nie potrafiła kontrolować swoich zdolności. Czasem trudno było oznaczyć granicę, pojąć dogłębnie naturę tych dwóch doświadczeń, obu tak żywych, lecz raczej przelotnych. Sleva nie było tego dnia w domu. Apteka była zamknięta z powodu jakiegoś lokalnego święta. Anna, jak to miała w zwyczaju, wykorzystywała chwilę samotności, aby oddać się pisaniu. Bajki, rymowanki, piosenki. Zajmowała się tym w wolnym czasie, potem często obdarowywała swoimi utworami dzieci klientów apteki. To, co najbardziej podobało jej się w Regionie Sam-en, to ciepłe stosunki między ludźmi, które prawdopodobnie były kluczowym elementem, decydującym o wyborze tego miejsca na nowy dom dla małego Alexa, Jenny i Marca, którego wciąż w myślach nazywała Ianem. Dzięki opowieściom ojca, Anna wiedziała doskonale, że po kilku wiekach ciszy, która nastąpiła po uderzeniu asteroidy i końcu poprzedniej cywilizacji, życie odrodziło się wszędzie, w każdym zakątku i wymiarze Wszechświata. Nie wszędzie osiągnięto stopień rozwoju naukowego Gai czy Sam-en. Anna w młodości dużo podróżowała, zanurzając się w rzeczywistościach równoległych, w których nawet nie odkryto elektryczności. Od początku swojej osobliwej egzystencji wiedziała jedno, istniała we wszystkich wymiarach, w których jej matka urodziła dziecko. W niektórych światach miała innego ojca, inaczej wyglądała, często nosiła inne imię. Wtedy tylko połowa jej dziedzictwa genetycznego pozostawała stała, druga ulegała wariacjom. Jasne było również, że

zarówno Nathan jak i Ian istnieli tylko w rzeczywistości Gai. Pragnęłyby zadać Ianowi morze pytań, w Gai był jej prawdziwym mentorem. Niestety staruszek został zastrzelony przez żołnierzy, podczas gdy ona uciekała przez las, pozostawiając za sobą rzeczywistość, z którą aż do tego momentu nie chciała mieć już nigdy więcej do czynienia. Głowiła się nad swoją kolejną rymowanką dla dzieci, gdy nagle jej myśli porwane obcym nurtem zmieniły swój bieg. Popędziły w stronę miejsca, które w jej sercu dawno zostało pogrzebane, daleko, daleko od Sam-en. Po drugiej stronie wirujących głosów i obrazów, była ona. Para szmaragdowych oczu wpatrujących się w nią z półcienia. W jednym momencie wszystkie fragmenty wspomnień wróciły na swoje miejsce.

– Diletta... – szepnęła Anna, wyciągając dłoń w stronę kotki leżącej brzuchem do góry i dopraszającej się pieszczot. Ta kotka istniała tylko w Gai. Kiedy Anna zabrała ją ze sobą podczas ucieczki była malutka, teraz wyglądała na starą i zmęczoną. Diletta była znakiem rozpoznawczym rzeczywistości, o której Anna próbowała zapomnieć. Wciąż oszołomiona i niepewna, wstała i ruszyła w stronę, która dla jej umysłu z Gai wydawała się oczywista. Położyła rękę na włączniku, prawie nie zdając sobie sprawy jak bardzo ten gest był znajomy, niemal automatyczny. Jej myśli błądziły po obrzeżach świadomości balansując między wspomnieniami Sam-en a otaczającą ją Gają, w której inna wersja niej samej żyła spokojnie po dramatycznej ucieczce przez las. Rozejrzała się dookoła, zobaczyła stoły i krzesła tonące w jasnym świetle dnia i zrozumiała, że znajduje się w swoim dawnym laboratorium. Pomieszczeniu o dużych oknach wychodzących na jałowe wzgórze otaczające Marinę. Laboratorium było jej domem i miejscem pracy, prawie bunkrem, w którym schroniła się wiele lat wcześniej, żywiąc nadzieję, że bezosobowy, anonimowy rząd Gai sprawujący władzę za pomocą cyfrowych wiadomości przesyłanych przez aplikację Tekst, pozwoli jej tam pracować w spokoju. Anna czule pogłaskała kotkę, która zaczęła mruzczyć. Spojrzała na stolik stojący za fotelem, na którym wyciągnęła się Diletta. Leżała na nim papierowa teczka. Otworzyła ją. W środku nie było dokumentów tylko interaktywna tablica, jedna z tych, które można było zwinąć w rulonik dla łatwiejszego przechowywania. Ta tablica była cienka, centymetrowa, co oznaczało, że była tylko wiadomością. Profesjonalne tablice były grubsze, dwucentymetrowe i mieściły tysiąc razy więcej informacji. Te pierwsze służyły jedynie do przekazywania krótkich notatek. Zlecenie, projekt, prezentacja, zawsze zapisywano je na tych tabliczkach, prawie nigdy na papierze. Zwłaszcza jeśli były to rozkazy z góry. Anna włączyła ekran, dotykając rozwiniętej tablicy i poczekała kilka sekund na aktywację. Pojawiło się logo Lax – marki produkującej wszystkie panele i urządzenia elektroniczne, jak również stare kamery, które kontrolowały populację Gai zanim zaczęto wszczepiać podskórne mikroczipy. Po chwili ekran stał się znowu czarny, po czym wreszcie pojawiła się wiadomość. Na środku otworzyło się niebieskie okno, a metaliczny

beznamiętny głos wyrecytował: „Wiadomość poufna przeznaczona wyłącznie dla odbiorcy doktor Anny Y758BG4. Przyłożyć mikroczip do dołu ekranu aby potwierdzić tożsamość”. Anna wykonała polecenie, a na ekranie pojawiła się sekwencja obrazów. Pierwsze zdjęcie przedstawiało fasadę imponującego budynku, nad jego wejściem wielki napis głosił SYNAPTIKA. Anna słyszała już tę nazwę, było to przedsiębiorstwo zajmujące się badaniami medycznymi, głównie neurobiologią. Miała problem z przywoływaniem, a właściwie odświeżeniem wspomnień z Gai, ale wiedziała, że udzielała Synaptice jakichś konsultacji z dziedziny biologii, nie umiała jedynie określić, kiedy to było. Automatyczny głos rozległ się ponownie, a na ekranie wyświetlały się kolejne zdjęcia przedstawiające sale wewnątrz budynku. „Doktor Anno, przeanalizowaliśmy dokładnie pani sylwetkę zawodową. Pani kompetencje pozwalają na podjęcie stałej współpracy z Synaptiką. Datę i godzinę pierwszego spotkania z przedstawicielami zarządu naszej struktury znajdzie pani w ostatnim slajdzie stworzonej przez nas prezentacji. Przypominamy jednocześnie, że wszelkie przekazane pani informacje są ściśle tajne, a jakikolwiek ich wyciek będzie niezwłocznie zgłoszony organom ścigania”. Ekran najpierw zrobił się czarny, by za chwilę wyświetlić informacje zapowiedziane przez mechaniczny głos w prezentacji.

– Ale to... – Anna przeniosła wzrok na panel wyświetlający rząd cyfr – ...to dzisiaj. Za niecałe dwie godziny.

Diletta zeskoczyła ciężko z fotela i zniknęła za stertą pudeł. Anna zamknęła oczy i zaczęła zastanawiać się nad znaczeniem tej nieoczekiwanej sytuacji. Oferowano jej możliwość współpracy z ważnym ośrodkiem badawczym Gai, choć podejrzewała, że propozycja była w rzeczywistości rozkazem. Tu nie chodziło już o pojedynczą konsultację, ale poważną, stałą pracę. Ona tego potrzebowała, zarówno ze względów ekonomicznych, jak i przez wzgląd na rozwój swojej kariery. Szybko przeglądała w myślach wspomnienia tego równoległego, nigdy przez nią nie przeżytego życia. Porzuciła je w dniu, w którym Ian, Alex i Jenny zostali zastrzeleni, a jej udało się zbiec w ostatniej chwili. Wtedy stanęła na rozstaju, wtedy pojawiło się rozgałęzienie. Wybrała Sam–en. To tam chciała żyć. Tam miało odbyć się klonowanie. Teraz zrozumiała, że to miało sens, przez ostatnie osiemnaście lat jej alternatywna wersja wciąż żyła na Gai. Zachowała swoją dotychczasową pracę, starała się nie wychylać i unikać kłopotów, których w jej mniemaniu przeżyła już wystarczająco wiele od śmierci ojca, aż do wojskowej zasadzki w lesie.

Jednak Anna z Sam–en, która uciekła z rzeczywistości, o której wolała zapomnieć, myliła się tak samo jak jej odpowiedniczka z Gai. Obie uwierzyły w zakończenie dalekie o lata świetlne od prawdziwego przebiegu zdarzeń. Anna zrozumiała to właśnie tego poranka, kiedy stawiała się na spotkaniu z pracownikami działu personalnego Synaptiki, którzy przydzielili jej pierwsze oficjalne zadanie.

Dostała od nich tabliczkę zawierającą wyniki osiemnastu lat badań nad ciałami nastolatków pojmanyh owej feralnej nocy. Przeglądała pospiesznie te informacje, siedząc już w swoim nowym gabinecie, ponurym pokoiku bez okien w głębi korytarza na pierwszym piętrze.

– To niemożliwe... – zdołała jedynie szepnąć.

Powtórzyła to zdanie jeszcze kilka razy, choć zdawała sobie sprawę, że musi zachować czujność, że mogła być obserwowana, podsłuchiwana lub inwigilowana w jeszcze inny sposób, jak to było w zwyczaju na Gai.

Twarze Alexa i Jenny na zdjęciach przypiętych do kart medycznych. Ich ciała przyobleczone w białe tuniki, leżące na metalowych wózkach z elektrodami podłączonymi do skroni, czół i piersi.

Ich zamknięte powieki, martwo wyglądające twarze. Na innych zdjęciach oczy szeroko otwarte na skutek jakichś badań, których wyniki wiły się w skompilowanych wykresach i długich rzędach danych. Osiemnaście lat po pułapce, która udaremniła Ianowi i dwójce dzieci dotarcie na statek płynący na Wschód, Alex i Jenny byli wciąż żywi.

Stali się obiektami doświadczalnymi firmy prowadzącej badanie w dziedzinie neurobiologii.

Ona, doktor Anna, została oddelegowana do kontynuowania tych badań.

Kobieta zwinęła tabliczkę, schowała ją do szuflady i podniosła się zdezorientowana. Potarła palcami czoło, potem zanurzyła je w gęstych, rudych włosach, błędząc spojrzeniem w próżni. W tej próżni widziała przeszłość, inne życie, które wolałaby wymazać. Jedno pytanie zawładnęło jej umysłem: co stało się z Ianem? Skoro Alex i Jenny żyli, skoro te strzały okazały się nie być śmiertelne, to jaki los spotkał jej dawnego mentora? Anna oparła się o zimną szybę oddzielającą jej gabinet od korytarza na pierwszym piętrze i pomyślała, że stary Ian mógłby być przetrzymywany w tym samym budynku.

Niespodziewany impuls nakazujący jej natychmiastową ucieczkę przeszył jej ciało jak lodowaty dreszcz. Zadrzała. W jej umyśle nagle rozbrzmiało zdanie, którego sensu nie potrafiła uchwycić. „Wszyscy toczą się jak pionki”. Słowa dudniły w jej głowie coraz szybciej i głośniejszym jak jakiś natrętny refren, aż wreszcie kobieta osunęła się na podłogę straciwszy przytomność.

Po drugiej stronie wiru Anna otworzyła oczy i poderwała głowę, zdenerwowana i spocona ze strachu. Czuła się jak wybudzona z sennego koszmaru. W rękę wciąż trzymała długopis i widziała przed sobą niedokończoną rymowaną. Słońce weszło już wysoko nad Sam-en i wpadało przez kuchenne okno, rzucając na ściany oślepiająco jasne refleksy. Musiało być już koło południa. Anna opuściła wzrok na stół, ostatnie zdanie układanego przez nią wierszyka brzmiało: „gdy zebrano jagody i malinki”.

Dopisała końcową strofę z rymem zamykającym opowiadanie, po czym oparła

czoło na dłoniach. Jej umysł kontynuował rozmyślenia z poprzedniego wymiaru, tak jak zrobił to z wierszykiem.

„Nie zostali zabici – myślała. – Badają ich. Oni żyją”.

– Muszę ich znaleźć – powiedziała do siebie, zanim wypadła z domu w szaleńczym pośpiechu.

SAM-EN-KAR, ROK 338 K.S.

Kropił lekki deszczyk, gdy szli wzdłuż drogi biegnącej wśród bujnej zieleni wiejskich terenów. Prowadziła ich wysoka kobieta o gęstych, czarnych włosach, ubrana w zieloną pelerynę z długim trenem ciągnącym się po ziemi, który z każdym krokiem coraz bardziej nasiąkał wodą. Kobieta niosła przewieszoną przez ramię torbę, z której wystawały książki. Dzieci podążały za nią jak stadko owiec za swoim pasterzem.

– Więc, jak już mówiliśmy, północna granica naszego prawie-wiecznie-słonecznego Regionu biegnie wzdłuż... wzdłuż? – kobieta patrzyła po twarzach swoich uczniów, którzy jednak milczeli. Było ich szesnaścioro, wszyscy między jedenastym a dwunastym rokiem życia. W końcu brązowowłosa dziewczynka uniosła rękę.

– Jenny? – wskazała na nią nauczycielka, zachęcając do odpowiedzi.

– Wzdłuż rzeki Laari – powiedziała nieśmiało i rozejrzała się nerwowo, szukając otuchy u swoich kolegów.

– Bardzo dobrze! Reszta też wiedziała, czyż nie? Kobieta uśmiechnęła się z przekonaniem i zaczęła opisywać bieg rzeki Laari, która przecinała na pół Ziemię Steir wyznaczając granicę między Sam-en a Regionem Jezior na północy. Wszystkie lekcje w Sam-en były prowadzone w ten sposób, od zawsze. Tego poranka szkolna grupka przemieszczała się wiejską drogą biegnącą niedaleko domu Marco, w południowej części osady. Z doliny, w której się zatrzymali widać było rząd domów stojących na skraju zielonych pastwisk. W jednym z nich, na pierwszym piętrze, wyraźnie skrzyło się szeroko otwarte okno pokoju Marca. Uczniowie ruszyli dalej, podczas gdy nauczycielka opowiadała o geografii Regionu Jezior. Zapach mokrej trawy był odurzający. Co jakiś czas mijały ich powozy zaprzęgnięte w dwa konie, wtedy zbijali się ciasno na poboczu, pozwalając im przejechać. Znajomy tętent kopyt co rusz przybliżał się lub oddalał jak akompaniament dla głosu nauczycielki.

– Ja też wiedziałem, jakby co... – powiedział Alex, gdy udało mu się zostać nieco z boku wraz z Jenny.

Tego dnia jego spojrzenie błędziło gdzieś po horyzoncie. Rozmawiając z siostrą, wciąż uciekał wzrokiem jakby nie mógł spojrzeć jej w oczy.

– Jesteś dzisiaj jakiś dziwny – odparła, zwalniając kroku, aby reszta grupy zdołała się od nich oddalić.

Dźwięk kopyt wciąż dudnił za ich plecami jak rytmiczne echo odbijające się od zboczy doliny.

– Wcale nie – zaprzeczył Alex, ale jego błękitne oczy były wbite w odległe okno pokoju Marca.

„Zrób coś dla mnie, nawet jeśli teraz wyda ci się to głupie. Porozmawiaj z nią. Opowiedz jej o tym, co widziałeś we śnie”. Słowa przyjaciela wciąż brzęczały mu w uszach jak natrętna mucha. Pójście za jego radą wymagało jednak zbyt wiele odwagi.

– A jednak. Chcesz mi coś powiedzieć?

– Nie.

Jenny uśmiechnęła się i skinęła głową. Spomiędzy chmur leniwie przesuwających się na zachód wyjrzało słońce, rozświetlając jej kasztanowe włosy tysiącem refleksów.

– Dobra – podjęła Jenny. – Skoro nie chcesz się przyznać czemu jesteś dziwny, to ja ci coś opowiem.

Alex wzruszył ramionami, jakby nic go to nie obchodziło, często prowokował ją w ten sposób. Uwielbiał drażnić siostrę, która z kolei potrafiła go usadzić jednym celnym zdaniem wypowiedzianym we właściwym momencie. Kryła go w domu, gdy wyruszał bez pozwolenia na tajne wyprawy z Marco, pokazując swoje niesamowite zdolności omamiania rodziców. Nie chodziło o zwykłe kłamstwa, ale mistrzowski kolarz spojrzeń, min, tonu głosu, wyobraźni i improwizacji.

Zawsze jej wierzyli.

– No to co chcesz mi powiedzieć? – Alex spojrzał na grupkę kolegów daleko przed nimi, zatrzymali się na wąskim mostku, nauczycielka odpowiadała coś o starej tamie na strumieniu. – Pospiesz się, bo zaraz przyuważą, że zostaliśmy w tyle.

– Śniło mi się coś kompletnie bez sensu – zaczęła Jenny – ale nie wiem czy mogę ci o tym opowiedzieć. Alexa zamurowało. Przez chwilę wydawało mu się, że to zdanie wydostało się z jego własnych ust.

– Co ci jest? – zapytała siostra, wpatrując mu się w oczy.

Jego policzki oblały się szkarłatnym rumieńcem, mrużył powieki, udając, że razi go słońce, które po długiej nieobecności wróciło nad dolinę Kar.

– Nic, ja... Nic, ...mów.

– W tym śnie nie jesteś moim bratem – wyjaśniła. – Nie jesteś... nie jesteśmy spokrewnieni.

– Skąd to wiesz?

– Bo nie zachowujemy się jak rodzeństwo.

Zdumiony, oszołomiony i nawet nieco przestraszony tym wyznaniem, Alex nie wiedział co odpowiedzieć. – Co robimy w tych snach? – zapytał po chwili krępującego milczenia.

– Alex! Jenny! – krzyknęła nauczycielka z daleka. – Możecie z łaski swojej do nas dołączyć? Ten most was nie zje, nie ma się czego bać!

On prychnął zniecierpliwiony, ona westchnęła ciężko, po czym przyłączyli się do reszty kolegów i udawali, że pilnie uczestniczą w lekcji.

Żadne z nich nie było jednak tego dnia w stanie skupić się na szkole. Oboje rozpamiętywali sen, który nawiedzał ich ostatnimi czasy coraz częściej. Widzieli i przeżywali te same sceny. Ciężko było o tym mówić, ciężko było myśleć o sobie inaczej jak o bracie i siostrze. A jednak te uczucia, ta wewnętrzna burza, wszystko to nie miało nic wspólnego z życiem dwunastolatków, z ich pokrewieństwem.

Wszystko było tak przerażająco realne...

Mijały kolejne dni wypełnione milczeniem, półsłówkami, rozmowami duszonymi w zarodku. W końcu pewnego popołudnia rodzice Alexa i Jenny oznajmili, że muszą wybrać się do miasta i nie będzie ich przez kilka godzin. Do Sam-en przybył kupiec z Tor zainteresowany produktami rolnymi i chcieli się z nim spotkać. Dzieciom nakazano zostać w domu.

Alex zazwyczaj łamał tego rodzaju zalecenia. Kryty przez siostrę wymykał się z domu, przemykał na drugi koniec osady i przez okno dostawał się do pokoju Marca. Jednak nie tego dnia.

Siedzieli zamknięci każde w swoim pokoju przez niemal dwie godziny. Oboje rozmyślali nad właściwymi słowami, aby raz jeszcze rozpocząć tę samą rozmowę, której do tej pory nie udało im się dokończyć. Oboje obawiali się, że zostaną wyśmiani, wyszydzeni.

W końcu Jenny pod wpływem narastającego zniecierpliwienia wyszła z bezpiecznej kryjówki i zeszła do kuchni po szklankę wody. Alex, słysząc jej kroki na schodach, zebrał się w sobie i poszedł za nią. Kiedy nagle zobaczył ją przed sobą, stojącą w połowie biegu schodów poczuł dojmujące wrażenie, że już kiedyś przeżył podobną sytuację. Nie był w stanie wykrztusić słowa. Ona odwróciła się z zakłopotanym uśmiechem, ostatnie promienie słońca wpadające przez uchylone okno wydobyły z mroku jej profil.

– Zastanawiałam się... – powiedziała przeproszającym tonem, jakby chciała się usprawiedliwić. – Zastanawiałam się czy jest jeszcze ta herbatka ziołowa, którą przyniosła ciocia.

Alex uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Nie mogę znaleźć puszki.

– Jenny, nie wiem. Nawet nie zdążyłem jej spróbować.

– Ach... no tak.

– Coś nie tak? Wydajesz się być zmartwiona – Alex zbliżył się do niej.

- Ja? Co to za głupie pytanie?
- No... nie, ja tylko...
- Nie idziesz dzisiaj do Marca?

Odwróciła się do okna, krzyżując ręce na piersi i przygryzając nerwowo wargi.

- Nie – Alex znów wzruszył ramionami. – Dzisiaj nie. Nie mam ochoty.
- Dziwny jesteś ostatnio... – Jenny pokręciła lekko głową.
- A ty zmartwiona – odparł, nie patrząc na nią. – Od dawna. Od kiedy...
- Od kiedy nie potrafisz przestać wtykać nosa w nie swoje sprawy. Alex spojrzał na nią stanowczo.
- Dobrze wiesz, że to są też moje sprawy.

Jenny zeszywniała, próbując ukryć zakłopotanie. Wpatrywała się w brata, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów. W tym momencie, słońce schowało się za horyzontem, pomieszczenie utonęło w półmroku. Alex wciąż wpatrywał się w twarz siostry, w końcu westchnął i odwrócił się zniecierpliwiony.

– Powiedz mi co wiesz – powiedziała nieoczekiwanie, przerywając milczenie.

Alex zamarł w miejscu z ręką na balustradzie, stopą opartą na pierwszym schodku. Wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Wyczuwał, że jej serce tłucze się w piersi, a policzki oblewają ciepłym rumieńcem. Odwrócił się do Jenny ukrytej w półcieniu korytarza.

- Obawiam się, że miałem ten sam sen.

SIEDZIBA SYNAPTYKI, MARINA, GAJA

...gotowy do podania...

...przejmuje od dzisiaj...

...w odpowiednich folderach w archiwum, razem z najnowszymi danymi...

Alex z trudem otworzył oczy, jakieś głosy oddalały się od niego i wracały jak fale rozbijające się o klif, które morze zasysa z powrotem w głębinę tylko po to, by gruchnąć nimi po chwili z podwójną siłą. Nie był w stanie wychwycić sensu z fragmentów słów, które do niego docierały, ale przynajmniej był w stanie przypisać je twarzy, która majaczyła za grubą szybą oddzielającą pokój od korytarza. To była niska kobieta o krótkich, czarnych włosach ubrana w zielonkawy fartuch. Rozmawiała z kimś stojącym za kolumną, kogo nie było widać. Alex, leżący nieruchomo, spróbował unieść głowę, ale natychmiast przeszył go kłujący ból u nasady szyi.

– Jenny – wychrypiał z wysiłkiem.

Zakaszłał, czując, jakby ktoś kopnął go w mostek. – Tu jestem – odpowiedział mu damski głos.

Ten głos był z nim całe życie, może przez milion różnych żyć. Ten delikatny tembr, kruchy jak ich cała egzystencja. Głos, który towarzyszył mu w podróży przez czas i przestrzeń, towarzyszył mu na scenie podczas ostatniego aktu i był wśród obsady nowej komedii.

– Ciągle... pokój... zastryk... – próbował wyartykułować Alex, ale ból mięśni karku i ogólne wrażenie odrętwienia i dezorientacji sprawiały, że wyrzucał z siebie tylko bełkotliwe wyrazy bez związku i logiki.

– Jestem tutaj – powtórzyła Jenny.

Nie widzieli się nawzajem, ale rozpoznawali salę szpitalną, w której się znajdowali, znajome pęknięcia na suficie nad ich głowami. Nie byli jednak w stanie odwrócić wzroku, by na siebie spojrzeć. Stracili władzę w górnych częściach ciała. Gdyby nawet mogli poruszyć rękami, nic by to nie dało, bo ich nadgarstki okalały szerokie, metalowe bransolety przykute do łóżka. Tak jak poprzednim razem. Jak za każdym razem. Jenny kiedyś zdołała dojrzeć swoje odbicie w lustrze.

Była w tej samej sali. Jej twarz, jej oczy... Co pozostało z dziewczyny, która zdobywała medal za medalem na zawodach pływackich w Australii? Co to było za życie? Co za jego marne ochłapy?

Jej odbicie wystarczyło, aby zdała sobie sprawę, że owa rzeczywistość była gorsza od śmierci. Zmarszczki i poszarzała skóra zdradzały stracony czas. Ile lat minęło? Dziesięć? Dwadzieścia? Zmęczone oczy miały jakiś nieobecny wyraz, wзираła z nich pustka nieuchwytnych, pogrzebanych wspomnień. Jedyne co była sobie w stanie przypomnieć to strzępy jakichś niepowiązanych ze sobą obrazów i doznań, prawdopodobnie na tyle silnych, że nie dało się ich wymazać. Molo. Dworzec. Ogród. I ten chłopak z blond czupryną i niepokornym spojrzeniem oczu błękitnych jak ocean w słoneczny dzień.

„Ile mam lat...”

To była jej pierwsza myśl, kiedy rozpoznała w lustrze swoją twarz. Twarz wystraszoną i bezsilną, usta otwarte w niemym przerażeniu. Spojrzała na pielęgniarza, który po nią przyszedł i ujrzała w jego obliczu młodość, którą jej odebrano. Gdy chłopak popchnął wózek, na którym ją posadził, zaczęła szukać wzrokiem Alexa. Jego łóżko było puste. Potem korytarz, kolejna sala i kolejna igła. Kolejna dawka. Cykl się zamyka. Ponownie.

– Jestem tu... – powtórzyła kolejny raz Jenny, słysząc bełkotliwy głos Alexa z drugiego końca pokoju.

W przeciwieństwie do niego, ona wybudziła się już kilka godzin wcześniej i dokładnie słyszała całą rozmowę prowadzoną na korytarzu. „Inhibitor jest gotowy do podania, zgodnie z protokołem. Wiedz, że pojawi się tu doktor Anna, to ona przejmuje od dzisiaj projekt. Karty informacyjne są w odpowiednich folderach w archiwum, razem z najnowszymi danymi z ostatniego podania”.

Tym się stali.

Królikami doświadczalnymi. Obiektem badań. Materiałem medycznym.

Od osiemnastu lat Alex i Jenny żyli w budynku Synaptiki. Nie byli niczym więcej niż plikiem kartek dotyczących jakiejś dawno zapomnianej historii, świadectwem wymarłej cywilizacji.

Jenny znowu próbowała się podnieść, na próżno. Jej kostki i nadgarstki były przykute do łóżka. Wtedy przypomniła sobie test. Ostatni z długiej serii, której początek zacierał się w pamięci. Próba, jakiej zostali poddani na godzinę lub dwie przed podaniem zastrzyku na dwunastym piętrze.

Ogród. Łód. Klatka.

– Jaki to ma sens? – szepnęła, wpatrując się w sufit.

– Co? – zapytał Alex wciąż jeszcze nieco oszołomiony, z pół-przymkniętymi powiekami.

– To, co nam kazali zrobić ostatnim razem. Pamiętasz?

– T–tak. Pa... pamiętam.

Tamtego ranka mężczyzna szczelnie ubrany w biały, ochronny kombinezon poprowadził ich do ogrodu urządzonego na szóstym piętrze budynku Synaptiki. To był sztuczny twór, syntetyczna wersja ogrodu botanicznego, nieprawdziwa jak wszystkie środowiska, w których dotąd ich przetrzymywano jak zwierzęta na obserwacji. Badali ich reakcje, zachowania. Weryfikowali czy ich nadnaturalne zdolności mogą mieć wpływ na materię.

Zamknięto ich w gigantycznej lodowej klatce, z której mogliby uciec tylko gdyby kraty nagle się roztopiły. Chcieli sprawdzić czy ich umysły są do tego zdolne, w tej jednej z niezliczonych chwil, kiedy aktywność ich neuronów nie była blokowana inhibitorami. Eksperyment dał negatywny wynik i medycy byli zmuszeni wyciągnąć ich z lodowej klatki, zanim wpadną w hipotermię.

Przez te osiemnaście lat przeprowadzili niezliczoną ilość tego typu eksperymentów. Czasem podstawiali im nawet figurantów z krwi i kości, których zadaniem była ocena jak daleko była w stanie posunąć się ich kontrola. Przez resztę czasu ich umysły były uspijone przez Neurex, lek o właściwościach blokujących aktywność synaptyczną, który został wybrany na samym początku jako kluczowy składnik terapii mającej na celu stłumienie ich umiejętności manipulacji umysłowej. Uważano, że bez podawania owego leku byłiby w stanie wpłynąć na zachowania pracowników placówki co w rezultacie doprowadziłoby do ich uciezki.

Jednak nic takiego do tej pory się nie wydarzyło a badania trwały już nazbyt długo nie przynosząc żadnych rozstrzygających rezultatów. Dlatego podjęto decyzję o oddelegowaniu do tego zadania specjalisty w dziedzinie mnemoniki, doktor Annie. Niedługo mieli ją poznać.

– Wciąż czuję zimno tamtego... miejsca – wyszeptał Alex, otwierając szeroko oczy.

– Klatki?

– Tak, Jenny, czuje je w kościach. Czy my już wcześniej nie zrobiliśmy czegoś podobnego? – Chyba tak... Może nawet więcej niż raz. Mam mętlik w głowie. Jak zamknę oczy, mam wrażenie, że wciąż jestem w klatce. Głos lekarza, który wszedł do sali przerwał ich rozmowę. Kiedy Jenny i Alex byli więzieni na kolejne podanie leku, Anna próbowała dojść do siebie po utracie przytomności w swoim gabinecie na drugim piętrze. Jej droga znowu zaczęła się rozszczepiać. Postanowiła położyć kres mentalnym podróżom, kiedy wyszła za Sleva w równoległej rzeczywistości. Teraz znowu stała się niewolnicą swojego bezcennego daru. W jednym miejscu rozmyślała o aptece i witała męża, czytając mu nową rymowankę, w innym właśnie wychodziła ze swego gabinetu, kierując się na dwunaste piętro. To tam, gdzie według prezentacji na interaktywnej tabliczce, Alex i Jenny od osiemnastu lat żyli niczym laboratoryjne szczury.

SAM-EN-KAR, ROK 390 K.S.

– Żartujesz? Znowu? – w głosie Alexa brzmiało zaskoczenie podszyte rozczarowaniem.

– Musze to zrobić – odparł Marco, podnosząc z ziemi niewielki kamyk, którym następnie cisnął w powietrze. Ten poszybował daleko, obracając się wokół własnej osi aż wreszcie wpadł do rzeki, wzbudzając kosiście rozchodzące się fale.

– Boję się, że twoi rodzice nie przyjmą tego tak dobrze, jak poprzednim razem. Alex też podniósł kamień z ziemi i spróbował rzucić nim jeszcze dalej. Śledząc wzrokiem trajektorię jego lotu, poczuł na twarzy palące promienie południowego słońca wiszącego nad doliną. Obaj chłopcy byli lekko ubrani tego poranka, w koszulki bez rękawów, jeansy ucięte na wysokości kolan, sandały. Wokół nich rozciągały się rozkosznie zielone łąki opasujące Kar, w trawie sennie brzęczały świerszcze.

– Słuchaj, miałeś jeszcze te... dziwne sny?

– Jakie sny?

– Te, o których mi opowiadałeś jakiś czas temu. Więcej o nich nie wspomniałeś. Alex przecesał palcami trawę, zastanawiając się nad pytaniem przyjaciela. Potem podniósł kamień, który okazał się za ciężki, więc go odłożył. Jego umysł w jednej chwili przeniósł się do pokoju Marca tamtego dnia, dwa lata wcześniej, kiedy opowiedział mu o konfrontacji z siostrą spowodowanej tymi absurdalnymi snami. Słowa, które potem padły z ust przyjaciela, wyryły się dokładnie w jego pamięci. Te sny, które masz... macie, te wizje, uczucia. Mój dziennik jest ich pełen. Nie pytaj czemu nie mieliście do tej pory doświadczeń podobnych do moich, ho nie wiem. Dowiem się jednak, ho musi być jakiś tego powód. W każdym razie, mnie przytrafia się to, od kiedy sięgam pamięcią. To nie są sny, Alex. To wspomnienia.

– Masz na myśli to z moją siostrą – Alex przetarł oczy. – Już się nie powtórzyło.

– Jej też nie?

– Z tego co wiem, to nie. Pamiętam tylko, że przez to wszystko nie rozmawialiśmy ze sobą przez kilka tygodni. To była bardzo krępująca sprawa...

– Wiem.

Alex podniósł się nagle, oparł ręce na biodrach i rozejrzał się wokoło.

– Mieliśmy szczęście, że urodziliśmy się właśnie w tym miejscu. To jest świetne miejsce. No co, nie jest? A ty znowu chcesz stąd uciekać.

– Ale my nie urodziliśmy się w tym miejscu, Alex. Słowa Marca przeniosły go znowu do tamtego pokoju. Wczesno popołudniowe słońce sączy się przez okiennice, padając na łóżko przykryte grubą, brązową narzutą.

– Wiem od dawna i nie ma co do tego wątpliwości. Zostałem adoptowany. Ty i Jenny też...

– Daj spokój, to niemożliwe...

– Mam dowody. Kiedy trzy lata temu byłem w Garen... pamiętasz?

– Twoją ucieczkę? Jak mógłbym zapomnieć!

– Dotarłem do Centrum Solidarności. Słyszałeś o tym kiedyś?

– Gdzieś przelotnie... Ale to absurd. Moja mama... mój tata... nie mogliby czegoś takiego zrobić.

– Posłuchaj mnie. Kiedy byłem w Centrum, prześlizgnąłem się do archiwum i przejrzałem rejestry. Zostaliśmy adoptowani w 376 roku. Kilka dni później udało mi się nawet porozmawiać z jedne wolontariuszką. Wymyśliłem jakąś historyjkę, w którą uwierzyła. Dowiedziałem się, że widziano rudowłose kobietę, która zostawiła pod drzwiami trzy kołyski i uciekła.

– To brzmi jak wariactwo, mam nadzieję, że się mylisz.

– Ja wiem kim jest ta kobieta, Alex. Widuję ja w moich snach. Opisuję w moim dzienniku. Wiem, co dla nas zrobiła.

– Słuchasz mnie, Alex? – Marco uniósł brwi zniecierpliwiony. – Urodziliśmy się w Garen. Wiem, że trudno ci to zaakceptować, ale jestem tego pewien.

– Już mi to opowiadałeś.

Przyjaciel otaksował go wzrokiem, marszcząc czoło.

– Rzuć kamieniem, Alex.

– Co?

– Wrzuć kamień do wody.

Alex wzruszył ramionami. Przyklęknął i zgarnął garść kamyczków, wybrał jeden o płaskim kształcie, idealnie nadający się do jego sztuczki. Wziął go między kciuk a środkowy palec, aby wskazującym wykonać decydujące popchnięcie. Wreszcie rzucił, a kamyczek odbił się od powierzchni wody sześć razy, zanim w końcu utonął. – Super! – krzyknął. – Widziałeś?

Marco machnął na niego ręką, żeby obok niego usiadł. Mrużył oczy przed oślepiającym słońcem, czekając aż Alex ułoży się wygodnie na kamieniu, który wybrali na stanowisko do zawodów w puszczaniu kaczek.

– Nie wiem jeszcze jak, ale pewnego dnia odkryję, kim teraz tak naprawdę jesteśmy.

– Po co kazałeś mi rzucić kamieniem? Marco uśmiechnął się i spojrzał mu w oczy.

– Spójrz na efekty twojego rzutu. Spójrz na wodę. Alex obrócił głowę i przyjrzał się okręgom, które rozchodziły się po powierzchni rzeki. Wyglądały jak sześć wciąż powiększających się tarcz strzeleckich podobnych do tych, których sam używał w czasie treningów z łukiem. Z niewielkiego epicentrum rozchodziły się coraz to nowe pierścienie, które rosły dopóki nie spotkały się z tymi sąsiednimi.

– Co niby miałbym zobaczyć?

– Nasze życie.

Alex znów zapatrzył się na rzekę. Potem fale powoli znikły i toń znowu się wygładziła.

– Marco, jesteś moim najlepszym przyjacielem, wiesz, że cię uwielbiam. Zawsze wierzyłem we wszystkie twoje opowieści. Ale czasem... czasem mi trudno. Jakbyś mówił jakimś innym językiem. Masz niesamowitą głowę, naprawdę nieprzeciętną, ale... musisz mi pomóc zrozumieć o co ci chodzi, bo czasem kompletnie cię nie rozumiem i zaczynam się bać.

– Ile razy siedziałem tu na tej skale, sam. Ile razy... – Marco uniósł wzrok i wbił go w jakiś nieokreślony punkt wśród gór mających na horyzoncie. Za nimi wznosiła się stolica Regionu Sam-en, miasto Garen.

– No przecież wiem. Ciągłe się izolujesz, żeby sobie pisać, czytać czy... rozmyślać. Czasem się zastanawiam, czemu się ze mną przyjaźnisz. Ale się przyjaźnisz. Chciałbym tylko, żebyś się czasem trochę wyluzował, zabawił – na twarzy Alexa malowało się współczucie. – To miejsce jest zachwycające – odpowiedział Marco. – Masz rację, mieliśmy szczęście. Po drugiej stronie nie poszło nam tak dobrze.

– Po drugiej stronie gór?

– Eh, nie. Po drugiej stronie gór, w Garen, w Tor, w Regionie Jezior... tam wszędzie dobrze się żyje. No może tylko trochę ciaśniej. Kto nas tu sprowadził, wiedział, co robił. To miejsce idealne. Czy byśmy żyli na wsi czy w mieście, nie miałoby to żadnego znaczenia.

– To o czym ty mówisz w takim razie? Po drugiej stronie nie poszło tak dobrze? Po drugiej stronie czego?

– Po drugiej stronie nas, Alex. Kręgi zdążyły zniknąć z powierzchni wody. Ale ile ich było? Pięć? Sześć? Jeden kamień, a potencjalnie nieskończenie wiele żyć, urodzin, rozwoju, wreszcie końców. Kiedyś wspomniałem ci o kobiecie, która przyniosła nas do Centrum Solidarności. Nie uwierzyłeś mi i może musi minąć jeszcze trochę czasu.

– Taaa...

– Ja wiem, co ona zrobiła, żeby nam pomóc i jestem tej wiedzy pewny. Ja to widziałem. Ponieważ to ja sam zleciłem jej to zadanie. Po drugiej stronie.

– Chyba robi się późno, brachu – Alex podniósł się z ziemi i otrzepał spodnie z trawy. – Jesteś pewny, że chcesz znowu wyruszyć?

– Jestem – odpowiedział i uściskał przyjaciela. – Kiedy będziesz sam i będziesz czekał na mój powrót, przyjdź tu czasem posiedzieć. Odetchnij głęboko, poczuj zapach traw, pomyśl o czternastu latach, które przeżyłeś w tym szczęśliwym i bezpiecznym zakątku... i puść kilka kaczek. Potem posłuchaj mnie i podnieś to wszystko do nieskończoności. Alex spróbował się roześmiać, udając, że rozumiał te słowa, ale z jego ust wydostał się jakiś fałszywy chichot, za którym nie zdołał ukryć zdenerwowania. Przemyślenia Marca były jak tablica pełna skomplikowanych wzorów, których znaczenia nie był w stanie pojąć. Czuł szczerą przyjaźń, ale nie umiał nadążyć za jego pogmatwanym tokiem rozumowania, którym ten często go raczył. Ale kochał go szczerze i nie było wątpliwości, że będzie wyczekiwał jego powrotu.

– Jaki masz plan? – zapytał.

– Odnajdę tę kobietę – odparł Marco twardo. – Znajdę ją. Musi tam gdzieś być. Wtedy udowodnię ci, że to co widzisz dookoła, to tylko jeden z okręgów na wodzie. Jedna z nieskończenie wielu orbit naszego życia.

SAM-EN-KAR, ROK 390 K.S.

Dwa dni po tym, jak zwierzył się Alexowi ze swoich zamiarów, Marco spakował trochę ubrań i zapasów, po czym wyruszył w drogę. Jego przyjaciel miał rację, rodzice nie przyjęliby tego pomysłu dobrze. Kiedy w wieku dziewięciu lat zdecydował się uciec z domu, po jego powrocie powitano go ze łzami szczęścia i niedowierzania, że odnalazł się cały i zdrowy. Tym razem, mógł się założyć, reakcja byłaby zupełnie inna. Zanim podjął wędrówkę do Garen, zdecydował się wstąpić do oberży pani Doro. To tam stary Meuron zwykł był spędzać popołudnia między jednym a drugim kieliszkiem trunku zwanego ligala, wytwarzanego przez rodzinę Doro, niedostępnego dla dzieci w wieku Marca, prowadząc długie dysputy filozoficzne z samym sobą. Oprócz Marca, Meuron uważał własną osobę za swego najbardziej interesującego rozmówcę. Miał prawie siedemdziesiąt lat, był kompletnie łysy, jego skórą do uśmiechu twarz znaczyła gęsta siatka zmarszczek, które były według niego spowodowane zbyt częstym rozmyślaniem. Był dla Marca niczym dziadek. Ten prawdziwy, czy raczej adopcyjny, był niestrudżonym farmerem, człowiekiem ziemi i ziemia była jedynym tematem, który go interesował. Marco przeszedł przez miasteczko z tobołkiem na ramieniu. Słońce powoli chowało się za górami i zaczęto zapalać latarnie wzdłuż ulicy pełnej sklepowych witryn. Kar był osadą zbudowaną głównie z drewna, choć w ostatnich latach w centrum pojawiło się kilka kamiennych budynków. Stare drewniane sklepiki często trawiły pożary. Marco pamiętał, że kiedy kilka lat wcześniej kluczył po ulicach Garen, domy i sklepy wielkiego miasta za górami były wszystkie zbudowane z kamienia. Według Meurona w Kar panowała konserwatywna chęć zachowania lokalnych tradycji wbrew ewidentnemu postępowi, któremu hołdowali sąsiedzi zza gór. Uratować Historię. Bardzo leżało mu to na sercu. „Budują i budują i codziennie bardziej zapominają o swoich korzeniach” – mawiał starszek. Obok wejścia, nad którym wisiał szyld OBERŻA DORO stał powóz. Marco ukrył za nim swój tobołek. Pani Doro dobrze знаła jego rodziców, bagaż na ramieniu z pewnością wzbudziłby jej podejrzenia. Marco nie miał pewności, ale prawdopodobnie właścicielka oberży szła na czele grupy uzbrojonej w pochodnie, która pięć lat wcześniej przeczesywała miasteczko w poszukiwaniu dziewięciolatka, który zniknął bez śladu ze swojego domu. Zajrzał przez okno do

środku lokalu. Kilka stołów postawiono w przypadkowym porządku niedaleko baru, na ścianach wisały proporczyki i wypchane głowy zwierząt. Tylko jeden stół był zajęty, ten co zawsze w rogu sali. Meuron dbał bowiem o tradycję.

– Och, jednak nie zapomniałeś o swoim bezwłosym przyjacielu... – wychrypiął staruszek, podnosząc wzrok znad stołu, na którym stał kieliszek i karafka wypełniona ligalą.

– Meuron... co słyszeć? Wybacz, ostatnio... – Marco precyzyjnie się między krzesłami i usiadł obok mężczyzny. Za barem nie było żywej duszy, o tej porze pani Doro załatwiała sprawunki, wykorzystując fakt, że wtedy oberża prawie zawsze świeciła pustkami.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał, nalewając sobie kolejny kieliszek.

– O czym ty mówisz?

– Masz to wypisane na czole. No już, nie bujaj. Gdzie się wybierasz?

– Kiedyś musisz mi zdradzić, jak ty to robisz...

– Co robisz?

– Czytasz mi w myślach!

– Marco, Marco... – wślizgnął się tu, rozglądając się ukradkiem na boki, jest pora kolacji, a ty nie jesteś w domu z rodziną, a na dodatek zostawiłeś na zewnątrz jakiś tobół, chowając go za powozem.

– Skąd wiesz?

– Nie jestem jasnowidzem – uśmiechnął się Meuron. – Stałem przy tamtym oknie, kiedy nadszedłeś. Zresztą radziłbym ci to tutaj przynieść, zanim ten koń skończy swój owies i zabierze się za twoją torbę.

– Niech cię szlag, Meuron... – Marco odwzajemnił uśmiech i wyszedł po pakunek.

– Pani Doro nie ma? – upewnił się, kiedy wrócił.

– Skoro zdecydowałeś się tu wejść przed uciezką, to chyba już wiedziałeś, że jej nie ma. Od dawna o tej porze, tylko ja pilnuję lokalu, kiedy ona załatwia swoje sprawy. Rachunki, zamówienia, takie tam. Przed kolacją nikt tu nie zagląda, ruch zaczyna się dopiero w połowie wieczoru...

– Powinna ci płacić za dogłębne interesy.

– Uważasz, że wyłożyłem pieniądze na tę karafkę ligali? – Meuron zachichotał i pociągnął łyk. Marco uniósł brwi i westchnął, potem zapatrzył się przed siebie. W jego głowie nowa podróż zaczynała nabierać kształtów.

– No to dawaj, mów, gdzie się wybierasz – naciskał staruszek głosem ochryplym od likieru, choć oczy miał żywe, a umysł jasny.

– Do Garen.

– Znowu?

– Nie zaczynaj i ty...

– Hola, chłopcze. Nie mam zamiaru cię pouczać.

- To pocieszające.
- A właściwie, to jeśli chodzi o Garen...
- Co? – Marco wbił wzrok w karafkę, Meuron przypatrywał mu się z zaciekawieniem, pozwalając ciszy się przedłużyć.
- Masz może ochotę na ligalę? – zapytał, zanim podjął przerwany wątek.
- Mów dalej, jeśli chodzi o Garen...?
- Byłem tam jakiś czas temu i chciałem ci o czymś powiedzieć. Któregoś wieczoru znalazłem się w oberży podobnej do tej... no może trochę nowocześniejszej.
- Gdzie to było?
- Na południu. Ale to, co chciałem ci opowiedzieć to... miała tam miejsce pewna rozmowa natury filozoficznej... między mną a właścicielem...
- Dziwne – zakpił Marco, tłumiąc śmiech.
- Powinieneś porozmawiać z tym typem – twarz Meurona nagle się ściągnęła, dodając powagi dopiero co wypowiedzianym słowom. – Zostałem w tamtym lokalu aż do zamknięcia i oprócz degustacji trunku, który nazywają tam fraccato, cudny ekstrakt z winogron doprawiony ziołami rosnącymi w okolicach Tor... poznałem mężczyznę o niezwykłym umyśle. To, co najbardziej mnie uderzyło, to wrażenie, że rozmawiam z tobą.
- W jakim sensie? Co mówił?
- Nie chodzi o to, co mówił, tylko jak. Jesteście do siebie niezwykle podobni. Chodzi mi o sposób rozumowania.
- Jak się nazywał?
- Jastel, oberżę też nazwał od swego nazwiska. Nora u Jastela, Melina Jastela, coś takiego. Jest niewielka, ale znana w okolicy. Znajduje się kilka kroków od placu, na który co dziesięć dni zjeżdżają okoliczni kupcy na targ, z Kar też. Łatwo go znajdziesz. Nazywają go Okrągłym Targiem.
- W porządku. Pamiętaj, że mnie dzisiaj nie widziałeś.
- A, bo co? Rozmawiałem z kimś dzisiaj niby? Siedzę tu sobie spokojnie z moją ligalą i rozmyślam o problemach człowieczeństwa... kreślę w głowie epopeję o wojnach narodów... Marco się uśmiechnął. W jego oczach błyszczał entuzjazm, serce przepelniała wdzięczność do tego współnika, przyjaciela i powiernika, który zawsze był gotów go wysłuchać i pomóc.
- Podaj mi kieliszek, no dalej, spróbuję tego w końcu – zdecydował Marco. Jego podróż właśnie się rozpoczęła.

SIEDZIBA SYNAPITIKI, MARINA, GAJA.

Czekając na windę, Anna zapinała szary fartuch, ten kolor przypisano jej działowi badawczemu. W końcu drzwi się rozsunęły, a ona weszła do środka. Przycisnęła guzik oznaczony 12 na długiej metalowej tabliczce, zawierającej numery od 1 do 16. Zamknęła oczy, kiedy kabina sunęła w górę. Znała prawo na Gai. Wszystkie te reguły, o których myślała, że pożegnała się z nimi na zawsze. Ograniczone stosunki międzyludzkie, minimalna interakcja z innymi działami, egzystencja sprowadzona do mikroczipa wszczepionego pod skórę palca wskazującego. Narzędzie potrafiące przetłumaczyć każdy aspekt życia na cyfrowy profil, który zastąpił kamery w sprawowaniu kontroli nad społeczeństwem. To był kluczowy punkt programu politycznego nazwanego Dobrobytem, na który z braku jakiegokolwiek rozsądnej alternatywy i ona swego czasu zagłosowała. „Jakby ten głos miał jakieś znaczenie” – myślała, dokonując swego wyboru wiele lat wcześniej. Oto, co jej pozostało. Myśli. Możliwość schronienia się w jedynym wymiarze niedostępnym dla innych, zrobienia dobrego użytku ze swojego umysłu, zrozumienia natury miejsca, w którym się znalazła. Zawsze respektowała prawo, zresztą byłaby głupia, gdyby próbowała je złamać. W Gai kara groziła nawet za zbyt wylewne przywitanie kolegi z innego działu. „Poznają mnie? Po tylu latach...” – zastanawiała się, wpatrując się w ledową dziewiątkę nad drzwiami, gdy winda zatrzymała się, aby wpuścić do środka dwóch pracowników w pomarańczowych fartuchach. „Przecież tak naprawdę widzieli mnie tylko raz w życiu...” Przyjrzała się swojemu zniekształconemu odbiciu w metalowej ścianie windy. Srebrne nitki przeplatające rude włosy były ewidentnym znakiem czasu, który upłynął od dnia, w którym zawarła pakt z Ianem. Jednak choć miała już pięćdziesiąt lat, pozostała niezmiennie uparta i zdeterminowana. „Muszą mi zaufać” – pomyślała, a obok dwóch kolegów rozmawiało ze sobą, nie zaszczyciwszy jej choćby spojrzeniem. Anna milczała zdecydowana wykonać swoje zadanie bez zadawania zbędnych pytań, nie mogła sobie pozwolić na ryzyko wzbudzenia czyichś podejrzeń.

– Widziałem na karcie dnia, że dzisiaj wcześniej kończysz – powiedział pierwszy mężczyzna, gdy winda zatrzymała się wreszcie na dwunastym piętrze. – Potwierdzasz?

– Tak jest. Dostałem specjalne pozwolenie. Dziś wieczorem moje dzieci

wracają z wizyty krajoznawczej po Iander, statek przybije do portu za dwie godziny. – Głos drugiego mężczyzny cichł za plecami Anny, gdy ta wyszła na korytarz i oddalała się bez słowa pożegnania, jak to było w zwyczaju na Gai. Jedną część niej samej nie wyczuwała niczego niestosownego w dopiero co zasłyszanej rozmowie. Ta, która przez te wszystkie lata żyła na Gai, podczas gdy jedno z jej licznych alter ego przebywało gdzie indziej, w Garen u boku Sleva. Anna z Sam-en starała się to ignorować, ale umysł podpowiadał jej, że było to coś dziwnego i podejrzanego. Zastanawiała się nad tym, przemierzając korytarz prowadzący do pokoju numer 129, który był według interaktywnej tabliczki salą Alexa i Jenny. Kontynenty Gai i Wschodu były od dziesięcioleci w stanie zimnej wojny, choć niektóre kontakty handlowe były utrzymywane w tajemnicy przed społeczeństwem. A Lender, pamiętała to dobrze, było najludniejszym miastem Wschodu, kontynentu, który na starych mapach, o których opowiadał jej Ian, był nazywany Azją. Reżim polityczny narzucił tam angielski, jako język urzędowy, podobnie jak na Gai nakazano używania włoskiego. Jak to możliwe, że dzieci obywatela Mariny odwiedziły Lender, a ich ojciec opowiadał o tym, jakby chodziło o wakacyjny pobyt? Anna dotarła do drzwi sali numer 129. Odetchnęła, zdając sobie sprawę, że przez ostatnie osiemnaście lat musiało wydarzyć się coś ważnego. Jednak pomimo, że do tej pory zachowywała rygorystyczną autodyscyplinę, nie pozwalając sobie na okazanie choćby cienia emocji przed nieznanymi pracownikami Synaptiki, to teraz zatrzymując się przed szybą ukazującą wnętrze sali numer 129, zamarła jak zaczarowana. W końcu drgnęła i nieśmiało zbliżyła się do okna. Niedowierzanie mieszało się na jej twarzy z radością. Jakby jakaś częśćka niej nigdy nie straciła nadziei. Jakby w tej równoległej rzeczywistości, którą uznała za pogrzebaną w przeszłości, nawoływała samą siebie. Przez chwilę pomyślała, że jej alternatywna wersja z Gai musiała przeczytać informację wysłaną do laboratorium, zrozumieć, że wydarzyło się coś ważnego i skontaktować z Anną z Sam-en, aby odbudować most zanim stanie przed nowymi kolegami z Synaptiki. Za tą szybą, ciała Alexa i Jenny leżały spokojnie w swoich łóżkach, jedno naprzeciw drugiego, skąpane w mdłym świetle sączącym się przez okno. To byli oni. Osiemnaście lat później. Ich ciała były nieruchome, prawdopodobnie uspiono ich jakimś lekiem, oczy zamknięte, rysy twarzy tak dalekie od nastoletniej młodości, z której ich odarto. Ale byli żywi. Anna stała nieruchomo, obserwując tę scenę przez dłuższą chwilę. Jej ręce zwisały wzdłuż boków, twarz zdawała się niczego nie wyrażać. Jednak uważny obserwator zauważyłby cieniutki woal wzruszenia, prawie nieuchwytny, który zasnuł jej oczy. Ciała tej dwójki, wciąż żywe po tylu latach od tego, co do tej pory wydawało jej się brutalną egzekucją, uosabiały coś bardzo ważnego. Nadzieję. Z tą nadzieją wiązała się inna wątpliwa możliwość, że również Ian został oszczędzony. Anna spuściła wzrok i podeszła do drzwi. Kątem oka sprawdziła czy jej zachowanie nie zwróciło niczyjej uwagi.

Wzięła kolejny głęboki oddech, poprawiła kołnierzyk fartucha i położyła prawą dłoń na klamce. Kiedy tylko przekroczyła próg nabrała pewności, że nie wróciła do Gai przypadkowo. To nie był pech ani szczęśliwy traf. Ogarnęło ją absolutne przekonanie, że znalazła się dokładnie w tym miejscu, w którym powinna teraz być, że odpowiedziała na wezwanie. Przyjęła misję, która właśnie się rozpoczęła. Wróciła do punktu wyjścia. Poczowała dreszcz przepływający przez jej ciało i penetrujący umysł niczym piorun przeszywający niebo. Zrozumiała, że most między dwoma światami został przerzucony. A przyszłość czekała, aby ją napisać.

Sam–en–Garen, rok 390 K.S.

Pora Słońca, dzień 179.

Jestem w podróży już od piętnastu dni.

Kiedy w końcu dotarłem do Garen, podeszwy moich butów były kompletnie zdarte. Musiałem ukraść nową parę. Znałem już ścieżkę wiodącą przez góry, więc udało mi się pokonać tę drogę dużo szybciej niż pięć lat temu, ale podróż i tak odcisnęła na mnie swoje piętno. Całe szczęście, że Meuron podarował mi butelkę ligali. Czemu nie chcą sprzedawać jej młodym? Jest przerażająco wyborna, powinienem był spróbować wcześniej! Wysoka zawartość alkoholu czyni ten napój idealnym dla śmiałków samotnie podróżujących przez lodowate górskie przełęcze. Kto wie, czy i w Garen trudnią się produkcją tego boskiego eliksiru. Nie pamiętam jak nazywał się napitek, o którym wspominał staruszek. Traccato, Fraccato... Nieważne. Niedługo się dowiem. Spędziłem moją pierwszą noc w pobliżu Wielkiej Biblioteki Sam–en–Gar. Na szczęście tu na nizinach nie nadeszły jeszcze prawdziwe chłody. Niedługo jednak Pora Słońca dobiegnie końca i wejdziemy w rok 391 Kalendarza Sam–en. Za jakieś czterdzieści dni ciepło będzie tylko dalekim wspomnieniem, ale wtedy powinienem być już z powrotem w domu. Nie wiem, gdzie będę spał tej nocy, ale wiem dokąd zmierzam. Piszę tych kilka słów siedząc na ziemi pod arkadami na placu wskazanym przez Meurona, Okrągłym Targu. W okolicy powinien być lokal, o którym wspominał staruszek. Wczoraj w nocy miałem znowu jeden z tych snów... Wirywałem z rąk jakiegoś mężczyzny kartkę z listą nazwisk. We śnie wiedziałem, że mężczyzna był moim ojcem. Moim prawdziwym ojcem. Otoczenie było jednak dziwne, znajdowałem się przy drodze biegnącej wzdłuż morza. Stał tam drewniany stół podobny do tego, który mamy w Kar, siedział przy nim ów mężczyzna. Lało jak z cebra, ale kiedy podnosiłem wzrok widziałem słońce. To pewnie jakieś zniekształcone wspomnienie. Będę musiał to przemyśleć. Teraz jednak ruszam w dalszą drogę, już czas. Marco zamknął dziennik, schował go w tobołku razem z tępym ołówkiem i podniósł się z ziemi. Był późny ranek, kilka minut wcześniej zerwał się uporczywy wiatr, niebo pociemniało, a słońce schowało się za chmurami. Rozległy plac był całkiem pusty, ale gdzieniegdzie wisiały tablice informujące o dacie następnego dnia targowego. Miał się odbyć za jakieś dziesięć dni. Marco rozejrzał się wokoło. Do placu

otoczonego arkadami dochodziły z czterech stron szerokie aleje. Na samym jego środku stała fontanna ze statua. Marco nie wiedział kim był rzeźbiony bohater i nawet go to nie interesowało, ale podziwiał kunszt artysty, który zdołał oddać siłę i waleczność swojego modelu dzierżącego włócznię w umięśnionej ręce. Jego szaty wyglądały jakby naprawdę trzepotały na wietrze. Stał nieruchomo kilka minut obserwując mieszkańców Garen, którzy w przeciwieństwie do jego rodaków byli niezwykle zadbani i eleganccy. Kobieta w kapeluszu finezyjnie przystrojonym kwiatami pchała przed sobą wózek. Kilku mężczyzn, pewnie kolegów z pracy, przeszło obok niego w nieskazitelnych ciemnozielonych uniformach jakie przysługiwały osobom wykonującym ważne zadania na pobliskiej stacji. Widział już ową stację, znajdowała się niedaleko Wielkiej Biblioteki Sam-en-Garen. Przecierał oczy przed majestatycznym wejściem o łukowym sklepieniu, ze zdziwieniem przyglądał się długim kolejkom do kas biletowych. Pod ogromnym wrażeniem elektryzującej aury tego miejsca pełnego powitań i pożegnań, rozstań i spotkań, przez dobre pół godziny kontemplował nowiuteńkie Lokomotory z Gerber, kolejową dumę ziemi Steir. Były naprawdę imponujące, tak długie, że nie można było dostrzec ich końca. Lśniące w słońcu okna wyglądały jak łuski ogromnego węża, nieruchomego i milczącego. Marco dostrzegł zbliżającego się spokojnym krokiem młodzieńca, mógł być najwyżej dwa razy starszy od niego i miał miłą twarz, więc chłopiec zebrał się na odwagę i go zatrzymał.

– Przepraszam pana, mam pytanie... Czy wie pan gdzie znajdę tawernę Jastela?

Młody mężczyzna wzruszył ramionami, pokręcił przecząco głową i ruszył w swoją stronę. Marco podszedł do wylotu jednej z czterech alei i zdecydował się wejść do sklepu znajdującego się pod arkadami. Widząc kosze pełne owoców pomyślał o Kar, w którym uprawa ziemi była od zawsze uważana za świętą sztukę.

– Przepraszam, Tawerna Jastela, wiecie gdzie to...? – zapytał.

– Po drugiej stronie placu – odpowiedziała kobieta, taksując go ciekawskim spojrzeniem. – Przy Nowej Drodze, jakieś sto kroków stąd.

– Dziękuję – odrzekł i wyszedł.

Ruszył w kierunku wskazanym przez handlarkę. Trzy powozy zaprzężone w czarne konie przemknęły mu przed nosem, gdy skręcał w Nową Drogę, która była szeroką aleją zabudowaną kamiennymi gmachami. Nie musiał liczyć kroków, drewniany szyld z wyciętym napisem DZIUPLA JASTELA wisiał na fasadzie jednej z kamienic, dobrze widoczny nawet z daleka. Atmosfera panująca w Garen nie zmieniła się od czasu jego poprzedniej podróży. Życie tętniło na tłocznych uliczkach. Marco podziwiał zamyślenie do postępu wśród tego ludu, choć ceniał też tradycjonalizm oparty na starych wartościach i cnotach, któremu hołdowano w Kar. Jednak Kar nie miał nowoczesnej stacji. Domy były drewniane. Ludzie nie zwykli się stroić.

Kiedy Marco wszedł do tawerny, w środku było sporo klientów. Wbrew temu, co mogła sugerować nazwa, lokal był przestronny i dobrze wyposażony, znalazłoby się w nim miejsce dla setek ludzi. Wystrój przypominał ten z baru pani Doro, wypchane głowy zwierząt zdobiące ściany, obok toporki, lance i skrzyżowane strzelby. Kolekcja herbów, które wedle wiedzy Marca, reprezentowały lokalne rody ścierające się co roku w turnieju zwanym Rundą Garen. Głównym powodem, dla którego Dziupla Jastela była tego ranka wypełniona po brzegi, był właśnie ów turniej. Mężczyźni i kobiety siedzieli wokół stołów uginających się pod ciężarem karafek i drewnianych desek z grillowanym mięsiwem. Rozprawiali z ożywieniem o jakimś punkcie regulaminu, który najwyraźniej został niedawno zmieniony. Marco przecisnął się między stołami i dotarł do baru. Przywitał go mężczyzna koło sześćdziesiątki. Był średniego wzrostu, szpakowaty, miał szerokie czoło, długie bokobrody i duże, orzechowe oczy. Uśmiechnął się do niego szeroko, ale szybko zachnął się z zakłopotaniem.

– Hej, chłopcze nie powinieneś być o tej godzinie w szkole?

– Tak... proszę pana. Powinienem, aleja chodzę do szkoły w Kar. Jestem z Kar.

– Aha. W takim razie czemu nie jesteś teraz w Kar?

– Proszę się nie martwić, jestem tu z rodziną... Moi rodzice poszli omówić sprawę, które mnie nie dotyczą. Przynajmniej oni tak mówią. Chyba chodzi o sprzedaż, jakiś dzień targowy, coś takiego...

– Ach! Trzeba było mówić tak od razu, twoi rodzice są handlarzami. Pewnie organizują się z innymi kupcami na następny Okrągły Targ...

– A właśnie, pewnie tak... coś w tym stylu. Przepraszam, że pytam, ale czy to pan jest... Jastel?

– Jak najbardziej – zagrzemiał mężczyzna, przenosząc pełen satysfakcji wzrok na salę. – Za tym barem możesz znaleźć tylko mnie. Zatrudniam co prawda kilku kucharzy... No i parę kelnerów, ale bar to moje królestwo. Bo widzisz, to ja stworzyłem to miejsce, prowadzę je od wielu lat. Zupełnie sam! A wiesz jakie jest moje motto?

– Jakie?

– Znam tylko jedną osobę, która jest w stanie zapewnić mi wolność. To osoba, która codziennie rano uśmiecha się do mnie przyjaźnie z lustra! Marco wpatrywał się w twarz właściciela lokalu, który jednak nie zwracał na niego większej uwagi i zabrał się do wycierania kieliszków. Chłopcu natomiast z wrażenia zabrakło słów. A wrażenie to było tak silne, jak i niewytłumaczalne. Jego nogi zrobiły się jak z waty, czuł, że jeśli nie przytrzyma się blatu to upadnie na podłogę. Starał się uspokoić i głęboko oddychać. Czyżby miał zemdleć? Czy to efekt ligali? Może to z tego powodu nie sprzedawali jej młodzieży. Jastel wyjął spod baru butelkę, na jej etykietce widniał napis FRACCATO – DOMOWEJ

PRODUKCJI. Nalał trunku dwóm mężczyznom o spoconych czołach i fioletowych policzkach. Podczas gdy tych dwóch wznosiło toasty, bełkocząc coś niezrozumiałego, Marco nareszcie odzyskał kontrolę nad swoim ciałem. Rozejrzał się podejrzliwie wokoło. Podniesione głosy klientów odbijały się ze zwielokrotnionym echem w jego głowie. Po chwili nie był już w stanie dłużej wytrzymać w tym lokalu. Hałaśliwe chóry krzyków przerywanych co jakiś czas wybuchami śmiechu drażniły go jak szpilki wbijane w skronie. Raz za razem, bez przerwy. „Od początku istnienia Rundy Garen, ta reguła była uważana za świętą! Jaki sens teraz ją zmieniać?”

– Starczy – Marco zarzucił tobolek na plecy i wybiegł z Dziupli Jastela, nie oglądając się za siebie.

Tego popołudnia, po wyjściu z lokalu, Marco skierował się na północny wschód w stronę Centrum Solidarności. Już tam kiedyś był i dobrze pamiętał drogę. Przemykał się po wąskich uliczkach i rozległych placach przez kilka godzin, ale kiedy zaczął zapadać zmrok postanowił szukać bezpiecznego miejsca do przenocowania. Po długim marszu czuł ciężar w nogach, spanie na ulicy tak jak poprzedniego dnia, byłoby tym razem zbyt ryzykowne. Co prawda Garen było spokojnym miejscem, ale strażnicy patrolowali ulice na piechotę lub konno, również w nocy. A on, mimo wszystko, był tylko czternastolatkiem.

Wreszcie, po kilku godzinach próżnego szukania, Marco natknął się na pustą stajnię. Pachnąca słoma mogła wspaniale zastąpić mu łóżko. Wślizgując się do środka, dojrzał wystające z innych boksów głowy przepięknych ogierów czystej krwi. Były to z pewnością konie wyścigowe, które miały wziąć udział w zbliżającej się Rundzie Garen. Na szczęście było już późno i dozorczy dawno poszli do domu. Gdyby jednak się pokazali, Marco musiałby brać nogi za pas.

Następnego ranka, gdy próbował dopasować do siebie niektóre fragmenty absurdałnych snów, które przyśniły mu się tej nocy, ujrzał jednego z dżokejów na grzbiecie galopującego konia. Mężczyzna przemawiał do zwierzęcia w nieznanym języku. Marco w końcu wyszedł ze stajni, próbując przemknąć się do pompy z wodą. Chciało mu się pić, w ustach miał skołowaciały język. Nie pił od prawie doby, jego ostatnim napitkiem była ligała. Kiedy w końcu dotarł do koryta z wodą, odetchnął z ulgą i wyjął pustą już butelkę, którą podarował mu Meuron. Odkorkował ją, podstawił pod kran i zaczął pompować.

– A ty skąd się tu wzięłeś? – zagrzemiał za jego plecami ochryply, surowy głos.

„Cholera” – pomyślał i pospiesznie zakręcił w połowie wypełnioną butelkę.

– Przepraszam... chciało mi się pić – wykrztusił, odwracając się w stronę chłopaka, który zaskoczył go przy pompie.

Był to wysoki, umięśniony młodzik z szeroką twarzą. Miał kasztanowe, kręcone włosy i zielone oczy. Wpatrywał się w Marca ze zmarszczonym czołem

ściskając w rękę grabie.

– Domu nie mata? – zapytał z ciężkim akcentem.

– No cóż... ja – grał na zwłokę Marco, próbując wymyślić jakieś pytanie, którym mógłby odwrócić uwagę osiłka. Nie wiesz przypadkiem którędy dojdę do Centrum Solidarności? – zapytał w końcu, choć dobrze znał odpowiedź. Chłopak oparł grabie o ścianę i uśmiechnął się nieznacznie z lekkim zakłopotaniem.

– To wy... sierota jesteście?

– W pewnym sensie.

– Przykra sprawa. Pewnie nie wiecie...

– Czego nie wiem?

– Centrum Solidarności. Ono... jak to się mówi... Zburzone. Dawno temu. Jakies trzy Pory temu, może cztery. Marco zamknę oczy i spuścił głowę. To była jego jedyna szansa na uzyskanie informacji. A teraz ją stracił.

– Co to znaczy? Już... już nie istnieje?

– Ano nie istnieje. Nowy program polityczny, nie mieli kasy czy co tam...

– Rozumiem. Przepraszam, że wszedłem na teren twojej stajni bez pytania. Czy mógłbym tylko napęlić butelkę? Potem sobie pójdę. Chłopak podszedł do niego i poklepał go po plecach, uśmiechając się szeroko.

– Wygląda na wygłodzonego. Chceta trochu prowiantu? Mamy tu wyborniuckie mięsiwo z wołu, z prosiaka...

– Bardzo ci dziękuję... – Marco odwrócił się i zaczął powtórnie nalewać wody do butelki. – Niestety nie mam pieniędzy. Nieznajomy wzruszył ramionami, złapał swoje grabie i skinął głową na pożegnanie. Odwrócił się i wyszedł ze stajni. Marco przytknął usta do kranu i pił długo. W końcu zawiązał swój tobolek, zarzucił go na ramię i ruszył w dalszą drogę. „Co teraz?” – zastanawiał się, idąc ulicą prowadzącą na północny wschód, gdzie jeszcze pięć lat wcześniej stało Centrum Solidarności. Niebo było pogodne, powietrze wciąż ciepłe. To był 180 dzień Pory Słońca, niedługo pogoda miała się zmienić. Nowy rok był już za pasem, a Marko czuł, że musi wcześniej znaleźć odpowiedzi. Szedł przed siebie bez celu, w głowie kłębiło mu się tysiąc myśli, jego dusza rozpadała się na tysiąc kawałków. Jego życie było jak potłuczone lustro, które należy skleić, musiał odnaleźć swoją tożsamość. Pomimo wszystko czuł, że zdarzyło się coś dziwnego. Coś, czemu starał się nie przypisywać zbytnej wartości, ale co teraz wpływało na powierzchnię po nieszczęsnej porażce spowodowanej nowym programem politycznym. To zdanie, zdanie, które uparcie wracało i odbijało się echem w jego głowie, gdy on maszerował na południe, a miasto wokół powoli budziło się do życia. „Znam tylko jedną osobę, która jest w stanie zapewnić mi wolność. To osoba, która codziennie rano uśmiecha się do mnie z lustra!” Marco położył tobolek obok murku okalającego skrawek trawnika rosnącego wzdłuż peryferyjnej drogi prowadzącej na południe, w stronę gór. Sam usiadł obok ze skrzyżowanymi

nogami i zamknął oczy. Pozwolił, aby te słowa go za sobą pociągnęły. Wyobrażam sobie, że to zdanie jest ręką, która prowadzi go przez ciemny, zapomniany pokój. W pokoiku zbudowanym w jego wspomnieniach znajdowały się wszystkie odpowiedzi. Znalazł w nim dwie osoby. Siebie samego, dorosłego, i dziecko. Już je kiedyś widział, w tych najbardziej chaotycznych snach, które śnił podczas długich czternastu lat spędzonych w Sam-en-Kar. Rozpoznawał oczy, łagodny choć zdeterminowany wyraz twarzy chłopca, dla którego był przewodnikiem i bohaterem, mistrzem i punktem odniesienia. Ten chłopiec miał podrosnąć, tylko trochę i podążyć za nim na morską wyprawę, która zakończyłaby się jego dobrowolnym zesłaniem na wyspę Limen. Wyprawę, podczas której Marco, nazywany wtedy Ianem, odnalazł w głębinach metalowy sarkofag z ciałem Alexa. A chłopiec o imieniu Ben, który dopiero co przestał być dzieckiem, miał dotrzymać tajemnicy. Obaj znajdowali się w tym pokoju.

– Czego uczę cię tatuś? Powtórzmy razem?

– Uczę mnie naszej filozofii życia: „Znam tylko jedną osobę, która jest w stanie zapewnić mi wolność. To osoba, która codziennie rano uśmiecha się do mnie przyjaźnie z lustra!”

– Pięknie, mój mały! Nigdy o tym nie zapominaj. Kocham cię. Marco otworzył szeroko oczy. Miał nową, oświecającą myśl, która przeniknęła jego ciało od stóp do głów. Jastel był mniej więcej w tym samym wieku, w którym byłby Ben, gdyby wciąż żył w alternatywnej rzeczywistości na Gai. Właściciel tawerny miał nieco inne rysy, ale jakaś częśćka niego należała do przeszłości, o której nie miał pojęcia. Coś przeniknęło przez niewyraźną granicę pomiędzy światami. Z jakiegoś powodu Meuron przekonał Marca, żeby odnalazł Dziuplę Jastela. Z jakiegoś powodu Meuron uznał, że ten mężczyzna jest niesamowicie podobny do Marca, w ten sam sposób wyraża myśli, rozumuje. Owszem, był ku temu powód, choć tak logiczny jak absurdalny, zrodzony z paradoksów Wszechświata. „Czyżby...” – zastanawiał się Marco, wciąż rozmyślając o Benie i pełnym entuzjazmu Jastelu. Dojrzałe oczy jednego rozplywały się w młodzieńczym spojrzeniu drugiego. – Muszę wrócić do tawerny – powiedział do siebie. Poczł w gardle uścisk i przypomniał sobie wszystkie te sny, w których wrażenie, że na zawsze utracił jedyne syna było tak okrutnie dojmujące. Być może śmierć była tylko samotną falą, która płynęła zgasnąć na brzegu, podczas gdy nieskończenie wiele innych nadal mąciło morską toń... Marco wrócił do Dziupli Jastela tego samego popołudnia. Wybrał porę obiadu, kiedy rozgrzane ulice Garen były prawie puste. Cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu przez daleki stukot końskich kopyt, wisiała nad miastem niczym muślinowy welon nadając mu surowej, niemal uroczystej atmosfery. Rdzawe fasady murowanych budynków z ich podłużnymi oknami i wąskimi drzwiami wyglądały jak rzędy bezlitosnych twarzy rzucających cień na jego drogę. Człł się rozdarty, z jednej strony rozczarowany klęską

poszukiwań, z drugiej podekscytowany zbliżającym się spotkaniem. Marco szedł bez wytchnienia aż do Okrągłego Rynku. Tam zatrzymał się, aby zaspokoić pragnienie w fontannie i ruszył dalej w kierunku Dziupli. Jastel był zajęty myciem kieliszków, kiedy Marco wszedł do lokalu. Nikt nie siedział przy stolikach, nikogo nie było przy barze. Głowy wypchanych zwierząt wiszące na ścianach zastygły w wyrazie niemego zdziwienia.

– Mogę... wejść? – zagadnął Marco, a jego pytanie odbiło się echem w pustym pomieszczeniu.

Jastel podniósł na niego wzrok, ustawiając kieliszki na białej ściereczce.

– Ty jesteś tym chłopakiem z wczoraj – powiedział.

– Tak, proszę pana. To ja.

– Niestety właśnie zamykam, młodzieńcze, więc...

– Zaraz sobie pójdę – obiecał.

Marco podszedł do baru, serce waliło mu w piersi. Wspiął się na wysoki stołek. Za plecami mężczyzny, na ścianie, wisiał wyryty na drewnianej tabliczce wierszyk: NIE MASZ SAKWY DO PŁACENIA, NIE UGASISZ TU PRAGNIENIA.

– Więc czego chcesz?

– Posiedzieć tu chwilę... zrozumieć.

Mężczyzna zmarszczył czoło, lecz bez podejrzliwości. Wyglądał raczej na zaintrygowanego.

– Czy miewa pan czasem – zaczął Marco, wbijając oczy w stół – dziwne sny?

– Co takiego?

– Sny, w których... jest pan kimś innym. Świat jest inny. Wszystko inaczej się nazywa, nawet język jest inny... zdarza się to panu? Jastel uniósł brwi i milczał przez dłuższą chwilę, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Potem wyszedł zza baru i usiadł na stołku obok Marca.

– Miewam wiele dziwnych snów. Jak wszyscy, zapewne. Czemu mnie o to pytasz?

– Proszę mi odpowiedzieć, to ważne. – Marco popatrzył w oczy mężczyzny, gdy tamten przechylał lekko głowę, próbując pojąć naturę tej rozmowy. – Zdarza się to panu? Być kimś innym w tych snach?

– Chyba nie – odpowiedział w końcu Jastel, kręcąc głową. – Oczywiście, rozumiem. Proszę wybaczyć moje wścibstwo. Marco podnosił się, aby odejść, ale mężczyzna położył dłoń na jego ramieniu.

– Jednak – powiedział – może mogę ci pomóc inaczej. Kim jesteś, młodym adeptem filozofii? Bo widzisz, jak się dobrze zastanowię, to rzeczywiście miewam pewien dziwny sen... Od dawna ten sam.

Marco z powrotem umościł się na stołku barowym.

– Śni mi się morze – ciągnął Jastel. – Ogromna tafla wody, aż po horyzont... jakby ocean. Ten sen wciąż się powtarza, co jest to trochę dziwne, ponieważ ja nigdy nie byłem nad morzem. Mieszkam od zawsze tu, w Garen. Nawet nie wiem jak naprawdę wygląda morze. Widziałem je tylko na kilku malowidłach. Natomiast w tych snach, czasem zanurzam się tak głęboko że widzę nawet jego dno. To fascynujące...

Po tych słowach wszystko potoczyło się samo, Marco nigdy by się tego nie spodziewał, ale przyszło mu to tak spontanicznie i naturalnie, że nie był w stanie się powstrzymać. Zeskoczył ze stołka i zarzucił staruszkowi ręce na szyję. Trwał przez chwilę w tej sztywnej pozie, po czym zaskoczony mężczyzna również otoczył go ramionami. Chłopiec oparł głowę na jego szerokiej piersi i obejmowali się tak, dopóki Marco nie poczuł jak jego umysł zapada się w otchłań, odpływa daleko od Sam-en, od jego nastoletniego życia, które nigdy do niego nie pasowało. Nie potrafił odgadnąć, co czuł Jastel w tamtym momencie, nie odważył się go o to zapytać. Widział jednak wyraźnie dalekie odbicie w jego doświadczonych oczach. Odbicie dziecka.

Czy było możliwe, że miał przed sobą alternatywną wersję Bena, jego ukochanego syna z Gai? Tamten człowiek poświęcił swoje życie, aby uratować Jenny, czy mógł być zupełnie nieświadomy tego, ile jego tożsamości jest rozrzuconych po Wszechświatach?

Tę wyprawę można było uznać za zakończoną. Następnego dnia Marco postanowił wyruszyć z powrotem do Kar. Ale tej nocy, pomimo zmęczenia, nie zmrzył oka. Uśmiech chłopczyka, który recytował motto o wolności stał się melancholijnym refrenem, wołaniem, które w każdej sekundzie łączyło każdą historię, każdą drogę. To była odpowiedź na pytanie, które Marco postawił sobie wiele lat wcześniej, gdy jeszcze jego przekonania były jedynie kruchymi hipotezami. To był solidny most, po którym nareszcie można było przejść na drugą stronę.

Sam–en–Garen, rok 391 K.S.
Pora Księżyca, dzień 1.

Dziś ruszam w dalsze drogę.

Moje odkrycia w Gar en były dalekie od tego, czego się spodziewałem, ale niemniej cenne. Mam tyle pytań do kobiety o imieniu Anna, niestety nie wiem jak ją odnaleźć. Nic o niej nie wiem, nie mam żadnych wskazówek. Nie mam jednak wątpliwości, że pewnego dnia ją odnajdę. Albo ona mnie. W końcu to ona nas uratowała. Nie jestem tylko w stanie przypomnieć sobie przed czym, do cholery, uciekaliśmy, kto lub co na nas polowało... Poznałem mężczyznę o imieniu Jastel. Słuchałem jego głosu, słuchałem jego serca. Zrozumiałem kim jest. Jest potwierdzeniem, na które czekałem. Jastel od urodzenia patrzy na ziemię Sam–en, na jego drogi, na jego ludzi... Nie wie, że wszystkie ścieżki są rozwidlone. Nie wie nic o Gai, nie wie nic o swoich alternatywach. To właśnie dzieje się każdego dnia na całej planecie. Jeśli jest coś, co naprawdę zrozumiałem od kiedy zacząłem śnić, to jest to właśnie wartość tego daru, który otrzymaliśmy. Wszystko w swoim czasie, pewnego dnia przypomnę sobie dlaczego i w jaki sposób. Odkryję genezę i powód naszej inności. Wiem, że w mojej przyszłości ta świadomość jest bardzo cenna, ale moja przyszłość to ciemny labirynt pełen ślepych zaułków. Drzwi są wciąż zatrzaśnięte, aleja mam czas. Czemu Alex i Jenny, oprócz tego jednego kazirodczego snu, nie dzielą moich doświadczeń? Tu zamknę dziennik i ruszam w dalszą drogę. Czekam na mnie górską ścieżką, za nią dolina Kar, a jeszcze dalej adopcyjna rodzina, która na pewno zamartwia się od wielu dni. Czas wracać do domu.

SAM–EN–KAR, ROK 393 K.S.

– Wyobrażasz sobie? – zapytał Alex. Drżała mu broda, a w oczach lśniły łzy. Siedział na podłodze obok łóżka Marca, czytając na głos zapiski z jego dziennika.

– To wszystko takie dziwne – odparła Jenny stojąca obok okna. Błądziła wzrokiem po dalekich sylwetkach gór, próbując wyobrazić sobie wyprawę Marca,

o których opowiadał na stronach swojego pamiętnika. I te niesamowite fantazje, równoległe życia, alternatywne egzystencje... Historie, które według niego dotyczyły też jej i jej brata. Alex znał te opowieści od dawna, ale choć bardzo się starał, nie był w stanie ich zrozumieć.

– Ta strona jest z 391 roku... Minęły już 2 lata. Wciąż pamiętam karę, którą nałożyli na niego rodzice, po tym jak w końcu wrócił do domu.

– Alex, przeczytałaś prawie cały pamiętnik. Marco jest jedyny w całym Sam-en, który ma te wizje. Jeżeli to prawda, że my też mamy z tym coś wspólnego, to czemu sami niczego nie pamiętamy?

– Według Marca te dziwne sny, które mieliśmy...

– No dobrze, oprócz tych snów. One nigdy się już nie powtórzyły, to był pojedynczy epizod. A jego pamiętnik jest ich pełny! Przecież mamy już siedemnaście lat. Nie sądzę, żeby...

– Myślisz o tym czasem? – Alex wstał i powoli zamknął dziennik, odłożył go na drewniany stół. Podszedł do okna, za jego plecami ciało Marca leżało nieruchomo pod haftowanym prześcieradłem. Jego powieki pozostawały zamknięte od ponad dwóch Pór.

– O czym? – zapytała Jenny, nerwowo przeczesując ręką długie, kasztanowe włosy. Alex zbliżył się do niej o krok. Oparł się plecami o framugę okna.

– O tych snach, Jenny.

Błękitne spojrzenie brata przyszpiliło ją w miejscu, nie była w stanie odwrócić wzroku, uciec od jego przenikliwych oczu. Od czasu tamtych krępujących wydarzeń nie umiała już patrzeć na niego w ten sam sposób. Coś się zmieniło. A jednak nigdy o tym nie wspominali. Pozwolili, aby życie toczyło się dalej, jak wcześniej. Tak było lepiej.

– Słuchaj, Alex...

– Marco uważał, że to było w porządku. –Co?

– Dobrze wiesz, Jenny.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, czemu teraz to robimy? Alex odwrócił się w stronę przyjaciela. Czarne włosy opadały mu na czoło, dłonie spoczywały splecione pod prześcieradłem. Wyraz jego twarzy zawsze wydawał się pogodny, już od pierwszego dnia śpiączki.

– Cholera – Alex musiał przygryźć wargę, żeby nie wybuchnąć płaczem, ale i tak nie udało mu się powstrzymać łez.

– A jeżeli już nigdy się nie obudzi? Boję się, Jenny, strasznie się boję.

– Obudzi się, musimy w to wierzyć.

Alex pokręcił głową, schował twarz w dłoniach i wreszcie pozwolił sobie na szloch. – Nie może umrzeć – powiedział, a siostra podeszła, żeby go objąć.

Chłopak oparł brodę na jej ramieniu wciąż pochlipując, w jego głowie pojawiały się potworne obrazy pogrzebowych konduktów i żałobnych mów

wygaszanych przez spowiednika.

Jenny zamknęła na moment oczy i mocno go przytuliła. Trwali tak oboje w milczeniu przez dłuższą chwilę, pogrążeni w dziwnych myślach, połączeni bólem zakorzenionym w zapomnianej od pięciuset lat Ziemi. Nie mieli odwagi powiedzieć słowa, aż nagle poczuli jakąś wibrację przenikającą ich ciała. To ich umysły się splotły i ruszyły razem tą samą ścieżką podświadomości.

A wtedy wokół nich rozciągnął się błękitny bezkres i poczuli ostry zapach słonego powietrza. I wypiętrzyły się fale, a mewy latały wysoko na niebie, od wschodu wiał chłodny wiatr. Podążali krok za krokiem po tym wąskim jęczyczku ziemi, który wcinał się w ocean, krok za krokiem po tym mołu na Pacyfiku, które było symbolem utraconego początku, chybionego spotkania, iluzji. Ale tak naprawdę było punktem wyjścia. Wszystko to było dla nich niedostępne. Nie byli w stanie przypomnieć sobie niczego z tego, co wtedy przeżyli. Niczego oprócz pocałunku.

Fałszywa nuta w partyturze, wspomnienie umykające zapomnieniu. Walczyli z tym zbyt długo. Oniryczny miraż, którego woleliby nie pamiętać. Zbyt różny od codzienności rodzeństwa, zbyt zakazany by być czymś więcej niż niechcianą fantazją. Wydawało się, że Marco wiedział na ten temat więcej, ale oni nigdy nie chcieli go wysłuchać. Teraz leżał tam nieruchomy, cichy, nieobecny.

Alex trwał w objęciach siostry z głową opartą na jej ramieniu, dłońmi tulącymi jej włosy. Na schodach rozległy się odgłosy czyichś kroków. Zanim drzwi do pokoju się otworzyły, podniósł głowę i otworzył oczy. Jenny zrobiła to samo, spojrzeli na siebie, wciąż tkwiąc w uścisku. Przestraszeni. Niespokojni. Niecierplivi.

Dźwięk otwieranych drzwi przywołał ich do rzeczywistości. Matka Marca, chuda kobiecina imieniem Tesse o twarzy poznaczonej bezsennymi nocami spędzonymi przy łóżku syna, spojrzała na nich ponuro.

– Przykro mi, ale muszę was prosić, żebyście już wyszli. Za chwilę przyjdzie lekarz z Garen.

Alex i Jenny natychmiast zerwali się na nogi. Chłopiec podniósł dziennik Marca i podał go kobiecie.

– To...

– Możesz go zatrzymać, jeśli chcesz – przerwała mu. – Nie przeczytałam go wcześniej i teraz też nie mam zamiaru tego zrobić.

– Dobrze, proszę pani, w takim razie go zabiorę.

– Wiecie – ciągnęła Tesse, jakby nie dosłyszała odpowiedzi Alexa – czasem coś mamrocze. Jenny zmarszczyła czoło.

– Nie sądziłam, że to możliwe.

– Lekarz twierdzi, że to normalne, że to jakieś... majaczenia. – Jeśli pani pozwoli, Tesse... Co on wtedy mówi? – zapytał Alex. Kobieta odetchnęła głęboko i

oparła się o ościeżnicę.

– Zazwyczaj jakieś niezrozumiałe zdania. Chociaż wymawia je z takim przekonaniem, jakby to był jakiś znany mu język. Ale one nic nie znaczą. Czasem jednak... Nie wiem, w ostatnich dniach często mówił coś o jakiejś liście. Liście nazwisk. A potem powtarzał w kółko jakąś rymowanąkę.

– Rymowanąkę? – zdziwiła się Jenny.

– Wierszyk... Jedyna zrozumiała rzecz jaką powiedział od kiedy jest w śpiączce: „Gdy czas poskromisz, to na nim zarobisz”. Alex i Jenny popatrzyli na siebie z zaskoczeniem. Z dołu dobiegły ich głosy ojca Marca i lekarza, który właśnie przybył do domu. Rzucili ostatnie spojrzenie śpiącemu przyjacielowi, pożegnali się z Tesse i wyszli. Odchodząc myśleli o dniu, w którym Marco zapisał tę ostatnią notatkę w swoim dzienniku. Jego powrót do domu, kara i powtórne pojawienie się w szkole. Wreszcie śpiączka. Nie miał urazu mózgu ani żadnych innych śladów ewentualnej przemocy. Nikt nie był w stanie odkryć powodu jego stanu. Marco po prostu spał i trwało to już od dwóch Pór. Na samym początku przybył z Garen prawdziwy oddział medyków, aby zweryfikować stan chłopca. Nie stwierdzili zagrożenia życia, jego podstawowe funkcje były stabilne. Niestety jednak nikt nie potrafił przewidzieć czy pacjent kiedykolwiek się przebudzi. Nie wiedzieli też co było przyczyną jego śpiączki. Zatrudniono pielęgniarkę, która regularnie podłączała kroplówki z odżywkami. Odpowiedź organizmu była dobra, dlatego po jakimś czasie, aby utrzymać optymalne funkcjonowanie narządów wewnętrznych, podjęto decyzję o przejściu na żywienie sondą żołądkową. Lekarz prowadzący przychodził raz w tygodniu i osobiście kontrolował to, co sam nazywał przypadkiem książkowym. Rodzina Marca zdawała sobie sprawę, że bez ogromnych postępów medycyny, które zostały poczynione w ostatnich latach, ich syn nie miałby żadnych szans. Pod tym względem Garen było prawdziwie pionierskim miastem, punktem odniesienia dla całego Regionu. Niestety nawet pomimo ogromnego rozwoju nauki nie potrafiono odkryć powodu dziwnego stanu chłopca. Alex i Jenny w milczeniu wracali do domu. Słońce powoli chowało się za górami, dolinę Kar przykrywał granatowy płaszcz nocy. Szli jakby chcieli uciec przed wstydem, uczuciem tak niemiłym jak niebezpiecznym. Zdezorientowani i przestraszeni szukali odpowiedzi. Potrzebowali odpowiedzi. Nieodwracalnie połączeni ze sobą przez uczucie bez nazwy, które przekraczało wszelkie granice czasu i przestrzeni, przewodziło ich duszom i rządziło rozumem. Nie mogli przestać myśleć o tym, co zobaczyli, gdy przytulili się w domu Marca. Ból z powodu choroby przyjaciela nie miał nic wspólnego z tym przelotnym momentem szczęścia, który ich wtedy ogarnął. Szczęścia niewytłumaczalnego, choć tak realnego. Ich cierpienie tylko to potęgowało. Leżało to w ich prawdziwej naturze, wyrastało z korzeni ich zapomnianej tożsamości. Ten pocałunek. To molo. Uczucie spełnienia płynące jedynie z prostego faktu trzymania się za ręce. Zagubieni w

zawirowaniu chwili. Tym byli i wreszcie zaczęli się z tym mierzyć. Brat i siostra. Przyjaciele. Kochankowie. Bratnie dusze. Podczas gdy rodzeństwo wracało do domu, Marco leżał pod kołdrą, którą szczelnie otuliła go Tesse. Jego zamknięte powieki zaczęły leciutko drżeć, prawie niedostrzegalnie. Zaciskał je mocno, jakby próbował ukryć to, co pod nimi oglądał. Ale one drżały, daleko od spojrzeń tych, którzy nie mogli tego zrozumieć. Którzy nie potrafili odczytać koordynatorów niemożliwej podróży.

Powiesz mi to, a jakże. W przeciwnym razie przyniosę ci głowy tych dwóch bachorów i pozwolę ci się z nimi pożegnać, zanim obetnę również twoją. Ostre rysy i krystaliczne spojrzenie. Fałszywe lustra ponurej duszy niosącej ze sobą ból i cierpienie. Mężczyzna uśmiecha się drwiąco, jego srebrne zaczesane do tyłu włosy lśnią w sztucznym świetle. Połowa jego twarzy jest sparaliżowana, co powoduje, że ten uśmiech wygląda jeszcze bardziej groteskowo. Ton głosu nie znosi sprzeciwu. Jest pewny siebie. Jest przekonany, że zaraz nastąpi szach mat. Możesz odmówić. Możesz zabrać swój sekret do grobu. Możesz wybrać śmierć. Nie. Nie tak się to skończy. Przecież wiesz, że to nie może zakończyć się w tej celi. Pod tym mdłym światłem, w tych lodowatych lochach, podczas gdy na powierzchni mijają leniwie kolejne Pory. Przekroczyłeś próg, znalazłeś sposób, uratowałeś się przed końcem świata. Ale tylko w jednej rzeczywistości. Wiesz, że jeśli teraz umrzesz, to misja Anny spełźnie na niczym. Gdzieś się odrodzisz, ale nie będziesz miał żadnej świadomości tego, czym byłeś. Będziesz tylko jedną z wielu osób nieświadomych mnogości ścieżek ludzkiego żywota. Tak nie może być. To dlatego za chwilę zaakceptujesz szantaż, żeby przetrwać. Nagłe olśnienie niczym błyskawica rozgania ciemność w twojej głowie, wskazuje ci drogę. W ułamku sekundy pojmujesz, że wszystko to co cię otacza jest tylko kopią. To wszystko już się wydarzyło. Już wiesz, co odpowiedzieć mężczyźnie szczerzącemu ci się w twarz.

– Pieprz się, sukinsynu – wypowiadasz te słowa cichym, spokojnym głosem, jakby to była przyjacielska rada. Jego twarz tężeje, już się nie uśmiecha. Bruzdy na policzkach się pogłębiają.

– Coś ty powiedział?

– Że jeśli chcesz poznać formułę mutagenezy, to najpierw musisz mnie zabić, a potem strzelić sobie w łeb, mając nadzieję, że piekło istnieje, żebyś mógł mnie w nim znowu odnaleźć. Bo właśnie tam wybieram się z tą informacją. Cisza. Mężczyzna patrzy na ciebie pogardliwie. Załatwiłeś go? Naprawdę udało ci się zapędzić go w ślepią uliczkę?

– Wyrwę ci tę pieprzoną formułę razem z trzewiami. Możesz być pewny. Za chwilę wszystko zaczyna się od nowa. Miałeś rację. To jedynie kopia.

Powiesz mi to, a jakże. W przeciwnym razie przyniosę ci głowy tych dwóch bachorów i pozwolę ci się z nimi pożegnać zanim obetnę również twoje.

Taśma się zapętleła. Znowu zaczynamy od tych samych grymasów, drwiących uśmiechów, tych samych słów. Teraz wszystko jest jasne. Kiedy próbujesz zmienić

tę scenę, zmienić wspomnienie, zostajesz przeciągnięty z powrotem na początek.

W chwili, gdy twoje ciało leży nieruchomo na łóżku w Sam-en-Kar, a twoja matka modli się o cud, ty wałęsasz się po ścieżkach swoich wspomnień.

Jesteś w Pamięci.

– Mógłbyś przynajmniej powiedzieć jak się nazywasz – improwizujesz naiwnie.

– Mam na imię Ivan. Ale powinieneś już o tym wiedzieć, zważywszy że to ty zamknąłeś mnie w jednej z kabin.

– No tak, oczywiście ~ teraz ty uśmiechasz się drwiąco. – Ale miałeś wtedy szesnaście lat, świat się kończył, byliśmy we Włoszech. Teraz jesteś starcem, wydaje ci się, że mógłbym cię rozpoznać?

– Posłuchaj mnie dobrze ty skurwysynu albo natychmiast dasz mi formułę, albo twoi mali przyjaciele umrą. A ty zaraz po nich, ale wcześniej pooglądasz sobie ich głowy spadające z karków.

– Ach tak?

– Możesz być pewny.

– Świetnie. Zabij ich.

Mężczyzna wybucha sztucznym śmiechem. Potem prycha i w końcu uderza pięścią w ścianę, która pęka od jego ciosu. – Co ty do cholery pieprzysz? Mózg ci wyżarło?

Uśmiechasz się. Pauza. Taśma znowu się zapętla.

Tak to działa w tych stronach. Dobrze o tym wiesz. Spędziłeś pięćset lat, nawigując między tego typu eksperymentami. Wtedy, gdy zmieniałeś wspomnienie, wracałeś zawsze w to samo miejsce, na nadmorską promenadę, do Barcelony, do Hiszpanii. Teraz najwyraźniej scenariusz początku się zmienił. Wszystko zaczyna się od szantażu. Trzeba zacząć to badać. Przecież to w ten sposób znalazłeś równoległą rzeczywistość, w której uratowałeś ocalonych z eksperymentu i siebie samego dzięki sarkofagom i siarkowodorowi. To w ten sposób ty i Alex odkryliście prawdę o eksperymencie przeprowadzonym przez twojego ojca. Eksperyment, który uczynił z ciebie i tobie podobnych podróżnika.

Jesteś w Pamięci, każda napotkana osoba jest portalem. Nie masz przed sobą mężczyzny, który grozi ci w brudnej celi, masz przed sobą wspomnienie. Lukę. Możesz w nią wejść, on nie będzie w stanie cię powstrzymać.

Gdy Tesse klęczy przy twoim łóżku, płacząc rozpaczliwie i modląc się, abyś pewnego dnia otworzył oczy, ty jesteś na progu poznania.

Ivan wstaje i uśmiecha się drwiąco w ciemności. Wróciłeś do początku rozmowy. Decydujesz, że go posłuchasz.

– Mój ojciec powtarzał zawsze: „Gdy czas poskromisz, to na nim zarobisz” Podoba ci się to zdanie? To dokładnie to, co zrobiłeś. Pomyślałbyś? Poskromiłeś czas, oszukałeś przeznaczenie pozwalając nam przeżyć zagładę ludzkości. Potem

zrobiłeś sobie z tego kartę przetargową. Śmieszne, że teraz zupełnie się nie liczysz, że nie masz żadnej władzy...

– Władza jest niebezpieczna. – Opuszczasz wzrok na podłogę, ściany pomieszczenia nikną w cieniu jak we mgle. Lakoniczny jak epitafium, od tego dnia, szyderczy cytat twojego strażnika zostanie przeklęty na wieki.

– Nic z tych rzeczy, mój drogi. – Ivan odchyła głowę do tyłu i wpatruje się w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni, jakby tą pozą próbował dodać sobie powagi. – Władza jest najbardziej upajającą ze wszystkich ludzkich namiętności. Miłość? Strata czasu dobra dla szczeniaków. Rodzina? Kula u nogi. Ale władza, mentalna i polityczna dominacja nad ludźmi...

Nie kończy zdania tylko kiwa na strażnika, który podaje mu pistolet. Mężczyzna celuje ci prosto w twarz.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczysz. – Przecież mieliśmy umowę!

– A gdybym zamiast tego strzelił ci w głowę? Wydaje ci się, że nasza umowa jest tu coś warta? Przez chwilę wpatrujesz się w jego oczy świadomy, że nie masz żadnej władzy umysłowej nad osobą, która posiada te same zdolności co ty. Decydujesz się zagrać ostatnią kartą którą posiadasz.

– Pięćset lat temu uratowałem cię przed końcem świata. Dostałeś wszystko, czego pragnąłeś. Proszę cię tylko, żebyś nas oszczędził. Na warunkach, jakie podyktujesz.

I tak właśnie się to odbywa. Mężczyzna rozkazuje strażnikowi zamknąć cię w najciemniejszej izolatce Więzienia. Skazuje na odosobnienie do końca życia, aby siła twojego umysłu codziennie rozbijała się o lodowate mury, które cię otaczają.

Sekwencja czasu jest zakłócona, rwie się i rozpoczyna ponownie w przypadkowym miejscu kilka minut wcześniej.

Mężczyzna podchodzi bliżej, bruzdy poprzecinane bliznami są wyraźnie widoczne w świetle lampy, która wisi nad waszymi głowami. Jego twarz wygląda jak wykuta w skale. Ma ostre rysy, jest gładko ogolony. Jego srebrne włosy lśnią niemal oślepiająco. Jego głos paraliżuje cię jak śmiertelny uchwyt.

– Twój przyjaciel Nathan, przed śmiercią powiedział mi o mutagenezie inercyjnej. To dlatego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Chcę tej formuły. Chcę przepisu na środek, którym twój ojciec eksperymentował na naszych matkach i który zrobił z nas nadludzi. Ale nie tylko. Chcę się też dowiedzieć, jak do cholery udało ci się utrzymać nas żywych w sarkofagach przez te wszystkie lata.

– Właśnie miałem zamiar ci powiedzieć... – Rozglądasz się wokoło świadomy faktu, że znalazłeś się w ślepych zaułku. Mężczyzna rozciąga usta w szyderczym uśmiechu, a na jego prawym policzku pojawia się głęboka bruzda. Odpowiada ci słowami, które już dobrze znasz.

– Powiesz mi to, a jakże. W przeciwnym razie przyniosę ci głowy tych dwóch bachorów i pozwolę ci się z nimi pożegnać, zanim obetnę również twoją.

Mężczyzna idzie szybkim krokiem z wysoko podniesioną głową. Słońce szuka prześwitów w zachmurzonym niebie, a dokuczliwie przenikliwy wiatr goni śmieci po chodnikach Mariny. Niektóre ocierają się o jego długą, brązową pelerynę. Jesteś tuż za nim. Zrównujesz się z nim. Nie jesteś w stanie dostrzec jego oczu schowanych za ciemnymi okularami, ale wszędzie poznałbyś tę bliznę na policzku. To mężczyzna, który zorganizuje twoje pojmanie i zmusi cię do przyjęcia warunków jego szantażu. Jednak w tym fragmencie Pamięci jest młodszy. Przechodzi obok, zupełnie nie zwracając na ciebie uwagi. Podbiega kilka kroków i łokciami przepycha się przez tłumek ludzi oczekujący przy drodze na transport. Nikt nie odważy się zwrócić mu uwagi. W końcu jesteśmy na kontynencie Gaja, godny podziwu program polityczny zwany Dobrobytem zapewnia wszystkim pogodny i bezpieczny żywot w złotej klatce. Mężczyzna zwalnia tempo swego wojskowego marszu i w końcu zatrzymuje się przed urządzeniem. Z wysiłkiem przywołujesz w pamięci obraz tych gadżetów, miasto jest ich pełne. To terminale służące do weryfikacji profilu, to dzięki nim żona twojego syna Bena może uzyskiwać regularne zasilenia funduszu rodziny. To dzięki temu systemowi twoje wnuczki, Melissa i Lara, których nigdy nie poznałeś, mogą się uczyć i jeść każdego dnia. To Dobrobyt. Zapewnia tyle, by pozostać w ramach schematu. Wystarczająco, by poruszać się po planszy, jednak bez możliwości wyjścia poza linię. Mężczyzna przykładą palec wskazujący do metalowej płytki i ekran się rozświetla. Nikt nie może cię zobaczyć, to twoja przewaga. Znajdujesz się wewnątrz sceny należącej do przeszłości Ivana 5BC77D9D, jak wskazuje monitor. Twojego przyszłego oprawcy. Oczywiście nie możesz zmienić jego przeszłości. To twój słaby punkt. Data w górnym prawym rogu ekranu budzi w tobie nową świadomość. W tych latach nie było cię na Gai. Schroniłeś się na wyspie Limen. Utrzymujesz sporadyczne kontakty z rodziną ograniczając się do szyfrowanych wiadomości przesyłanych do twojego syna Bena za pomocą programu Tekst. On opowiada ci o żonie i dwóch cudownych córeczkach, które bardzo chciałbyś poznać. Ale teraz jesteś tam. Śledzisz mężczyznę, którego spotkasz w przyszłości tuż przed twoim uwięzieniem. Chodzisz za nim jak cień i tak jak cień, nie masz żadnej fizycznej konsystencji. Ivan oddala się od urządzenia i rusza w dalszą drogę swoim sztywnym, żołnierskim krokiem. Nie ogląda się, z nikim nie rozmawia. Maszeruje przed siebie główną aleją Mariny, jakby brał udział w paradzie. Wtem nieoczekiwany hałas sprawia, że momentalnie się odwraca. Idziesz za jego

przykładem. Jest to dziewczynka, nie starsza niż dziesięć, dwanaście lat. Czarna grzywka na czole, oczy kogoś, kto wie, że robi coś złego. Jej wątłe ciało obleka czarny fartuch.

– Co tu robisz? – Ivan syczy groźnie, choć cicho, aby nie usłyszeli go inni przechodnie.

– Dobrze wiesz – odpowiada ona, nagle pewna siebie. – Chcę zobaczyć.

– Wracaj do domu. Ja pracuję.

– A ja się uczę.

Ivan odwraca się do niej plecami i rusza szybkim krokiem w dalszą drogę. W końcu zatrzymuje się przed szklanymi drzwiami. Przesuwa palcem po tabliczce przymocowanej obok wejścia do czteropiętrowego budynku. Wystukuje jakiś kod. Drzwi otwierają się automatycznie. Ivan wchodzi, dziewczynka zaraz za nim. Wchodzisz i ty.

Przed sobą widzisz schody, po prawej niedomknięte drzwi, za którymi dostrzeżasz kontenery na śmieci wypełnione workami. Ściana po lewej jest w całości zajęta przez źródła prądowe, tu i ówdzie pulsują czerwone światełka.

Ivan wchodzi na schody.

Pierwsze piętro. Z daleka słychać płacz noworodka. Dochodzi zza drzwi na końcu korytarza. Słyszysz podniesiony głos matki, chyba na progu załamania nerwowego. Jak długo masz zamiar płakać? Cholera! Ivan rozgląda się wokoło, ignorując zupełnie dziewczynkę o uważnym spojrzeniu. Wchodzi wyżej.

Drugie piętro. Wycie psa. Rozbita szyba w oknie na końcu długiego rzędu drzwi. Ivan wchodzi wyżej.

Trzecie piętro. Mężczyzna idzie kilka kroków w głąb korytarza. Wygląda jakby sprawdzał numery mieszkań na drzwiach. Wsuwa rękę pod poły peleryny i słyszy ciche kliknięcie. Zatrzymuje się przed drzwiami z numerem 9.

Zapada nienaturalna cisza.

Powietrze stoi w miejscu, na tym piętrze okno jest całe.

Z okolicznych mieszkań nie dochodzi nawet szmer.

– Nie ruszaj się stąd – rozkazuje dziewczynce za jego plecami. – Zrób choćby krok, a nie wrócisz więcej do domu.

Ona potakuje. Ivan odwraca się w stronę drzwi i puka. Wstrzymuje oddech i czeka.

– Tak? – odpowiada przytłumiony głos, prawdopodobnie dorosłego mężczyzny.

Ivan przechyla głowę najpierw w lewo, a potem w prawo, jakby chciał rozprostować napięte mięśnie szyi.

– Jestem osobą, która napisała do pana dziś rano poufną wiadomość – odpowiada pogodnym głosem.

Drzwi się otwierają. Lokator ma na sobie krótkie spodenki i podkoszulkę, na

twarży zaniedbany zarost i rozczochrane włosy. Nie jest młody, mniej więcej w wieku Ivana, jakieś pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat.

– Mogę wejść? – pyta grzecznie Ivan.

– Oczywiście. Proszę.

Coś się nie zgadza. To nie jest zachowanie przewidziane protokołem społecznym Gai. Po co cała ta serdeczność? Wchodzisz za nimi. Drzwi zamykają się za twoimi plecami. Ivan wchodzi do małego saloniku. Stojący na środku stół ugina się pod ciężarem stosu papierów, ściany zastawione są regałami od podłogi do sufitu. Na niektórych odczytujesz napisy takie jak RACHUNKI, SPRAWOZDANIA, HARMONOGRAMY.

Lokator zajmuje miejsce przy stole i prosi Ivana, aby zrobił to samo.

– Najpierw, kiedy przeczytałem wiadomość na Tekście nie chciało mi się w to wierzyć. Nikt nie zna tej historii. Nawet mnie czasem jest trudno zaakceptować fakt, że to naprawdę się wydarzyło. To niesamowite, że jestem tu... i pan... ja.

– Tak, ma pan całkowitą rację.

– Byliśmy młodzi. To było inne życie...

„O czym on, do cholery, mówi” – zastanawiasz się, okrążając mężczyznę i przyglądając się uważnie jego twarzy. On kompletnie nie zdaje sobie sprawy z twojej obecności. Przenosisz wzrok na Ivana. W końcu pojmujesz, jeszcze zanim zrozumie to mężczyzna, który siedzi naprzeciwko niego. – To pan jest numerem 9 – oświadcza twój przysły oprawca i zdejmuje ciemne okulary, kładąc je na stole. Jego oczy są zimne, bezlitosne. W jego źrenicach czai się niezłomna wola kogoś marzącego o niepodważalnym przywództwie. Widzisz na jego twarzy pragnienie dominacji. Pragnienie sprawowania władzy.

– Numerem 9?

– Taaa – Ivan wsuwa dłoń pod połą peleryny.

To wygląda jak gest kogoś, kto sięga po broń. Chcesz krzyknąć, instynkt bierze nad tobą górę. Krzyczysz. Na próżno. Ivan wyciąga kartkę i podaje ją swojemu rozmówcy. Potem jego ręka wraca z powrotem do kieszeni, wydaje się, że czegoś szuka. Drugi mężczyzna ma tylko czas, aby unieść oczy znad listy nazwisk wypisanych długopisem na skrawku papieru. Ty znowu krzyczysz, ale ten krzyk gubi się w korytarzach twojego umysłu.

Odgłos strzału zdławiony tłumikiem odbija się głucho od ścian małego mieszkania w centrum Mariny. Lokator osuwa się na ziemię, a Ivan wyciąga rękę po listę. Zanim jej dosięga, udaje ci się odczytać nazwiska. Pierwsze dwa należą do Alexa i Jenny. Od trzeciej do ósmej pozycji wszystkie są przekreślone czerwonym atramentem. Dziewiąta to właściciel mieszkania umierający właśnie na podłodze.

Dziesiąty nazywa się Nathan.

Znasz go.

Pamiętasz go. To ojciec Anny.

Jest następny.

SIEDZIBA SYNAPTIKI, MARINA, GAJA.

Anna zamknęła za sobą szklane drzwi pokoju numer 129 i przystanęła, aby przyjrzeć się przez chwilę dwóm ciałom leżącym nieruchomo na łózkach. Mętlik myśli nie pozwalał jej skupić się na nowym zadaniu. Ktokolwiek dowodził Synaptiką lub był odpowiedzialny za jej zatrudnienie, najwyraźniej zignorował jej historię. Spacerując w szarym fartuchu po korytarzach ogromnej struktury, Anna zaczęła się zastanawiać, czyjej angaż był wynikiem zbiegu okoliczności, czy misternie zaplanowaną pułapką. „Oni wciąż żyją...” – powtarzała sobie w myślach, przyglądając się nieruchomej twarzy Jenny. Co prawda wiedziała już od jakiegoś czasu, że feralnej nocy żołnierze najprawdopodobniej jedynie ich ogłuszyli, ale zupełnie czymś innym było zobaczyć ich na własne oczy. Otumanionych lekami, uspiionych, wyeliminowanych z gry, ale jednak żywych. Gdyby Ian też został oszczędzony... Jakiś hałas za jej plecami wyrwał ją z rozmyślań.

– Pani doktor... – rozległ się kobiecy głos.

– Pozdrawiam – odpowiedziała formalnie, zgodnie z protokołem.

– Witamy w Synaptice. Jestem kierowniczką instytutu badawczego, nazywam się Dana. – Miło panią poznać. – Anna wyciągnęła do niej rękę. Jej rozmówczyni była piękną kobietą w wieku około czterdziestu lat. Miała łagodne rysy, oliwkową cerę i długie, lśniące, czarne włosy. Jej oczy były duże, inteligentne i zdecydowane jak uścisk jej ręki. Jej sylwetka w pomarańczowym fartuchu z głęboko wyciętym dekoltem wyglądała niezwykle kształtnie. Nawet głos miała przyjemny, z lekką chrypką, która nadawała mu wyjątkowej barwy. Anna nie wiedziała czy chodziło o te cechy, czy o zwykłe zaskoczenie, że instytutem nie kierował mężczyzna, ale musiała przyznać, że Dana zaskarbiła sobie jej sympatię już w pierwszych chwilach znajomości.

– Gdyby zechciała pani łaskawie za mną pójść, mam trzy minuty, żeby wyjaśnić na czym będzie polegało pani zadanie w naszym instytucie. Potem niestety będzie mi pani musiała wybaczyć, ale mam ważną konferencje w Lender. Czekaj już na mnie statek.

„Więc to prawda” – pomyślała Anna, wychodząc za kobietą na korytarz. Między Gają a Wschodem coś musiało się wydarzyć. Zimna wojna dobiegła końca.

– Została pani wybrana ze względu na pani kompetencje w dziedzinie

ekstrakcji – poinformowała kobieta.

Siedziały w biurze o minimalistycznym wystroju, na ścianach nie było żadnych obrazów, tylko okno wychodzące na placyk przed wejściem do budynku. Za jedyne wyposażenie służyło biurko i blat roboczy, na którym leżało kilka tabliczek interaktywnych i stała butelka wody Frey.

– Wiemy, że bardzo dobrze radzi sobie pani z systemami informatycznymi, co wychodzi poza dziedzinę, którą się pani zajmuje – biologię. Oprócz tego ma pani bogate doświadczenie w medycynie. Wybraliśmy panią do zakończenia pewnego projektu, który trwa już siedemnaście lat. To doświadczenia prowadzone na dwóch podmiotach, o których wspomniałam w prezentacji, którą zapewne pani czytała.

– Tak, przeczytałam ją uważnie dziś rano w moim gabinecie na pierwszym piętrze.

– Świetnie. Proszę uważać to biuro za pani nowy dom. Oczywiście może pani wracać do swojego mieszkania na noc, ale gdyby chciała się pani tutaj przespać, to Synaptika dysponuje niewielkimi pokojami odpoczynkowymi dla swoich pracowników. Głównie tych, którzy daleko mieszkają.

– Dziękuję.

– Każda informacja, której pani udzieliłam lub której udzielię w przyszłości jest ściśle tajna. Oczywiście nie ma pani zgody, aby przekazywać je osobom trzecim. Pytania?

– Kiedy zaczynam?

– Od zaraz. Ma pani do dyspozycji nasze archiwa i może weryfikować postępy poczynione przez ostatnie lata badań. Jak już zapewne wywnioskowała pani z protokołów, które zostały pani dostarczone, te dwa podmioty są ekstremalnie interesujące. Mamy przed sobą jedynych dwóch żyjących przedstawicieli cywilizacji, która przestała istnieć pięćset lat temu. Nasze laboratoria są pełne skamielin cywilizacji Dwa Tysiące, ale tu mówimy o żywych ludziach. Udało nam się dokonać ekstrakcji świadomości z ich wspomnień o kluczowym znaczeniu, ale wciąż długa droga przed nami. To badania najwyższej wagi. Anna słuchała wywodu z profesjonalnym zainteresowaniem. Dobrze wiedziała kim były dwa podmioty. Słowa Dany nie niosły ze sobą żadnych nowych informacji, ale kierowniczką instytutu nie mogła się tego dowiedzieć.

– W jaki sposób przeżyli koniec ich cywilizacji, a potem przetrwali aż do dzisiejszych czasów, to informacje ściśle tajne, które są niedostępne dla mnie, jak i dla pani. Ograniczamy się do studiowania właściwości ich umysłów co jest niezwykle interesujące, zważywszy że należą do wymarłej cywilizacji, której postępy technologiczne śledziliśmy i kopiowaliśmy dzięki niezliczonym znaleziskom podmorskim.

– Rozumiem.

– Zostawiam pani tę tabliczkę. Znajdzie pani w niej namiary na osobę przydzieloną pani do pomocy. Ona poinformuje panią o postępach i pokieruje w laboratorium i archiwach. Jestem pewna, że mamy wciąż wiele do odkrycia, niestety nasze badania znalazły się w impasie. I tu zaczyna się wyzwanie. Jestem pewna, że analizując archiwa i porównując dotychczas otrzymane dane, będzie pani w stanie uzyskać nowe rezultaty. Ufam pani doświadczeniu. Dana podniosła się, nie czekając na odpowiedź. Anna uśmiechnęła się lekko, odbierając od niej tabliczkę. Ucisnęły sobie dłonie, po czym kierowniczką odprowadziła Annę do drzwi gabinetu zanim sama odeszła w przeciwnym kierunku. Anna odetchnęła i uśmiechnęła się gorzko pod nosem, włączając urządzenie. Zanim zaczniesz zagłębiać informacje dotyczące badań przeprowadzonych na Alexie i Jenny, ktoś powinien wprowadzić ją w nową sytuację polityczną planety.

– Jestem do pani dyspozycji, pani doktor.

Mężczyzna oddelegowany do pomocy Annie przy przebrnięciu przez wyniki siedemnastu lat badań wszedł właśnie do jej nowego biura na pierwszym piętrze, pukając wcześniej grzecznie. Był od niej młodszy, pewnie niedawno przekroczył pięćdziesiątkę. Miał siwiejące włosy z lekkimi zakolami i okulary w grubych oprawkach, które spoczywały na zakrzywionym nosie, krzaczaste wąsy i wąskie usta. Nosił pomarańczowy fartuch weteranów, taki jak Dana, ale w przeciwieństwie do kierowniczki Synaptiki, ton jego głosu był nosowy, irytujący i niezbyt zachęcający.

– Miło pana poznać. – Anna wstała i podała mu rękę.

– Nazywam się Thierry – odpowiedział, ściskając wątle jej dłoń.

Dana prosiła, żebym pokazał pani archiwa. Zważywszy, że musimy pracować w bliskim kontakcie, proponuję zawiesić sztywny protokół i przejść na ty. Idziemy?

Anna zgarnęła kolejną tabliczkę, którą zostawili dla niej tego ranka pracownicy działu zasobów.

– Mogę cię o coś zapytać? – zaczęła.

– Oczywiście.

– Doktor Dana mówiła mi o tym archiwum, ale wydawało mi się, że Lax zawiera wszystkie rejestry analiz prowadzonych na podmiotach od momentu ich... Pojmania.

– ...od początku badań. Dziś rano zanim pojechałam na dwunaste piętro, by rozmawiać z kierowniczką, rzuciłam okiem na niektóre zbiory danych, wykresy, krzywe, wartości... Wydaje mi się, że jest tam wystarczająco dużo mat...

– Pani doktor – przerwał jej Thierry, unosząc brwi. – Z całym szacunkiem, dane, które przeglądałaś są bardzo ważne, ale... niczego jeszcze nie widziałaś. Proszę za mną. Mężczyzna wyszedł z pokoju pospiesznym krokiem, jakby nikogo ze sobą nie prowadził. Anna zostawiła tabliczkę Lax na biurku i wybiegła za nim.

Przeszli przez długi korytarz aż do wind. Thierry wsiadł pierwszy i wcisnął guzik z numerem 5. Podekscytowana perspektywą pojechania na dwunaste piętro, gdzie w pokoju numer 129 mogła zobaczyć na własne oczy żywe ciała Alexa i Jenny, Anna nie zauważyła, że Synaptika posiadała również osiem pięter podziemnych. Wysokość poszczególnych kondygnacji ledwo przekraczała jednak dwa metry, przez co ten w sumie dwudziestoczeropiętrowy budynek nie wydawał się bardzo wysoki. Mężczyzna wysiadł i ruszył w głąb korytarza na poziomie minus pięć. Na ścianach wisiały duże mapy budynku, seria wskazówek i instrukcji dotyczących bezpieczeństwa. Szafki z niebieskiego szkła zawierające gaśnice Grell i wydruki przepisów przeciwpożarowych, a także małe panele ściennie z Darren, firmy, która zaopatrywała największe spółki miejskie i stacje podwodne, takie jak Mnemonica.

– Już prawie jesteśmy – powiedział Thierry, maszerując przodem. – Rampa, którą widzisz przed nami prowadzi na półpiętro. To tam zmierzamy.

– Półpiętro?

– Tak. Jesteśmy teraz na minus piątym, ale rampa nie dochodzi do minus szóstego. Nie da się dotrzeć do laboratorium bezpośrednio z windy. Trzeba przejść ten kawałek piechotą.

– Rozumiem.

Kiedy dotarli do ciemnego i wąskiego zejścia, mężczyzna zwolnił. Odwrócił się i spojrzął na Annę z dziwną powagą.

– Przesuwane drzwi na końcu rampy otwierają się jedynie na odcisk palca osoby posiadającej profil z upoważnieniem. Inni pracownicy nie mają tam wstępu.

– A mój profil jest...

– Oczywiście nie, pani doktor. Dołączyłaś do nas dopiero dzisiaj rano. Na razie będziemy tam chodzić dzięki mojemu mikrochipowi. Spróbujemy autoryzować twój możliwie jak najszybciej. Thierry przyłożył palec w odpowiednim miejscu i czekał chwilę na autoryzację. Rozświeciło się pomarańczowe pulsujące światło, po czym drzwi zniknęły w murze otwierając wejście do laboratorium. Kiedy tylko weszli do środka, lampy które wcześniej były przygaszone rozjaśniły się, oświetlając wnętrze niemal jak w dzień. Thierry wskazał ścianę zajętą przez długi stół cyfrowy, nad którym wisiał kran o szerokości co najmniej trzech metrów. Panel był w trybie uśpienia, wyświetlał logo Darren w różnych odcieniach granatu i złota. Przewodnik Anny nacisnął jakiś guzik na stole i ekran ożył.

– To, co zaraz zobaczysz to przykład ekstrakcji. Aż do dzisiaj widziało to tylko czterech członków komisji z Lender, no i oczywiście ja, kierowniczką i kilku naukowców wysokiego szczebla. Chyba zbędnym jest podkreślać...

„...że powyższe informacje są ściśle tajne i bla bla bla” – pomyślała Anna, ignorując mówiącego dalej mężczyznę. Jej wzrok przyciągał nieruchomy kadr filmu, który czekał aż zostanie włączony. Przedstawiał fascynującą konstrukcję,

którą pamiętała ze starej książki należącej do jej ojca. To było dzieło cywilizacji zmiecionej z powierzchni Ziemi w 2014 roku. Znalaziono ją w jakiejś skrzyni wyłowionej z morskich głębin w prawie nietkniętym stanie, po tylu wiekach wciąż była czytelna.

– Rozumiem – odpowiedziała, choć już od kilku minut nie słuchała Thierryego.

Ten przekręcił jakąś dźwignię na stole cyfrowym i światła w pomieszczeniu przygasły. Potem wskazał Annie krzesło i usiadłszy puścił film. Co jakiś czas zerkał na nią kątem oka, próbując dostrzec jej pełne zdziwienia reakcje.

Nagranie pokazywało przez kilka chwil imponującą sylwetkę kościoła zwieńczonego ostrymi wieżyczkami, których szczyty nikły w szarych chmurach zasnuwających niebo. Przed budowlą rozpościerał się spory plac, po którym spacerowały gołębie poszukujące resztek jedzenia. Nagle kontury traciły ostrość jak na starej fotografii i powoli znikwały pod warstwą ciemnego nalotu. Po chwili pojawiał się nowy obraz, najprawdopodobniej rejestrowany przez dziecko, bo na wysokości jego oczu widniał teraz centralny portal fasady kościoła. Wzrok malca wędrował od podstawy, przez poziome przypory aż do ogromnych okien i posągów przycupniętych na gzymsach. Szarpane, chaotyczne ruchy kamery świadczyły o amatorskim charakterze nagrania. Wygląd budynku przypominał – Anna mogłaby przysiąc – ważną katedrę należącą do poprzedniej cywilizacji, która zamieszkiwała Ziemię. Wniosek nasuwał się sam, choć był zaskakujący. Jeżeli to, co właśnie oglądała było naprawdę rezultatem ekstrakcji wspomnień Alexa, to miała przed sobą wizerunek Mediolanu sprzed 2014 roku. Wizerunek epoki, której szczątki zachowały się jedynie w morskich głębinach. Czasem udawało się znaleźć nawet całe biblioteki, ale do tej pory nie istniał żaden film. Do tej pory.

– Teraz usłyszysz pani również oryginalny fragment dźwięku – szepnął Thierry. – Stanowi część wspomnień podmiotu męskiego, jest nienaruszony.

Anna milczała. Pełne skupienia oczy wbijała w ekran. Kadr przesuwa się w lewo, w polu widzenia pojawia się dłoń dorosłego, potem unosi się, pokazując męską twarz.

– Gdzie teraz idziemy, tato? – pyta dziecięcy głos. Mężczyzna odwraca się do niego i uśmiecha.

– Do planetarium.

SAM-EN-KAR, ROK 393 K.S.

- Wciąż czytasz go od nowa, mam rację?
- Tak.
- To nie wpływa na ciebie dobrze, Alex.
- Wiem, ale potrzebuję tego.
- Czego? Rozdrapywania ran?
- Nie, potrzebuję Marca. Jego opowieści.

Jenny usiadła po turecku na trawie wciąż mokrej po nocnej nawałnicy. Minął już tydzień od ich ostatniej wizyty u Marca. Od tamtej pory Alex nie rozstawał się z dziennikiem. Co chwilę otwierał go i czytał jakiś fragment. Historie na pierwszy rzut oka absurdalne, a jednak wiarygodne. Dlatego czytał je w kółko, odnajdując w nich pełne entuzjazmu spojrzenie przyjaciela, jego głębokie przekonanie, zaskakujące idee. Niesamowite przemyślenia godne dorosłego datowane na rok 381, kiedy Marco miał zaledwie pięć lat i spędzał popołudnia na obliczeniach cykliów zbiorów i szkicowaniu kalendarzy z zaznaczeniem ruchomych świąt w nadchodzących Porach.

Antologia koszmarów i wizji, które powtarzały się bez przerwy, osiągając swój szczyt między rokiem 382 a 384.

Zapiski z podróży w 385, kiedy w wieku dziewięciu lat Marco spakował tobolek i wyruszył w stronę gór napędzany wciąż tym samym pragnieniem, które rządziło całym jego życiem, pragnieniem poznania.

Wnioski wyciągnięte z 388 roku, kiedy Marco poznał wstydlive sny dwójki swoich najlepszych przyjaciół, ale uważał, że była to wizja z przeszłości. Ten przekłety pocałunek, który stał się przyczyną rozluźnienia więzi dwójki rodzeństwa, ale który jednocześnie poruszył w ich umysłach chęć kopania głębiej, znalezienia punktu zaczepienia pozwalającego im przenieść się gdzie indziej.

W końcu druga podróż w 390. Spotkanie z Jastelem i ostatnie zapiski przed powrotem do domu.

- Tego ci jeszcze nie opowiadałem – oznajmił Alex, podczas gdy Jenny wrzucała kamyczki do rzeki.
- Jeśli to coś z tego pamiętnika, to na pewno to zrobiłeś. Od tygodnia...
- Nie, Jenny. Tę część chciałam przeczytać ci tutaj. – Alex, słuchaj... Czemu

mnie tu przyprowadziłeś? Chłopiec podniósł wzrok i zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem. Ona też na niego spojrzała. Za nimi piętrzyły się góry, przed nimi szumiała rzeka.

– Ponieważ przychodziłem tu zawsze z Markiem – powiedział ze smutkiem, ciskając przed siebie kamykiem. – Robiliśmy zawody w puszczeniu kaczek.

Jenny uśmiechnęła się z melancholią.

– Tęsknię za nim – dodał Alex, opuszczając wzrok na dziennik przyjaciela, na jedyną stronę, której do tej pory nie przeczytał siostrze. – Bardzo.

– Wiem. – Jenny wstała i usiadła obok brata. – W takim razie czytaj.

– Dobra.

Notatka nr 46. Paradoks Bena.

Zastanawiałem się głęboko i dokładnie analizowałem to, co wydarzyło się w Garen kilka dni temu. Skonfrontowałem to nowe odkrycie ze wszystkim, co wiedziałem do tej pory o mojej równoległej egzystencji oraz z wizjami, które miałem od wczesnego dzieciństwa. Oto moje wnioski.

Ja istnieję tutaj, w Sam-en, gdzie urodziłem się w roku 376 K.S. W rezultacie eksperymentu zamierzonego i zleconego przeze mnie w równoległej rzeczywistości, a przeprowadzonego przez kobietę o imieniu Anna, której dotąd nie udało mi się odnaleźć. Wiem jedynie, że kobieta ta charakteryzowała się niezwykle zdolnościami mnemonicznymi, dzięki którym była w stanie zapamiętać całą sekwencję genetyczną należącą do mnie, Alexa i Jenny, następnie wywieść ją z tamtej rzeczywistości, przekraczając próg między światami i wykorzystać tę wiedzę gdzie indziej, czyli tu, aby stworzyć w laboratorium nasze identyczne kopie. Ja pamiętam kim jestem po drugiej stronie, moi przyjaciele nie. To może oznaczać, że w świecie, który pamiętam jako Gaję, ja wciąż żyję, podczas gdy moi przyjaciele zostali zamordowani. Coś jednak się nie zgadza – sen, który śnili moi przyjaciele, moja jedyna nadzieja, że pewnego dnia i oni przypomną sobie wszystko. Ten pocałunek. To musi być część rzeczywistości, z której pochodzą. Przypadek chciał, że tu wychowują się jako rodzeństwo.

Brakuje mi jeszcze wielu elementów tej układanki. Muszę je odnaleźć za wszelką cenę. Pamiętam, że miałem rodzinę, syna o imieniu Ben, który poszedł w moje ślady i również został naukowcem. Większość moich wspomnień dotyczy jego dzieciństwa, a nie wieku dorosłego, to dlatego, że w pewnym momencie mojego życia musiałem uciekać. Ukryłem się na pewnej wyspie. Zanim to się stało, nauczyłem Bena pewnego motta mojego pomysłu. Tylko my dwaj znaleźliśmy jego treść. To był nasz mały sekret osiągnięcia szczęścia, o ile to prawda, że wolność jest szczęściem. Natknąłem się na to motto w czasie ostatniej podróży do Garen, kiedy poznałem mężczyznę wskazanego mi przez Meurona. Od dawna podejrzewałem, że stary miłośnik ligali ma nadnaturalne zdolności. W istocie dokonał czegoś niesamowitego. Dzięki niemu poznałam kogoś, kto ma ścisły

związek z moimi egzystencjami. Meuron zapamiętał go dobrze, ponieważ jego sposób bycia, mówienia i zachowania bardzo przypominał mu mnie, choć w tej rzeczywistości jestem jedynie dzieckiem. Kiedy i ja poznałem tego mężczyznę, a zwłaszcza kiedy usłyszałem jak wypowiadał nasze motto, nie miałem już żadnych wątpliwości. Jastel. Tak samo jak Anna, istnieje zarówno tu, jak i w rzeczywistości Gai i kto wie, w ilu innych, jeśli mój tok rozumowania jest właściwy, to on żyje w każdym wymiarze, w którym jego matka urodziła dziecko. Ojciec może być jednak za każdym razem inny, tak jak w przypadku Anny. Na Gai jego ojcem jestem ja. Zrozumiałem, że on nie może tego pamiętać. Jest nieświadomy nieskończonych odcieni naszej egzystencji. Tak samo jak wszyscy ludzie, których codziennie spotykam. Nie mają pojęcia, że istnieje nieskończenie wiele alternatywnych wersji ich samych. Zapewne nauczanie, które pobrali w jednym świecie, odbija się na ich innych życiach, choć nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Tak jak to motto, które powtarza Jastel z uporem i które pewnie jego klienci znają na pamięć. On nigdy by w to nie uwierzył, ale to ja nauczyłem go tych słów.

Ja, dziecko. On, mój syn, dorosły. To jest paradoks Bena, pierwszy paradoks czasoprzestrzenny, na który natrafiłem od kiedy ponownie się narodziłem. W Gai bardzo kochałem jego matkę. Często o niej śniłem, nazywała się Beth. Byłem bardzo młody, kiedy ją poznałem, pobraliśmy się już po miesiącu, a miesiąc później była w ciąży. Pamiętam różne fragmenty naszego wspólnego życia. Niestety umarła, kiedy Ben miał dziewięć lat. Nie miałem odwagi wypytywać Jastela. Nie wiem czy jestem na to gotowy. Ale w głębi serca to czuję. Ona tu jest. Nie wiem czy jeszcze żyje, może któregoś dnia wrócę do Garen i odważę się ją odnaleźć. Może znów zatracę się w jej oczach. Na razie informacje, które zebrałem, upewniają mnie, że wszystko to, co mnie otacza jest jedynie przezroczystą błoną.

Wcześniej czy później uda mi się przez nią przebić. Muszę tylko zrozumieć jak. Tylko jedna rzecz pozostaje dla mnie wciąż niejasna. Anna potrafi przekraczać próg między równoległymi wymiarami i zachowywać wspomnienie swojego alternatywnego ja. To dzięki temu udało jej się zebrać w swoim umyśle wszystkie dane potrzebne do naszego klonowania. Ona ma dostęp do jakiegoś rodzaju umysłowego mostu. Jastel nie. Jastel nie wie niczego o Benie, o sobie samym. Dlaczego?

– Przecież to szaleństwo – odezwała się Jenny.

– Albo geniusz – odparł Alex. – A gdyby to wszystko było prawdą? Gdyby Marco miał rację? Gdybyśmy naprawdę byli adoptowani, a reszta to tak naprawdę... Dziewczyna zerwała się na nogi i oparła ręce na biodrach, wzdychając głęboko.

– Ze wszystkich wierzeń i przesądów, które krążą po naszej dolinie, to jest z pewnością najbardziej atrakcyjne. Tylko jak mogłoby być prawdziwe? Co to znaczy, że my istniejemy też gdzieś indziej? Czy to, że w tym innym miejscu

jestemy martwi, ponieważ nie możemy go sobie przypomnieć... Co to niby znaczy?

– To znaczy, że może powinniśmy spojrzeć na wszystko z innej perspektywy. – Alex zamknął dziennik, podniósł kamyk i wstał. Cisnął kamieniem i przyglądał się jak ten obraca się w powietrzu, a potem wpada do wody.

– Kamień, kręgi na wodzie... – wyszeptał.

Jenny zmarszczyła czoło. Jej brat pochylił się i wyszukał kolejny kamyczek, tym razem płaski i szeroki, przyjął odpowiednią pozycję i rzucił tak, aby ten odbił się od wody.

– Tylko jeden kamień – ciągnął Alex – a pięć, sześć kręgów...

– Siedem – poprawiła go siostra.

– Masz rację, siedem.

– Co to oznacza?

– Marco mi to zawsze mówił. Musimy patrzeć na wydarzenia z innej perspektywy. Ostatnie odbicie jest dalekie od pierwszego. Przynajmniej piętnaście metrów... Fale z pierwszego kręgu nigdy nie dotkną ostatniego. Znikną zanim zdołają tam dotrzeć.

– Z innej perspektywy... – szepnęła, wpatrując się w idealną geometrię kształtów na wodzie. Alex odwrócił się i podszedł do Jenny. Wbił w nią czyste spojrzenie swoich błękitnych oczu.

– A gdyby nasze życie nie było pojedynczą ścieżką? Gdyby ta egzystencja, Sam-en, szkoła, nasze rodziny, gdyby to wszystko było tylko kręgami wokół prawdziwego ja?

– Alex, ale... – próbowała uciec wzrokiem, bliskość Alexa wprawiała ją w zakłopotanie.

– Spójrz na mnie, proszę. Możesz mi powiedzieć, że nie czujesz niczego niewytłumaczalnego? Czegoś, co nie jest częścią naszego życia tutaj? Ten sen sprzed kilku lat to obudził. Ale to uczucie nie zrodziło się tutaj.

– Obawiam się, że na razie nie umiem zrozumieć tego, co tak naprawdę czuję... Uśmiech Alexa nabrał pewności, w jego głosie było słyhać inne wibracje.

– Założę się o swoje własne życie, że od tamtego dnia nie możesz przestać o tym myśleć. Bo ja nie mogę. Oddaliliśmy się od siebie, ignorowaliśmy się, unikaliśmy rozmów. Marco natomiast, cóż... on chyba od początku wiedział.

Jenny westchnęła, spojrzała najpierw na Alexa, potem na kręgi na wodzie. Gdy znów przeniosła wzrok na brata, ujrzała osobę, która czeka na ważną odpowiedź.

– No dobrze, przyznaję, że o tym myślę – wyznała. – A właściwie próbuję o tym nie myśleć, przecież to chore.

– Nie, Jenny. – Alex wziął jej dłoń i położył na swojej piersi. – To wszystko prawda. Wierzę w każde słowo Marca, w jego opowieści, w jego wizję. Wierzę w

niego.

– Boję się... – Broda Jenny drżała lekko, kiedy próbowała zmusić się do uśmiechu, jej oczy zaszyły mgłą.

– Czego?

Ona odwróciła wzrok i znowu przyglądała się powierzchni rzeki, teraz już zupełnie gładkiej. Myślała o kręgach. Tylko jeden kamień, tyle reperkusji. Tylko jeden umysł, tyle żyć. Popatrzyła z powrotem na Alexa i poczuła jak wypełnia ją nowa siła, jakaś niezachwiana pewność. – Boję się, że jestem w tobie zakochana.

– Jenny! Alex! – nawoływanie, które rozległo się za ich plecami, odbijało się echem w całej dolinie, niszcząc spokój, który zalegał w tym zakątku Sam–en–Kar. Głos kobiety był wysoki i ostry, poznaliby go z każdej odległości. To była Seina, ich adopcyjna matka.

– Tu jesteście! – krzyknęła, kiedy ich dostrzegła. Jenny zaczerwieniła się i splotła ręce za plecami jakby miała coś do ukrycia.

– Szukam was od godziny!

– Cały czas byliśmy tu, nad rzeką... – powiedział Alex, zauważając łzy w oczach matki. – Co się stało? Kobieta otarła oczy ręką i zebrała kasztanowe włosy w koński ogon. Zazwyczaj stanowcza i nieskłonna do wybuchów emocji, tym razem Seina najwyraźniej straciła nad sobą kontrolę. Jej twarda skorupa, która sprawiała, że czasami wydawała się wręcz niedostępna czy nieprzyjazna, teraz rozpadała się pod ciosami jakiegoś nieoczekiwanego wydarzenia. Jej małe, szare oczy, zwykle zimne i bez wyrazu, były teraz pełne wzruszenia.

– Musicie natychmiast ze mną iść.

Alex instynktownie zamknął oczy. Przez ułamek sekundy w jego głowie pojawił się obraz nieruchomego ciała Marca leżącego bez życia w pokoju, w którym spędzili razem tyle czasu. Potem ujrzał spowiednika, który przybył, aby odprawić typowy dla tradycji Sam–en rytuał zwany ostatnim pożegnaniem. Wokół zbierała się grupka dalekich krewnych załanych łzami. Spróbował natychmiast przepędzić te wizje, w końcu to wcale nie musiało być to, mogło zdarzyć się wszystko. Może dom się spalił albo ich adopcyjny ojciec miał wypadek na polu.

– To była Tesse, powiedziała mi kilka godzin temu – dodała Seina – idziemy!

To imię utwierdziło Alexa w przekonaniu, że coś stało się jego najlepszemu przyjacielowi. Cała trójka oddaliła się od rzeki i weszła na wiejską drogę prowadzącą do miasteczka. Nikt nie śmiał powiedzieć słowa, ale Alex i Jenny co chwilę spoglądali na siebie ukradkiem, ich umysły nie potrzebowały słów, aby się porozumieć. Zrozumieli. Po latach wątpliwości, strachu, po próbach uciszenia niewygodnych głośników w najdalszych zakątkach ich serc, wreszcie zdecydowali się uwierzyć. Marco nie mógł zostawić ich samych właśnie teraz.

Kiedy weszli do domu przyjaciela, przywitała ich spracowana twarz jego ojca, Fleura. Małomówny, doświadczony rolnik, wyglądał na gburowatego, ale były to tylko pozory stworzone przez jego wygląd zewnętrzny – krępą budowę

ciała, twarz poprzecinaną długimi bliznami i głębokimi zmarszczkami oraz grube, krzaczaste brwi. W rzeczywistości był człowiekiem o szczerzłym sercu. To on należał na adopcję Marca, poświęcając na nią całe żniwa z odległego roku 376, ale o tym wiedziała tylko jego żona Tesse. Alex i Jenny nigdy nie zamienili z Fleurem więcej słów niż „dzień dobry” i „do widzenia”, a nawet w tych wypadkach witali się i żegnali skinieniem głowy, nie otwierając ust.

Seina weszła z nimi na pierwsze piętro domu, ale zatrzymała się w korytarzu, obserwując scenę z daleka. Alex i Jenny wsunęli nieśmiało głowy do pokoju przyjaciela i naraz wybuchnęli płaczem na widok jego szelmowskiego uśmiechu. Siedział na łóżku oparty o dwie wysokie poduszki, nie było przy nim żadnego spowiednika, żadnych pożegnalnych rytuałów, żadnych zapłakanych krewnych.

– Musiałem to zrobić – szepnął słabym głosem. – Wybaczcie mi.

Alex podbiegł do niego i mocno go przytulił.

– Ty żyjesz. Żyjesz, do cholery! Myślałem, że już nie usłyszę twojego głosu.

– Miałem trochę zaległego snu – zażartował Marco, uśmiechając się do Jenny, która była wyraźnie wzruszona. Alex uścisnął rękę przyjaciela.

– Wyzdrowiałeś... zupełnie!

– Nigdy nie byłem chory.

– Tamtego dnia, znaleźli cię przy studni. – Alex zapatrzył się w przestrzeń, jakby te sceny na nowo rozgrywały się przed jego oczami. – Leżałeś nieprzytomny. Od tamtej pory już się nie obudziłeś. Nie pamiętasz co się stało?

– Czy ktoś ci to zrobił? – zapytała Jenny, słysząc jak Seina za ich plecami odwraca się i schodzi na niższe piętro do Tesse i Fleura. Marco próbował unieść się na poduszkach, ale seria skurczów mięśni mu to uniemożliwiła.

– Tylko wam mogę opowiedzieć... ale uprzedzam, ani słowa. – Marco spojrzął na nich porozumiewawczo.

– Słowo – zapewnił go Alex i ponaglił go gestem, żeby zaczął opowiadać. – Więc tak, ktoś jest za to odpowiedzialny. Jenny otworzyła szeroko oczy.

– Zawsze tak uważałam! Wszyscy mówili o jakiejś dziwnej chorobie, aleja... ja wiedziałam!

– Kto to był? – zapytał Alex podniesionym głosem. – Co to za sukinsyn? – Właśnie na niego patrzycie – odparł Marco spokojnie. Jenny odwróciła się, spoglądając pytająco na Alexa, który z kolei patrzył z wyrzutem na przyjaciela.

– Żartujesz sobie z nas?

– Absolutnie nie.

– Przepraszam, bo nie rozumiem... Mówisz, że...

– ...że sam doprowadziłem się do tej śpiączki, Alex. Dobrze mnie zrozumiałeś. Poprosiłem starego Meurona o mały wspomagacz medyczny... Wiesz, że kiedyś był zielarzem? Jest naprawdę genialnym ekspertem. Eksperymentuje z

lekiem na...

– Chwileczkę – przerwała mu Jenny – Sam się tak urządziłaś? Dlaczego? Zwariowałaś?

– Pamięć.

Jenny złapała się za głowę i wbiła wzrok w ścianę przed sobą.

– Co to niby znaczy?

– Któregoś dnia to do mnie dotarło – odpowiedział Marco, uśmiechając się lekko. – Kiedy wreszcie udało mi się dopasować kilka elementów układanki, wciąż zbyt wielu mi brakowało. Jedynym sposobem był powrót do tamtego miejsca. Kiedy przypomniałem sobie Pamięć, zrozumiałem, czego potrzebuję.

– Nie wiem o czym mówisz, przyjacielu – oświadczył Alex, kręcąc głową. – Ale tym razem nieźle narozrabiałeś, przesadziłeś. Przecież prawie umarłeś!

– To był jedyny sposób, a przynajmniej miałem taką nadzieję. Odkryte przeze mnie fakty to potwierdzały. W stanie kompletnej nieświadomości, wyłączając jakąkolwiek aktywność ciała, umysł zyskuje wolność podróżowania, to jedyna możliwość dostania się do Pamięci. Już tam byliśmy, byliśmy tam wszyscy razem. Na razie nie możecie tego pamiętać, ale któregoś dnia, kto wie...

– Pamięć... to jakieś miejsce? – zapytała Jenny, Alex wstał i poszedł w jej stronę.

– Tak. Jest tym, co zostaje, kiedy nasz umysł jest żywy, ale ciało nie odpowiada. Coś w rodzaju snu na jawie. Miejsce zaludnione przez wspomnienia nasze i innych.

– Powiesz nam, czego tam szukałeś? – zapytał Alex. Marco znowu próbował unieść się na łokciach, z ogromnym wysiłkiem oparł się na krawędzi łóżka, wbijając palce w prześcieradło.

– Prawdy.

Alex i Jenny obserwowali z przejęciem jak ich przyjaciel próbuje poruszać nogami.

– Myślałem, że będzie gorzej – oznajmił Marco. – Czy oni robili mi regularne masaże? Atrofia moich mięśni jest mniejsza niż się spodziewałam.

– Wiem tylko, że jakiś lekarz przyjeżdżał tu z Garen dwa razy w tygodniu... – odpowiedział Alex, nie mając pojęcia, co znaczy słowo atrofia.

– Zapytam moją matkę, nie przejmuj się. Obawiam się, że przez kilka kolejnych tygodni będę zmuszony używać tego. – Marco wskazał wzrokiem wózek inwalidzki stojący w kącie pokoju. Alex drgnął, widok wózka wywołał zimny dreszcz na jego plecach. Poczul w sobie dziwną pustkę, jakby jego ciało spadało w przepaść. Instynktownie złapał się oparcia łóżka. Jenny spojrzała na niego pytająco.

– Teraz już wiem, że jesteście ze mną – ciągnął Marco. – Czuję to. Wspomnienia wrócą i do was, jestem tego pewny. Wy też to zobaczycie. Ja żyję, tam po drugiej stronie. Nie wiem, gdzie trzymają was, ale wiem, że was też nie

zabili. Widziałem więzienie. Podróżowałem we wspomnieniach mojego strażnika. Jest tyle rzeczy, które muszę wam opowiedzieć...

– Strażnika? – szepnęła Jenny łamiącym się głosem.

– Most jest nienaruszony. W tamtej rzeczywistości jestem więziony w izolatce, mam osiemdziesiąt osiem lat. Tu niedługo skończę osiemnaście. Nie wiem, ile jeszcze zdołam żyć w tamtym miejscu, ale mam już wszystkie koordynaty, które są nam potrzebne.

– Potrzebne do czego? – zapytał Alex, starając się wierzyć w słowa przyjaciela.

– Do powrotu.

SIEDZIBA SYNAPTYKI, MARINA, GAJA.

Anna siedziała samotnie w sali nr 129. Przysiadła na zielonym krześle obok łóżka Jenny i obserwowała dziewczynkę, która stała się już kobietą. Jej oczy były przymknięte, jakby próbowała je otworzyć, ale nie była w stanie. Jej długie, kasztanowe włosy były czyste i pachnące dzięki zabiegom higienicznym zaplanowanym na poranek poprzedzający ekstrakcję. Według słów Thierry ego, który odprowadził ją na dwunaste piętro, po czym się ulotnił, Alex i Jenny byli pod wpływem leków usypiających, których podawanie wymuszał protokół ekstrakcyjny. W każdej chwili mogli się obudzić, ale nie było wskazane przyspieszać tego procesu. Czekać aż Jenny otworzy oczy, Anna rozmyślała o zaskakujących obrazach, które jej pokazano. Kościół. Plac. Dłoń. Twarz mężczyzny. Sceny z przeszłości tak dalekiej, że trudno było w to uwierzyć. A jednak, była to ta sama przeszłość, do której należał jej ojciec Nathan. Film trwał niespełna dziesięć minut, był zlepkiem najbardziej interesujących fragmentów uzyskanych na drodze ekstrakcji. Niektóre wyraźne, inne zamglone. Niektóre sekwencje wyglądały na zniszczone, brakowało im ciągłości i sensu. Te najwyraźniejsze, w prawie nienaruszonym stanie przedstawiały lampion wiszący nad drewnianymi schodami. Schody łączyły molo zawieszane nad oceanem z plażą poniżej. Każdy detal tego obrazu był tak wyraźny, jakby wspomnienie nie zostało naruszone upływem czasu. Z tego co mówił Thierry było to wspólne wspomnienie Alexa i Jenny. Kolega pokazał jej również prawdziwe cyfrowe archiwum, na którym przechowywano wszystkie ekstrakcje, ponumerowane i opatrzone datą. Zbiór liczył siedemdziesiąt cztery pozycje. Jej zadaniem była poprawa tego wyniku. Jedno było pewne, ale Anna oczywiście nie mogła tego powiedzieć ani Danie, ani Thierryemu. Aby wydobyć coś jeszcze ponad to, co udało się uzyskać w ciągu siedemnastu lat badań, należało zawiesić podawanie Neurexu. Trudno było myśleć o wyciągnięciu kolejnych wspomnień z umysłów poddanych działaniu inhibitora synaptycznego. Anna dobrze wiedziała, że Alex i Jenny posiadają niezwykle zdolności, które czynią ich niebezpiecznymi. Telepatia, sterowanie myślami, czytanie cudzej pamięci, te ich umiejętności były już znane. Ile razy, w Sam-en, odczuwała ukłucie współczucia dla tych ludzi, którzy spijali każde słowo z jej ust, dla tych klientów, którzy pomimo wahania w końcu zawsze decydowali

się dokonać zakupu, dla jej rywali, którzy wycofywali się z udziału w aukcji lub jakiegokolwiek sporu. Jej umysł był kluczem. Z tego samego powodu Alex i Jenny byli trzymani pod ścisłą kontrolą. Osłabieni, hamowani, ograniczani. Najwyraźniej w momencie ujęcia zostali momentalnie ogłuszeni, aby nie byli w stanie użyć swoich mocy do dalszej ucieczki.

– Jestem waszą nową lekarką – poinformowała Anna, siląc się na beznamiętny, profesjonalny ton, choć nie była pewna czy pacjentka ją słyszy. Powieki dziewczynki zaczęły drżeć, a niektóre drobne zmarszczki wokół jej oczu najpierw się wygładziły, by potem znowu wyostrzyć. Nagle Jenny otworzyła szeroko oczy. Rozchyliła usta jakby chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobyło się jedynie ciche westchnienie, palce zacisnęła na fałdach prześcieradła. „Co się dzieje...?” – pomyślała Anna. Jenny wpatrywała się nieruchomo w sufit. Po kilku chwilach jej mięśnie się rozluźniły i ręce opadły luźno wzdłuż boków. Twarz także się wygładziła, powieki zamknęły. Kobieta pomyślała, że mógł to być skutek uboczny podawanych leków i stwierdziła, że lepiej zostawić dziewczynę w spokoju, dopóki sama się nie wybudzi. Wtedy, niespodziewany jak zimny dreszcz, rozległ się szep. Nie dochodził jednak z ust Jenny, ale z jej wnętrza. „Pomóż mi.” Anna zerwała się na nogi, serce waliło jej jak młotem. Porwała z łóżka kartę kliniczną i udawała, że czyta aby zyskać na czasie i odzyskać nad sobą kontrolę. Przed oczami przesuwały się litery, ale w głowie wciąż brzmiało to samo zdanie: „Pomóż mi”. To nie był głos Jenny. To wcale nie był głos. To była myśl. Kiedy dziewczyna otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła, Anna stała z kartą medyczną w dłoniach. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nikt nie może podsłuchać ich umysłów. Ponownie spojrzała na Jenny, na jej napiętą twarz.

– Zostałam przydzielona do opieki nad wami – poinformowała chłodno, ale w środku pomyślała: „Jestem tutaj, Jenny. Nie bój się”.

Dziewczyna skinęła lekko głową i uśmiechnęła się nieśmiało. Zmarszczyła czoło jakby przeszukiwała zasoby pamięci. Próbowала sobie odpowiedzieć, czemu instynkt podpowiadał jej, aby zaufać nowej lekarce.

„Pomóż mi” – pomyślała znowu, po czym przeniosła wzrok na drugie łóżko, na którym leżał pogrążony we śnie Alex. „Pomóż nam”.

Kiedy Anna wyszła przez rozsuwane drzwi na parterze Synaptiki, wieczorne niebo miało ołowiany kolor, a w powietrzu czuć było nadciągającą burzę. Wiatr podrywał z chodników śmieci i suche liście, jakby zapraszał je do jakiegoś chaotycznego tańca. Anna otuliła się szczelniej kurtką i ruszyła w swoją stronę. Maszerowała niespiesznym krokiem przez uliczki w centrum, od czasu do czasu podnosząc głowę, by spojrzeć na drapacze chmur, które były architektoniczną dumą miasta. Często, na pokładzie stacji podwodnych, takich jak Mnemonica, kamery umieszczone na zewnątrz podczas rejsu, w nocy rejestrowały migające światła na szczytach tych budynków, zanim jeszcze dostrzegły oznakowania miejsc

cumowniczych wzdłuż wybrzeża.

Anna nie spojrzała w twarz żadnemu z przechodniów, ale kątem oka obserwowała ich wszystkich. Nieobecne oblicza, egzystencje bez celu, armia spętanych umysłów. Groteskowa polityka, którą dobrze zapamiętała, musiała osiągnąć zamierzony cel w ciągu tych osiemnastu lat. Przekonała obywateli, że takie życie im się podoba. Sprawiała, że uwierzyli, iż dobrze się czują w rzeczywistości ograniczającej ich wolność i potrzeby. To było lepsze od wojny. Lepsze od głodu. Pamiętała, że Ian często opowiadał jej o kondycji człowieczeństwa, podkreślając fakt, że rewolucja nigdy nie będzie możliwa w systemie, w którym większość obywateli gotowa jest bronić własnym ciałem założeń Dobrobytu. Żaden z nich nigdy nie będzie podróżował. Żaden z nich nigdy nie dokona żadnej zmiany. Żadna z ich opinii nigdy nie będzie się liczyć. A jednak oni przyjmą ten stan rzeczy z radością. „To jest życie pozbawione sensu” – powtarzał zawsze Ian, a jej ojciec Nathan potakiwał w milczeniu.

Samochody stojące w ulicznym korku wracały powoli do domu. Poruszały się powoli, w uporządkowanym szyku. Pierwsze krople deszczu zaczynały dudnić o szyby. Anna coraz bardziej oddalała się od centrum, miejsce budynków o pięknych fasadach zaczynały zajmować magazyny i niskie domki o liszajowatych ścianach i powybijanych szybach. Wzbijane przez wiatr tumany kurzu kłuły jej twarz niczym rój pszczół. Anna podniosła kołnierz kurtki, otuliła się nim szczelnie i kichnąwszy kilka razy z uporem ruszyła przed siebie. Tymczasem deszcz stawał się coraz bardziej uporczywy, mocząc jej rudo-siwe włosy i mieszając się ze łzami spływającymi po policzkach. Płakała, wyzywając otaczający ją świat. Błagała, aby los oddał jej Iana. Płakała, wspominając swoje dzieciństwo na Gai, kiedy była małą dziewczynką o inteligentnych oczach, która zapamiętywała każdą listę lub sekwencję liczb, jaka nawinęła jej się pod rękę. A Ian, lojalny przyjaciel i powiernik jej i jej ojca Nathana, był zawsze blisko, uśmiechnięty i pełny optymizmu, który nie pasował do tamtego miejsca, do tamtych czasów.

Jeśli Alex i Jenny zostali potraktowani jak króliki doświadczalne, to może oszczędzono również Iana. Mógł już umrzeć z przyczyn naturalnych, biorąc pod uwagę jego wiek. Z pewnością nie mogła o to zapytać ani Dany, ani Thierry'ego. Ale musiała się dowiedzieć. Za wszelką cenę.

Nagle zatrzymała się na skrzyżowaniu. Po prawej stronie, rząd śmietników emanował przyprawiającym o mdłości zapachem. Malowane kredą linie na asfalcie były od zawsze symbolem policyjnej władzy na Gai. Okalały sylwetki martwych ciał przestępców lub wywrotowców zastrzelonych w biały dzień. To miało być ostrzeżenie. Sposób, aby ludzie wiedzieli, że przestępca został stracony z zimną krwią i że ryzyko bycia następnym nikomu się nie opłacało. Anna była świadoma ekstremalnych metod policji. Jej ojciec widział na własne oczy wykonanie wyroku na ich dalekim krewnym, kiedy ona była jeszcze nastolatką. Zawsze powtarzał jej,

że musi unikać najmniejszego choćby podejrzenia co do nieskazitelnosci jej społecznego prowadzenia się.

Anna nie zatrzymała się przy przepelnionych śmietnikach ze względu na kredowe szkice na ulicy. Zatrzymała się, bo właśnie dotarło do niej, co musiała zrobić, w absolutnej tajemnicy i tak szybko, jak tylko to możliwe.

„Muszę ich stamtąd zabrać”.

Gdy dotarła do domu, Diletta zaczęła natarczywie miauczeć i ocierać się o jej nogi, aż wreszcie Anna zauważyła, że miseczki kotki były puste. Wylizane do czysta wyglądały jak nowe.

– Przepraszam cię, kochanie, przepraszam – powiedziała, zapalając światła w małym magazynie, który od zawsze służył jej za mieszkanie i laboratorium. Zaraz coś dla ciebie znajdę.

Ale jej myśli wciąż krążyły wokół tego samego. Wokół zamiaru, który postanowiła zrealizować nawet kosztem zagrożenia życia Alexa i Jenny oraz swojego własnego. „Jeśli Alex i Jenny rozpoznają mnie albo przy następnej ekstrakcji zostanie wydobyte wspomnienie o naszym ostatnim spotkaniu, to będzie koniec dla nas wszystkich. Thierry dowie się, że byłam z nimi w samochodzie tej nocy, gdy zostali zatrzymani. Dowie się o próbkach śliny, o mojej umowie z Ianem. Nie mogę do tego dopuścić!”

Później, gdy Diletta spała już zwinięta w kłębek na poduszce, Anna usiadła przy stole w laboratorium nad czystą kartką papieru. Wzięła do ręki ołówek i zaczęła szkicować twarz mężczyzny. Stopniowo z rysunku wyłaniały się oczy, kontury szczęki, kąciki ust i kształt nosa. Czuła jak powoli zatracą się w tym obliczu, w tym słodkim wspomnieniu. To był Slev. Jego szeroki uśmiech i łagodne spojrzenie.

W szczytowym momencie koncentracji i wewnętrznego spokoju, Anna ześlizgnęła się w wir czasoprzestrzeni, nareszcie znowu świadoma mechanizmu psychicznego, który umożliwiał podróże między wymiarami. Jej umysł był jej środkiem transportu. Musiała odtworzyć w myślach wszystkie detale rzeczywistości, która wydawała się tak daleka. Wtedy przywracała połączenie. Przerzucała most. Wtedy mogła wyruszyć w podróż.

Jej serce łączyło się ze swoją alternatywną wersją w Sam-en i nikt nie był w stanie jej w tym przeszkodzić. Musiała to zrobić, nie było chwili do stracenia. Nadszedł czas, aby odnaleźć Alexa, Jenny i Marca. I powiedzieć im prawdę.

Kiedy otworzyła oczy w swoim domu w Garen, leżała w łóżku, ubrana w lekką koszulę nocną, a Slev chrapał obok. Rozglądając się w ciemności poczuła nagły niepokój. Serce skoczyło jej w piersi, a umysł zalała seria przerażających wizji. Szkliste oczy Jenny spoglądające na nią z martwej twarzy, Thierry uśmiechający się przebiegle pod nosem, nieprzytomne spojrzenie Alexa wbite w nieruchomą sylwetkę dziewczyny, pełna dezaprobaty mina Dany przeglądającej

wyniki jej pracy.

Anna wiedziała co to oznaczało. To był lęk przed porażką. Strach, że nie uda jej się wyciągnąć stamtąd Alexa i Jenny. Że nie zdoła im pomóc. Kiedy tylko uspokoiła nieco oddech, wstała i starając się zachować ciszę, wyjęła ubranie z drewnianej komody. Wyszła z sypialni i ubrała się w ciemności, po czym opuściła dom, kierując się do pobliskiej stajni. Mieli tam wypożyczalnie powozów. Wiedziała, że w nocy nie było żadnego dozorca. Na jej korzyść działał również fakt, że w ostatnich dniach cała uwaga mieszkańców była skoncentrowana na Rundzie Garen i biorących w niej udział ogierach czystej krwi. W tej stajni takich nie było. Ona jednak zadowoliliby się jakąkolwiek szkapiną, która tylko zdoła dowieźć ją do Kar.

Wspaniała wiadomość o przebudzeniu Marca rozprzestrzeniała się po ulicach Kar, zarażając wszystkich dobrym humorem. Poproszono go nawet, aby mimo trwającej rekonwalescencji wrócił do szkoły przynajmniej na jeden dzień i spotkał się ze swoimi kolegami. Tydzień po jego powrocie do żywych, Fleur i Tesse zawieźli go na wózku inwalidzkim do centrum miasteczka. Stanęli przy Wielkiej Fontannie, to stamtąd zawsze wyruszały lekcje – wycieczki, typowe dla systemu nauczania Kar. Koledzy powitali go ze szczerym entuzjazmem, dość niezwykłym w stosunku do małomównego ucznia, który często zaniedbywał szkołę na rzecz swoich prywatnych studiów. Jednak dwie długie Pory, w trakcie których balansował na granicy życia i śmierci, wstrząsnęły nauczycielami i kolegami, teraz wszyscy odetchnęli z ulgą, widząc go całego i zdrowego. Dodatkowo zbliżały się jego osiemnaste urodziny, niedawno rozpoczął się 394 rok Kalendarza Sam–en. Chłopiec urodził się szóstego dnia Pory Księżyca, a przynajmniej tak zadeklarowali jego rodzice urzędnikom z archiwum miejskiego Kar, Skłamali, ponieważ adopcje dokonywane w mieście Garen i Tor były źle widziane przez mieszkańców doliny. Zarówno rodzina Marca, jak i Alexa i Jenny ukrywała ten fakt. Zresztą prawdziwa data urodzenia całej trójki pozostawała tajemnicą, którą znała tylko Anna. Na razie chłopiec kończył osiemnaście lat szóstego dnia nowego roku i była to jedyna obowiązująca wersja.

– Gdzie masz okulary? – zapytał Alex kilka godzin później, pchając wózek Marca do domu po porannych lekcjach, jak obiecał to jego rodzicom.

– Nigdy ich nie używam przy specjalnych okazjach, a dzisiejsza właśnie taka mi się wydawała.

– To znaczy, że... wolisz nic nie wiedzieć?

– To znaczy, że... – Marco przytrzymał powiekę jednym palcem, a drugą ręką wyjął z oka soczewkę kontaktową, pokazując przyjacielowi – używam tego. No, teraz rzeczywiście nic nie widzę. Alex zatrzymał się, obszedł wózek dookoła i ukląkł przed przyjacielem. Wziął szkło do ręki i przyjrzał mu się pod światło. Uniesione brwi i otwarte usta świadczyły o jego zaskoczeniu.

– Co to za wynalazek?

– Soczewki, Alex. Soczewki kontaktowe. Czasem naprawdę się dziwię, ile rzeczy nie dociera tu, do naszego miasteczka.

– A gdzie to robią?

– Jest masa producentów w Tor, kilku też w Garen. Ja zwinąłem je w Garen,

z Centrum Dioptrażu.

– Coś takiego...

– Tak, ale nie podczas ostatniej podróży. W czasie tej pierwszej. Mam paczkę z dwudziestoma parami, ale trzymam je na specjalne okazje. Myślę, że znowu założę je na swoje urodziny, tyle że chyba moja wada się pogorszyła.

– A na jak długo ci wystarczają?

– Można je założyć tylko raz. Na początku w ogóle ich nie czujesz, ale po kilku godzinach zaczynają przeszkadzać. Kiedy miałem dziewięć lat odkryłem, że pracują nad nowym modelem, bardziej wytrzymałym, można by go używać nawet przez pół Pory.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś. – Alex wstał i wrócił do pchania wózka. Marco pochylił się i masował obolałe łydki. Skurcze dawały mu się we znaki przez cały poranek.

– Musisz się kiedyś ze mną wybrać do Garen. To i tak będzie dopiero pierwszy krok. Jest tyle miejsc do obejrzenia.

– Zapewne.

– Mamy prawie osiemnaście lat. W miastach za górami w tym wieku uważają cię już za dorosłego, wiedziałeś?

– Te miasta na północy... Naprawdę są tak inne?

– One są przyszłością, Alex. Widziałeś moje szkła kontaktowe. Widziałeś kroplówki w moim pokoju.

– To prawda, są niesamowite.

– To nie są cuda, to tylko owoc ludzkiego geniuszu. To nauka. Marco uśmiechnął się i skręcili z głównej drogi w piaszczystą ścieżkę prowadzącą na peryferie.

– Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć – powiedział, wyjmując z kieszeni stare okulary.

Alex zatrzymał wózek i spojrzał na przyjaciela. –Co?

– Muszę porozmawiać z tobą i Jenny – odpowiedział. – Tylko nasza trójka. Jak najszybciej.

– W porządku. Kiedy, jutro?

Czarne oczy Marca, głębokie i pewne jak ton jego głosu, wpatrywały się nieruchomo w Alexa. Przenikliwe i pełne mocy jak wezbrana rzeka. – Dziś w nocy.

Ciepła woda pieściła delikatnie ciało Jenny, pachnąca piana unosiła się na powierzchni, ukrywając jej intymność.

Była już prawie pora kolacji, ale w domu zalegała cisza. Seina i jej mąż Deier nie wrócili jeszcze z warsztatu. Ojciec był kowalem i stolarzem, miał mały zakład w Kar. Ostatnio często zostawał dłużej razem z żoną ze względu na okresowe podliczenia i inwentaryzację. Alex był w domu Marca, a może poszedł pomóc rodzicom.

Jenny przymknęła powieki. Zanurzyła się powoli, aż woda zakryła jej brodę, wtedy rozluźniła mięśnie całego ciała.

Oczy Alexa.

Jego oddech, uśmiech.

Ich splecione palce.

Czy to mogło być prawdą? To uczucie, ta siła, która odbierała jej oddech. Absurdalna, nie do zaakceptowania, niemożliwa do wyznania. A jednak to wszystko było tak żywe. Tak niewłaściwe, jak realne. Owoc tłumionego pożądania, wibracja nieznanego Wszechświata. Zanurzona w wodzie prawie do ust, Jenny gładziła swoją aksamitną skórę, muskając ją opuszkami palców. Poddać się temu pocałunkowi, zawierzyć słowom Marca, zaufać pełnemu przekonaniu spojrzeniu Alexa... to wszystko było równoznaczne z zawaleniem się całego jej dotychczasowego świata.

Nieoczekiwany dźwięk wyrwał ją z rozmyślań.

– Przepraszam. – Sylwetka Alexa majaczyła w półcieniu otwartych drzwi.

W migotliwym świetle świec, które nadawały wnętrzu barw sepii, wśród leniwie opadającej piany przezierwały fragmenty przejrzystej wody. Alex spojrzał na zawstydzoną twarz siostry, jej zarumienione policzki, spłoszone oczy.

– Alex...

– Myślałem, że wyszłaś.

Jenny uśmiechnęła się nerwowo.

– Rodzice wrócą późno – ciągnął brat, starając się patrzeć wszędzie, tylko nie na wannę – byłem na chwilę w warsztacie. Powiedzieli, żebyśmy zjedli sami. Jeszcze raz przepraszam, było cicho, nie wiedziałem, że tu jesteś... – Nie przejmuj się – odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Alex odwrócił się i zaczął zamykać za sobą drzwi.

– Jest jeszcze coś – twardy ton Jenny zatrzymał go w miejscu. – Coś, o czym chciałam ci powiedzieć.

Alex odwrócił się i zrobił kilka kroków w jej stronę. Twarz miał napiętą, oczy wbite w podłogę. Zatrzymał się przed lustrem słabo oświetlonym przez pojedynczą świecę stojącą na drewnianej półce pod spodem. Oparł ręce na umywalce. W półcieniu widział niewyraźne odbicie profilu Jenny.

– Słucham cię.

– Nigdy mi nie odpowiedziałeś. – Jenny wynurzyła się nieco z wody, która teraz sięgała jej ramion.

– Na co?

– Wiesz. Na to, co powiedziałam ci nad rzeką.

Alex napotkał wzrok siostry w lustrzanym odbiciu. W głowie natychmiast zabrzmiało mu tamto zdanie „Boję się, że jestem w tobie zakochana”, o którym tak często ostatnio rozmyślał. Tamtego dnia niespodziewane wybudzenie Marca

przyćmiło wszystkie inne wydarzenia. Ale Jenny miała rację. Więcej o tym nie wspomnieli.

– Bo widzisz, żeby uwierzyć w całą tę historię – ciągnęła – nie wystarczy wierzyć w opowieści Marca. Nie wystarczy mi, że ty jesteś przekonany. Że uważasz, że świat, o którym on opowiada naprawdę istnieje. To za mało... rozumiesz?

– Myślę... Chyba tak.

– Byłam przerażona, kiedy ci powiedziałam...

– Jenny... – Alex odwrócił się, oparłszy plecy o krawędź umywalki.

– Ja wierzę Marcowi. Wiesz o tym. Wierzę mu absolutnie. – Ale...

– zaciął się, a ona spojrzała na niego pytająco, jakby z odrobiną smutku. – Ale to, co jest między nami, nie wiem jak to rozumieć. To mnie przeraża, źle się z tym czuję. Z jednej strony chciałbym się do ciebie zbliżyć, z drugiej coś mnie powstrzymuje. Paraliżuje. Jenny wpatrywała się w niego z napięciem, w końcu lekko skinęła głową, dając do zrozumienia, że dzieli z nim te same uczucia i wątpliwości.

– Długo od tego uciekaliśmy, broniliśmy się przed tym, próbowaliśmy to ignorować. Efekt jest taki, że już nie potrafimy patrzeć sobie w oczy.

– Co według ciebie powinniśmy zrobić?

Jenny spuściła wzrok, zagapiając się na pianę dryfującą po powierzchni wody i pokręciła powoli głową, nie znajdując właściwiej odpowiedzi. Alex, onieśmielony, wciąż wpatrywał się we własne buty, pragnąc uszanować jej prywatność.

– Muszę zrozumieć kim tak naprawdę jesteśmy – powiedziała w końcu. – Nie chcę więcej widzieć tego zakłopotania na twojej twarzy, czuć napięcia w twoim towarzystwie.

– Ale ja jestem zakłopotany – odpowiedział, wciąż błędząc wzrokiem po podłodze.

– Mógłbyś zacząć od spojrzenia mi w oczy.

Aleks milczał przez kilka chwil. Potem się uśmiechnął. Uniósł głowę, westchnął i zrobił to, o co go poprosiła. Jej głos mógł wydawać się spokojny, ale twarz świadczyła o czymś zupełnie przeciwnym.

– Jeśli nadal jesteś tym samym Alexem, z którym się wychowałam, a cała ta zwariowana historia jest tylko bzdurą, to... podejdź do mnie.

– Jenny, ja...

– Pamiętasz, w co bawiliśmy się w kąpielni jako dzieci? – zapytała, unosząc się wyżej na łokciach opartych o brzegi wanny.

– Chyba nie – odparł Alex, odwracając szybko głowę, bojąc się widoku nagiego biustu Jenny.

– Jak to nie? Siadaliśmy naprzeciw siebie w wannie, po czym łączyliśmy

stopy i staraliśmy się z całych sił nawzajem wypchnąć. – I kto wygrywał?

– Chyba nikt... Ale i tak było zabawnie.

– Teraz byłoby inaczej, marnie byś skończyła! – roześmiał się, z powrotem spoglądając na siostrę, która zanurzyła się nieco głębiej, żeby ukryć piersi. – Nareszcie.

– Co?

– Nareszcie jesteś taki jak wcześniej. Żartujesz i potrafisz spojrzeć na mnie bez wstydu. Potrzebuję tego Alex. Czy jesteś moim bratem czy nie, nie chcę patrzeć jak ciągle się zamartwiasz.

– Myślisz, że nie mógłbym wejść do tej wanny? Że się nie odważę?

Jenny spojrzała na niego zaskoczona, przez moment zabrakło jej słów. Alex w mgnieniu oka zdjął koszulkę, po czym zaczął rozpinąć spodnie. Ona instynktownie odwróciła głowę.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała.

– Mówiłaś, że chcesz się dowiedzieć, kim naprawdę jesteśmy. Świetnie. Ja też.

Kilka chwil później Alex siedział w wielkiej wannie naprzeciw siostry. Próbował znaleźć przestrzeń dla nóg, ramiona oparł na brzegach balii. Ona patrzyła na niego groźnie, podczas gdy przedostatnia świeca dopalała się za jego plecami.

– Naprawdę to zrobiłeś...

– Zrobiłem.

– Zwariowałeś czy co?

– Próbuję tylko przewyciężyć zakłopotanie.

– Jesteś moim bratem... – oświadczyła Jenny, nagle poważniejąc – nie powinieneś siedzieć ze mną w wannie. Ton jej głosu był czymś pośrednim między pytaniem a stwierdzeniem.

– Przecież – uśmiechnął się Alex, bawiąc się pianą – robiliśmy to już setki razy.

– Tak, tyle że byliśmy dziećmi.

– To czego się boisz?

Jenny zanurzyła się aż po brodę i przyciągnęła do siebie nogi wystawiając kołana nad powierzchnią wody. – Na przykład, że w każdej chwili mogą wrócić rodzice.

– Ale my się tylko bawimy... – Alex nabrał pełną garść piany i cisnął nią w Jenny. Ona natychmiast podniosła lewą rękę, żeby odpłacić mu tym samym, ale on momentalnie zamknął jej nadgarstek w żelaznym uścisku, a potem zaczął łaskotać ją drugą ręką. Był to ruch, z którego Jenny nigdy nie potrafiła się wyzwolić. Jej słaby punkt. W okowach histerycznego śmiechu traciła wszelkie siły stając się łatwą ofiarą.

– Przestań! Przestań do cholery! – krzyczała, rozchlapując wodę na

wszystkie strony.

– Ani myślę...

– Niech cię szlag! Przestań!

Szamotali się tak jeszcze przez chwilę aż ostatnia świeca zgasła, wypełniając pomieszczenie zapachem wosku. Nastąpiła ciemność.

Wtedy Alex i Jenny stali się na powrót dziećmi dokazującymi w tej samej wannie, która w ich wspomnieniach miała rozmiary basenu. Wolni, beztroscy. Nieświadomi.

– Wierzysz w to?

– W co?

– Że tylko się bawimy.

Czas się zatrzymał. Alex i Jenny znieruchomieli, jedno wpatrywało się w oczy drugiego, ciała splecione pod powierzchnią wody. Alex w prawej ręce ścisnął nadgarstek Jenny, ona obejmowała jego plecy. Niczym zatrzymany kadr dziecięcej zabawy, zamrożony przez ciężką historię. Przez uczucie, które torturowało ich swą realnością. – Powiedz to – szepnął Alex, zbliżając się w ciemności do jej twarzy. – Powiedz, o czym myślisz.

Jenny odczekała kilka chwil, oddychając ciężko, jej oczy były zamknięte. Następnie odpowiedziała, jakby słowa Alex wyważyły drzwi do jej serca, drzwi, które od wielu lat były zabarykadowane.

– O niczym. Chcę myśleć o niczym.

On milczał, uwalniając ją z uścisku. Przesunął się do niej jeszcze bliżej. Wsunął dłoń pod powierzchnię wody, położył na plecach siostry i przyciągnął ją do siebie. Kiedy piersi Jenny dotknęły torsu Alexa, ich twarze odnalazły się w ciemności.

Jego usta delikatnie dotknęły jej warg. Ciemność i cisza były oprawą tej chwili poza czasem, chwili zapisanej w księdze przeznaczenia, chwili, która nareszcie dla nich nadeszła, daleko od całego świata. Wbrew jakimkolwiek przewidywaniom i uprzedzeniom, podążając za jedyną iskrą, która od zawsze oświetlała im drogę. Miłość nie znająca reguł, niewytłumaczalna. Niepowstrzymana siła, która wymyka się schematom, nakazom czy protokołom. Prawdziwy napęd ludzkiego działania, nośnik najczystszej energii, ale i najbardziej niszczycielskiej.

Dwa ciała wzburzyły wodę pod cieniutką warstwą niemal zupełnie rozpuszczonej już piany. Nareszcie sami, z dala od oceniających spojrzeń, nareszcie świadomi, kim naprawdę byli. Porwał ich wir emocji, o których istnieniu nie mieli pojęcia. Ale one istniały. Istniały od dawna.

Gdzie indziej. Daleko.

Po drugiej stronie.

Nad doliną Kar zapadła noc.

Nad brzegiem rzeki Laari, przy południowych krańcach Doliny, tam gdzie wznosiły się góry, za którymi leżało miasto Garen, kobieta i jej koń zatrzymali się, aby odzyskać siły. Pozwolili sobie na postój w tej leśnej okolicy, poprzecinanej krętym biegiem rzeki. Na niebie wisiał półksiężyc o zdziwionej minie, wokół rozbrzmiewał chór setek słów. Tylko kilka godzin snu, tyle ile wystarczyło Annie, aby przenieść się z powrotem do siedziby Synaptiki, do Gai. Oczy chłopca są półotwarte. Jasne włosy wygniecione na poduszce, drżące powieki, próbuje się obudzić. Działanie leków uspokajających minęło kilka godzin wcześniej, ale Neurex wciąż krąży w jego żyłach. Jego pamięć długotrwała, tak jak u Jenny, jest zablokowana. Nie jest w stanie przypomnieć sobie swojego życia ani żadnej sensownej sekwencji zdarzeń. Pojawiają się jakieś fragmenty, z których jednak nie da się ułożyć całości, skrawki, z których nie sposób zszyć obrazu przeszłości. Światło słoneczne wpadało przez duże okna w sali szpitalnej, lekkie podmuchy wiatru od czasu do czasu wzdymały śmietankowe zasłony. Anna siedziała przy łóżku Alexa, trzymając w rękach ósmy kabelek, wcześniej siedem innych podłączono do przyssawek na głowie chłopca. Gdy tylko spojrzała na panel umieszczony na półce obok łóżka, ten ożył. Pojawił się czarny kwadrat poprzecinany poziomymi, przerywanymi liniami. Tymczasem chłopcu udało się otworzyć najpierw jedno, potem drugie oko. Kiedy ją dostrzegł nie okazał zdziwienia, tylko się jej przyglądał. Bez wyrazu. Nieruchomo.

– Słyszysz mnie? Słyszysz mój głos? – zapytała Anna, wyciągając kartę medyczną.

Alex zmarszczył brwi i przytaknął z pytającą miną.

– Dobrze, przejdźmy do weryfikacji aktywności płatów skroniowych – dodała, przeglądając dokumentację.

Twarz chłopca przywoływała wspomnienia, które kobieta pogrzebała dawno temu. Alex mrugał nerwowo, miał oczy nastolatka, który bezwiednie stał się mężczyzną. Jego źrenice błyszcząły czystym błękitem kontrastującym z otaczającą go wszechobecną szpitalną bielą.

– Co pamiętasz z ostatniego tygodnia? Przeczytała głośno Anna, nie podnosząc na niego wzroku.

– L... lód – odpowiedział z trudem po kilku sekundach.

– Co wtedy czułeś?

– Zimno, ból... – wciąż wpatrywał się w jakiś punkt na suficie. – Strach, że stamtąd nie wyjdę.

– Dobrze. Teraz mi powiedz, co pamiętasz z poprzedniego roku. Alex pokręcił głową.

– Niczego nie pamiętasz?

Rozejrzał się wokół siebie, po czym spróbował unieść się na łokciach. – Nie wiem...

– Musisz leżeć – poinformowała go zimno Anna, kontrolując na monitorze sinusoidy obrazujące aktywność jego mózgu, kiedy odpowiadał na pytania. – Opowiedz mi jakieś wspomnienie z dzieciństwa. Możesz to zrobić?

Alex leżał niewzruszony. Na jego twarzy widniała maska obojętności i bezradności.

– Nie możesz? – naciskała.

– Ja...

– Jeśli nie możesz, to trudno, przejdziemy do następnego pyt...

– Anna – przerwał jej nagle – ty jesteś Anna, prawda? Kobieta instynktownie odsunęła się od niego. „Rozpoznał mnie... – pomyślała z napięciem. – Pamięta mnie”.

– Anna... Marco... – powtórzył znowu chłopak.

Broda mu drżała, jakby ze wzruszenia, ale może była to tylko reakcja na leki. Z pewnością w gruzach jego pamięci coś się jednak ostało. Dokładnie to, czego Anna najbardziej się obawiała. Nagle za jej plecami rozległ się nosowy głos Thierryego.

– Interesujące... – powiedział z chytrym uśmieszkiem pod nosem.

Anna podskoczyła i odwróciła się w jego stronę.

– Dana prosiła, żebym miał cię na oku – oświadczył mężczyzna. – Ale nie sądziłem, że uzyskam kompromitujące cię informacje tak szybko.

Uśmiechnął się szeroko do Alexa, po czym rzucił kontrolne spojrzenie na Jenny, która leżała w milczeniu po drugiej stronie pokoju, jej oczy były szeroko otwarte.

Anna popatrzyła na korytarz za jego plecami, ludzie w zielonych fartuchach kursowali tam i z powrotem jak zawsze.

– Nie rozumiem co masz na myśli – oświadczyła stanowczo kobieta.

– Litości – Thierry uniósł brwi – czyja wyglądam na głupiego? Zwrócił się do ciebie po imieniu. Znacnie się. Anna wstała i spojrzała na kolegę poirytowana.

– Podalam pacjentom moje imię, kiedy się przedstawiałam. Oczekuję przeprosin.

Thierry zamknął szklane drzwi do sali numer 129 i podszedł do Anny.

– Zdajesz sobie sprawę, jakie będą konsekwencje, jeśli zgłoszę tę sprawę?

– Jaką sprawę? Wykonuje swoje obowiązki, zachowuję procedury, punkt po

punkcie – zgodnie z regulaminem.

– Oni wiedzą, kim jesteś. Ta sala jest wyposażona w system rejestrujący dźwięk. Nie zauważyłaś kamer, więc myślałaś, że możesz mówić swobodnie. Ale tak nie jest. Ach, i... pani doktor, nigdy nie podała pani swojego imienia w tym pokoju. Gwarantuję to pani. Anna odchrząknęła, przełknęła nerwowo ślinę i wbiła w Thierryego swoje najgroźniejsze spojrzenie. Zobaczyła jak odwraca się w stronę szklanych drzwi oddzielających ich od korytarza, po ich drugiej stronie pracownicy w szarych fartuchach maszerowali uzbrojeni w pliki dokumentów, interaktywne tabliczki i kartonowe pudła.

– Zmiana kończy się za pięćdziesiąt pięć minut – powiedział, podchodząc do niej tak blisko, że mógł niemal wyczuć przyspieszony rytm jej serca.

Anna zmarszczyła czoło i przyjrzała mu się ze zdziwieniem.

– Słucham?

Mężczyzna wyjął z kieszeni urządzenie, które było mniejszą wersją standardowych tabliczek. Anna jeszcze nigdy takiego nie widziała. Wyglądało jak piloty zdalnego sterowania, których używano w fabrykach do kontrolowania maszyn. Widziała kilka takich w dzieciństwie.

Thierry wystukał coś na ekranie urządzenia i spojrzał na Annę.

– Teraz możemy rozmawiać. Wyłączyłem nagrywanie.

– Nie rozumiem.

– Dana jest wciąż w Lender. Za godzinę nie będzie tu żywej duszy oprócz kilku strażników. Ale oni pod nieobecność Dany wykonują moje rozkazy. Anna spojrzała na Alexa i zobaczyła nieme zdziwienie na jego twarzy. Jenny natomiast wyglądała na sparaliżowaną strachem, z uporem wpatrywała się w sufit.

– Jest niewiele rzeczy, których dyrekcja Synaptiki o mnie wie –ciągnął Thierry. – Których nigdy nie odkryła.

– O czym mówisz? – zapytała zdezorientowana.

– Moją ogromną pasją są instrumenty muzyczne, to wielka szkoda, że zakazali ich sprzedaży. Anna zmrużyła oczy, jakby próbowała odgadnąć rozwiązanie zagadki.

– Oprócz tego jestem przyjacielem mężczyzny o imieniu Mark, on prowadzi sklep na peryferiach. Jest byłym programatorem Lax, teraz rozprowadza fałszywe profile, handluje kradzionymi samochodami... Ale nikt go nigdy na niczym nie złapał, bo świetnie zna się na nowoczesnej technologii. Jest mistrzem zacierania śladów.

– Jeśli chcesz mnie sprowokować, żebym coś powiedziała, to ja... – Anna podniosła głos, ale zorientowała się, że nie było to konieczne. – Mark jest szwagrem Bena. Bena, syna Iana, rozumiesz? Kiedy Thierry wypowiedział to imię, Anna poczuła, że brakuje jej tchu. Jej źrenice się rozszerzyły, a serce zaczęło tłuc się w piersi jak szalone.

– Skąd ty wiesz... – jej słowa zawisły w powietrzu, a twarz mężczyzny wygładziła się w przyjaznym uśmiechu.

– Dalej pani nie rozumie, pani doktor? – Thierry rzucił kontrolne spojrzenie za szklane drzwi, nagle wydał się energiczny, zdeterminowany i dużo bardziej sympatyczny. Schował tabliczkę do wewnętrznej kieszeni i popatrzył na Annę nagle.

– Jestem po twojej stronie – oświadczył z dumą, jakby od dawna czekał na ten moment. – Resztę opowiem ci w nocy. Anna przycisnęła rękę do piersi i westchnęła głęboko, zamykając na chwilę oczy. Trwało to dosłownie mgnienie, tyle ile potrzebowała, aby ucieszyć się w głębi duszy z tego nieoczekiwanego obrotu rzeczy.

– W nocy? – zapytała.

– W nocy. Kiedy już się stąd wydostaniemy.

Anna przeczesała włosy palcami i pokręciła głową z niedowierzaniem, ale szybko przywołała się do porządku, zdając sobie sprawę, że ktoś na korytarzu mógł zauważyć jej nietypowe zachowanie i nabrać podejrzeń. Złożyła ręce, na jej twarzy malowała się determinacja i gotowość. Skinęła porozumiewawczo głową, pieczętując w ten sposób ich pakt. Jeszcze nie nadszedł moment, aby napisać koniec tej historii.

Kiedy Anna czekała z Thierrym na koniec zmiany w Synaptice mieszczącej się w Marinie, na kontynencie Gaja, jej alternatywna wersja wypoczywała nad rzeką przy południowej granicy Doliny Kar, na ziemiach Sam-en. Marco usłyszał dźwięk kamyka uderzającego o szybę jego okna. Złapał laskę opartą o ścianę i zerwał się z łóżka. Z trudem pokonał pierwsze trzy stopnie schodów, krzykiem oznajmiając rodzicom przybycie Alexa i Jenny. Tesse pobiegła podtrzymać syna, podczas gdy Fleur przygotowywał jego wózek. Kiedy matka otworzyła drzwi, szerokie uśmiechy Alexa i Jenny rozświetliły mroki wieczoru.

– Tylko nie siedźcie za długo, bardzo was proszę. On jest wciąż słaby. – Kobieta ucałowała czoło Marca i cofnęła się do domu. Alex złapał za rączki wózka i zabrał się za jego pchanie. Jenny podziwiała ozdoby, które rodzice Marca wywiesili, przygotowując dom do zbliżających się urodzin syna. Zapowiadało się huczne przyjęcie, całe miasteczko żyło jego ozdrowieniem.

– Wciąż mam pewne trudności... motoryczne – szepnął Marco.

– Po to tu jesteśmy – odparł Alex i pchnął mocniej.

– Cieszę się, że przyszliście.

– Gdzie idziemy? – zapytała Jenny.

– Muszę porozmawiać z Meuronem, umówiłem się z nim na później. Dlatego teraz, jeśli macie ochotę, moglibyśmy pójść w stronę tawerny pani Doro. Na przykład na Kupiecki Placyk, co wy na to? O tej godzinie nie będzie tłumów.

– Do usług – krzyknął Alex, klepiąc przyjaciela po plecach, ale nagle poczuł jak po jego ciele przeszedł zimny dreszcz.

– Nie wiem dlaczego – powiedział cicho, jakby bał się własnego głosu – ale za każdym razem, gdy spojrzę na ten wózek czuję się jakoś dziwnie. Nie umiem tego opisać, to takie wrażenie jakbym już kiedyś widział tę scenę.

– Może dlatego, że już ją widziałeś – odpowiedział Marco. Cała trójka przemierzała niespiesznym krokiem ulice miasteczka częściowo oświetlone latarniami wiszącymi na drewnianych fasadach budynków. Przeszli przez stare miasto pełne wąziutkich zaułków i ciasnych placyków, omijając dzielnicę handlową, w której pełno było sklepów i lokali, gdzie mogliby się natknąć na znajomych lub krewnych, ciekawych co przytrafiło się Marcowi w ostatnim roku.

– Czytaliście mój dziennik, więc dobrze wiecie, co mi się ostatnio przydarzało.

– Co ci się zawsze przydarzało – sprecyzował Alex.

– No tak.

– To niesamowite, co napisałeś o swoim synu – bąknęła Jenny, patrząc przed siebie prawie jakby rozmawiała sama ze sobą. – To najbardziej absurdalna część całej tej historii, szczerze mówiąc trudno mi w to uwierzyć.

– Zdaję sobie sprawę, że dla was brzmi to nedorzecznie. Ale to on. Mógłbym go zapytać o imię jego matki, może pewnego dnia to zrobię. Ja wiem jedno, kochałem tę kobietę. Wciąż to czuję w jakiejś części mojego serca, chociaż tutaj mam tylko osiemnaście lat. Wyobrażacie to sobie? Miłość, która przekracza granice czasu i przestrzeni? Alex i Jenny nie spojrzeli na siebie, ale pomyśleli o tym samym. To, co wydarzyło się między nimi ostatniego wieczora, nie znało ograniczeń otaczającej rzeczywistości.

– Ją też widziałem, w Pamięci. Teraz, moja świadomość tego, ile ta kobieta dla mnie znaczy jest pełna. A ten chłopiec, Ben... – Marco odwrócił się i spojrzął na Jenny – on ci kiedyś uratował życie, dawno temu.

Marco opowiadał, a twarz dziewczyny była jednocześnie zadziwiona i pełna niedowierzania. Najbardziej kolorowe fantazje bajkopisarzy nie dorastały do pięt tym historiom. Zaskakujące, pełne zwrotów akcji i niesamowitych aktów odwagi. Kiedy dotarli do placu i siadali na okalającym go murku, wiedzieli już o Mnemonice. Wiedzieli o ucieczce, o poświęceniu Bena, o spotkaniu ze staruszkiem o imieniu Ian. Pozwolili, aby Marco, siedząc w wózku przed nimi, płynął dalej pod prąd linii czasu, porwany przez tysiąc wspomnień i myśli, głosem łamiącym się z emocji, opowiedział im o życiu sprzed pięciuset lat, które składał z fragmentów swojej pamięci. Wrócili do Mediolanu. Wrócili do końca świata.

Alex i Jenny zdecydowali się uwierzyć. Jedynym powodem, dla którego to robili był ten czar, od którego nie mogli już uciec, to nieznośne przyciąganie zrodzone nie wiadomo gdzie i kiedy.

– Jestem pewny, że wciąż żyjecie po drugiej stronie – powiedział Marco, podczas gdy przejeżdżający powóz wzbudził tuman kurzu.

– Ale dopiero co powiedziałaś, że nas zastrzelili – zauważyła Jenny.

– Jastel jest nieświadomy tego, co go otacza, nie pamięta, nie może pamiętać. Nie wie nic o Benie, o sobie samym. Wy tak. Nie jesteście białą kartką, na której zaczęto pisać osiemnaście lat temu. Ten sen, który śniliście jakiś czas temu wymknął się komuś spod kontroli. Ten sen i ten pocałunek dotarły aż tutaj. Są waszą łącznością z Wszechświatami. – Marco uśmiechnął się, poprawiając okulary na nosie. – A właściwie jedynym powodem, dla którego dalej mnie słuchacie, zamiast uznać, że zwariowałem, jak zrobiłby to ktokolwiek inny.

– Co się tam dzieje, w tej równoległej rzeczywistości, jak ją nazywasz? – zapytał Alex.

– Niedługo to odkryje. Mam już koordynaty. I wreszcie przypomniałem sobie jak się ich używa. Nasze umysły są kluczem. Jenny gwałtownie poderwała

głowę patrząc na Marca, na jej twarzy malował się jednocześnie niepokój i zaciekawienie. Znała to sformułowanie. Nie pamiętała skąd, ale z pewnością je znała.

– Co to znaczy?

– Możemy odnaleźć most, pod warunkiem, że wiemy gdzie zmierzamy. Jedyne problem, to odbudować to miejsce w naszych umysłach. A ja je widziałem.

– Jakie miejsce? – chciał wiedzieć Alex.

– Miejsce, w którym więzią mnie od osiemnastu lat. Miejsce, w którym, jeśli szybko czegoś nie zrobimy, niedługo umrę.

– Już czas. Wszyscy wychodzą. Ruszamy.

Nosowy głos Thierryego był pełny determinacji. On i Anna omówili pośpiesznie ogólne zarysy ich planu, ale jej wciąż wydawało się, że ten w większej części opierał się na improwizacji. Jednak nie było już czasu na wątpliwości. Należało przejść do czynów. We wszystkich korytarzach Synaptiki, na wszystkich jej dwudziestu czterech piętrach, rozległ się donośny sygnał. Oznaczał koniec godzin pracy. Od tego momentu każdy, kto miał zamiar wrócić do domu kierował się w stronę wyjścia. Ci, którzy nocowali w siedzibie firmy, a niektórzy pracownicy to robili, tak jak napomknęła Dana, zaszywali się w ciasnych pokoikach, z których nie wychodzili aż do następnego poranka. Ruch w korytarzu na dwunastym piętrze zamarł już jakiś dziesięć minut wcześniej. Alex i Jenny byli wybudzeni, leżeli nieruchomo na swoich łóżkach w pokoju numer 129. Podwójne oblicze Thierryego i dla nich nie stanowiło już tajemnicy, ale wciąż nie mieli odwagi zwrócić się do niego choćby słowem.

– Jesteś pewien tego, co mamy zrobić? – zapytała kobieta, zerkając na korytarz.

– Jestem pewien tego, co zrobią tej dwójce, jeśli ich stąd nie zabierzemy.

– Jednej rzeczy nie rozumiem... Gdybym się tu nie zjawiła.,, jakbyś sobie poradził?

– Ale się pojawiłaś – odparł, otwierając drzwi. – Jak myślisz, kto ci dał tę pracę? Potrzebowałem cię. Dana zawsze zostawiała mi wolną rękę w sprawie zatrudniania nowego personelu. Może w to nie uwierzysz, ale ona niewiele o tobie wie. Kilka nieznaczących szczegółów z twojego curriculum vitae. Nie wie natomiast, kto był twoim ojcem. Nie wie, do czego jesteś zdolna. Annę zatkało. Do czego była zdolna i co wiedział ten mężczyzna?

– Poczekaj tu chwilę. – Nakazał Thierry, wychodząc. – Muszę sprawdzić kilka rzeczy.

Przytaknęła i usiadła obok łóżka Jenny. Dziewczyna spróbowała się do niej uśmiechnąć, wymieniły pełne zaufania i lojalności spojrzenia.

– Nie zasłużyliście sobie na to wszystko, co was spotkało – szepnęła Anna, samotna łza spłynęła jej po policzku i skapnęła na prześcieradło.

– Gdzie idziemy? – zapytała Jenny łamiącym się głosem. – Musimy się stąd wydostać. Alex zakaszlał za jej plecami.

– Nawet nie wiem, co jest na zewnątrz – wykrztusił w końcu. Thierry wrócił

po kilku minutach. Zamknął za sobą drzwi, zwrócił się do Alexa i Jenny.

– Wszystko gotowe. Pamiętajcie, cokolwiek by się nie działo, musicie się zachowywać jakbyście wciąż byli pod wpływem leków. Leżcie spokojnie i udawajcie, że śpicie.

Anna wstała. Thierry położył jej rękę na ramieniu.

– Już czas. Jesteś gotowa?

– Tak – odpowiedziała, choć ręce jej drżały. – Myślę, że tak. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym każde z nich podeszło do jednego łóżka, ona do Jenny, on do Alexa. Odblokowali hamulce i wypchnęli je na korytarz. Po chwili natknęli się na ochroniarza i Anna po raz pierwszy zobaczyła Thierryego w akcji, poczuła jak serce pompuje adrenalinę w jej żyłach. Na szczęście umundurowany mężczyzna szybko się uchylił, żeby zrobić im miejsce, ruszyli dalej w kierunku windy.

– Nie jedziemy tą – powiedział Thierry – nie zmieściłyby się w niej dwa łóżka, idziemy do towarowej, przeznaczonej do transportu pacjentów.

– Gdzie ona jest?

– Zaraz za rogiem.

Skręcili dwa razy w prawo, aż dotarli do metalowych rozsuwanych drzwi. Mężczyzna przeciągnął palcem wskazującym po tabliczce, po chwili winda nadjechała. Drzwi się otworzyły.

– Co powiedziałaś tamtemu strażnikowi?

– Że jedziemy na badania do podziemnych poziomów. Myślę, że dopóki jesteśmy w środku, strażnicy nie powinni robić problemów. Mówiłem ci, że pod nieobecność Dany, to ja nimi dowodzę.

– Rozumiem. Ale nie masz uprawnień żeby wywieźć ich poza budynek? Thierry uśmiechnął się, kiedy drzwi windy zasuwwały się za ich plecami, a maszyna zaczynała zjeżdżać w dół.

– Absolutnie nie. Dlatego gdybyśmy wpadli w kłopoty, twoja obecność jest nieodzowna.

Anna milczała przez chwilę, poprawiając nakrycie Jenny i głaszcząc jej miękkie, kasztanowe włosy.

– Co masz na myśli? – zapytała w końcu.

– Wiem, że nie jesteś taka jak ja. – Na wyświetlaczu za nim migotał numer 7. – Wiem, co potrafisz. Anna pokręciła głową, na jej twarzy malowało się zakłopotanie. Spojrzała na mężczyznę pytająco.

– Osiemnaście lat temu te dzieci zostały trafione nabojami usypiającymi, które zawierały benzodiazepiny i pewną ilość Neurexu. Wszystko po to, żeby nie były w stanie użyć swoich zdolności manipulowania umysłami. W przeciwnym wypadku uciekłyby bez problemu. Wiesz, znam mężczyznę, który doznał tego właśnie z ręki dziewczyny, którą tu teraz wieziemy. Nazywa się Jonas, pracował w

jednostce Bena na pokładzie Mnemoniki. Pewnie próbował ich zatrzymać w czasie ucieczki. W każdym razie, w tej chwili jest pacjentem wariatkowa w Roden. Nie mam pojęcia, co zrobiła mu Jenny, ale miałem okazję badać go w czasie stażu. Nie za dobrze się ma...

Anna patrzyła jak Thierry chichocze i zaczęła się zastanawiać. Sam-en. Aukcja, na której kupiła aptekę. Jej dar przekonywania. Rywale wycofujący się z licytacji. W następnych miesiącach te same osoby zaczęły przychodzić do jej sklepu, wyglądali na lekko oszołomionych, kiedy z nimi rozmawiała.

– W porządku, wiem o czym mówisz... Ale skąd masz pewność, że ja też to potrafię?

– Bo dałaś już tego dowód. Anna uniosła brwi.

– Kiedy?

– Kiedy Alex zawołał cię po imieniu, a ty próbowałaś się przede mną wytłumaczyć. To był taki test. Tego potrzebowałem, aby rozpocząć ucieczkę.

– Nie rozumiem...

– Anno – Thierry spojrzał jej prosto w oczy – absolutnie mnie przekonałaś. Gdybym naprawdę chciał na ciebie donieść, te trzy zdania, którymi się do mnie zwróciłaś, wystarczyłyby, żeby mnie od tego odwieść. Kobieta spuściła oczy, rozpamiętując moment przerażenia, który przeżyła.

– W takim razie czemu nie ujawniłeś się wcześniej i nie wykorzystałeś umiejętności dzieci?

– Ponieważ oni są pod działaniem Neurexu, bez przerwy. Ten lek jest podawany według ścisłej procedury, która przewiduje zaangażowanie czwórki lekarzy. To prosty, ale skuteczny sposób, aby niepowołana osoba nie mogła temu przeszkodzić. Nie mam tu współników.

– Rozumiem.

– Dlatego potrzebowałem kogoś z zewnątrz, kogoś poza wszelkim podejrzeniem. Uwierz mi, nie byłem pewien, co potrafisz, dopóki nie spróbowałaś tego ze mną. Winda się zatrzymała, drzwi rozsunęły. Thierry wyszedł pierwszy, pchając przed sobą łóżko z Alexem. Anna niepewnie ruszyła jego śladem, maszerując w głąb korytarza tak długiego, że nie było widać jego końca. Poczula ostry smród zepsutych jaj, musiała ręką zatkać nos, ledwo powstrzymując mdłości.

– Co to za piętro? – szepnęła.

– Minus jeden – odpowiedział Thierry, sprawdzając czy Alex i Jenny mają zamknięte oczy. – Na końcu jest magazyn, przez który przejdziemy.

Szli jeszcze jakieś pięćdziesiąt metrów, mijając kilka par zamkniętych drzwi i przeszklenia zaciągnięte ciężkimi zasłonami. Anna była coraz bardziej zdziwiona, zdając sobie sprawę, jak rozległa jest siedziba Synapitiki. Z zewnątrz budynek wyglądał okazale, ale nigdy nie powiedziałyby, że był aż tak ogromny. Najwyraźniej podziemne piętra były dużo bardziej rozbudowane niż te nad

powierzchnią.

– Zapach, który czujesz jest wynikiem eksperymentów chemicznych na niższych poziomach, dostaje się do przewodów wentylacyjnych i dochodzi aż tutaj. Na szczęście nadziemne kondygnacje mają osobny system, inaczej ktokolwiek wszedłby przez główne drzwi do siedziby firmy, musiałby radzić sobie z tym świństwem.

Anna przytaknęła w milczeniu i skoncentrowała się na pchaniu ciężkiego łóżka. Nagle jakiś metaliczny łoskot sprawił, że podskoczyła.

– Spokojnie. – Thierry wpatrywał się uważnie w głąb korytarza, byli mniej więcej w jego połowie. – To pewnie strażnik, zajmę się nim. Chodźmy.

Przeszli kolejne dziesięć metrów, potem zwolnili. Na końcu tunelu stała grupka czterech umundurowanych mężczyzn. Twarz Thierryego ściągnęła się, kiedy zobaczył, że nie są to zwykłe mundury ochroniarzy Synaptiki.

– Coś tu nie gra – szepnął – nic nie rób. Idziemy jak gdyby nigdy nic.

Anna mocniej zacisnęła palce na obręczy łóżka. Kiedy zbliżyli się do grupy, jeden z mężczyzn wyszedł im na spotkanie, prawą rękę oparł na kaburze. Miał jasne włosy ostrzyżone na języka i szeroką szczękę. Nosił zieloną marynarkę zapiętą pod szyję i czarne spodnie wpuszczone do wysokich, ciężkich, skórzanych buciorów.

– Identyfikacja – rozkazał podniesionym głosem i podszedł do Thierryego, wyciągając w jego stronę urządzenie z zagłębieniem w kształcie palca wskazującego.

Thierry uprzedził go, dając natychmiast do zrozumienia jaką rolę odgrywał w strukturach firmy.

– Nigdy was tu nie widziałem, zatrudniamy oddziały Feniksa do ochrony firmy. Najpierw wy się zidentyfikujcie.

Agent spojrzał na plaketkę Thierryego i odpowiedział zimnym, formalnym głosem.

– Jednostka Wusk, zostaliśmy zatrudnieni przez dyrekcję Synaptiki jako wsparcie dla regularnego oddziału ochrony podczas nieobecności kierowniczki Dany.

– Nie zostałem o tym poinformowany.

– Nie było takiej potrzeby – oświadczył lodowato, dając do zrozumienia, że nie podlegał jego jurysdykcji. Odsunął Thierryego dłonią i zwrócił się do Anny.

– Proszę o identyfikację, pani doktor.

Zgodziła się bez słowa i wyrecytowała swoją formułkę, czując jak zimny pot spływa jej po plecach.

– Dokąd zabieracie tych pacjentów? – zapytał strażnik, podczas gdy trzech jego kolegów stało z tyłu na baczność.

– Wieziemy ich do...

– Nie pana pytałem – przerwał mu agent. – Pani doktor, czy może mi pani powiedzieć dokąd zabieracie tych pacjentów? Anna zaczęła gorączkowo szukać w głowie wiarygodnej wymówki, ale znajdowała tylko ponure obrazy aresztowania i śmierdzących cel, gdzieś w kazamatach tych podziemi.

– Badanie radiologiczne – zaimprovizowała. – Zgodnie z planem, jest w dzisiejszej rozpisce.

Thierry milcząco przymknął powieki. Agent odwrócił się do niego, jakby chciał uzyskać potwierdzenie.

– Słyszeliście co powiedziała pani doktor, możemy iść czy chcecie nadal przeszkadzać nam w pracy? Nie sądzę, żeby Dana była zadowolona, jeśli dowie...

– Cisza! – ryknął strażnik, podczas gdy jego koledzy wyciągali pistolety z kabur. – Na końcu tego korytarza znajduje się duży magazyn, a drzwi po jego lewej stronie prowadzą do schodów wychodzących na dziedziniec D6, nie sądzę, żebyście mieli zamiar pchać te łóżka po schodach. Sale radiologiczne są na dziewiątym piętrze.

Anna poczuła jak zęby dzwonią jej ze strachu, odetchnęła głęboko i postąpiła krok w stronę umundurowanego mężczyzny.

– Agencie – zaczęła odważnie, wpatrując się w jego bezlitosne oczy – proponuję, żeby lepiej pan to sprawdził, proszę spojrzeć na swoją tabliczkę interaktywną.

Mężczyzna zmarszczył brwi i wbił w nią lodowate spojrzenie, ale posłusznie wyjął urządzenie z kieszeni jak mu nakazała. Thierry uniósł brwi ze zdziwienia, pozostali strażnicy wciąż trzymali broń, choć celowali w podłogę. Alex i Jenny leżeli nieruchomo na swoich łóżkach, zaciskając mocno powieki. Udawali, że śpią, choć z uwagą łowili każde słowo.

– Badanie radiologiczne... – wydukał strażnik pod nosem, wpatrując się w tabliczkę, potem podniósł wzrok. – Zgadza się, ale powtarzam, że ten korytarz prowadzi do magazynu, dlatego teraz pójdziecie z nam...

– Myli się pan – przerwała mu Anna beztroskim tonem – jesteśmy na dziewiątym piętrze. W głębi korytarza należy skręcić w prawo i znajdziemy się na oddziale radiologii. Widać, że nie zdążyliście dobrze poznać budynku.

Thierry kątem oka obserwował twarze pozostałych trzech mężczyzn, wyglądali na jakieś dziesięć lat młodszych od ich dowódcy. Jednak z pewnością zostali dobrze wyszkoleni, jak mogli uwierzyć w taką bzdurę? Z pewnością znali plany tego miejsca lepiej od niego. Thierry schował ręce do kieszeni, wyczekując najgorszego.

– Dziewiąte piętro... – bąknął strażnik, odwrócił się do kolegów ze zdezorientowaną miną, jego oczy błędziły w próżni. – Jesteśmy na dziewiątym, tak?

Cała trójka spojrzała na niego z zakłopotaniem, mieli przed sobą weterana

jednostki, nie odważyliby się zakwestionować jego słów. Kolejny z fatalnych zwyczajów na Gai, który mógł się okazać niezwykle pomocny.

Niestety, podczas gdy dwóch milczało, trzeci wystąpił krok naprzód. Miał czarne krótkie włosy i pedantycznie przystrzyżoną kozią bródkę, w rękach dzierżył półautomatyczny DeLinn. Spojrzał wyzywająco na pozostałych kolegów.

– Nic z tych rzeczy. Jesteśmy na minus pierwszym. Ta kobieta kłamie.

I wycelował pistolet w Annę.

W tym samym momencie Thierry gwałtownie wyszarpnął dłoń z kieszeni fartucha i nie czekając ani sekundy sypnął zawartością przezroczystego woreczka w twarze trzech strażników. Mężczyźni zniknęli w chmurze żółtawego pyłu. Ich dowódca obserwował tę scenę w oszołomieniu, jakby był pod działaniem jakiegoś narkotyku.

Podczas gdy młoda trójka tarła oczy, wrzeszcząc z bólu, Anna skorzystała z zamieszania i odebrała broń oszołomionemu weteranowi. W tej samej chwili rozległ się strzał, który musiał paść przypadkowo z jednego z pistoletów należących do pozostałych strażników.

– Uciekamy stąd! Natychmiast! – wrzasnął Thierry, odpychając kopniakiem bezczelnego młodzika, który wcześniej odważył się przeciwstawić dowódcy.

Potem powalił pozostałych dwóch i pchnął łóżka w głąb korytarza. Anna biegła za nim. Kiedy dotarli do końca tunelu, mężczyzna odwrócił się i rozejrzał szybko wokoło.

– Którędy teraz? – zapytała Anna, podając mu pistolet. – Lepiej ty to weź.

– Nie możemy już iść przez magazyn, na pewno ktoś usłyszał strzały.

– Ale schody nie...

– Alex! Jenny! – krzyknął mężczyzna. – Wstawajcie! Łóżka muszą tu zostać.

Dwóch pacjentów momentalnie otworzyło oczy i rozejrzało się wokół siebie, Thierry wskazał im drzwi po lewej stronie. Zsunęli się z łóżek, ubrani w sięgające kolan białe koszule zapinane na plecach. Ruszyli za Anną w stronę schodów. Nagle, z wąskiego korytarzyka po prawej, wyłonił się magazynier. Ledwo zdążył spojrzeć na Thierryego, gdy ten wycelował w niego pistolet i strzelił. Kula wbiła się w ścianę tuż nad głową magazyniera, który momentalnie zerwał się do ucieczki. Thierry schował broń do wewnętrznej kieszeni. Otworzył drzwi na klatkę schodową i wspiął się na wyższe piętro, gdzie już czekała na niego reszta. Znaleźli się na dziedzińcu zastawionym wysokimi na półtora metra kontenerami w różnych kolorach. Podwóreczko służyło do przechowywania wszelkiego rodzaju odpadów, które codziennie o świcie były zabierane przez utylizatory, czyli specjalne ciężarówki. Dostawały się na teren placu przez bramę usytuowaną po przeciwnej stronie, która wychodziła bezpośrednio na ulicę.

– Zachowajcie ciszę – nakazał Thierry. – Ktoś mógłby wyjrzeć przez okno. Chodźcie ze mną.

Cała czwórka przemknęła pod ścianami budynku, docierając do bramy. Za nią ujrzeli przechodniów, samochody, zwyczajne życie miasta Marina.

– Musimy przejść na drugą stronę, ta brama otwiera się tylko dla wybranych profili, tylko utylizatory...

– Stać! – wrzasnął mężczyzna za ich plecami, który wyszedł nieoczekiwanie zza metalowych drzwi. Thierry rozpoznał mundur Feniksa, w innych okolicznościach ten strażnik powinien podporządkować się jego rozkazom. Niestety w tej chwili celował do nich z pistoletu, a po jego łysej głowie spływał nerwowo pot. Zbliżał się do nich ostrożnie. Alex i Jenny byli ubrani w szpitalne koszule, każdy pracownik Synaptiki dobrze wiedział, że jeśli chodziło o pacjentów automatycznie obowiązywał najwyższy poziom bezpieczeństwa. Doktor przyznał oczy świadomy, że jeżeli spróbuje wyjąć broń z wewnętrznej kieszeni, strażnik na pewno do nich strzeli. Alex i Jenny przywarli plecami do zamkniętej bramy.

– Zwariował pan? – krzyknęła Anna, wprawiając wszystkich w zaskoczenie. – Nie słyszy pan syreny alarmowej? Mężczyzna zrobił jeszcze kilka kroków w ich stronę, teraz przesunął lufę pistoletu na Annę. Spojrzał jej prosto w oczy i to był jego błąd.

– Nie ufałem pani już od...

– Szybko! Chce pan tu stracić życie? I jeszcze narazić nasze? Niech pan posłucha! To alarm przeciwpożarowy, do cholery! Mężczyzna spojrzął w górę i skrzywił się ze zdenerwowaniem. Jego mina, chwilę wcześniej groźna, teraz była przestraszona. Alex i Jenny wymienili porozumiewawcze spojrzenia z Thierryem. Wszyscy byli pewni, że w tym momencie strażnik słyszał wyjące syreny i dobiegający z głośników komunikat nakazujący natychmiastową ewakuację budynku.

– Proszę otworzyć tę przeklętą bramę! – naciskała Anna. – Zaraz wszyscy się tu spalimy!

Mężczyzna skinął głową i zaczął pospiesznie wpisywać kod na klawiaturze po prawej stronie bramy.

– Szybko! Uciekajcie! – krzyknął i odwrócił się, żeby ostatni raz popatrzeć na dziedziniec i stojący w płomieniach budynek, choć działało się to jedynie w jego głowie. Kiedy na powrót obrócił się w stronę drogi, cała czwórka już zniknęła.

Kilka minut później, po przeciwnej stronie budynku, Alex i Jenny, po wielu latach niewoli, mogli zobaczyć niebo. Nad miastem Marina zapadała noc, która niczym cienki welon próbowała ukryć nędzę, oszustwo i hipokryzję. Pod jej skrzydłami ożywało milion wątpliwości tej nieoczekiwanej ucieczki.

Jednak jakkolwiek nie byłoby to absurdalne, wspaniale było znaleźć się poza Synaptiką. Iść ulicami Mariny, wdychając zapach samochodowych spalin. To było niesamowite, niemal już zapomniane uczucie. Uczucie, które budziło nadzieję. Iluzja, że można być znowu wolnym.

– To szaleństwo – wydyszała Anna, chowając się w zaułku jakiegoś domu, wciąż kurczowo ścisnęła dłoń Jenny. Znajdowali się na wschód od siedziby Synapitiki, przy niewielkim placu z rondem na środku, od którego odchodziły trzy arterie prowadzące do centrum Mariny.

– Chodźcie ze mną, do tamtego parkingu – powiedział Thierry, wskazując jakiś punkt przed nimi.

– Czym potraktowałeś tamtych strażników?

– Żrącymi chemikaliami, jeśli dobrze ich trafiłem, to będą mieć poważne kłopoty ze wzrokiem – wyjaśnił i ostrożnie ruszył w obranym kierunku, reszta szła tuż za nim. Kiedy dotarli na parking, schowali się za rzędem białych dostawczaków. Thierry zdjął fartuch i pośpiesznie go zwinął, zaczął szukać czegoś w kieszeniach.

– Ktoś nas obserwuje... – szepnęła Anna.

Alex i Jenny odwrócili głowy w stronę ulicy, gdzie stał jakiś człowiek koło sześćdziesiątki. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, ponurą minę, patrzył prosto na nich.

– Rzucacie się w oczy. – Thierry wskazał ich szpitalne koszule. –Musimy stąd spadać.

– Ale jak mamy to zrobić? – zapytała Anna, próbując ukryć swe zdenerwowanie. Thierry wyciągnął jakiś szary, okrągły przedmiot i nacisnął go. Światła stojącej obok furgonetki rozbłysły i dało się słyszeć kliknięcie zwalnianych blokad drzwi.

– Do środka, szybko! – Otworzył tylną klapę i ponaglił gestem Alexa i Jenny.

Anna, okrążając pojazd przeczytała na jego karoserii napis: PANELE LAX, WY JESTEŚCIE UMYSŁEM, MY RAMIENIEM. Usiadła na przednim siedzeniu, Thierry rozejrzał się jeszcze dookoła, sprawdzając czy nie kręcą się gdzieś policjanci, po czym usadowił się za kierownicą.

Kobieta ze strachem zerknęła przez brudne szyby samochodu, a Thierry uruchomił silnik.

– Pomijając tych kilka nadprogramowych numerów, to chyba nieźle wszystko zapanowałem, co? – starał się rozładować napięcie, ruszając z wyrazem nerwowej satysfakcji na twarzy.

Oprócz kilku wlotów powietrza, przestrzeń ładunkowa furgonetki była

całkowicie oddzielona od świata zewnętrznego. Gdy ich oczy przyzwyczyły się do ciemności, Jenny przysunęła się do Alexa i przytuliła do jego piersi.

– Wydostaliśmy... – zaczęła łamiącym się głosem. – Wydostaliśmy się stamtąd.

Trwali tak kilka chwil w ciszy przerywanej jedynie stukotem amortyzatorów na dziurawej drodze.

– Anna, ona... – szepnął Alex, gładząc delikatnie włosy dziewczyny.

– Pamiętam ją. Ufam jej. Jestem pewna, że jest po naszej stronie. Tylko nie mogę sobie przypomnieć dlaczego. Nie wiem, kiedy ją poznaliśmy.

– Był tam też Marco – stwierdził Alex ze wzruszeniem, wspominając twarz przyjaciela. – Wtedy też uciekaliśmy, pamiętam, że się bałem.

– Co oni nam zrobili? Tyle lat...

Jej pytanie zawisło w powietrzu. Alex westchnął głęboko, ale nie odpowiedział. Nachylił się do Jenny i ucałował jej szyję, zamierając z ustami przytulonymi do jej włosów.

– Co to jest? – zapytała Anna, gdy przejeżdżali obok imponującej budowli stojącej na środku rozległego placu. Była tak wysoka, że przysłaniała niebo.

– Co, statek?

– Tak. – Kobieta podziwiała ogromną reprodukcję oświetloną rzędami czerwonych i niebieskich świateł, które tworzyły niesamowitą poświatę wokół napisu wytłoczonego na kadłubie dużymi, drukowanymi literami: WSCHÓD.

– Żartujesz? Przecież on tu stoi od zawsze, to symbol. Od kiedy Gaja... Anno, wszystko w porządku? Kobieta przez kilka chwil zastanawiała się, czy ma powiedzieć Thierryemu coś więcej o ostatnich osiemnastu latach swojego życia, ale zdecydowała się milczeć. Jej wspomnienia z alternatywnego życia wciąż były niejasne. Znała strukturę tego świata, jego zwyczaje i język, ale wciąż jeszcze nie miała pełnego obrazu zmian społeczno-politycznych jakie zaszły w ostatnich czasach.

– Chcę wiedzieć, co się stało, Thierry – powiedziała w końcu. – Jak do tego doszło?

Doktor skręcił łagodnie w wąską drogę, jechał ostrożnie, uważając na przepisy. Przed każdym skrzyżowaniem rozglądał się, sprawdzając czy gdzieś nie czai się radiowóz.

– Formuła – powiedział, odchrząknąwszy. – Wszystko zaczęło się od formuły. Dużo się zmieniło, od kiedy pojмалиśmy te dzieci.

– My?

– Ja też tam byłem. – Thierry wpatrywał się w przednią szybę, jakby przypominał sobie wydarzenia tamtej nocy. – Byłem wtedy jednym z ich najlepszych ludzi, ludzi rządu. Służyłem pod rozkazami pozbawionego skrupułów faceta, nazywał się Ivan. Przez lata udawało mu się mną manipulować. Potem ci o

tym opowiem. Na razie wiedz tylko, że... No właśnie, cokolwiek widzisz, a właściwie cokolwiek widziałas wokół siebie, od kiedy się urodziłaś... to wszystko jest pod jego kontrolą. Zapytaj jednak kogoś z obywateli kim jest ten Ivan, nikt nie będzie umiał ci odpowiedzieć.

– Chcesz mi powiedzieć, że rząd Gai, Dobrobyt i cała reszta... za wszystkim tym stoi jeden człowiek? A ty byłeś jego prawą ręką?

Thierry zwolnił przed skrzyżowaniem. Mozaika kolorowych świateł rozganiających mroki miasta przesuwiała się po masce ich samochodu, malując na nim fantastyczne wzory. Pozostawiali za sobą centrum Mariny, kierując się na przedmieścia, gdzie łatwiej było się ukryć przed ewentualnym pościgiem.

– Ivan nie miał żadnej prawej ręki. Sam trzymał wszystkie sznurki. Stworzył sobie jednak mały oddział zawodowców, który wykonywał jego rozkazy.

– Czyli brałeś udział w pojmaniu Alexa i Jenny?

– To była wojskowa akcja, nie wychylałem się, ale tam byłem. Prowadziłem terenówkę, jechałem zaraz za ciężarówkami. Wszystko widziałem. Żołnierzy, którzy zatrzymali jeepa, oślepiające reflektory wycelowane w dzieci i staruszka... Strzały. Anna zamknęła oczy, wydawało jej się, że przeżywa tę scenę od nowa. Że znowu ukrywa się w zaroślach na poboczu, zaraz za samochodem Iana.

– Staruszka?

Thierry odwrócił się do niej, unosząc brwi.

– Dobrze wiesz, o kim mówię – powiedział, wydając z siebie chichot, który przyprawił Annę o dreszcze. Nagle ogarnęło ją przekonanie, że ten mężczyzna pomagający im w ucieczce nie jest ich przyjacielem. Może to było tylko wrażenie, instynktowna nieufność jej natury.

– Co się z nim stało? – zapytała Anna.

– Dzięki temu człowiekowi Ivan zdobył formułę, a cała trójka została oszczędzona. To dzięki niemu Wschód stał się kolonią Gai.

– Thierry, powiedz mi, co stało się z tym mężczyzną.

– Nie umarł jeszcze ze starości, jeśli o to ci chodzi. W tej chwili siedzi w Ośrodku Karnym Mariny. W izolatce, od osiemnastu lat. Z całego tego ciągu szokujących informacji, Anna zrozumiała tylko ostatnią, tę najbardziej wyczekiwaną. Resztę będzie musiała przemyśleć później. Liczyło się tylko jedno, że Ian nadal żył. Broda zaczęła jej drżeć, a oczy zaszyły łzami. Ona, chłodna profesjonalistka, zdyscyplinowana i obowiązkowa, przestrzegająca protokołu w najdrobniejszych szczegółach, kiedy trzeba było stawała się wojowniczką gotową odegrać kluczową rolę w rozgrywce przeciwko reżimowi. Ona, ta sama kobieta, która przekraczała granice Wszechświatów, aby podarować trójce dzieci nowe życie w nowej, pokojowej rzeczywistości, teraz płakała. Płakała, ponieważ tory na nowo się zbiegły, drogi skrzyżowały. Płakała, ponieważ nie miała już żadnych wątpliwości, że jej powrót był nieodzowny. –Wiele o tobie wiem, Anno –

powiedział Thierry. – Wiem, co cię łączy ze starym Ianem. Minęli rząd samochodów stojących przed skrzyżowaniem z drogą prowadzącą do portu Mariny, była to długa aleja biegnąca do samego oceanu. Skręcili w nią i podjechali aż do nabrzeża. Granat lustra wody rozmywał się w nocnym niebie. Thierry zatrzymał wzrok na jednym z budynków zwieńczonych szyldem HORUS –BIURO HANDLOWE.

– Za każdym razem, gdy widzę ten biurowiec, pojmuję znaczenie mojego życia. Drogę, która przywiodła mnie tu, gdzie jestem.

Anna spojrzała na gmach majaczący za samochodową szybą i zmarszczyła czoło.

– Który, ten? Co się w nim wydarzyło?

– Nie, nie w tym budynku. W Horus. Wiem, że znasz historię podwodnej stacji Mnemonica, ale chyba nie wiesz, że cumowała w porcie Horus osiemnaście lat temu. Tuż przed ucieczką syna Iana z Jenny.

– Bena?

– Aha, Bena. Tego naukowca. Cóż, na rozkaz Ivana zainscenizowano fałszywe spotkanie, na którym miały niby zostać przekazane tajne dokumenty. Nie wiem jak, ale Ben przeżył zamach. Prawdopodobnie spóźnił się kilka minut. Lokal, w którym ustawiono wymianę wyleciał w powietrze, ale jego nie było w środku. To było w Horus.

– Nie wiedziałam o tym – powiedziała Anna. – A co ty miałeś z tym wspólnego?

– To ja przygotowałam ładunek wybuchowy. – Thierry pokręcił głową, przyspieszając. Strefa portowa nikła za ich plecami. Anna milczała, przypominając sobie opowieść Iana o ucieczce jego syna z pokładu Mnemoniki.

– To Ian jest za to wszystko odpowiedzialny – kontynuował z irytacją Thierry. – Gdyby zabrał formułę do grobu, nic by się nie wydarzyło.

– Nic, to znaczy co? – Anna przyglądała się blokowiskom, którymi zabudowano całą dzielnicę leżącą pomiędzy centrum a peryferiami miasta. Wielkie betonowe sześciany o anonimowych fasadach, kolorystyka zamknięta w odcieniach szarości, tej samej, którą widać było na twarzach ludzi.

– Ivan miał w kieszeni ten kontynent na długo przed pojmaniem waszej trójki. Teraz, przez tę przeklętą formułę, kontroluje całą planetę. Ale to nawet nie jest największy problem.

– To znaczy?

– Prawdziwym problemem jest zagrożenie, które zawisło nad Wszechświatami. Anna zdziwiła się, słysząc w jego ustach określenie, o którym sądziła, że nie miał pojęcia. Spojrzała na niego pytająco. Za szybami furgonetki zaczynały materializować się widoki zapuszczonych przedmieść Mariny. Parterowe chatynki, magazyny z pozrywanymi dachami, dziurawy asfalt,

powybijane okna i płaty odpadającego tynku.

– Czyli ty wiesz o...

– Oczywiście – odpowiedział, nie czekając aż dokończy zdanie. – Nie mogę go badać, nie mogę go zobaczyć, ale wiem, że nasze życie tutaj jest tylko jednym z wielu. I, niestety, nie jestem jedynym, który zdaje sobie z tego sprawę. Władza Ivana ogranicza się do tej planety, do tej jednej egzystencji. Prawdziwym globalnym zagrożeniem jest natomiast jego córka. Anna, wstrząśnięta, przeczesła włosy palcami, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Kim do cholery jest córka tego faceta? Czemu powinniśmy się jej obawiać?

– Ona... – odpowiedział Thierry, zwalniając przed kolejnym skrzyżowaniem – jest taka jak ty. Twarz Anny napięła się ze zdenerwowania. Mężczyzna spojrział na nią swoimi czarnymi, głębokimi, pełnymi determinacji oczami.

– Córka Ivana potrafi podróżować – dodał.

Anna nie potrzebowała dalszych wyjaśnień, zrozumiała w mig. Przekonujący uśmiech i przyjazny głos momentalnie pojawiły się na scenie jej wyobraźni. Twarz o delikatnych rysach, oliwkowa cera i energiczny uścisk dłoni. Osobowość zdolna podporządkować sobie najbardziej sceptycznego rozmówcę. Ona sama znalazła się pod jej wrażeniem, ona sama wiedziała, że nie chodziło o zwyczajnie ujmujący charakter, a o dziedzictwo genetycznej manipulacji.

„Nasze laboratoria są pełne skamielin cywilizacji Dwa Tysiące, ale tu mówimy o żywych ludziach. Udało nam się dokonać ekstrakcji świadomości z ich wspomnień o kluczowym znaczeniu, ale wciąż długa droga przed nami. To badania najwyższej wagi.”

– Dana – szepnęła Anna i zacisnęła powieki.

Elektroniczna tablica wisząca na jednym z nielicznych na peryferiach Mariny budynków o więcej niż pięciu piętrach, wskazywała dwudziestą. Thierry wciąż prowadził, Alex i Jenny siedzieli przytuleni na pace furgonetki. Brodaci bezdomni włączyli się smętnie po chodnikach, pchając przed sobą supermarketowe wózki wyładowane kołdami i ubraniami. Ich spalone słońcem twarze teraz nikły w mroku słabo rozganimym przez mdłe latarnie. Okryta złą sławą część Mariny, do której się kierowali, była prawdopodobnie najniebezpieczniejszym zakątkiem kontynentu. Leżała dokładnie po przeciwnej stronie miasta niż dzielnica, w której znajdowało się niewielkie mieszkanko Anny. Jej laboratorium wznosiło się przy wschodniej granicy Mariny, podczas gdy okolica, w którą obecnie się zapuszczali leżała na jej zachodnim krańcu. Na południu zaś rozciągał się ocean, zimne i głębokie łoże, w którym przetrwała pamięć wymarłej cywilizacji i które wciąż co jakiś czas oddawało sekrety świata, który nigdy tak naprawdę się nie skończył.

– Gdzie jedziemy? – zapytała Anna.

– W bezpieczne miejsce. Do kogoś zaufanego.

– Bezpieczne miejsce? W tej okolicy? Pełno tu oprychów, co będzie jak nas ktoś zobaczy?

– Spokojnie. – Thierry spojrział w dal ponad rzędem lamp ulicznych, z których połowa została rozbita. – Jesteśmy na miejscu.

Gwarantuję ci, że nikt nas tu nie będzie szukał. A przynajmniej nie przez kilka następnych godzin.

Mężczyzna przejechał jeszcze sto metrów, po czym skręcił w wąziutką przecznice, która wydawała się Annie niewystarczająca, aby precyzyjnie się przez nią choćby najmniejszy osobowy samochód. Nieoświetlona uliczka wiła się między zdewastowanymi budynkami, Thierry wjechał w podwórko ukryte między czterema niewysokimi blokami. W niektórych oknach widać było niewyraźne światła, wokół zalegała cisza, która wydawałaby się niemal nierealna, gdyby nie rozlegające się od czasu do czasu miauczenie kota.

– Wysiadamy, tylko cicho – nakazał Thierry.

Anna wstrzymała oddech i cichuteńko domknęła drzwi furgonetki. Rozglądała się podejrzliwie dookoła. Choć wydawało się, że są sami, dobrze знаła peryferia Mariny. Wiedziała, że w takich miejscach w każdej chwili mogła pojawić się niemal znikąd ciemna postać mierzająca do nich z pistoletu. Nie trzeba było być ekspertem w dziedzinie aktualnej sytuacji politycznej, aby zrozumieć, że program

określany mianem Dobrobytu nie docierał na peryferia. Skupiał się na kontrolowaniu populacji, nie zajmował przestępczością w nic nie znaczących dzielnicach.

– Droga wolna – syknął Thierry. – Wypuśćmy Alexa i Jenny.

Anna podniosła tylną klapę i przytykając palec do ust kazała im bezszelestnie wyjść z samochodu.

– W ostatnich latach – tłumaczył cicho Thierry, prowadząc ich za sobą – bardzo wzrosła ilość band, przestępczych klanów, dealerów i przemytników, jednak to zjawisko nie wychodzi poza peryferie. W mieście nie mają żadnych wpływów ani możliwości działania. Pewnie pozwalają im tu na wszystko, mając nadzieję, że w końcu wyeliminują się nawzajem.

– No, to jesteśmy w dobrych rękach... – mruknęła Anna.

Thierry zatrzymał się obok jakichś drzwi, wyjął z kieszeni klucz i przekręcił go w zamku. Żadnego automatycznego otwierania, żadnego czytnika linii papilarnych, żadnej identyfikacji profilu. Drzwi otworzyły się, ukazując wąski korytarzyk oświetlony samotną żarówką zwisającą z sufitu. Kiedy weszli do środka, Thierry odwrócił się do nich z poważną miną.

– To jedyne ręce, które są po naszej stronie – oświadczył.

Alex i Jenny szli, trzymając się za ręce, za nimi Anna, Thierry na samym przodzie. Dotarli do wąskiej klatki schodowej pomalowanej łuszczącą się farbą i obrośniętej grzybem. Anna wciąż zastanawiała się, z kim miała do czynienia. Najpierw chemik na usługach Ivana, bezlitosnego dyktatora widmowego rządu. Potem doktor opłacany przez Dane, naukowiec opracowujący software, który pozwolił dokonać ekstrakcji ze wspomnień dzieci. Teraz również wyjęty spod prawa, szemrany rewolucjonista narażający własne życie, aby pomóc im w ucieczce. Kim tak naprawdę był Thierry?

Mężczyzna stanął u stóp schodów, rozejrzał się wokoło i wszedł do pokoju obok, a reszta za nim.

Na zniszczonej kanapie, spowici gęstą chmurą dymu, siedzieli dwaj mężczyźni wpatrzeni w telewizor marki Darren. Pierwszy był w wieku Thierryego, miał ciemną karnację, orli nos i włosy czarne jak węgiel, związane z tyłu gumką. Odłożył trzymane w ręku cygaro, wstał i wyciągnął dłoń do Anny. Jego kolega był młodszy, miał około dwudziestu pięciu lat, potargane kręcone włosy, koszulę rozpiętą na nagiej piersi i umięśnione ręce oplecione siatką grubych, niebieskich żył.

– Nie masz się czego bać – powiedział Thierry, zapraszając Annę by usiadła w ponurym pokoiku.

Gdy pierwszy z dwóch mężczyzn się do niej zbliżył, na jego twarzy malował się tęskny uśmiech. Z jego oczu biło wzruszenie, realne, namacalne. Wydawało się, że jego serce przyspieszyło na jej widok.

– Łączy nas długi most zbudowany ze splecionych losów – oświadczył mężczyzna głębokim, zachrypniętym głosem.

– My... my się znamy? – wyjąkała Anna.

– Nazywam się Mark. Moja siostra to żona biednego Bena. Wiem, że znaliście się od dziecka. Byłaś bardzo blisko jego ojca, Iana. Annie ścisnęło się gardło, nie była w stanie wykrztusić słowa. Zamknęła na chwilę oczy i znów zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, a obok najlepszego przyjaciela jej ojca w latach, w których wciąż mógł nazywać się wolnym człowiekiem.

– Był dla mnie niczym nauczyciel życia – powiedziała w końcu z zamglonymi oczami. Zrobiła krok w przód, prawie jakby chciała rzucić się mężczyźnie na szyję dając upust swemu wzruszeniu. Potem jednak się zatrzymała.

Młodszy towarzysz podszedł i również wyciągnął rękę, aby się przywitać, wtedy Anna dostrzegła na jego lewej piersi mały tatuaż w kształcie litery T.

– Jesteś tu bezpieczna, Anno – powiedział chłopak o szczerym wejrzeniu kasztanowych oczu. W jego twarzy był spokój, lecz i determinacja, wydawał się starszy niż był w rzeczywistości.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Quinto. Moje życie poświęciłem Drodze. Będę po waszej stronie aż do mego ostatniego oddechu.

– A to ta dwójka, o której wam mówiłem – przerwał mu Thierry. – Mark, Quinto, zabierzcie dzieci na terapię. W szafie znajdziecie ubrania na zmianę. Powinny być w ich rozmiarze.

– Terapię? – zdziwiła się Anna.

– To konieczne. Musimy temu jakoś zaradzić.

– Czemu?

– Siedemnastu latom Neurexu.

Mark i Quinto posłusznie odprowadzili Alexa i Jenny do małego pokoiku oddzielonego od reszty mieszkania brudną, wyświechtaną zasłonką. Thierry natomiast poprowadził Annę do kuchni. – Przecież są już dorośli, a my ciągle mówimy o nich dzieci – zauważyła kobieta z nutką żalu w głosie.

– Nie mieli szansy dorosnąć tak naprawdę, nie w tym świecie. Może się zestarzeli, to owszem, ale wciąż mają oczy nastolatków.

Anna z roztargnieniem pokiwała głową, doktor usiadł za stołem pełnym okruszków, resztek jedzenia i butelek po wodzie Frey.

– Znajdą nas, do cholery... Przyjdą po na...

– Nikt tu nie przyjdzie – przerwał jej. – Tyle, że nie możemy zostać długo. Musimy działać. I to szybko. Anna usiadła naprzeciwko mężczyzny.

– Więc jaki jest plan?

Thierry spojrzał jej prosto w oczy, po czym wstał i wyjął z szafki niewielki czajniczek. Nalał do niego wody i postawił na kuchence.

– Ten świat jest przegniły, Anno... Przeżarty ideologią, o której istnieniu nikt nie ma pojęcia, przygnieciony ignorancją ludzi pełnych chorego zaufania do systemu i oficjalnej propagandy. Ty jesteś inna. Alex i Jenny są inni. Jesteście anomalią systemu.

– Najwyraźniej jest nią również Dana. Co wiesz o jej zdolnościach? – Podniosła na niego oczy, dostrzegając za jego plecami klasyczną płytę indukcyjną, identyczną jak ta, którą posiadała w swoim laboratorium. Laboratorium, do którego prawdopodobnie nigdy nie miała już wrócić.

– Chciałbym, żebyś dobrze mnie zrozumiała. Masz ochotę na herbatę?

– Chętnie.

– Najpierw wyjaśnię ci definicję potencjatów¹ – podjął Thierry, przekopując szuflady w poszukiwaniu szaszetki. – Są to wszystkie zdrowe osobniki zrodzone z matek poddanych mutagenezie insercyjnej. Chodzi o słynny enzym, endonukleazę typu drugiego, z którym po raz pierwszy eksperymentowała cywilizacja Dwa Tysiące.

– Która następnie zniknęła z powierzchni ziemi.

– Dokładnie. Ta, z której wywodził się twój ojciec Nathan.

– W takim razie ja, według ciebie, jestem potencjatką. Nathan zrobił zastrzyk mojej matce zanim zaszła w ciążę, ale Dana? Powiedziałaś, że jest taka jak ja. Jak to możliwe? Przecież urodziła się zanim Ivan wydobyl od Iana formułę.

– To prawda. Teoretycznie Dana powinna być zwykłą kobietą.

– Ale ty wiesz, co się stało?

– Odkryłem coś niesamowitego. Coś co zignorował sam Ivan.

– Mów – Anna z wyczekiwaniem oparła łokcie o blat drewnianego stołu. – Te ulepszone zdolności umysłowe przekazywane są w genach. Ale nie zawsze.

– To jest dziedziczne?

1. Potencjat – w oryginale potenziato (od potenza – moc, siła, władza, potęga), czyli ktoś „ulepszony” o zwiększonych możliwościach, umiejętnościach (przyp. tłum.).

– Niedokładnie, ale w tym cały urok – odpowiedział Thierry, włączając grzanie pod czajnikiem. – Uwierz mi, odkrycie tego mechanizmu zajęło mi całe lata. Chodzi o fragment chromosomu, który posiadają tylko kobiety. Nazywam go ogonkiem, który odróżnia chromosom X od męskiego Y.

– Czyli według twoich badań, każdy potencjat może, i to bez żadnych dodatkowych zastrzyków, przekazać swoje zdolności... swoim córkom?

– Właśnie. – Thierry przytaknął i uśmiechnął się z satysfakcją. – Pomyśl o Benie, naukowcu. Był synem Iana, który pochodził z cywilizacji wymarłej pięćset lat temu. Tak samo Ivan i Nathan. Czy Ben był świadomy Wszechświata?

Swoich alternatywnych wersji?

– Z tego, co wiem, to nie.

– A Dana jest. Jej matka z pewnością nie została poddana żadnym eksperymentom, Ivan zdobył formułę, kiedy ich córka była już dorosła. A jednak odziedziczyła pełnię zdolności. Anna zamyśliła się na moment, nagle ujrzała swoje życie w zupełnie innym świetle.

– W takim razie... mój ojciec wcale nie musiał podawać mojej matce enzymu w zastrzyku?

– Dokładnie. Jesteś kobietą i jako kobieta... jesteś bytem nadrzędnym. Genetycznie lepszym. Byłabyś wyjątkowa mimo wszystko, nie potrzebowałaś żadnego enzymu. Odkryłem, że ten dodatkowy ogonek aktywuje gen, który co prawda jest przekazywany również męskim potomkom, ale u nich pozostaje nieaktywny. Uspiony. Dźwięk kroków wyrwał Annę z rozmyślań, wiedziała, że to Mark i Quinto. Weszli do kuchni.

– Wszystko w porządku? – zapytał Thierry.

– Tak, przebijają się – odpowiedział Quinto. – Zostawiliśmy ich na chwilę samych. Potem zaczniemy terapię. – Daliśmy im coś do jedzenia – dodał Mark z gumą w zębach, zbierając rękami kręcone włosy w koński ogon. – Trochę chleba z serem...

– Jak udało ci się to wszystko odkryć? – zapytała Anna, wbijając oczy w Thierryego.

Woda w czajniku zaczynała się gotować, mężczyzna wyjął z kredensu kilka filiżanek.

– Ponieważ pół życia pracowałem nad tym enzymem. Ivan mi ufał, mnie pierwszemu zdradził formułę. Wyszkolił mnie i uczynił szefem specjalnej jednostki medycznej, którą utworzył, aby dać początek budowie jego... armii.

– Armii? Jakiej armii?

– Dzieci. Armii dzieci. Dzisiaj mają już po szesnaście, siedemnaście lat. Ich matki zostały porwane osiemnaście lat temu, zaraz po niesławnym szantażu, dzięki któremu Ivan zdobył formułę. Umieszczono je w specjalnym szpitalu, gdzie zostały zapłodnione, a następnie poddane mutagenezie insercyjnej. Przeze mnie. Noworodki zostały przejęte zaraz po urodzeniu i przeniesione do innej struktury...

– Co to znaczy...?

– Zabraliśmy je do centrum automatyzacji umysłowej. To tam wszystko się zaczęło. Anna przywołała w myślach dokładny obraz Ivana i zadrzała na myśl o tym, do czego się posunął.

– To... nieludzkie.

– Matki zostały zabite dzień po porodzie. Nie mogę przestać o tym myśleć... Nigdy nie zdołam wynagrodzić moich czynów. Mark postawił na stole kryształową cukierniczkę, a Quinto pomagał Thierryemu napełnić kubki wrzątkiem. Anna upiła

łyk naparu i spojrzała na doktora podejrzliwie.

– Czemu to robisz?

– Co takiego? – zapytał, ściskając w rękach filiżankę.

– To wszystko. Czemu?

– Widzisz – powiedział, wstając – Ivan jest człowiekiem zdolnym przekonać Murzyna, że jego skóra jest biała. Był w stanie zmagistrować rząd, którego nikt nie widział, bo zasiadające w nim osoby nie mają samoświadomości. Zostały całkowicie podporządkowane, psychicznie zniewolone. Tak jest od zawsze. Armia potencjatów, dzieci, o których ci mówiłem, otrzymała wykształcenie oparte na automatyzacji umysłowej, czyli mówiąc wprost: mentalnej tresurze. Wyłączono u nich myślenie, zastąpiono je prostymi odruchami warunkowymi. W ten sposób stworzył sobie potwornie skuteczne tajne służby złożone z młodocianych agentów o absolutnie niezłomnej lojalności. Oto, czego dokonał Ivan, a udało mu się to również za moją sprawą, dawno temu.

– Automatyzacja... prał mózgi. Tobie też to zrobił... żeby cię wykorzystać.

– Byłem błyskotliwym programatorem, ale moją drugą pasją była chemia. Byłem mu potrzebny. Postawił mnie na czele jednostek operacyjnych. Omamiał mnie przez lata. Stałem się jednym z nich. Jednym z tych u władzy. – Ale teraz przeciw nim konspirujesz. Nie rozumiem jak udało ci się uwolnić od jego manipulacji. Thierry odstawił filiżankę i westchnął głęboko. Wymienił pospieszne spojrzenia z Quinto i Markiem, którzy odpowiedzieli znaczącym milczeniem.

– Zbyt późno odkryłem coś, co wszystko zmieniło. Coś, o czym nie miałem pojęcia. Coś, co wykraczało poza ludzką wytrzymałość. Przez jakiś czas nic już nie miało sensu. W końcu zdecydowałem się działać i moje życie się zmieniło. Zacząłem dostrzegać otaczającą mnie rzeczywistość taką, jaka była naprawdę. Mentalne dyby, w które mnie zakuto zaczęły się powoli rozpadać. A mój prawdziwy cel nabierał kształtu.

– Co takiego odkryłeś, Thierry?

Pojedyncza łza wyłobila ścieżkę między zmarszczkami doktora. Zaległa cisza ciężka od potwornych wspomnień. Oczy doświadczonego mężczyzny stały się oczami dziecka. – Szantaż, pakt który zawarł Ivan z Ianem w Ośrodku Karnym Mariny. Zgodnie z nim oszczędzono całą trójkę, wymazano ich z listy. To była lista zawierająca nazwiska wszystkich dzieci zrodzonych z eksperymentu przeprowadzonego pięćset lat wcześniej. Wszystkie te osoby wyeliminowano w ciągu kilku lat, jedna po drugiej. Taka była wola Ivana, niektórych nawet zabił osobiście. Bał się, że okażą się przeszkodą na jego drodze po władzę. Niektórzy zostali zamordowani po cichu, inni zginęli w głośnych zamachach bombowych. Jednym z nich był mój ojciec.

Anna słuchała rewelacji doktora z kamienną twarzą, lecz serce w jej piersi łomotało jak szalone.

– To ja przygotowałam ten ładunek – zakończył Thierry. – Nie wiedziałem, kto miał być ofiarą. Oto, dlaczego to robię.

Kupiecki Placyk opustoszał.

Zrobiło się późno, na zakurzonych ulicach Sam-en prawie nie było żywej duszy, Marco opowiedział wszystko, co wiedział, mając po raz pierwszy pewność, że jego przyjaciele go rozumieją. Że naprawdę go wysłuchają.

– Nasi rodzice nie wiedzą, że tu jesteśmy, robili inwentaryzację w sklepie. Chyba powinniśmy już wracać – stwierdził Alex.

– Zanim zaczną nas szukać – dodała Jenny.

– W porządku. Macie sporo do przemyślenia, wiem, że to niełatwe. Ja miałem dużo czasu, żeby przeanalizować każdą nową informację, właściwie całe moje dotychczasowe życie tu w Sam-en było drogą do zrozumienia, kim naprawdę jestem. Z wami jest inaczej. Wyobrażam sobie jak się czujecie... Dezorientację...

– Świat jakim go znamy jest kłamstwem. – Alex zwinnie podniósł się z murku, na którym siedzieli już od kilku godzin, Jenny zrobiła to samo.

– Może nie kłamstwem – wtrąciła. – Może to tylko inny sposób na opowiedzenie tej samej historii.

– Dokładnie – Marco podarował przyjacielom zmęczony, subtelny uśmiech.

– Jak te karty, którymi czasem bawi się stary Meuron. Różnie je tasuje, rozkłada i za każdym razem stara się je inaczej interpretować.

– Odprowadzimy cię do domu – zaproponował Alex.

– Dziękuję, ale jestem umówiony. A potem, do cholery, przecież sam też umiem ruszyć ten wózek! Alex i Jenny pożegnali przyjaciela i odeszli. Przez chwilę patrzył za nimi, jak oddalali się ciemną uliczką, jednocześnie wzruszony i podekscytowany. Czuł to w swoim wnętrzu, na poziomie wyższym od myśli, nadchodził wielki moment. Niedługo wszystko miało się zmienić. Niedługo koło znów miało się obrócić. Odbierał lata spędzone w Kar jak długą i wyboistą ścieżkę do samoświadomości, drogę do własnej natury. Jak żmudne poszukiwania w cichej bibliotece chroniącej od rozpraszających wpływów świata zewnętrznego.

– O tej porze włączysz się po mieście, chłopcze o tysiącu zmartwień?

Marco odwrócił się na dźwięk zachrypniętego głosu przyjaciela.

– Meuron! – oparł dłonie na kołach i przetoczył wózek w stronę staruszka, który schylił się, żeby go uściskać.

– Czuję, że wybierasz się w podróż... Znowu.

Marco przytaknął i pchnął wózek w stronę murku otaczającego wielki plac.

– Właśnie się do ciebie wybierałem, musimy porozmawiać – oświadczył

radośnie.

– Ale ja cię uprzedziłem – odparł Meuron.

Słabe światło latarni wiszącej na kamiennym łuku kilka metrów od nich odbijało się w łysinie staruszka, podczas gdy jego oblicze wygładzało się w dobrotliwym uśmiechu. Potem jednak na twarz momentalnie wróciły wszystkie bruzdy i zmarszczki.

– Coś się stało?

– Nie, wszystko dobrze. To znaczy, nie chodzę jeszcze tak jak powinienem, ale... czemu pytasz?

– Miałem na myśli, czy coś się stało, tam po drugiej stronie? – Meuron potrząsnął głową, jakby wskazywał jakiś odległy punkt. Gest prawie niedostrzegalny, a jednak zrywający korzenie całego otaczającego świata.

– Po drugiej stronie... – szepnął Marco ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni.

– Wiesz, o czym mówię.

– Jak ci się udało znaleźć Jastela? On, on... – Marco zadrżał i nie udało mu się dokończyć zdania.

– Zawsze tak miałem. Spotykam wyjątkowych ludzi. Czuję wibracje, których inni nie dostrzegają. To moja specjalność. – Na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiešek, w oczach rozbłysły jakieś łobuzerskie iskry.

– Widzisz poza...

– Tak jest od zawsze, mój drogi przyjacielu. Lubię myśleć, jeśli pozwolisz mi tak to zdefiniować, że chwytam strzępy nieskończoności. Życie to ciągły cykl, nie da się go zatrzymać. Po końcu następuje zawsze początek. Po śmierci odrodzenie.

– Czasem wydaje mi się, że znam cię od zawsze... – wykrztusił Marco, wpatrując się w latarnię.

– A gdyby tak było?

Chłopiec zmrużył oczy, próbując zrozumieć prawdziwe znaczenie słów staruszka, który chichotał zadowolony.

– Wiele lat temu w twoim uśmiechu wyczytałem historię, w której wciąż brakuje pierwszego rozdziału. Tak samo jest z moim życiem. Jest we mnie coś, co być może istnieje od początku czasów i będzie istnieć do samego końca. Jakieś światło. Może to światło, które świeci w każdym z nas, ale nie każdy jest w stanie je dostrzec.

– Co masz na myśli, Meuron?

– Może... ja nie istnieję.

Marco otworzył szeroko oczy. Nagle to zdanie stało się napisem, napisem wyświetlonym na ekranie. To słowa Thomasa Beckera, autora eseju o Wszechświatach, na którego Alex i Jenny natknęli się tuż przed końcem świata.

Nagle obraz został zastąpiony przez wróżbitę o ekstrawaganckim wyglądzie i dziwnym sposobie mówienia. Nagle wszystko było jasne. To były wiadomości, personifikacja czegoś nieokreślonego jak energia płynąca z kosmosu. To były wizje, spotkania na innych poziomach świadomości, które przyjmowały znane formy, tylko po to, aby mózg mógł w nie uwierzyć.

– To zawsze byłeś ty... – wykrzyknął Marco oniemiały. – Becker, malajski wróżbita, a teraz...

– Nie wiem o czym mówisz, chłopcze.

– To byłeś ty!

W jednej chwili świat zewnętrzny zniknął. Linia czasu została zredukowana do małego punktu, jakby każde zdarzenie od początku swojej historii działa się w pełnej synchronii z następnym. Istniał tylko Marco i stary Meuron, jeden naprzeciw drugiego, wokół nich pustka. – Ty nie istniejesz... – szepnął chłopak.

„Jest we mnie coś, co być może istnieje od początku czasów i będzie istnieć do samego końca. Jakieś światło. Może to światło, które świeci w każdym z nas, ale nie każdy jest w stanie je dostrzec”.

– Cel podróży jest bliski, Marco. Wiesz o tym, prawda?

Chłopcu rozszerzyły się w oczy, nagle oprzytomniał. Spojrzał smutno na Meurona.

– Co to znaczy...

– Że przyszedł na mnie czas, muszę iść. Przykro mi.

– Nie mów tak. Nie mogę cię stracić. Tylko ty potrafiłeś mnie wysłuchać. Meuron, kocham cię...

– Ja ciebie też, mały.

Marco nie był w stanie dłużej kontrolować wzruszenia, odwrócił się, by schować twarz przed wzrokiem staruszka i nerwowo ocierał oczy. Kiedy z powrotem na niego spojrział, zobaczył, że jego przyjaciel też z trudem powstrzymuje łzy.

– Nie umiem sobie wyobrazić, że wciąż tu mieszkam, a nie mogę przyjść się z tobą spotkać...

– Czekają cię wielkie rzeczy. Wiem o tym. Twoja inteligencja, niezłomny charakter i ta nieodparta siła, która napędza twoją duszę... niedługo okażą się kluczowe.

– Ta kobieta... – szepnął Marco, zanim jeszcze zorientował się, co chciał powiedzieć – tak bardzo ją kochałem. A nasze dziecko, nasz syn, był moją dumą. Był dla mnie wszystkim. To dzięki tobie znowu go odnalazłem... Meuron przyglądał mu się przez chwilę z lekkim zdziwieniem. Marco zmieszany pokręcił głową. Miał wrażenie, że nagle dalekie światy, równoległe egzystencje, myśli i wspomnienia mieszały się ze sobą jak farby na malarskiej palecie. Chłopak nawet nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, co właśnie powiedział, ale miał pewność,

że stary człowiek zrozumie. Przecież zawsze rozumiał.

– Idź odpocząć chłopcze – powiedział Meuron, podnosząc się i z trudem rozprostowując obolałe kolana. – Jutro jest ważny dzień, wszyscy będą szczęśliwi, mogąc z tobą świętować. Sto lat, przyjacielu.

Przytulił chłopca na pożegnanie, odwrócił się i odszedł.

Marco obserwował oddalającą się postać starca, która powoli rozpływała się w ciemności. Widział go po raz ostatni, idącego po ostatnim odcinku ścieżki swojego życia. Przywołał w myślach obraz przyjaciela przesiadującego w karczmie Doro. Przypomnił sobie ich długie spacery, podczas których nikt ich nigdy nie zaczepił, nie zagadnął. Pomyślał o dniu, w którym staruszek z dala od wścibskich oczu i uszu, zasugerował mu jak wprowadzić się w stan śpiączki. No i jego rodzice, którzy wielokrotnie pytali, kim był przyjaciel, o którym tak często mówił, ale którego nigdy nie spotkali. Dopiero tej nocy, żegnając go po raz ostatni, Marco zadał sobie pytanie, czy Meuron kiedykolwiek istniał. Czy istniał Thomas Becker? Malajski wróżbita? Może oni wszyscy byli tylko tworem nieznannej siły, jej cielesnym wyrazem, który tylko nieliczni mogli zobaczyć.

– Dziękuję ci, przyjacielu. Dziękuję, że przy mnie byłeś – wyszeptał Marco ostatnie słowa pożegnania.

Wieczorna bryza zaczęła gnać po ulicach miasteczka tumany kurzu. Chłopiec odwrócił wózek i pchnął go w kierunku domu. W jego głowie wciąż rozbrzmiewały słowa Meurona. Czy on sam też mógł być tylko wiadomością, nadaną przez niezbadane kanały czasoprzestrzeni, aby dotrzeć do tych, którzy tak jak on, potrafili dostrzec to szczególne światło? Jedno było pewne: takie wiadomości od zawsze były nośnikami niezwyklej wartości prorocत्व. Słowa Meurona towarzyszyły mu w drodze do domu.

„Czekają cię wielkie rzeczy. Wiem o tym. Twoja inteligencja, niezłomny charakter i ta nieodparta siła, która napędza twoją duszę... niedługo okażą się kluczowe”.

Przemierzając uliczki miasteczka Marco zaczął się zastanawiać, czy tego wieczoru naprawdę ruszał w podróż Meuron, czy może on sam.

Kiedy dotarł do domu, ciszę przerywał tylko szmer koników polnych. Tesse wciąż była w kuchni, obierając ogromną górę ziemniaków. Pomogła mu wstać z wózka i zaprowadziła do jego pokoju.

– Dobranoc mamó – powiedział, siedząc już w łóżku. Powieki miał opuchnięte od powstrzymanego płaczu.

Tesse uśmiechnęła się w odpowiedzi i okazując delikatność, o nic go nie zapytała. Zamknęła okno i wyszła.

Następnego ranka obudziły go podmuchy zimnego wiatru. Podniósł się z trudem, pomagając sobie laską i zobaczył, że okno było otwarte. Zamknął je zdezorientowany. Odwrócił się, aby wesprzeć się na drewnianym stole i wtedy

dostrzegł kartkę papieru leżącą obok jego notesu. Usiadł i wziął ją do ręki. To z pewnością nie było chybotliwe pismo jego matki, ani niewprawna kaligrafia ojca. Harmonijne, eleganckie litery wyglądały na skreślone damską ręką. Treść zaparła dech w jego piersiach.

Byłam po drugiej stronie, gdzie powinniście nie żyć.

Wszystkiego się dowiedziałam.

Zapredaliście się, żeby przeżyć.

Nie macie pojęcia o konsekwencjach waszego czynu. Anna

Jenny i Alex ubierali się, stojąc obok powycieranej skórzanej kanapy z wychodzącymi strzępami gąbki. Znajdowali się w małym mieszkanku na obrzeżach Mariny. Jenny właśnie zapinała guziki dżinsów, kiedy zrobiło jej się słabo. Wyciągnęła rękę do Alexa, który zdążył już włożyć płócienne czarne spodnie i koszulę. Oparła rękę na jego piersi, starając się zachować równowagę. Chwiała się na nogach i kręciło jej się w głowie. Przed oczami zobaczyła zamurowane okno.

– Co ci jest? – zapytał Alex, przytrzymując ją, żeby nie upadła.

– Przepraszam – wykrztusiła, potem potrząsnęła głową, jakby chciała odgonić nieprzyjemną myśl. – Coś sobie przypomniałam... nieważne.

– Powiedz mi – Alex spojrział na nią z troską i pogładził po włosach.

– Ben... stacja podwodna...

– Nic o tym nie wiem.

– Nie mogę sobie przypomnieć. To był tylko przebłysk. Siedziałam na tylnym siedzeniu jakiejś terenówki... uciekaliśmy. Pamiętam zdjęcie.

– Kiedy to było?

– Nie wiem, Alex. Wszystko jest takie... zamazane. Przerazające. Na zdjęciu była szczęśliwa rodzina, dwie dziewczynki... Alex przyciągnął ją do siebie i objął mocno, próbując pocieszyć. Jenny oparła głowę na jego piersi, starając się zapanować nad uczuciem, które choć nie potrafił go nazwać, zawładnęło jej duszą. Czowała złość, że nie jest w stanie przypomnieć sobie własnej przeszłości. Frustrację spowodowaną szukaniem niemożliwych do odnalezienia odpowiedzi. Zmęczenie ucieczką, strach po latach spędzonych w imitacji życia, latach, które teraz wydawały się tylko kilkoma dniami.

– Można? – Quinto odchylił zasłonkę i wszedł.

Jenny oderwała się od Alexa i otarła łzy. Chłopak skończył zapinać koszulę.

– Wszystko w porządku?

– Co się z nami stanie? – zapytał Alex.

Quinto usiadł za stołem po przeciwnej stronie pokoju. Wyjął z szuflady dwie kroplówki i podłączył je do jakiejś dziwnej maszyny, szarego pudła z rzędem terminali na prawym boku. Młodzieniec nacisnął guzik po lewej stronie i kroplówki zaczęły się wypełniać.

– Nie jesteśmy pewni jaki skutek przyniesie ta terapia. Ale jest konieczna.

– Myślałam, że po ucieczce będzie koniec z igłami... – szepnęła Jenny,

skrzyżowawszy ręce na piersi.

– Usiądźcie tu, proszę. I podwińcie rękawy – wstał, aby zrobić miejsce Alexowi. – Wiem, że się boicie, ale muszę was prosić, żebyście mi zaufali. Nam wszystkim.

– Anna nigdy by nas nie skrzywdziła – stwierdziła Jenny, wpatrując się w ścianę przed sobą. Kiedy tylko pojemniki z kroplówkami były gotowe, Quinto wbił igłę w przedramię Alexa i podłączył do niej przezroczystą rurkę. To samo zrobił z Jenny – Tak jak wam mówiłem – podjął – nie wiemy, co się dokładnie stanie. Przez lata blokowano większą część waszych umysłów, waszej pamięci. Ta terapia powinna to odwrócić. Ale to terapia eksperymentalna, robimy to po raz pierwszy.

– A po terapii? – Alex zatrzymał wzrok na literze T wytatuowanej na piersi młodego mężczyzny. – Co będzie dalej?

– Spróbujemy zmienić bieg rzeczy – odpowiedział Quinto.

– Kiedy ruszamy? – zapytał Mark, niecierpliwie opierając ręce na oparciu kanapy, na której siedzieli Thierry i Anna. Minęła już prawie godzina, od kiedy zaczęli terapię mającą na celu usunięcie skutków działania Neurexu.

– Niedługo – odpowiedział doktor.

Anna wciąż rozmyślała o niedawnej rozmowie. Ojciec Thierry e-go też był potencjatem. On jednak, jako mężczyzna, nie odziedziczył po nim zdolności. Przez chwilę pomyślała o linii żeńskiej jako nośniku wyższej inteligencji i wrażliwości pozwalającej uchwycić niuanse równoległych światów. Kobiece dziedzictwo jako klucz sklepienia Wszechświata. Ta myśl zdumiła ją i nieco przeraziła. W tym momencie Alex, Jenny i Quinto weszli do pokoju. – Zrobione – oznajmił młodzieniec.

Thierry kiwnął głową z zadowoleniem.

– W ciągu kilku minut powinny pojawić się pierwsze reakcje organizmu. Gdybyście się źle poczuli, natychmiast mówcie.

– Nie mogę się pogodzić z faktem, że spędzili siedemnaście lat zamknięci w Synapitice – powiedziała Anna. – To dzięki nim – odezwał się doktor – powstała armia potencjatów. Anna spojrzała na niego pytająco.

– W pierwszych latach to na nich eksperymentowaliśmy różnego typu automatyzacje. Musieliśmy sprawdzić do czego byli zdolni, jak daleko mogliśmy się posunąć.

– Używaliście ich jak królików...

– Tak, Anno. Dowodziłem większością tych eksperymentów. Poczucie winy nigdy mnie nie opuści. Tego nie da się odkupić. – Gdzie są teraz ci potencjaci?

– Armia na usługach Ivana jest jak sieć neuronów, która oplata całą populację. W tym i we wszystkich innych miastach. Wyprodukowaliśmy tak wiele tych dzieci, że teraz nawet ja nie wiem, ile ich tak naprawdę jest. Ani gdzie są. Infiltrowaliśmy ich do społeczeństwa, gdy kończyli dwanaście lat.

– Te sukinsyny są wszędzie – dodał Mark. – Niełatwo ich rozpoznać.

– Nie nazywaj ich tak – zaprotestował Thierry. – Te dzieci nie są odpowiedzialne za los, który ich spotkał. Nie prosiły się na ten świat. Nie wybrały sobie dzieciństwa opartego na nieprzerwanym treningu automatyzacji umysłu. Zrobili z nich precyzyjną broń. Zabójczą i bezwzględną. Niestety.

– Czemu nie da się ich rozpoznać? – zapytała Anna. – Gdzie oni żyją?

– Ponieważ zaraz po umieszczeniu dzieci w społeczeństwie, Ivan kazał niszczyć ich teczki. Byłem przy ich narodzinach, widziałem, jak rosną przez dwanaście lat, ale teraz mają po szesnaście, siedemnaście i nawet ja nie zdołałbym wyłuskać ich wszystkich. Nie będę ci mówił ile razy, gdzieś na ulicach tego miasta, uchwyciłem spojrzenie jakiegoś nastolatka... Spojrzenie, które zatrzymuje się na tobie o kilka sekund za długo, które próbuje cię spenetrować, wedrzeć ci się do mózgu. Próbowałem się temu opierać, próbowałem to ignorować. Jednak zastanawiałem się milion razy, czy mógł to być jeden z wyhodowanych i zaprogramowanych przeze mnie osobników. Nie wiadomo gdzie mieszkają, są wszędzie. Są jak cienie. Stykają się z ludźmi, ale ci ludzie ich nie zapamiętują.

– Mieć takie tajne służby... – szepnęła Anna, wyobrażając sobie jak bezcenną broń musieli stanowić. – Co było głównym celem?

– Na początku Wschód. Ivan dążył do zdestabilizowania sytuacji na kontynencie i doprowadzenia do upadku jego systemu politycznego. Podporządkowanie sobie Wschodu oznaczało zdobycie ogromnych ilości taniej siły roboczej i kontrolę nad złożami ropy naftowej. Stałby na czele potężnej floty, większej od tej należącej do Gai. Udało mu się w przeciągu kilku lat. To była genialna strategicznie operacja.

– Teraz rozumiem... – Anna rzuciła pełne obawy spojrzenie na Alexa i Jenny.

– Jednak, kiedy Dana odkryła moc tej broni – ciągnął Thierry – to zdała sobie sprawę, że w przeciwieństwie do ojca, mogła eksplorować nieskończoną ilość równoległych rzeczywistości.

– Zrozumiała, że ten świat to tylko jeden wąski kawałek tortu... – podsumował Mark.

– Ale dzieci nie zostały poddane automatyzacji też... po drugiej stronie? – zapytała Anna. – Czy się mylę?

– Niszczycielski wpływ tego, co robiliśmy z ich umysłami z pewnością odbija się na wszystkich ich życiach. To trochę jak wirus i jego zdrowy nosiciel. Wystarczy odblokować odpowiedni mentalny mechanizm, a armia będzie momentalnie gotowa do działania, w którymkolwiek z wymiarów. Dana to rozumiała i wykorzystuje.

– Przecież to absurdalne. Rozmiary tej katastrofy są nie do oszacowania... – stwierdziła Anna, wbijając wzrok w stół.

– Musisz coś zobaczyć – oznajmił Thierry zdecydowanie. – Ale nie tutaj.

– Co takiego?

– Dana z pewnością wróci tej nocy, najdalej jutro rano. Wraz z rozpoczęciem porannej zmiany w Synaptice zostanie wszczęty alarm i będziemy oficjalnie poszukiwani. I to nie tylko przez policję z Gai – doktor wstał, prosząc Annę by zrobiła to samo, wtedy pociągnął odpowiednią dźwignię, przekształcając kanapę w rozkładane łóżko dla dwóch osób. – Nie mamy dużo czasu. Spróbujmy odpocząć przynajmniej godzinę, zanim ruszymy w dalszą drogę. Kiedy już stąd wyjdziemy, nie będzie okazji do snu.

– Gdzie się przenosimy? – zapytał Quinto.

– Do zakładu Marka.

Anna położyła się na rozłożonej kanapie, obok niej ścisnęli się Alex i Jenny. Zbyt wiele odkryć, zbyt wiele wrażeń. Serce potrzebowało przerwy. Pewnie i dziesięć godzin by nie wystarczyło, ale teraz musieli zadowolić się jedną. Quinto i Mark przysnęli na fotelach, Thierry czuwał w kuchni, wciąż kontrolując tabliczkę, którą zawsze nosił zwiniętą w kieszeni. Anna zamknęła oczy i zapadła się w ciemność.

Próbowała sobie przypomnieć obrazy dalekiego miejsca. Przywołała w myślach kształt papierowego bileciku i słów, które na nim nakreśliła. Skoncentrowała się na swoim podpisie, na dwóch literach A, które zawsze pisała tak samo. Wreszcie ujrzała światło księżycy odbijające się w kamiennej studni.

Kiedy otworzyła oczy, po drugiej stronie koń poił się w nurcie strumienia, który płynął w pobliżu Sam-en-Kar, a ona poczuła, że właśnie zrobiła coś bardzo ważnego. Jej pamięć rozświetliła się jak po serii wyładowań atmosferycznych i już wiedziała, co zdarzyło się poprzedniego wieczoru. Liścik. Wiadomość.

Cichutko wślizgnęła się najpierw do pokoju Marca, potem do domu Alexa i Jenny i zostawiła im listy. Tymi bilecikami posiała pierwsze ziarna, obwieściła swój powrót. Nie miała pewności, czy ta trójka była świadoma swojej przeszłości. Ale gdyby zrozumieli jej wiadomość, oznaczałoby to, że most jest nietknięty. Oznaczałoby, że nadszedł czas, aby ich drogi na powrót się skrzyżowały.

Nurt Wszechświatów przeniósł ją z powrotem z tą samą prędkością, z którą wcześniej wskoczyła w równoległą rzeczywistość. Przetarła oczy. Po drugiej stronie pokoju Quinto wkładał spodnie.

Mięśnie jego ud, jak i rzeźba pleców i ramion pozwalała przypuszczać, że chłopak regularnie trenował i z pewnością nie były to byle jakie treningi.

– Jak długo spaliśmy?

– Niecałe czterdzieści minut.

Thierry wszedł do pokoju i ukląkł przy kanapie obok Anny. – Musimy iść – szepnął. – Możesz ich obudzić.

Anna przytaknęła, a doktor oddalił się, by wrócić ze strzykawką w rękę.

Kiedy Alex i Jenny otworzyli zaspane oczy, Thierry znowu przy nich przyklęknął.

– To już ostatni, obiecuję.

– Kolejny zastrzyk? – jęknęła Jenny.

– Adrenalina. Znosi nasenne działanie inhibitora, który podaliśmy wam wcześniej. Przed nami długa noc, a wy musicie być w pełni sił. Zaaplikował im iniekcje tak delikatnie, że prawie nie poczuli. W końcu doktor zajmował się nimi od prawie dwudziestu lat, poddając ich setkom różnych kuracji.

– Po co jedziemy do zakładu Marka? – zapytała Anna, podczas gdy wspomniany Mark zapinał kurtkę gotowy do wyjścia, a Quinto dopijał herbatę.

– Musisz zobaczyć kilka rzeczy. Poza tym podziemny schron pod warsztatem jest swego rodzaju arsenałem. Lepiej żebyśmy byli dobrze uzbrojeni, kiedy wszędzie słońce. – Ruszamy – podsumował Quinto, odstawiając filiżankę i wychodząc jako pierwszy na klatkę schodową. Było lekko po północy, kiedy wyszli z kryjówki i podeszli do furgonetki. Thierry i Anna usiedli razem z Alexem i Jenny w tylnej części. Quinto zajął miejsce z przodu, a Mark za kierownicą. Po drodze Anna wyjaśniła Alexowi i Jenny kilka szczegółów, o których jeszcze nie wiedzieli. Kiedy wspomniała o Ianie, pamięć Alexa nagle zaczęła wracać. Jedno po drugim, jak w poklatkowej projekcji, wspomnienia zaczęły napływać do jego głowy. Wspomnienia z przeszłości pogrzebanej na długie lata. Fragmenty życia wymazanego przez Neurex. Zobaczył uśmiech chłopca o potarganych czarnych włosach z grubymi okularami na nosie. Zobaczył elektryczny wózek inwalidzki. A potem pokój pełen uginających się pod ciężarem książek regałów. Na jego środku stał stół z trzema monitorami, zawsze włączonymi. Wszędzie wały się stosy papierów. Usłyszał głos swojego przyjaciela, choć nie rozróżniał słów, ale wiedział, że ten był po jego stronie. Zawsze. Przypomniawszy sobie, że był jedynym, który mu uwierzył. Przypomniawszy sobie, że wszystko zaczęło się od niego. W końcu potrząsnął głową. W ciemnościach panujących na pace furgonetki poszukał twarzy Jenny, którą trzymał za rękę. Była zimna. Lodowata.

– T–tam b–było tyle ludzi – wyjąkała. – Krzyczeli... krzyczeli moje imię. A ja, ja... płynęłam coraz szybciej i... i...

– Jenny – wziął jej twarz w dłonie i spojrzał prosto w oczy. – Widziałam Marca. Był u siebie w domu...

– Wygrałam... – ciągnęła ona. – Wygrałam i wszyscy mi gratulowali i był tam... był mój ojciec. Płakał.

– Co się dzieje... – szepnął Alex.

– Inhibitor. Działa – wyjaśnił Thierry, głos łamał mu się ze wzruszenia. – Zaczynacie sobie przypominać kim byliście.

– Gdzie Marco? – zapytał Alex nieśmiało, a twarz starego Iana zmaterializowała się w jego umyśle. Zobaczył jego ciało rozciągnięte na asfalcie.

Teraz w jego głosie słycać było napięcie. – On nie żyje, prawda? Czemu my żyjemy? Anna położyła chłopcu rękę na ramieniu.

– Alex, posłuchaj, Ian... Marco, on żyje. Trzymają go w więzieniu. Ma osiemdziesiąt osiem lat, ale wciąż żyje.

Alex z niedowierzaniem rzucił się w ramiona kobiety, nie potrafiąc powstrzymać wzruszenia. Przytuliła go mocno do siebie. Spojrzała pytająco na Thierryego.

– Możemy go stamtąd wyciągnąć?

Mężczyzna milczał, ciemność ukryła lekki uśmiech, który pojawił się na jego twarzy.

– Masz na myśli nalot na najlepiej strzeżone więzienia na kontynencie, żeby uwolnić prawie pięćdziesięcioletniego starca gnijącego w izolatce? I miałyby tego dokonać grupka, za którą najprawdopodobniej rozesłano już listy gończe?

Anna milczała, nie znajdując odwagi, aby odpowiedzieć. Słowa doktora uświadomiły jej, że byłoby to przedsięwzięcie samobójcze.

– Planuję zrobić to dzisiaj w nocy – oświadczył niespodziewanie Thierry.

Przyjęcie urodzinowe Marca zaczęło się wczesnym popołudniem, a skończyło o zachodzie słońca. W ogrodzie domu jego rodziców zjawilo się prawie całe miasteczko. Alex i Jenny kazali na siebie czekać. Gdyby to zależało od Marca, to zaprosiłby tylko ich. On jednak musiał się uśmiechać, ścisnąć i świętować, ukrywając swoje myśli pod płaszczkiem fałszywej radości. To nie był dzień jego urodzin. To był dzień zyskania pełnej świadomości. Wiadomość od Anny była dowodem, że wszystko, co widział, śnił i pamiętał odpowiadało rzeczywistości. W połowie przyjęcia, kiedy wszyscy czekali już na tort, po dolinie Kar rozniosło się groźne echo burzowych grzmotów. Goście zostali zaproszeni do środka, Marco wszedł z nimi, lecz duchem był gdzie indziej. Wciąż wpatrywał się w furkę, wyczekując dwójki swoich najlepszych przyjaciół. Jego matka krzyknęła coś – chyba chciała podać herbatę – ale on wciąż tkwił nieruchomo przy szybie, ciało na wózku inwalidzkim, umysł w dalekiej podróży. Zaproszeni koledzy bawili się w salonie, podczas gdy Marco wpatrywał się w okno przy wejściu, okno, o które zaczynały bębnić pierwsze, nabrzmiące krople deszczu. Wreszcie sylwetki dwójki rodzeństwa wyłoniły się zza zakrętu. Alex był ubrany w beżowy sweter z długimi rękawami i jasne spodnie, szedł z rękami w kieszeniach. Blond włosy miał krótko obcięte, inaczej niż we wspomnieniach Marca, wtedy niesforne kosmyki wciąż opadały mu zawadiacko na czoło. Jenny miała na sobie długą, błękitną sukienkę podkreślającą jej złotą opaleniznę i smukłe kostki. Kasztanowe włosy opadały miękko na szerokie ramiona dziewczyny, palce zatknęła za skórzany pasek, którym ciasno przewiązała się w talii. Pomimo bólu, nieustannych skurczów i chwiejnej równowagi, Marco postanowił podnieść się z wózka. Przy pomocy laski po-dźwignął się na nogi i wyszedł na spotkanie przyjaciół. Gdy znalazł się na zewnątrz, spojrzał w niebo zaciągnięte ciężkimi chmurami. W ciągu kilku chwil deszcz bardzo się wzmógł, ale on, nie bacząc na ból, szedł przez ogród z zadowoloną miną. Minął stół i tort, który powinien schować w bezpieczne miejsce, jednak poszedł prosto do furki. Gdy do niej dotarł, przytrzymał się ogrodzenia i popatrzył na przyjaciół stojących po drugiej stronie w milczeniu. Ich oczy emanowały nową świadomością, ich źrenice lśniły światłem przebudzenia.

– Też dostaliście wiadomość? – zapytał Marco, choć ton jego głosu był raczej twierdzący. Alex i Jenny przytaknęli.

– Chyba powinniśmy wrócić – stwierdził, kierując się w stronę domu, ręce trzymał w kieszeniach, w głowie kłębiło mu się tysiąc myśli.

Przyjęcie niedługo miało się skończyć, a wraz z nim część jego alternatywnego życia. Coś ważnego miało się wydarzyć, tak jak przepowiedział to Meuron. Na razie wystarczała mu wiedza, że Anna była również w domu Alexa i Jenny.

Wróciła po nich. Nareszcie. Być może teraz ich obserwowała, kto wie, może kryła się za rzędem drzew, może umiała stać się niewidzialna.

Niebo stanęło w płomieniach, gorejące wstęgi przecinały je, spadając wprost na ziemię. Od pól niosły się przerażające krzyki chłopów. Wielu z nich uciekało bez celu miotając się w tę i z powrotem. Inni padali na kolana i składając dłonie bili czołem pokłony. Huk setek nakładających się grzmotów toczył się po całej okolicy, nabierając coraz większej siły.

Nagle nadmorska promenada. Delikatne kolory pogodnego nieba i spokojnego lustra wody. W oddali szczeka pies, rower skręca i wjeżdża na drewniane molo.

A potem znowu otwarte szklane wieko metalowej kabiny. Ciemne ściany schronu, jarzeniowe światło. Coraz niższa temperatura.

W końcu lodowaty asfalt, echo strzałów. Świat wywraca się do góry nogami, z boku profil terenówki. Za nią, wśród zarośli, przerażone oczy kobiety. Jej ucieczka przez las.

Jenny zerwała się z łóżka, ciężko oddychając. Poderwała się na nogi i wybiegła na korytarz, prosto do pokoju Alexa. Wpadła do środka bez pukania. Siedział na brzegu łóżka, trzymając się kurczowo prześcieradła. Podniósł na nią oczy, malowało się w nich przerażenie.

– Miałem sen, śniło mi się...

– Koszmar – odpowiedziała mu. – Ja też.

– Jeden z takich, jakie miewał Marco.

– Tak, jeden z tych. – Jenny usiadła obok brata i trwali tak przez kilka minut w milczeniu. Nie potrzebowali słów.

– To było takie realne, jakbym tam był. – Alex zamknął oczy, a wspomnienie jakiegoś krzyczącego dziecka przyprawiło go o dreszcze.

– To było straszne. Czy my... byliśmy nimi?

– Tak, Jenny.

– Ale to nie było Sam–en.

– Wiem, to było coś innego.

– Coś, co przeżyliśmy. Teraz to sobie... przypominamy. Alex przeczesał włosy palcami.

– W pewnym momencie znalazłem się nad morzem... nazywałem obcych ludzi mamą i tatą. Zastanawiam się kim byli.

– Marco od zawsze mówił prawdę.

Przez kolejnych kilka godzin namiętnie opowiadali sobie co przeżyli w

snach, który męczyły ich całą noc. Obezwładniające wizje nieznannej przeszłości lub alternatywnej terażniejszości nawiedzały ich umysły. Czasem czuli się jakby mieli zemdleć. Jenny widziała jak pływa, a spora grupa kibiców dopinguje ją z trybun. Alex przez chwilę znalazł się w schowku, obok pudła z napisem RAMY. Zarówno on, jak i Jenny wciąż zadawali sobie kolejne pytania, choć nie otwierali ust. Trwało to do późnej nocy, aż w końcu udali, że idą spać. Musieli porozmawiać z Marco, nie było czasu do stracenia. Gdy ostrożnie zeskakiwali z okna, lądując na trawniku poniżej i ruszali w stronę domu przyjaciela, ktoś obserwował ich ukryty w ciemności.

– Jak to możliwe, że on wciąż żyje? – Alex zwrócił się do Thierryego zбитy z tropu. – Ile, mówiłeś ma teraz lat?

– Osiemdziesiąt osiem – odpowiedział doktor z ciemności zalegającej w przestrzeni ładunkowej furgonetki. – Człowiek odpowiedzialny za wasze pojmanie też jeszcze nie umarł. Nazywa się Ivan. On ma dziewięćdziesiąt dwa lata. Byłem jego prywatnym lekarzem przez lata. Przeklęty, ma skórę nosorożca.

– Ale niedługo wszystko przejmie Dana – stwierdziła Anna, wciąż oszołomiona widmem globalnego zamachu planowanego przez córkę Ivana. Jak daleko mogą się posunąć? Furgonetka w końcu zwolniła i zatrzymała się przy krawężniku. Mark i Quinto wysiedli i otworzyli tylną klapę, wypuszczając pozostałą czwórkę. Na ich głowy spadły pojedyncze krople deszczu. Słabe światło latarni odbijało się w brudnych szybach okolicznych domów i kałużach zbierających się w zagłębieniach dziurawego asfaltu. Wokoło nie było żywej duszy, jedynie rząd zdezelowanych samochodów zaparkowanych na chodniku. Znaki drogowe pokryte grubą warstwą rdzy były ledwo czytelne, z przepełnionych kontenerów na śmieci dochodził mdlący odór zepsutego mięsa.

– Miłe miejsce, co? – zakpił Mark, otwierając drzwi do swojego zakładu. – Dwadzieścia lat temu było tu inaczej, potem jednak stwierdzili, że lepiej zostawić nas samych sobie, a my rozszarpie-my się jak hieny walczące o ostatni ochłap ścierwa. Oto efekty.

– Ale regularnie doładowują wasze profile – skomentował Thierry – bo rządzi Dobrobyt.

– No oczywiście – odparł Mark, zapalając światło wewnątrz warsztatu. – Rodzinny fundusz jest aktualizowany regularnie jak w zegarku. To ich przykrywka. I są ludzie, nawet w tej dzielnicy, którzy z tego powodu przyznają im rację. Nie mają pojęcia, kto zasiada w rządzie, ale go popierają. Chodźcie za mną. Mężczyzna zniknął w ciasnym korytarzu, na końcu którego znajdowały się kręcone schody, wąskie i strome.

– Ja... ja już tu byłem – szepnęła Jenny, a reszta obejrzała się na nią zdumiona.

– Owszem – odpowiedział Mark. – Dobrze to pamiętam. Zjawiłaś się tu razem z Benem, potrzebowaliście fałszywego profilu i kradzionego samochodu. Wtedy zastanawiałem się, ile warte jest twoje życie, że on zdecydował się na takie szaleństwo. Dzisiaj, niech spoczywa w pokoju, odwaga, na którą się wtedy zdobył

jest moją motywację. Dzisiaj doprowadzimy do końca to, za co on oddał życie. Alex zszedł po chybionych schodkach jako ostatni, zaraz za Anną. Gdy już znaleźli się na dole, zatrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Jak myślisz, co z Marco?

– Ian... – użyła imienia, które było jej bliższe – jest zamknięty w izolatce, od kiedy zgodził się na układ, który uratował wam życie. Nie mam pojęcia, w jakim jest stanie, to i tak jest cud, że on jeszcze żyje. Możesz być pewny, że zrobię wszystko, żeby go stamtąd wyciągnąć. Thierry i inni nam pomogą.

– Dlaczego? – zapytał cicho Alex. Anna pokręciła lekko głową.

– Nie rozumiem?

– Po co to wszystko? Po co to dręczenie?

– Bo się was bali.

Mark zapalił jarzeniówki pod sufitem i podziemny schron zalała fala światła. Na długim, drewnianym blacie pomalowanym na biało stał rząd komputerów. Pod ścianami stały regały zastawione przeróżnymi przedmiotami, które sprzedawano lub wymieniano w zakładzie Marka. Były tam wazony, ramki do zdjęć, garnki i patelnie, ale również zwoje kabli elektrycznych, narzędzia, budowlane kaski i latarki.

– Mark jest byłym programatorem, pracował dla Lax – wyjaśnił Thierry. – To ta sama firma, która wiele lat temu założyła sieć kamer kontrolujących całe miasto. Potem opatentowali software do wszczepianych pod skórę microchipów i kamery przestały być potrzebne. Mark jest jedyną osobą, która może rozwiązać wiele z naszych problemów. Pierwszym jest chwilowa dezaktywacja naszych microchipów. Mówiłeś, że to się da zrobić, zgadza się?

– Tak – odpowiedział mężczyzna. – Jakiś czas temu opracowałem nowy modyfikator, który testowałem w ciągu ostatnich miesięcy, atakując niektóre firmy i sabotując ich serwisy. Mogę tego użyć również do profili, zasada działania jest ta sama. Oczywiście usterkę zauważą natychmiast, ale szybko tego nie naprawią. Da nam to trochę czasu, dzięki czemu zyskamy przewagę. Zdezaktywuję losowo pewną ilość profili należących do różnych ludzi rozsianych po całej Marinie, więc nikt nie będzie nas z tym łączył, przynajmniej na początku.

– Dobrze. To ważne, żeby nie odkryli naszej tożsamości w trakcie akcji w więzieniu.

– Jeśli chodzi o tę misję, to mam jeszcze lepszy pomysł – oświadczył Mark.

– Ale powiem wam o tym, kiedy już tam będziemy.

– Świetnie. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, zgasimy światło i pokażemy naszym przyjaciółom film, który ci wczoraj przesłałem. Mark skinął głową i wyłączył jarzeniówki. Wystukał coś na klawiaturze i ekran przed nim ożył. Najpierw pojawiło się zdjęcie wycinka z gazety.

– To artykuł z krajowego dziennika, który w ostatnich latach zyskał

największy nakład w całej Gai.

Tytuł wypisany drukowanymi literami głosił: DZIESIĄTKI ZAGINIONYCH KOBIET W MARINIE.

– Chodzi o tę historię, którą mi wcześniej opowiedziałeś... – domyśliła się Anna.

– Dokładnie. Jedź dalej, Mark.

Następny obraz przedstawiał krótką notkę umieszczoną na dole strony tej samej gazety, ale data w prawym górnym rogu wskazywała, że pochodziła z następnego roku. – Rozumiecie? – Thierry uśmiechnął się gorzko, spoglądając na Alexa i Jenny. Przekaz przed ich oczami był jasny.

Artykuł przywoływał sprawę zaginionych około dziesięciu miesięcy wcześniej kobiet, łącząc ją z wykryciem tajnego stowarzyszenia stworzonego przez pracowników fabryki włókienniczej Lysart, którzy postanowili zaprotestować przeciwko Dobrobytowi i zademonstrować swoją złość i gniew, popełniając masowe samobójstwo.

– Przypisali tę zbrodnię jakiejś grupie szaleńców. Prasa nigdy więcej o tym nie wspomniała, nie chcę sobie nawet wyobrazić co zrobili, aby przekonać rodziny. Albo je uciszyć.

– Obrzydliwe... – szepnęła Anna.

– Mówimy o setkach kobiet. Wiele z nich zostało porwanych w innych miastach Gai, ale najwięcej tutaj. I nikt się nawet nie zająknął. Wszyscy uwierzyli w oficjalną wersję zaserwowaną przez prasę. Cała szóstka milczała, wpatrując się w gazetowe tytuły.

– To, co teraz zobaczycie – zaczął Mark, pisząc coś na klawiaturze – nie będzie przyjemne. Wolałbym wam tego nie pokazywać.

Ale to konieczne. Jeżeli jesteśmy tu dzisiaj, to właśnie z tego powodu.

To był reportaż wykonany osiemnaście lat wcześniej przez krajową stację i nadany w wieczornym wydaniu dziennika telewizyjnego.

Nagranie zaczynało się od szerokiego ujęcia wiejskiego krajobrazu, potem ukazywało autostradę, w końcu kamera najeżdżała na ciało leżące na poboczu pod przesiąkniętym krwią prześcieradłem. Głos zza kadru mówił: „Kolejna ofiara napaści przy drodze krajowej została zidentyfikowana dziś przez władze Mariny. Policja znalazła martwego mężczyznę z dwoma ranami postrzałowymi głowy. Chodzi o genialnego naukowca imieniem Ben, od kilku lat zatrudnionego w podwodnej stacji Mnemonica na stanowisku szefa jednostki badawczej. Ponawiamy apel do obywateli. Nie zatrzymujcie się na autostradzie bez ważnego powodu, moglibyście natknąć się na tych bandytów. Jeśli zauważycie cokolwiek budzącego niepokój, zgłoście to natychmiast”.

Jenny zasłoniła dłonią usta, żeby powstrzymać płacz. Mężczyzna, który wywiózł ją ze stacji podwodnej, oddał za nią życie. Leżał pod prześcieradłem.

Krew z lubością pokazywana przez kamerę była krwią, którą syn Iana przelał za jej wolność. Teraz wspomnienia tamtych wydarzeń wracały do niej żywe, jakby to było wczoraj.

Alex zamknął oczy, Anna nie była w stanie złapać tchu.

– Nie mogę na to patrzeć – powiedziała.

– Uwierz mi, Anno – próbował pocieszyć ją Thierry – zapłacą nam za to.

– Oni tak działają, od zawsze – skomentował Mark. – Kłamią, mataczą, ukrywają. Mydlą oczy obywatelom, którzy wierzą, że naprawdę żyjemy w złotym wieku Dobrobytu.

– Przerażające – stwierdził Quinto poruszony zarówno nagraniem, jak i reakcją innych.

– Na czele instytucji rządzących tym krajem – podjął Mark – stoją ludzie, których łączą z Iwanem ogromne interesy. To ludzie bez cienia godności. Zidentyfikowaliśmy ich wszystkich. Jedni są skorumpowani, inni zmanipulowani. To dziesiątki ogłupiałych niewolników, którzy czczą Ivana jak boga. Ale to oni trzymają ster rządu.

– A wam wydaje się, że możemy to wszystko zaprzepaścić... – Anna rozejrzała się wokoło – ...w szóstkę? Thierry zapalił z powrotem światła i spojrzał kobiecie prosto w oczy. Nie jest nas tylko szóstka, Anno. Za fasadą uległego i zdominowanego świata, ruch oporu powoli nabiera kształtu. Zbliża się dzień zapłaty. Nie jesteśmy jedynymi, którzy w ostatnich latach skrobali tunel pod osłoną nocy. Mark jest w tej dzielnicy królem kontrabandy, ma pod sobą niewidzialną sieć osób, które są gotowe nam pomóc i którym zaczynają się otwierać oczy. Quinto jest mistrzem walk i znawcą broni. Potem jestem ja, z dostępem do archiwów o kluczowym znaczeniu i wieloletnim doświadczeniem medycznym. Potem ty, z wiedzą w dziedzinie biologii i nauki w ogóle, nie wspominając o możliwościach twojego umysłu. No i oni – Thierry wskazał na Alexa i Jenny. Anna westchnęła i ze zmartwieniem wbiła wzrok w spękaną podłogę podziemnego schronu. Thierry podszedł do niej, oparł ręce na jej ramionach i spojrzał poważnie, z wiarą i przekonaniem.

– Mam nadzieję, że będziemy mogli liczyć też na Iana.

Alex i Jenny dotarli do domu Marca i zaczęli rzucać kamykami w jego okno. Gdy ten tylko ich usłyszał, szybko się ubrał i po kilku minutach pojawił w drzwiach na swoim wózku. Alex natychmiast zajął swoje stałe miejsce przy jego rączkach i cała trójka, nie rozmawiając wiele, skierowała się w stronę rzeki. Zatrzymali się w miejscu rozświetlanym tylko przez tarczę księżyca odbijającą się od powierzchni wody. Wokół zalegała cisza, jedynie co pewien czas rozlegało się pohukiwanie sowy. Marco siedział z dużym kamieniem w dłoniach zwrócony w stronę gór, które w oddali wyznaczały granicę doliny.

– Obiecuj, że cokolwiek się wydarzy, zawsze będziemy trzymać się razem – Jenny mówiła jakimś nowym, dojrzałym tonem głosu, bardziej świadomym. Była to świadomość, na którą Marco liczył od lat. Nie tracił nadziei, że uda mu się przekonać dwójkę prostych dzieci ze wsi, że ich świat nie ograniczał się do tej doliny, ale rozciągał się poza granice wszelkiej wyobraźni.

– Obiecuję ci to – odpowiedział, odwracając się z poważną miną w stronę rzeki. – Konsekwencje... konsekwencje tego czynu. Co ja zrobiłem...

– Mówisz o liściku od Anny? – zapytał Alex.

– Musimy wrócić, cała nasza trójka. – Wstał z trudem i kulejąc podszedł do brzegu wody. Ukląkł, a Alex i Jenny zrobili to samo obok niego. – Musimy to naprawić.

– Co masz na myśli mówiąc „wrócić”? – zapytała Jenny.

– Wiem dokładnie, gdzie się znajduję po drugiej stronie. Umieścili mnie w izolatce.

– Nawet nie wiem, co to jest ta izolatka... – powiedział Alex niepewnie. – Ale jak...

– Uważam, że przekroczenie progu między wymiarami jest możliwe. Musimy jednak wiedzieć, gdzie znajdujemy się po tamtej stronie... – Marco pokręcił głową. – Wiem, gdzie mnie zamknęli, ale nie mam pojęcia, gdzie trzymają was.

– Oni są ze mną.

Głos Anny, tak odległy we wspomnieniach, a jednak tak bliski sercu, poderwał całą trójkę na nogi. Alex zrobił nerwowy krok w tył, Jenny zakryła ręką usta, tylko Marco pozostał niewzruszony. – Wiedziałem, że wrócisz, Anno – przemówił.

Kobieta podeszła do nich w delikatnej poświacie księżycowego światła,

która uczyniła z jej włosów miedzianą aureolę. Oczy miała podkrążone, skórę napiętą i suchą, zapewne zniszczoną przez chłody górskiej przełęczy, którą musiała przebyć. Na twarzy jednak malowało się zdecydowanie. Pomimo wszystko uśmiechnęła się lekko.

– Ostatni raz, gdy was widziałam, byliście w pieluchach.

– Ty jesteś kobietą, która... – zaczęła Jenny. – Kobietą od liściku.

– Jesteś osobą, o której mówił Marco – stwierdził Alex, przypominając sobie dziennik przyjaciela. – O której zawsze opowiadał.

– Poznaliśmy się dawno temu – powiedziała Anna, patrząc w oczy Jenny. – W miejscu, które leży bardzo daleko stąd.

– Co zrobiłem po drugiej stronie? – zapytał Marco przytłoczony poczuciem winy, które nie opuszczało go od chwili przeczytania wiadomości. Anna podeszła, delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu i kiedy ich oczy się spotkały, poczuła, że na powrót staje się małą dziewczynką. Znalazła się na tarasie, podczas gdy jej nauczyciel życia, Ian, przepytывał ją, trenując i badając jej niezwykłą pamięć. Prosił by wymieniła wszystkie gwiazdy w konstelacji. Jak młody dziadek i jego ukochana wnuczka. Mentor i jego uczennica. A teraz, z powodu paradoksu czasoprzestrzennego, przetasowania ich egzystencji, stali naprzeciw siebie, kobieta i chłopiec.

– Zapłaciliście wysoką cenę za przeżycie, Ianie.

Alex i Jenny wymienili pytające spojrzenia.

– Ian?

– To moje imię w miejscu, z którego pochodzimy – wyjaśnił spokojnie Marco.

– Co teraz będzie? – zapytała niespokojnie Jenny, przeczesując ręką włosy.

– Jesteśmy uciekinierami – odpowiedziała Anna. Marco włożył rękę do kieszeni i wyjął liścik, który zostawiła mu poprzedniej nocy.

– Chcę poznać konsekwencje – powiedział, machając nim przed nosem. – Muszę poznać konsekwencje mojego czynu.

Kobieta opowiedziała o wszystkim, co do tej pory udało jej się odkryć, o wszystkim, co wydarzyło się, od kiedy została na nowo wessana w twardą rzeczywistość Gai. Opowiedziała im o Synaptice, Thierry, armii potencjatów, w końcu o przerażających konsekwencjach ujawnienia formuły.

– Od tamtej pory – podsumowała Anna – ciebie trzymają w odosobnieniu w podziemiach Zakładu Karnego Mariny, a z nich zrobili króliki doświadczalne.

– Powinniśmy byli umrzeć... – szepnął Marco, błędząc wzrokiem po fantastycznych kształtach, jakie przybierała roślinność w ciemnościach nocy. – Popelnilem potworny błąd.

– Króliki? – Jenny złapała Alexa za rękę. – Co to znaczy, Anno? Co oni nam zrobili?

– Eksperymentowali na was. Poza tym regularnie podawali wam lek, który miał sprawić że... żebyście...

– Żeby nie mogli używać swoich zdolności, mam rację? – powiedział Marco, kiwając głową jakby nie potrzebował odpowiedzi na swoje pytanie. – To dlatego nie byli w stanie przypomnieć sobie tamtego życia.

– Dokładnie – potwierdziła Anna.

– To, co mamy zrobić, żeby tam wrócić? Żeby to... naprawić? – zapytał Alex zdeterminowany, zaciskając dłonie w pięści.

– Musimy się rozdzielić, Ian... Marco musi się skoncentrować, odtworzyć w myślach obraz izolatki, w której go trzymają. Musi to zrobić sam. Ja nigdy nie widziałam tego miejsca. Natomiast jeśli chodzi o was... Alex i Jenny podeszli, wciąż trzymając się za ręce, podczas gdy ona szukała właściwych słów.

– Dzielenie pamięci, to chyba jedyny sposób. Będziecie musieli przypomnieć sobie to, co ja pamiętam, zobaczyć to, co ja widzę. Właśnie uciekliśmy, ukrywamy się w podziemiach warsztatu na peryferiach Mariny. Jest z nami kilka osób, którym możemy ufać.

– Chwileczkę – przerwał Alex. – Co stanie się z naszymi ciałami tutaj w Sam-en, kiedy my... no wiesz...

– Kiedy wasze umysły prześlizgną się do równoległej rzeczywistości?

– Właśnie.

– Będą żyły jak wcześniej. Nie musicie się martwić. Część naszej świadomości przeniesie się gdzie indziej, bo tam będą nam bardziej potrzebne wszystkie nasze zdolności. – Ale ja... – przerwał Marco. – Jak mam się z wami spotkać, skoro siedzę zamknięty w więzieniu?

Anna popatrzyła na niego pełnym nadziei spojrzeniem.

– Przyznaję, że nie wiem w jakim jesteś teraz stanie. Jednak jeśli otworzymy oczy po drugiej stronie, jeśli tylko nam się to uda, to wiedz Ianie, że... że właśnie po ciebie idziemy.

Pamiętacie? Szliśmy wąskim korytarzem, ściany spękane i zagrzybione. Weszliśmy na kręcone schody, na których ledwo mieściło się pół stopy. Na dole, jeden z naszych przyjaciół zapalił światło. Nazywa się Mark, jest mężczyzna z oliwkową cerą, oczami czarnymi jak dno studni, kruczoczarnymi włosami, błyszczącymi i spiętymi w kucyk. Usiadł przy białym stole naprzeciwko rzędu monitorów. W pokoju ściany zastawione są regałami. Leży na nich towar, który Mark sprzedaje w swoim zakładzie. Garnki, narzędzia, przewody elektryczne, kaski... Pamiętacie, co pokazał nam ten człowiek...? Nagłówek gazety, mówiący: „dziesiątki zaginionych kobiet w Marinie”. Widzicie to? Możecie to zobaczyć... Z nami są dwie inne osoby. Chłopiec o imieniu Quinto. Młody, około dwudziestki. Pamiętacie jego atletyczną budowę ciała, rozpiętą koszulę, spod której widać tatuaż w kształcie litery T. Jego oczy są głębokie i szczerze, ma jasną skórę i brązowe, kręcone włosy w nieładzie... A potem jest Thierry. Znaście go od wielu lat. To lekarz, który opiekował się wami od dnia, gdy się rozstaliśmy... Ma pięćdziesiąt lat, siwiejące włosy i zakola. Na garbatym nosie nosi parę okularów w grubych oprawkach. Pamiętacie jego usta tak cienkie, że wydają się znikać pod siwymi, sumiastymi wąsami. Słyszycie jego nosowy głos, prawie nieprzyjemny... Słuchaliście tego głosu przez lata. Teraz przypomnijcie sobie siebie samych, w swoich trzydziesto–sześćoletnich ciałach, tak podobnych do tego, jacy jesteście teraz, ale jednak już starszych, o dojrzałych spojrzeniach, ...wiedzicie swoje ręce? Dłonie dwóch dorosłych osób, skóra jest już mniej gładka. A potem twarze, kilka mimicznych zmarszczek wokół ust i po bokach powiek... Możecie spojrzeć sobie w oczy, przypomnieć sobie jacy się staliście?

– Podsumujmy – powiedział Thierry, taksując twarze swoich współników. Quinto wpatrywał się w monitor i wydawało się, że myślami był w korytarzach więzienia. Mark tymczasem powiększył zdjęcie windy towarowej, kursującej wzdłuż zewnętrznej ściany budynku o kształcie pięciokąta. Anna stała nieco z boku, opierając się o regał zastawiony jakimiś pudłami. Oczy wbiła w podłogę, sprawiając wrażenie roztargnionej. Alex i Jenny siedzieli na chybotliwych krzesłach, wpatrując się w przestrzeń przed sobą. , – Zaparkujemy furgonetkę naprzeciwko zachodniego wejścia – ciągnął doktor, pokazując wszystko na mapie. – To dobre miejsce, osłonięte przez drzewa, nie będzie nas widać. Do więzienia wejdzie Quinto z Markiem. My zaczekamy w samochodzie.

– Do usług – uklonił się Quinto.

– Wchodzimy, ponieważ jest szansa, że jeszcze nie puścili w obieg naszych fotografii – poinformował Mark, jednocześnie pokazując coś przypominającego różowy, gumowy napastrzek. – Użyjemy tej silikonowej nakładki, wszczepiłem w nią profile cyfrowe dwóch specjalistów z Horus, doktora Semela P956354F i Matta K638842S, obaj zmarli dwa dni temu. Trzeba było tylko trochę zmodyfikować dane w ich kartotekach, teraz idealnie pasują do naszych celów. Mijają siedemdziesiąt dwie godziny, zanim profil zmarłej osoby zostaje zdezaktywowany i znika z rejestrów, więc... mamy mało czasu. Albo wyciągniemy Iana dzisiaj w nocy, albo nigdy.

– Wiemy, gdzie dokładnie go trzymają? – zapytał Quinto.

– Nie. Musimy się tego dowiedzieć, kiedy będziemy w środku. Jedna ważna rzecz: uzyskałem dostęp do niektórych tajnych, wewnętrznych protokołów więzienia, okazało się, że kontrole medyczne są wykonywane przez lekarzy zatrudnionych w strukturze, a nie zewnętrznych. Musimy przekonać osobę odpowiedzialną za dane skrzydło, zawsze jest taka jedna na służbie. W tym celu przygotowałem fałszywe dokumenty poświadczające nasze kwalifikacje przez Komisję Medyczną z Horus i pozwalające na sprawdzenie stanu zdrowia pacjentów, którzy pozostają w izolacji od więcej niż roku. Pokażemy je strażnikowi, który będzie akurat na zmianie.

– Wszystko jasne? – Thierry odwrócił się do Anny, która miała dziwnie nieobecne spojrzenie. Dokładnie w tym samym momencie Alex i Jenny upadli bezwładnie na zakurzoną podłogę.

– Co się do cholery dzieje? – Mark doskoczył do nieruchomych ciał. Ich oczy były szeroko otwarte, ciała drżały, jakby były w hipotermii.

– Wody! Szybko! – wrzasnął Thierry.

Quinto rzucił się do małej lodówki stojącej po przeciwnej stronie pokoju. Szarpnął drzwiczki i wyjął dwie butelki wody Frey, rzucił je Markowi. – Dzieci... – jęknęła Anna nieprzytomnym głosem, ledwo głośniejszym od westchnienia. Wyciągnęła rękę do Thierryego, który natychmiast ją podtrzymał. – Udało mi się?

Thierry pokręcił głową, nie rozumiejąc pytania. W międzyczasie Mark podłożył Jenny dłoń pod głowę i ostrożnie zwilżył jej usta, ona zamrugała, rozejrzała się i uniosła na łokciach.

– Kim jesteś? – krzyknęła. – Kim są wszyscy ci ludzie?

Alex też odzyskał świadomość, podczołgał się do dziewczyny i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jenny, ty...

– Alex – zmarszczyła czoło, rozpoznając go w tym innym wcieleniu, dorosłym. – Twoja twarz...

On spojrzał na swoje dłonie i przyglądał im się przez moment, potem instynktownie poszukał wzrokiem Anny.

– Gdzie my jesteśmy? – krzyknął przerażony.

Kobieta z trudem wstała, podeszła i uklękła obok nich, próbując uśmiechnąć się uspokajająco.

– Nie macie się czego obawiać. Udało się. Tym teraz jesteście. To jest teraz wasze życie, tak samo jak to było w Sam–en.

Alex odwrócił się ponownie do Jenny i zaczął dotykać jej prawą ręką, jakby się bał, że jest tylko halucynacją.

– Twoja twarz... – wyjąkał, nie mogąc się nadziwić, że nie ma już osiemnastu lat. – Twoja twarz jest...

Jenny również patrzyła z niedowierzaniem na Alexa, potem odwróciła się do innych osób w pokoju. Thierry i Mark obserwowali ich podejrzliwie, Quinto wydawał się jedynie zdumiony.

– Zastanawiałeś się – zaczęła Anna, patrząc w oczy Thierryego z odrobiną smutku – czemu Ian przystał na szantaż, ofiarowując formułę mutagenezy w zamian za swe marne życie.

– Ty wiesz... – stwierdził, a bruzdy na jego twarzy się pogłębiły.

– Byłam tam.

– Gdzie?

– Na drodze w lesie, widziałam jak wojsko strzelało do Iana, Alexa i Jenny. Byłam tam. Rzuciła spojrzenie dzieciom, które były już dorosłe, potem znowu popatrzyła na doktora.

– Musiałam ich uratować.

– Co się wydarzyło tamtej nocy? – zapytał Thierry, zdejmując okulary.

– Miałaś rację. Dana jest taka jak ja. Potrafi podróżować. Jest w stanie wysondować całe Multiwersum. To właśnie zrobiłam ja, zabierając ze sobą szczegółowe dane kodu genetycznego Iana i dzieci. Użyłam swojej pamięci, żeby uratować im życie, Thierry. Daleko stąd. Twarze Marka i Quinto były maskami niedowierzania. Alexa i Jenny zalała fala odzyskiwanych wspomnień, wracała utracona pamięć. Mnemonica, poświęcenie Bena, Gaja, ucieczka, wszystkie te przeżycia przestały być tylko dziwnymi historiami z dziennika Marca. Były fragmentami ich alternatywnego życia, które teraz wpływały na powierzchnię niebytu.

– Ty ich... sklonowałaś? – zapytał doktor.

– Osiemnaście lat temu.

– To niemożliwe... – Thierry wbił oczy w sufit i zaczął gestykulować, jakby przed nim znajdowała się niewidzialna mozaika. – To dlatego Ian chciał przeżyć za wszelką cenę. Żeby mentalny most łączący go z jego klonem pozostał nienaruszony... To szaleństwo. Ty ich... odtworzyłaś!

– Przez lata wierzyłam, że zabiliście ich tamtej nocy. Oddałam ich do adopcji i nie próbowałam się z nimi więcej kontaktować, wołałam, żeby nie

wiedzieli... żeby żyli spokojnie, szczęśliwie. Ale tak się nie stało. Wspomnienia powoli do nich wracały. Alternatywny Ian jest osiemnastoletnim chłopcem, nosi imię z jego oryginalnej rzeczywistości, Marco. Doskonale zdaje sobie sprawę, co się dzieje z jego alter ego, że uwięziono go w izolatce. – Anna zamknęła na chwilę oczy i zobaczyła przed sobą Iana, który próbował ich rozstanie uczynić jedynie chwilowym pożegnaniem. „Jeśli mój pomysł jest coś wart – powiedział jej osiemnaście lat wcześniej, gdy ona chowała Dilette za pazuchę, przygotowując się do ucieczki przez las – to jeszcze się spotkamy”.

– Niesamowite... – stwierdził Mark. – Absolutnie niesamowite.

– Jeżeli wszystko odbyło się tak, jak podejrzewam – dodała Anna – to staruszek zamknięty w Zakładzie Karnym Mariny wie, że mamy zamiar go dzisiaj odbić, ponieważ osobiście poinformowałam go o tym... kilka minut temu. Czeka na nas. – W takim razie do roboty! – Quinto klasnął w dłonie i spojrzał z przekonaniem na Thierry ego, który wciąż stał lekko oszołomiony rewelacjami Anny. W tym samym momencie, w podziemnej celi o lodowatych i wilgotnych betonowych ścianach, stary człowiek właśnie otworzył oczy i uśmiechnął się, gdy nowa świadomość formowała się w jego umyśle, a wspomnienia długiego i ciężkiego życia mieszały się z tymi młodszymi, czystszyymi i niewinnymi. Spojrzał na swoje ciało, bez odrazy kontemplując pomarszczoną skórę i plamy pigmentowe na dłoniach. Z zadowoleniem patrzył na umięśnione ramiona upewniając się, że zdołał zachować równowagę fizyczną i psychiczną zamknięty przez lata w miejscu, które każdego równolatka dawno doprowadziłoby do śmierci. Ian wstał, zrobił kilka kroków w stronę ciężkich stalowych drzwi, które oddzielały go od reszty świata, a potem oparł czoło o zimną powierzchnię metalu, kilka centymetrów od zakratowanego okna. W głowie wyartykułował myśl skierowaną do wszystkich obywateli Gai, do całej populacji tego obumierającego świata. „Przygotujcie się, przygotujcie się wszyscy. Przygotujcie się na przebudzenie.”

Thierry, Anna, Alex i Jenny pokonali wąskie, spiralne schody i wyszli na zewnątrz. W oddali słyhać było wycie psów skarżących się do księżyca, jakby wyrażały tłumiony smutek swoich ludzkich właścicieli. Dojmujący brak nadziei ukrywany codziennie pod maską uległości. Mark niósł dwie torby z czarnej skóry, rozmyślając w milczeniu o prawdziwej naturze jego rodaków. Zastanawiał się, czy to właściwy czas, aby znowu przetasować karty na stole, czy to, na co się porywali nie było mrzonką skazaną na niepowodzenie, jak to powiedział prawie dwadzieścia lat wcześniej Benowi, w którym kipiała wtedy potrzeba buntu. Quinto pomógł mu zapakować uzbrojenie i wymienił z nim wymowne spojrzenia. Wreszcie dołączyli do innych członków ekspedycji stojących w pobliżu furgonetki. Mark usiadł za kierownicą, ze zdenerwowania zapominając zamknąć drzwi zakładu. Pomyślał jednak, że następnego dnia i tak byłoby trudno obsłużyć jego nielicznych klientów. Wciśnięta między Alexa i Thierry'ego, w ciemności przestrzeni ładunkowej furgonetki, Jenny po raz pierwszy doznała poczucia realnego zagrożenia. Beztróskie wspomnienia z Sam-en wydawały się coraz odleglejsze, przeganiane przez dominującą rzeczywistość Gai.

– Boję się – szepnęła do siebie. Ciemność skrywała zmarszczki wokół jej oczu. Nie była na to wszystko gotowa. Wiedziała, że Alex też nie był, choć teraz próbował ją pocieszyć, obejmując w milczeniu. Część ich świadomości była ciągle w Kar, bezpiecznej alternatywie teraźniejszości, ich schronieniu.

– Nasze miasteczko, Kar... – powiedziała Jenny, opierając głowę na ramieniu Alexa. – Teraz wydaje mi się, jakby to wszystko mi się przyśniło. Jakby było tak daleko... Przecież to absurd. Poglądził ją po policzku, po czym zamknął oczy. Próbował nie myśleć o niczym, ale im bardziej się starał wymazać wszelkie obrazy, z tym większą natarczywością bombardowały go chaotyczne fragmenty wspomnień. To były: oczy spuchnięte od łez, gruntowe drogi, ludzie wpatrujący się w niebo, potem znów uśmiechy, góry odbijające się w wodach rzeki, kartki dziennika. Przeszłość tańczyła w jego głowie jak w kalejdoskopie, próbując wciągnąć go w dobrze znane sceny, tylko zapach włosów Jenny przywoływał go do rzeczywistości. Jego rzeczywistością była ucieczka. Był nią strach.

– Czy to możliwe, że jesteśmy... – ciągnęła dziewczyna – ...że jesteśmy też tam? Równocześnie?

Alex wsparł brodę na dłoniach i nie odpowiedział. A może to zrobił, w środku, w najgłębszych pokładach podświadomości. W miejscu, którego położenie

Jenny знаła lepiej niż ktokolwiek.

Kiedy poczuli, że furgonetka zahamowała, Thierry nerwowo poderwał głowę. Mark i Quinto wysiedli, obeszlą pojazd dookoła i otworzyli tylną klapę.

– Posłuchajcie mnie teraz uważnie, mamy mało czasu – powiedział Mark, sięgając po torby leżące obok Anny.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał Thierry.

– Na pustym parkingu przed magazynami Frey. Jest druga w nocy, musimy to zrobić szybko.

– Co zrobić? – zapytała Anna oślepiąca światłem latarni wpadającym teraz do tylnej części vana. – Uzbroić się – odpowiedział Quinto. Mark wyciągnął czarne, plastikowe pudełko i otworzył je. Następnie wyjął kilka małych kulistych urządzeń w cielistym kolorze i rozdał je wszystkim.

– To jest mój wynalazek, chociaż nie sądzę, żebym kiedykolwiek go opatentował – zaśmiał się nerwowo, wsuwając jedną z tych różowych kulek w ucho. Potem włączył czarny sterownik w kształcie pierścienia i schował go do kieszeni spodni. – Zróbcie to, co ja. Od teraz wszyscy jesteśmy w stałym kontakcie. Ten gadżet jest jednocześnie słuchawką i mikrofonem. Możemy słyszeć się nawzajem i wszystko, co dzieje się wokół. Kontroler w mojej kieszeni reguluje łączność.

– Powinni byli wybrać cię na prezesa Lax – zażartował zachwycony Thierry. Alex włożył aparacik do ucha i uniósł brwi zaskoczony jakością, z jaką usłyszał, z lekkim jedynie opóźnieniem, słowa Thierry ego.

– Gumowe wykończenie gwarantuje, że materiał dostosuje się do kształtu waszych uszu, nie ma niebezpieczeństwa, że wypadnie. Kolor sprawia, że jak się już pewnie zorientowaliście, trudno go dostrzec, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Częstotliwość, której używamy może się zderzyć z tą wykorzystywaną w więzieniu, nie mam co do tego pewności. Musimy zaryzykować.

– Teraz przejdźmy do broni. – Quinto przyjął ton i postawę żołnierza. – Nie mogę dać wam niczego skomplikowanego, co trzeba ciągle przeładowywać, dlatego... proszę, półautomaty kalibru 45 produkcji Stormo. Tej marki używa nawet wojsko Gai. Seryjnie wszystkie wyposażone są w jednostkę elektroniczną umieszczoną w lufie, która działa jak lokalizator, ale my ją przeprogramowaliśmy tak, że żaden sprzęt nas teraz nie wykryje, nawet czujniki w więzieniu.

– Ale ja... – wykrztusiła Jenny, szukając pocieszenia w oczach Alexa. – Czego wy od nas oczekujecie? Nie jesteśmy żołnierzami. – Ale jesteśmy naukowcami, odkrywcami. W każdej chwili możemy znaleźć się w niebezpieczeństwie. Dlatego każdy z nas będzie miał od tej pory kaburę schowaną pod ubraniem. Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba wyciągać z niej broni. Alex przytaknął. Jenny spojrzała na niego zdziwiona.

– Pokaż nam jak się tego używa – powiedział.

– To jest zamek, odciągając go w ten sposób... – Uniósł broń lewą ręką, a prawą odsunął blokadę. – Odbezpieczacie. W tym momencie pistolet jest załadowany. Potem wystarczy już tylko nacisnąć spust.

– Ile mamy strzałów? – zapytała Anna.

– Osiem. W każdym magazynku jest osiem naboii. Pamiętajcie, że to półautomat. Za każdym razem, gdy oddacie strzał, musicie przeładować. Nie wystarczy trzymać palca na spuście jak w automacie. Zdecydowałem się na ten model, bo jeśli będziemy musieli się bronić, każda kula może okazać się na wagę złota. Nie możemy ryzykować, że je zmarnujecie. Quinto wyciągnął z torby sześć kabur, a następnie zdjął koszulkę, odsłaniając swój pięknie wyrzeźbiony tors. Zademonstrował wszystkim jak założyć szelki do broni, wsunął swój pistolet do kabury umieszczonej pod pachą i poczekał aż reszta zrobi to samo. Thierry podał broń Jenny, która westchnęła, zebrała się w sobie i wreszcie ją od niego wzięła.

– Mamy więcej przydatnych rzeczy – kontynuował – między innymi karabin maszynowy, którym tylko ja umiem się posługiwać. Dlatego też, jeśli zrobi się gorąco, to ja będę osłaniał wasz odwrót. Gdybyście usłyszeli rozkaz „padnij” macie się natychmiast położyć twarzą do ziemi.

– Ale my... nie wchodzimy? – zapytał Alex, poprawiając kaburę pod pachą.

– Absolutnie nie – odpowiedział Mark. – Nikt nie powinien was zobaczyć. Thierry skinął głową, a Mark rozwinął interaktywną tabliczkę i wyświetlił na niej mapę więzienia. Wskazał na niej jeden punkt.

– Kiedy my będziemy w środku, wy przestawicie furgonetkę tutaj.

– Co tam jest? – zapytał Alex.

– Tylna brama. – Mark zwrócił się do Thierryego – Mamy zaplanowaną ściśle określoną trasę, którą tam dotrzemy, ale w drodze powrotnej będziemy mieć ze sobą człowieka, który od osiemnastu lat nie widział słońca. Musimy biec najkrótszą drogą do samochodu.

– Od podwórka będzie bezpiecznie? – zapytała Anna.

– Jak widać na mapie, każde skrzydło na parterze ma dostęp do dziedzińca przez drzwi znajdujące się na końcu krótkiego korytarza. Struktura jest identyczna we wszystkich pięciu ramionach pięciokąta. Dlatego bez względu na to, w którym skrzydle znajdziemy Iana, ta droga ucieczki zawsze będzie najszybsza. Jenny spojrzała najpierw na skupioną twarz Alexa, potem na spokojne oblicze Quinto, poważną minę Anny, żywe oczy Thierryego i w końcu pełne determinacji wejrzenie Marka. Przez ułamek sekundy jej umysł wrócił do bezkresnych ziem Sam-en, poczuła odurzający zapach pól zmoczonych deszczem, zobaczyła słońce zachodzące za górami oddzielającymi Kar od Garen. Quinto zamknął torby z ekwipunkiem. Alex ścisnął dłoń Jenny dostrzegając jej zdenerwowanie. Spojrzał na nią znacząco. „Jesteśmy razem, bez względu na to kim jesteśmy, jesteśmy razem” – przekazał jej telepatycznie, a ta myśl jego ducha ogarnęła ją i ukołysała jak ciepłe

ramiona.

– Już czas – oświadczył Mark. – Jedziemy posiać pierwsze ziarno nadchodzącej rewolucji.

Mark zatrzymał samochód naprzeciwko bramy wjazdowej do zachodniego skrzydła Zakładu Karnego Mariny, na małym parkingu osłoniętym od strony chodnika przez szpaler drzew. Było wpół do trzeciej w nocy, zrobiło się przenikliwie zimno. Z miejsca, w którym zaparkowali dało się dojrzeć kilku strażników patrolujących dach wielkiego budynku w kształcie pięciokąta o pustym środku pełniącym rolę dziedzińca. Strażnicy przechadzali się w tę i z powrotem powolnym krokiem, w rękach ściskali karabinki. Ich mundury z tej odległości wydawały się ciemne, tylko w okolicach talii błyszczały jakieś odblaskowe elementy. Mark, który milczał podczas ostatniego etapu podróży, teraz odezwał się przez zestaw słuchawkowy, żeby sprawdzić łączność z częścią drużyny zamkniętą na pace furgonetki.

– Jesteśmy na miejscu. Wszyscy mnie słyszą?

– Tak – odpowiedzieli chórem.

Quinto otworzył drzwi, zimny podmuch wdarł się do wnętrza pojazdu. Chłopak zapiał koszulę pod szyją, a następnie wyciągnął elegancką, czarną marynarkę z jednej z toreb i założył ją na wierzch. Mark dołączył do niego i zrobił to samo. – Ty jesteś Semel... czy Matt? – Thierry zwrócił się do swojego przyjaciela, który właśnie spinał włosy w schludny kucyk. W duchu wspominał dzień, w którym uściskiem dłoni przypieczętowali zamiar zdemaskowania prawdy o programie Dobrobytu i postanowili rozbudzić społeczną świadomość. Ten zamiar właśnie stawał się rzeczywistością. Przekroczyli punkt, z którego nie było już powrotu.

– Semel – odpowiedział Mark, przekazując kluczyki do samochodu doktorowi. – Trzymaj.

– Uważajcie na siebie.

Mark i Quinto oddalili się niespiesznym krokiem, choć serca tłukły się im w piersiach szalonym tempem. Za plecami usłyszeli dźwięk odpalanego silnika furgonetki. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i przeszli na drugą stronę ulicy. Podeszli do stróżówki stojącej po prawej od bramy, obsadzonej przez dwóch wartowników. Gdy znaleźli się kilka kroków od budki, jeden ze strażników wyszedł im na spotkanie, ściskając w rękach karabin. – Identyfikacja – rozkazał ochryplym głosem, przerywając zalegającą wokół ciszę, po czym zaczął kaszleć.

Był to siwy mężczyzna, po pięćdziesiątce, żyły na szyi miał napięte jak postronki, pierś nabrzmiała pod ciemnym płaszczem.

– Proszę. – Mark podniósł prawą rękę i wsunął palec wskazujący do małego, cylindrycznego urządzenia, które podsunął mu mężczyzna. Na wyświetlaczu połączonym z bazą danych natychmiast pojawił się wskazany profil.

– Doktor Semel P956354F... – przeczytał na głos strażnik.

– Zgadza się, a to jest mój asystent, doktor Matt – poinformował Mark, czując na karku lodowate poduchy wiatru. Quinto wyciągnął rękę i również został zweryfikowany. W międzyczasie ze stróżówki wyszedł drugi wartownik.

– Doktorze... Matt K638842S, czemu zawdzięczamy waszą wizytę o tak późnej porze?

– Przybyliśmy z Horus, mamy zadanie powierzone przez Komisję Medyczną – odpowiedział zinnym, beznamiętnym tonem Mark. – Wyruszyliśmy pod koniec zmiany – dodał Quinto. Siwy strażnik nie zareagował, ale jego młodszy kolega podejrzliwie zmarszczył brwi.

– Jesteście umówieni?

– Przeprowadzamy kontrole we wszystkich zakładach karnych. Weryfikujemy stan więźniów z wyrokiem dożywocia. – Mark wyjął z kieszeni spodni kartkę papieru złożoną na cztery i podał ją umundurowanemu mężczyźnie. Starszy z żołnierzy przeczytał ją bardzo uważnie, po czym oddał Markowi.

– Zaprowadź ich do środka – rozkazał młodszemu, który posłusznie odeskortował ich do głównego wejścia i przytknął palec do tabliczki po prawej stronie drzwi, które natychmiast rozsunęły się, stając przed nimi otworem.

Byli wewnątrz.

Żołnierz przeprowadził ich przez drzwi, a te zatrzasnęły się za ich plecami. Zarówno Mark, jak i Quinto nie odezwali się ani słowem. Wiedzieli, że Thierry i reszta siedzieli zamknięci w samochodzie zaparkowanym po przeciwnej stronie budynku i przysłuchiwali się wszystkiemu przez system słuchawkowy.

W głębi długiego korytarza ciągnącego się wzdłuż całego obwodu więzienia, zatrzymał ich kolejny strażnik o imponującej posturze i szerokiej szczęce. Zamienił kilka zdań z kolegą, który ich przyprowadził, po czym zwrócił się do Marka.

– Ja zaprowadzę was na dół – oznajmił lodowato. – Tymi drzwiami, za mną.

Mark i Quinto weszli za nim do szerokiego korytarza o ścianach wysokich na ponad trzy metry, z dużymi oknami wychodzącymi na dziedziniec. Po lewej mijali rząd zamkniętych drzwi prowadzących do jakichś biur. W więzieniu panowała kompletna cisza. O tej godzinie wszyscy więźniowie leżeli na swoich pryczach.

Zakłócanie spokoju w tym rządonym przez żelazną dyscyplinę miejscu nie byłoby dobrym pomysłem.

Dotarli do jedyne go biura, w którym paliło się światło, lecz żołnierz minął je i poszedł dalej w głąb korytarza. W końcu zatrzymał się przed windami. Kiedy wsiedli do jednej z nich, Mark ledwo zauważalnie uniósł brwi ze zdziwieniem. Na

planach budynku nie wydawały się aż tak wielkie, teraz natomiast uzmysłowił sobie, że zmieściłaby się w nich i jego furgonetka. Prawdopodobnie używano ich do transportowania całych oddziałów więźniów z jednego bloku na drugi. Wcześniej wywnioskował z mapy, że większość skazańców była przetrzymywana na podziemnych kondygnacjach, które stanowiły swoisty labirynt tuneli.

Strażnik przejechał palcem po blaszce obok niewielkiego wyświetlacza, na którym pojawiła się cyfrowa mapa więzienia. Nacisnął odpowiednie pole i winda ruszyła. Żołnierz milczał, ręce splótł za plecami, oczy wbił w sufit. Nagle Quinto zdał sobie sprawę, że nie poruszają się jedynie w pionie, ale również w poziomie, jakby jakimś zygzakowatym ruchem. Mark rzucił mu ukradkowe, pełne napięcia spojrzenie. Żaden z nich wcześniej czegoś takiego nie widział. Wystarczył jeden mały błąd i mogli już nigdy stamtąd nie wyjść.

– Teraz zaprowadzę was do strażnika odpowiedzialnego za skrzydło C, poziom E2. Na poziomie E znajdują się wszyscy więźniowie skazani na dożywocie, numer 2 oznacza część przeznaczoną na izolatki.

– Tak jest – odpowiedział Mark z przesadną karnością, która zabrzmiała sztucznie. Strażnik nie odpowiedział, tylko ruszył dalej w stronę brudnych, szklanych drzwi, za którymi znajdowało się biuro. Powietrze na tym poziomie przesiąknięte było smrodem amoniaku, który drażnił drogi oddechowe. Wartownik powiedział coś przez wąską szczelinę w drzwiach, po czym odwrócił się i wrócił do wind. Mark i Quinto znaleźli się naprzeciw nowego wartownika, mężczyzny otyłego o spoconej, nalanej twarzy. Ten przez chwilę przyglądał im się podejrzliwie, potem wstał z trudem i otworzył boczne drzwi.

– Pokażcie mi upoważnienie – powiedział, siląc się na groźny ton.

Mark ponownie wyjął dokument, Quinto wstrzymał oddech.

– Nikt mnie nie uprzedził o tej wizycie – zaperzył się grubas.

Quinto spojrzał na Marka, bezgłośnie przekazując całe swoje zdenerwowanie. Mogli mieć przed sobą jednego z wielu pracowników o niezbyt wysokich możliwościach intelektualnych, które firmy z Gai wykorzystywały w miejscach, gdzie rutynowe prace wymagały tylko przestrzegania kilku podstawowych zasad. Osobniki tego typu prowadziły ciężarówkę, archiwa, pracowały w ochronie budynków. Wyszkolono ich, aby natychmiast zgłaszać jakiegokolwiek anomalie i generalnie w takim zakresie można było na nich polegać. Możliwe jednak, że mężczyzna przed nimi miał jedynie mylący wygląd, ale był bystrym i skrupulatnym pracownikiem, zirytowanym niezapowiedzianym, nocnym najściem.

– Wizytujemy wszystkie więzienia na Gai, zgodnie z dyrektywą Komisji Medycznej z Horus – Mark postanowił trzymać się scenariusza.

Strażnik wrócił do komputera, postukał w klawiaturę i pokręcił głową. Wreszcie ponownie wyszedł do nich z biura.

– Nie mogę was wpuścić – oświadczył beznamiętnie. Quinto zrobił krok do przodu próbując go onieśmielić.

– Przyjechaliśmy specjalnie z Horus.

– Mamy upoważnienie – dodał Mark.

– Panowie, tu obowiązuje specjalny poziom zabezpieczeń. To blok E2. Upoważnienie nie wystarczy. Muszę dostać bezpośrednie polecenie za pomocą Tekstu, wysłane osobiście przez przełożonego Komisji Medycznej i uwierzytelnione przez system KOD. Dopóki powyższe procedury nie zostaną dopełnione, musicie udać się ze mną do poczekalni i tam zostać... Strażnik wyminął Quinto i ruszył w stronę innych szklanych drzwi, kilka metrów dalej. Chcąc nie chcąc poszli za nim i znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu, na środku którego stał stół i cztery krzesła. Na drewnianej półce leżał mikrofon i głośnik z logo firmy Lax.

– Natychmiast przeprowadzę konieczne weryfikacje – oznajmił szef skrzydła C, po czym zamknął szklane drzwi na klucz i odszedł.

– Cholera – szepnął Quinto, usiadł i podparł głowę rękami. Nagle w słuchawkach rozległ się głos Thierry ego.

– Wszystko słyszeliśmy. Czy możemy sfałszować tę autoryzację?

– Nie – odpowiedział cicho Mark, rzucając kontrolne spojrzenie na szklane drzwi. – Moglibyśmy podłożyć dokument, ale system KOD jest nie do ruszenia. Z niezwykłą dokładnością weryfikuje pochodzenie każdej wiadomości. Nigdy nie uda nam się go obejść przy pomocy zwykłej tabliczki interaktywnej.

– Tylko tego nam brakowało – jęknął Quinto, wbijając oczy w podłogę.

– Jesteście w poważnym niebezpieczeństwie – powiedziała Anna. – Musicie się stamtąd natychmiast wydostać, za wszelką cenę... Alex i Jenny spojrzeli na siebie. Milczący, przerażeni, świadomi, że jeśli misja się nie powiedzie, tracą jedyną szansę, aby wyciągnąć przyjaciela z celi, w której jest przetrzymywany od osiemnastu lat. Brama. Drzwi. Korytarz. Windy. Skrzydło C. Poziom E2. To był moment. Nikt nie wiedział, co powiedzieli sobie w myślach, co zdecydowali w mgnieniu oka. Jenny zerwała się i wyskoczyła z furgonetki. Puściła się biegiem w stronę bramy więzienia. Alex rzucił się tuż za nią.

– Nie, nie! – krzyknęła Anna z wnętrza pojazdu. Quinto zamknięty w poczekalni zerwał się z krzesła.

– Co się dzieje?

– Alex i Jenny uciekli z samochodu – odpowiedział Thierry, wysiadając razem z Anną. – Biegną w stronę więzienia!

– Natychmiast ich zatrzymajcie – rozkazał Mark. – Przecież ich zabijają! Thierry już zrywał się do biegu, ale Anna złapała go za rękę.

– Nie ty. Jeśli cię złapią, nie masz jak się bronić.

Doktor przez chwilę patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, potem

dotarło do niego znaczenie jej słów. Kobieta nie mówiła o pistoletach. Chodziło jej o umiejętności, których on nie odziedziczył. Przytaknął z niechęcią i zamknął tylne drzwi furgonetki.

– Wsiadaj, dogonimy ich samochodem – powiedział. Anna zajęła miejsce dla pasażera, a Thierry odpalił silnik.

– Musimy coś zrobić – powiedział Quinto.

– Ale co? Zamknęli nas tu – Mark rozglądał się po pustym pokoju, nie było okien, regałów ani szaf, tylko jedna półka ze sprzętem audio i goły stół.

– Te szyby są pancerne – zauważył Quinto. – Nie możemy ich nawet przestrzelić. Cholera, jeśli ich złapią, to będzie nasza wina. – Przetestowałem go.

– Co?

– Ten przeklęty dokument, przetestowałem go. Zrobiłem próbę w więzieniu Sirio, kilka miesięcy temu. Nikt nie pytał o żadną pieprzoną autoryzację! Wpuścili mnie do więzienia, nawet zmierzyłem mu ciśnienie i zbadłem odruchy. Banalna medyczna kontrola. Potem wyszedłem tak samo jak wszedłem. Z pistoletem pod pachą i fałszywym profilem w silikonowym napastrku. To powinno było zadziałać.

– Jak my się stąd do cholery wydostaniemy... – szepnął chłopak, rozglądając się wokół. Za szklanymi drzwiami widać było strażnika odpowiedzialnego za poziom E oraz tego, który eskortował ich od wejścia. Stali, rozmawiając. Nagle Marko szepnął coś pod nosem, po czym wyjął z przedniej kieszeni jakiś przedmiot i zbliżył się do mikrofonu.

– Co robisz?

– Improvizuję.

Na półce obok głośnika leżało szare, prostokątne urządzenie, miało kilka centymetrów wysokości i logo Lax wytłoczone na wierzchu. Mark ścisnął palcami zewnętrzny mikrochip, który ze sobą zabrał i wsunął go do wejścia z boku urządzenia. Wyświetlacz ożył.

– Całe szczęście, że zawsze jakiś ze sobą noszę. – Mark naciskał guziki po prawej stronie małego ekranu.

– Ale co?

– Archiwum. To jest cyfrowy syntetyzator P21 marki Lax, używałem go i testowałem, kiedy jeszcze dla nich pracowałem. Czyta wszystkie formaty audio, od zwykłej fali radiowej aż po skompresowane dokumenty.

– Do czego służy?

– Na przykład do nadawania ogłoszeń przez więzienny radiowęzeł. Quinto postąpił krok do przodu z przebiegłym uśmiechem na twarzy.

– Chcesz mi powiedzieć, że...

– Muszę na chwilę odwrócić ich uwagę. Odbezpiecz pistolet – rozkazał Mark – i przygotuj się do obrony naszych pozycji. Zaczyna się bal. Kiedy furgonetka Thierryego skręciła w główną ulicę i podjechała pod bramę, przez którą weszli

Mark i Quinto, Anna z niedowierzaniem przetarła oczy. Budka wartownicza była pusta, strażnicy natomiast stali jeden naprzeciw drugiego, mierząc do siebie z broni.

– Co to... – zaczęła Anna, ale w tym samym momencie padły strzały i dwóch mężczyzn osunęło się na ziemię. Dźwięk był głuchy, niegłośny. Rezultat użycia tłumików.

– Ożeż ku... – szepnął Thierry jednocześnie zachwycony i przestraszony. – To oni to zrobili, nasze dzieci, prawda?

– Najwyraźniej – odpowiedziała Anna.

Alex i Jenny znajdowali się już za bramą, biegnąc przez lodowaty przedsionek. Wciąż ze strachem rozglądali się wokoło, mając w pamięci to, co usłyszeli, gdy Mark i Quinto pokonywali tę samą trasę. Starali się iść ich śladem, zawierając instynktowi. Przed oczami mieli ogłupiałe twarze strażników, bezbronych w obliczu ich mocy, ich umiejętności przeniknięcia do głębi umysłów, gdzie mogli zasadzić każdą myśl. Twój kolega jest zdrajcą. To zdanie w ciągu kilku chwil ruszyło w podróż po ich systemie nerwowym, przez synapsy do mózgu dotarł czysty rozkaz wyeliminowania tego drugiego. Błędem żołnierzy było tych kilka chwil, przez które zgodzili się słuchać. Tych kilka fatalnych sekund. Jenny przez moment poczuła rodzaj déjà vu. A może to było wspomnienie życia wyłaniającego się z niebytu. Zobaczyła mężczyznę wewnątrz windy, kogoś kto próbował przeszkodzić w jej ucieczce, to było wiele lat wcześniej. Ten ktoś zapłacił za to wysoką cenę. Zapłacił swoim psychicznym zdrowiem.

– Drzwi – powiedział Alex. – To te, tędy przeszli.

– Wchodzimy – Jenny wyjęła z kabury pistolet Stormo i go odbezpieczyła. Rzuciła jeszcze porozumiewawcze spojrzenie Alexowi, który również wyjął broń. – Nie będziemy sami, tam w środku. Alex wszedł do długiego korytarza z dużymi przeszkleniami, rozejrzał się, w dłoni mocno ścisnął pistolet.

– Tam – szepnęła Jenny za jego plecami, wskazując dwóch strażników nadchodzących powolnym krokiem.

– Musimy dostać się do wind – odpowiedział jej Alex. – Mamy tylko jedną próbę. Jenny przygryzła wargę.

– Tędy nie przejdziemy, cholera. Thierry, słyszysz nas?

– Natychmiast stamtąd uciekajcie – rozległ się głos doktora. – Jeśli was tam dopadną...

– Już jesteśmy w środku. Powiedz, czy są inne windy, oprócz tych, których użył Mark i Quinto. Thierry sprawdził na mapie i odpowiedział.

– Nie. Musicie dostać się do końca korytarza, jeśli chcecie zjechać na dół. Wracajcie natychmiast, to zbyt niebezpieczne.

– Nie ma mowy – odpowiedział Alex przyciszonym głosem.

Jenny milczała. Zastanawiała się nad jakimś rozwiązaniem, ale jedynym

wyjściem wydawała się rezygnacja. Wątpliwym było, że inni żołnierze dadzą im wystarczająco dużo czasu, aby zdążyli opanować ich umysły.

Kiedy wartownicy znaleźli się dziesięć metrów od ich kryjówki, wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Pierwsze rozległy się dźwięki fortepianu, zaraz za nimi poszły w ruch smyczki, słodka harmonia instrumentów zaczęła rozprzestrzeniać się po całym więzieniu, docierać do najdalszych jego zakątków, od piwnic aż po dach, na którym zamontowano głośniki, po jednym na każdym z ramion pięciokąta.

Thierry i Anna, przyczajeni w furgonetce, spojrzeli na siebie z zaskoczeniem. Podczas gdy delikatny męski głos zaczynał śpiewać, Alex i Jenny najpierw zmarszczyli czoła, potem odwrócili się i rzucili biegiem w stronę jedyne biura, w którym paliło się światło. Weszli do środka.

– Jak to możliwe... – zastanawiał się Alex, w jego oczach płonęła nadzieja, a tymczasem muzyka przenosiła go o całe życie wstecz. Był pewien, że zna tę melodię przechowywaną w jakimś zakamarku jego pamięci.

– Nie wiem – szepnęła Jenny – ale musimy biec dalej. W tym samym momencie stary Ian otworzył oczy w ciemności swojej izolatki. Jego pamięć cofała się w poszukiwaniu wspomnienia tej cudownej melodii. Nie on jeden się przebudził. Obudziło się całe więzienie. Więźniowie podchodzili do krat, próbując wyrzeć ze swoich klatek, na ich twarzach zdziwienie mieszało się z zachwytem. Nigdy wcześniej nic podobnego nie miało miejsca w Zakładzie Karnym Mariny. W międzyczasie, na poziomie E2 dwaj strażnicy wbiegli do poczekalni.

– Kto wam, do cholery, pozwolił używać syntezatora? – wrzasnął jeden, podczas gdy drugi odblokował drzwi. Mark i Quinto przycupnęli za przewróconym stołem w pozycjach strzeleckich, broń gotowa do użycia.

Gdy tylko twarze żołnierzy pojawiły się w drzwiach, Quinto wypalił. Mark wycelował ponad oparciem krzesła i również strzelił. Gruby strażnik padł na kolana, w jego piersi pojawiła się ogromna dziura. Drugi uskoczył, przetoczył się na bok i udało mu się uniknąć kuli. Gdy tylko odzyskał równowagę, wyrwał broń z kabury i odpowiedział ogniem, mierząc do Quinto. Chłopak padł na ziemię. Mark w tym samym momencie zdołał kopnąć stół w stronę przeciwnika i przeładować swój półautomat. Strzelił, wrywając potężną dziurę w drewnie. Potem dał się słyszeć głuchy huk i zapadła nierealna cisza. Kiedy Mark odsunął stół, znalazł strażnika rozciągniętego na ziemi, twarz pokryta krwią, nieruchome oczy, szeroko otwarte.

– Spieprzamy stąd! – krzyknął do Quinto.

Alex i Jenny pokonali cały korytarz, dopadli do wind i nagle stanęli jak wryci. Nie dwóch, ale sześciu strażników wyszło zza drzwi znajdujących się nieopodal. Granatowe mundury ze złotymi aplikacjami, pistolety w rękach i podeksycytowane twarze.

Krew zamarzła w żyłach Alexa i Jenny, kiedy żołnierze zbliżali się mierząc do nich z broni. Wokoło rozlegał się krystaliczny śpiew dobiegający z głośników.

– Rzucić broń. Natychmiast! – rozkazał surowo pierwszy z sześciu mężczyzn.

W tym samym momencie Dana wróciła ze Wschodu wcześniej niż planowała i udała się prosto do sali numer 129 na dwunastym piętrze Synaptiki.

Sala była pusta.

Zajęło jej chwilę zanim zrozumiała, co zobaczyła. Gdy tylko minął szok, wypadła szybko na korytarz i przejechała palcem po wypukłym plastikowym panelu oświetlonym przez czerwoną ledową diodę, rozległ się trzeszczący głos:

– Ochrona.

– Jestem Dana. Sala nr 129 jest pusta. Czy ktoś mi może wyjaśnić co się stało?

– Kierowniczo... nikt pani nie poinformował? Miała miejsce ucieczka. Znaleźliśmy czterech agentów oddziału Wusk w podziemiach. Jeden wygląda na odurzonego, nie odpowiada na żadne pytania. Trzech pozostałych straciło wzrok, mówią że nie byli w stanie...

– Dzwońcie do Thierry'ego. Natychmiast.

– Kierowniczo... wydaje się że Thierry był z nimi. Jeden magazynier widział go uciekającego w towarzystwie rudowłosej kobiety i dwóch pacjentów w szpitalnych koszulkach. Dane zamurowało. Wpatrywała się w ścianę przed sobą, wokół zaległa cisza.

– Jak to możliwe – powiedziała, jednak nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Jesteśmy skonsternowani, wprowadzenie nowego zespołu spowodowało pewne zamieszanie, my z Feniksa byliśmy na jednym z wyższych pięter, kiedy to się stało i wszystko... Dana odeszła, nie słuchając ani słowa więcej. Stukot jej obcasów odbijał się echem po całym dwunastym piętrze. Kobieta dotarła do wind, twarz miała napiętą, usta mocno zaciśnięte, w oczach gorzała wściekłość. Zjeżdżając na parter, przymknęła na chwilę oczy jak to miała w zwyczaju, próbując zapanować nad złością. Kilka chwil medytacji i wspomnienie pojawiło się spontanicznie, miało jasną aurę młodości niczym nowe, ekscytujące odkrycie. To był pierwszy raz, gdy ojciec zabrał ją by zobaczyła owoce wielu lat jego ciężkiej pracy, w ramach struktury, której był założycielem i dyrektorem, choć żadna z tych ról nie figurowała w jakimkolwiek oficjalnym dokumencie. Niedługo miała skończyć dwadzieścia siedem lat, ale wciąż miała łobuzerskie i sprytne spojrzenie młodej dziewczynki, która dawno temu chodziła za ojcem jak cień, nawet kiedy to było zabronione. Nawet, jeśli to kończyło się dla niej karą cielesną albo – i to chyba było jeszcze gorsze – obojętnością tego człowieka. W tym wspomnieniu był również Thierry, ale miał piętnaście lat mniej i nie nosił jeszcze okularów ani sumiastych, siwych wąsów. Powitał ojca patetycznym ukłonem; znakiem czci i

poddaństwa, potem przywitał się również z nią i poprowadził ich wzdłuż szerokiego korytarza o srebrnych ścianach. Na jego końcu były duże, rozsuwane drzwi. Nagle wspomnienie przeskoczyło do przodu, jakby brakowało jakiegoś fragmentu w jej pamięci. Teraz siedziała na niebieskim krześle, to wyglądało jak jakiś rodzaj trybun. Jej ojciec i Thierry rozmawiali w oddali opierając się o balustradę, patrzyli w kierunku dużej płyty pod nimi. Ona oparła nogi na przeciwległym siedzeniu, uniosła się i spojrzała w tym samym kierunku. Jakieś dwadzieścia metrów dalej, pod trybunami, grupa co najmniej stu pięćdziesięciu nastolatków klęczała zwrócona do niej plecami, wpatrzona w wielki ekran. Ręce wzdłuż boków, plecy proste, nieruchomi jakby nie oddychali. Na ekranie pojawia się stylizowany kształt ludzkiej twarzy. Kontury są prawie niewidoczne, nos i usta ledwie zarysowane. Po oczach ani śladu. Kolejny krok naprzód. Być może godzinę później.

– Jak długo pozostali w tej pozycji? – pyta Dana w drodze do domu, jadą z Ivanem samochodem wyposażonym w szybę odgradzającą ich od kierowcy.

– Przynajmniej trzy godziny – odpowiada ojciec. Interaktywna tabliczka w dłoniach, zajęty czytaniem jakichś prywatnych wiadomości. Zacięta mina, pod wygiętymi brwiami nieprzeniknione oczy. Ma szorstki, kłujący zarost, jaki zwykł kiedyś nosić.

– To wzmocni ich dyscyplinę – powiedziała, starając się przyciągnąć uwagę ojca.

– Nikt cię nie pytał o zdanie, Dana. A teraz z łaski swojej siedź cicho i daj mi przeczytać w spokoju korespondencję. Winda osiągnęła parter i dźwięk rozsuwanych drzwi przywołał kierowniczkę Synaptiki do rzeczywistości. Poprawiła kołnierz marynarki i podeszła do owalnego biurka recepcji, za którym dwie dziewczyny w wieku około trzydziestu lat pisały coś na panelach marki Darren.

– Kierowniczko! – wykrzyknęła jedna z nich. – Możemy jakoś pomóc?

– Nikt mnie nie poinformował o zajściach w podziemiach – powiedziała spokojnym głosem, skrywając irytację. – Wróciłam ze Wschodu i o niczym nie wiedziałam, dopóki osobiście nie zajrzałam do sali numer 129. Dziewczyny popatrzyły po sobie zakłopotane.

– Wyjaśnicie mi to jakoś? – naciskała ze sztucznym uśmiechem.

– Tak naprawdę... myślałyśmy, że to zadanie ochrony, nie sądziłyśmy, że...

– Zabierzcie wasze rzeczy – rozkazała Dana zanim odwróciła się do wyjścia.

– Nie chcę was tu więcej widzieć.

– Thierry, słyszałeś? – zapytał Mark z przerażeniem, biegnąc korytarzem poziomu E2, Quinto zaraz za nim. – Złapali ich, cholera! Jego głos zatrzęszczał ogłuszająco w słuchawkach Thierry ego i Anny siedzących w furgonetce zaparkowanej przed więzieniem.

– Idę tam – oświadczyła kobieta, spoglądając na doktora w poszukiwaniu aprobaty.

– Ty też chcesz dać się zabić? – naskoczył na nią zamiast tego. Kobieta wysiadła z pojazdu, podczas gdy słodka muzyka zaczynała być zagłuszana przez wycie syren.

– Wszczęli alarm – zawołał Quinto, wsiadając z Markiem do windy. – Jesteśmy w dupie.

– Thierry, w torbach na pace są granaty – powiedział Mark. –Pozbądź się strażników z dachu! Anna zniknęła już za bramą, ściskając kurczowo pistolet, gdy doktor wysiadł z furgonetki, otworzył tylną klapę i wyjął z czarnej torby pojedynczy pakunek. Zamknął samochód i usadowił się w dogodnym miejscu między dwoma rozłożystymi drzewami. Wartownicy na dachu zaczęli biegać i pokrzykiwać na siebie nerwowo. Thierry wyjął kilka granatów i przygotowywał się do rozpoczęcia akcji. „Jest ich zbyt wielu” – pomyślała Jenny, patrząc na grupę sześciu żołnierzy przed sobą. Ona i Alex właśnie pochylali się, kładąc broń na ziemi.

– To wy... – syknął mężczyzna, który celował w jej głowę – ...jesteście tymi pacjentami, którzy uciekli z Synaptiki. Zbiegami.

Ich umysły splotły się na chwilę, coś między sobą ustalili, po czym Alex nagle rzucił się w bok, obejmując szyję dziewczyny żelaznym uściskiem, jakim przytrzymuje się zakładnika, drugą ręką przyłożył jej pistolet do skroni.

– Brawo – zawołał, serce waliło mu w piersi. – Rozpoznałeś nas!

– Co ty wyprawiasz? – krzyknął niepewnie strażnik.

– Rzućcie broń albo ją zastrzelę. Przysięgam, że ją zabije. A wy będziecie się z tego tłumaczyć Danie. Osobiście. Mężczyźni znieruchomieli. Jenny oblała się zimnym potem. Przerażenie wyzierało z jej oczu, choć to ona sama podsunęła ten pomysł Alexowi. Bleff miał szanse powodzenia pod jednym warunkiem, że Dana kazała pojmać ich żywcem. Żołnierze stali nieruchomo, ze wściekłymi twarzami, w końcu jeden z nich skinął głową i wszyscy odłożyli karabiny na ziemię. W tym samym momencie zza węgła wyłoniły się postaci Marka i Quinto, którzy zastygli

na widok tej absurdalnej sceny. Quinto rzucił się biegiem w stronę wartowników, a jego wściekły ryk zmieszał się z wyciem syreny. Skoczył z godną pozazdroszczenia zwinnością i, wbijając stopy w plecy jednego z żołnierzy, położył go na ziemi. Inni natychmiast się odwrócili.

– To pułapka, strzelajcie! – wrzasnął któryś.

Alexowi i Jenny udało się w tym czasie wyważyć drzwi do jednego z zamkniętych biur i szybko schronili się w środku. Mark zaatakował kolejnego strażnika, Quinto złapał w ręce głowę innego i jednym sprawnym ruchem skręcił mu kark. Pozostali żołnierze zdołali niestety pochwycić swoją broń, czym zmusili Quinto, aby wyszarpnął swojego Stormo.

Kolejnych dwóch żołnierzy padło i ich ciała zwały się jedno na drugie. Mark skrył się za drzwiami jednego z pomieszczeń. Quinto zdał sobie sprawę, że jego magazynek był pusty, gdy zobaczył żołnierza celującego mu między oczy.

– Zdychaj – wycedził ogolony na łyso mięśniak. Jego palec już zaciskał się na spuście, gdy z tyłu pojawiła się Jenny, zamknęła oczy i strzeliła mu w plecy. Jej kula trafiła go prosto w kark.

Ostatni strażnik, który pozostał przy życiu, rzucił się do bezsensownej ucieczki. Mark wycelował i trafił go z oddali swoim ostatnim nabojem.

– Alex! Jenny! – głos Anny dobiegał z głębi korytarza, Mark i Quinto popatrzyli po sobie, stojąc nad stertą ciał żołnierzy.

– Anna... – Alex wychylił się z biura i zobaczył za plecami kobiety grupkę dziesięciu strażników. – Nie!

– Jest ich więcej! Uciekamy! – krzyknął Mark, łapiąc Jenny za rękę.

– Nie możemy jej tam zostawić! – Quinto podniósł jakiś karabin z ziemi i zrobił kilka kroków w głąb korytarza. Wycelował tuż nad ramieniem Anny i strzelił. Wtedy tamci odpowiedzieli ogniem. Anna znalazła się pomiędzy nimi. Upadła. – Nie! – wrzasnął Quinto z całych sił, potem cofnął się i uciekł z innymi. Wpadli do jedynej windy, która czekała na poziomie parteru. Drzwi zasunęły się za nimi, a Marko wybrał poziom E2.

– Dopadli ją – powiedział Alex z przerażeniem. – Trafili ją. Jenny objęła się ramionami i wybuchła płaczem.

– To moja wina. – Quinto ze smutkiem spuścił oczy – Nie opowiadaj głupot!
– Mark złapał go za ramiona. – Idziemy teraz po Iana i spadamy, albo nikt z nas nie wyjdzie stąd żywy! Winda zwolniła i w końcu się zatrzymała, drzwi rozsunęły się i cała czwórka wbiegła do tunelu skrzydła C, prowadzącego przez poczekalnię, w której leżały ciała strażników. Minęli budkę wartowniczą i w końcu dotarli do jedynej celi, posiadającej lokatora. Mark był ostatni, ponieważ zatrzymał się, aby wyjąć kartę magnetyczną z kieszeni jednego z zabitych strażników. Kiedy znalazł się przed ciężkimi, metalowymi drzwiami zamykającymi izolatkę, wsunął kartę do przeznaczonego do tego otworu. Wszyscy wstrzymali oddech, tych parę chwil

zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Mark otarł pot z czoła rękawem kurtki. Blokada drzwi została zwolniona. Alex i Jenny pchnęli drzwi, on oparł na nich obie ręce, a ona przyłgnęła plecami, serce waliło jej jak młotem. Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegli wewnątrz celi starszka siedzącego na pryczy w białym szlafroku. Wzrok miał spuszczone, pomarszczone ręce złożył na kolanach. Ian odwrócił się powoli i uśmiechnął do swoich wybawicieli, jakby ich widok wcale nie był dla niego niespodzianką. Odwagi, wyjdziemy z tej klatki! Jego własny głos odbił się echem od ścian czaszki, kręcąc się w niekończącym się wirze. To zdanie było znajome, choć odległe o lata świetlne. Ale to nie miało znaczenia. Teraz to on był w klatce. A oni przybyli, żeby go uwolnić. W jego oczach było wzruszenie niemożliwe do wyrażenia, na twarzy cierpienie, które stało się nawykiem, nadzieja nadgryziona rezygnacją. Ale od kilku godzin, była tam także nieoczekiwane nowa świadomość. Most był nietknięty, karty były w grze. Pod warunkiem, że uda im się wydostać z tego miejsca. Psychofizyczna forma, którą starał się zachować przez długie lata uwięzienia, wreszcie miała przydać się do ucieczki. Wstał, poszedł do Alexa i Jenny, którzy go obserwowali, coraz lepiej zdając sobie sprawę, że mieli przed sobą człowieka osiemdziesięcio–ośmioletniego, chudego, pomarszczonego, ale o oczach pełnych wigoru i sprytu jak u młodego chłopca.

– Nie mamy czasu – powiedział Alex, wymieniając z nim porozumiewawcze spojrzenia, dla ich przyjaźni ani czas, ani przestrzeń nie były żadną barierą.

Wyszli w ślad za Markiem, który jako jedyny znał prawidłową drogę ucieczki.

– Za chwilę dostaniemy się na dziedziniec – powiedział Mark, pokonując biegiem wąskie schodki. – Słyszysz mnie, Thierry?

– Słyszę – odpowiedział doktor ukryty za dwoma drzewami naprzeciwko bramy.

– Gdzie jesteś?

– Po zachodniej stronie, tam gdzie was wysadziłem.

– Dobrze, rzuć granaty na dach z tego miejsca gdzie jesteś. To przyciągnie straże. Potem uciekaj do furgonetki i czekaj na nas przy wschodniej bramie.

– W porządku.

Thierry wstał i wyciągnął cztery zawlecзки. Zamachnął się i z całej siły rzucił pierwszym granatem. Potem kolejnymi. Trafił, dwóch żołnierzy spadło, a reszta biegła w stronę ogromnej chmury dymu. Thierry wycofał się i pospiesznie wskoczył za kierownicę vana. Ruszył z piskiem opon. Syrena wciąż wyla ogłuszająco, niosąc się po całej dzielnicy.

Na szczycie schodów Mark wyważył kopniakiem drzwi, otwierając wyjście na dziedziniec zazwyczaj używany w funkcji spacerniaka. Więźniowie spędzali na nim godzinę każdego dnia. Przynajmniej ci więźniowie, którzy mieli więcej

szczęścia, Ian spojrział w niebo, napotykaając równie zdziwione spojrzenie księżyca, którego nie widział od lat. Alex i Jenny wzięli go za ręce i poprowadzili w ślad za Markiem i Quinto, którzy biegli już chyłkiem pod ścianami północnego skrzydła. Wtedy po przeciwnej stronie podwórza pojawiło się dwóch strażników.

– Mark! – krzyknął Quinto, wskazując nadbiegających żołnierzy.

– Wszyscy na ziemię! – rozkazał Mark. – Alex, podaj mi swój pistolet!

Alex posłusznie rzucił mu swojego Stormo, tamten złapał broń w locie, momentalnie przeładował i strzelił w stronę dwóch nadbiegających mężczyzn. Tamci padli i przetoczyli się na boki. Quinto uskoczył za niewielki magazyn na środku dziedzińca i chwycił oparty o niego kij. Bez zastanowienia rzucił się na dwóch żołnierzy zaskakując ich od tyłu. Wtedy inni podnieśli się i na nowo rzucili biegiem do bramy, Quinto udzielał strażnikom lekcji pięknej walki. Pierwszego powalił, zadając dwa suche uderzenia w brodę. Drugi nie zdążył nawet wycelować, kiedy jego pistolet wyleciał w powietrze, a on otrzymał cios w sam żołądek, po którym wypłynął strumień krwi.

Jeden z wartowników przyczajonych na dachu zaczął strzelać do nich z wysokości, ale cała grupka zdążyła się już schronić w przedsionku przy bramie wyjściowej. Quinto właśnie do nich dołączył, chowając się za murem.

– Jak otworzymy bramę? – zapytał zdyszany Alex.

Mark uśmiechnął się przebiegle i spojrział na metalowe wrota.

– Thierry, słyszysz mnie?

– Tak, jestem w furgonetce, a wy?

– Przy bramie. Czas, żebyś po nas podjechał.

– Robi się.

Doktor ruszył od krawężnika i ustawił furgonetkę tyłem do bramy. Następnie wrzucił wsteczny i wpatrując się w lusterko docisnął gaz do podłogi. Cała piątka odskoczyła od bramy, widząc jak ta wylatuje w powietrze pod wpływem uderzenia.

– Do samochodu! Szybko! – wrzasnął Mark, gdy tylko opadł zasłaniający wszystko kurz.

Od strony dziedzińca nadbiegała już nowa grupa żołnierzy uzbrojonych w pistolety i karabinki.

Thierry wyskoczył z samochodu i otworzył tylną klapę. Wymienił tylko pospieszne spojrzenia z Ianem, potem wepchnął go do środka. Kiedy wskoczyli też Alex i Jenny doktor wsiadł za nimi i spróbował zatrzasknąć klapę, niestety zderzenie z bramą uszkodziło zamek. Pasażerowie chwycili za klamki, przytrzymując drzwi od środka. Quinto zapakował się do przodu, Mark wrócił za kierownicę i po kilku sekundach furgonetka odjeżdżała już odprowadzona serią strzałów z karabinków maszynowych. W końcu za ich plecami w ciemnościach nocy zniknął Zakład Karny Mariny.

– To wszystko moja wina – jęknął Quinto łamiącym się głosem. Furgonetka Marka jechała szeroką aleją oddzieloną od chodnika szpalerem wysokich latarni ulicznych. Droga wiodła pomiędzy dwoma rzędami trzypiętrowych szarych bloków o ciemnych oknach. Jadąc nią dalej, mogli wydostać się z miasta, ale dobrze wiedzieli, że na autostradowych bramkach z pewnością rozstawiono już blokady i punkty kontrolne. Teraz, gdy twarze Marka i Quinto były już znane władzom, cała grupa znalazła się na liście poszukiwanych. Być może nakaz złapania Alexa i Jenny żywcem nie był już tak kategoryczny.

– Przestań – zganił go Mark. – Wszyscy wpakowaliśmy się w sam środek piekła.

– Nie powinienem był strzelać, było ich zbyt wielu. Trzeba było uciekać.

– Zrobiłeś, co mogłeś. Zachowałem się tak samo.

– Schrzaniłem to! – Chłopak wybuchł płaczem i uderzył pięścią w podsuntek. – Po prostu by ją aresztowali, a tak... niech to szlag. Oni ją zabili, Mark! We wnętrzu samochodu zapadła cisza. Nikt nie odezwał się słowem przez długi czas. Wszyscy myśleli o rudowłosej kobiecie, jej szelmowskim uśmiechu, niezwyklej inteligencji i odwadze. O kobiecie, która osiemnaście lat wcześniej podarowała nowe życie trójce dzieci, wyrrywając je z koszmaru. Uczennicy, która, ryzykując własne życie, zgodziła się wziąć udział w misji uwolnienia swojego nauczyciela z nory, w której dobiegało końca jego życie. Alex ledwo zdążył rzucić okiem na tę celę, to betonowe pudło wyposażone jedynie w pryczę tak krótką, że trzeba było podkurczyć nogi, żeby się na niej zmieścić. Zimna, zapomniana przez Boga i ludzi dziura, w której powinien umrzeć staruszek siedzący teraz obok niego.

– Nie powinna była wchodzić – szepnął.

Jenny ścisnęła go za rękę i jęknęła.

– Naprawdę nie wierzę, że tak to się skończyło. Nie mogę uwierzyć, że ona...

– Powinienem był ją zatrzymać – przerwał jej Thierry, załamany, ściskając głowę rękami. – Jestem głupcem.

– Anna żyje – oświadczył nagle Ian, wszystkie oczy zwróciły się na niego – bez względu na to, co wydarzyło się w tym więzieniu. Alex zalał się łzami i rzucił w objęcia przyjaciela. Wreszcie razem, po długim oczekiwaniu, po rozstaniu, niepewności, obaj zawieszeni między rezygnacją a nadzieją.

– Marco – Alex mocno ścisnął jego pozornie kruche ciało. – Jak się czujesz?

– Dobrze, mój przyjacielu, chciałbym cię jednak o coś prosić... Żyłem więcej

lat tutaj niż w rzeczywistości, z której pochodzimy, założyłem rodzinę, wychowałem syna i tak dalej... Teraz czuję się częścią tego świata, tutaj się zestarzałem i... tutaj umrę. Przynajmniej ta bardziej doświadczona część mojego serca. Dlatego też, jeśli możesz, mów do mnie Ian.

Alex tylko przytaknął w ciemności i uwolnił staruszkę z uścisku. Jego najbliższy przyjaciel i powiernik z Sam-en niby siedział przed nim, ale była to tylko jego recesywna połowa, stłumiona przez dramatyczną historię jego alter ego. Oparł się o ścianę pojazdu i milczał.

– Ta urocza muzyka... – odezwał się w pewnym momencie Ian swym zwyczajowym ironicznym tonem. – Jak wam się to udało to zrobić?

Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy wciąż mieli przed oczami twarz Anny i gardła ściśnięte smutkiem.

– Wasz ból jest moim bólem – podjął staruszek widząc ich milczenie. – Ale musicie być silni. To nie znaczy, że trzeba o niej zapomnieć. To znaczy, że od teraz walczymy dla niej.

– To był pomysł Marka – szepnął Thierry.

– Marka?

– Mężczyzny, który siedzi za kierownicą. Nigdy go nie poznałeś... jego siostra to żona twojego syna Bena. Ian przytaknął, czując uścisk w gardle.

– Co się działo przez wszystkie te lata? Ta muzyka, to z morza?

– Nie, muzyka tu nie istnieje, oprócz kilku czołówek telewizyjnych czy reklam. Wszystko to cyfrowy chłam, bez porównania.

– W takim razie, znam tę melodię...

Thierry czuł podziw dla genialnej pamięci tego człowieka, który był w stanie odkopać z tak odległej przeszłości nawet przelotnie zasłyszany zestaw nut.

– Pamiętasz ją...?

– To piosenka z lat pięćdziesiątych – powiedział Ian z tęsknotą w głosie. W kabinie z przodu, Quinto rzucił Markowi zdziwione spojrzenie na dźwięk słów staruszkę w słuchawce. Ten, nie odrywając wzroku od drogi, przytaknął.

– Tysiąc dziewięćset pięćdziesiątych.

Quinto wyjrzał przez okno, zapatrzywszy się w światła nocy, które przybierały kształty sklepowych neonów. Zastanawiał się przez chwilę nad tym, co stało się w więzieniu. Gdy rozległa się muzyka poczuł się oczarowany, zupełnie jak reszta jego przyjaciół. Pomimo że cała jego uwaga skupiała się na ucieczce, jego dusza dała się porwać tej dziwnej mocy, kusicielskiej sile, którą emanowało tych kilka prostych linii melodycznych.

– Ja też dobrze pamiętam tę piosenkę – powiedział Alex. – Nie wiem jak to możliwe, nie mam wielu wspomnień z tamtego życia.

Jenny i Ian nic nie powiedzieli, choć dobrze wiedzieli, że nie miał na myśli Sam-en, tylko egzystencję przerwana przez koniec świata w 2014 roku.

– ...ale tego kawałka... jakoś go nie zapomniałem – ciągnął podekscytowany.
– Jak tylko usłyszałem pierwsze takty z głośników, to mnie jakby... przeniosło. Nagle zobaczyłem mężczyznę siedzącego na fotelu, z płytą winylową w rękach.

– Twojego ojca... – szepnęła Jenny.

– Tak. Tego prawdziwego. Moją prawdziwą rodzinę. Pamiętam kartkę papieru, listę słów... pisałem je z błędami, to nie był mój język. Cholera, przecież to absurd, wydaje mi się jakby to się działo wczoraj! Uczyłem się tekstu piosenki na pamięć, może dlatego tak mi została w głowie. Pamiętam nawet, co mi o niej mówił ojciec. Napisano ją w latach trzydziestych, ale jej najsłynniejsza wersja została nagrana przez zespół z lat pięćdziesiątych.

– To właśnie dzięki twojemu wspomnieniu, tak dokładnie, zdołaliśmy wiernie odtworzyć tę piosenkę – wyjaśnił Thierry, opowiadając następnie Ianowi o postępach Synapitiki poczynionych w ostatnich latach, o softwarze jego autorstwa służącym do ekstrakcji pamięci.

– Społeczeństwo Gai nigdy nie pozwoliłoby nikomu ani słuchać, ani komponować podobnych arcydzieł ludzkiej kreatywności... – stwierdził Ian, kaszląc. Reszta pasażerów milczała, odtwarzając w głowach melodię, którą Mark zdołał uwieść więźniów Zakładu Karnego w Marinie. Na ten obraz nakładała się pełna odwagi twarz Anny, jej dumne spojrzenie odzwierciedlające śmiałość, lecz wrażliwą duszę.

– Co teraz z nami będzie? – zapytała Jenny.

Odpowiedział jej Mark zza kierownicy, jego ochryply głos dotarł do wszystkich przez słuchawki;

– Jesteśmy prawie na miejscu.

– To znaczy, gdzie? – zapytał Alex, a Ian obserwował ich ze zdziwieniem, zważywszy, że jako jedyny nie miał słuchawki w uchu.

– W dojo.

Kiedy Mark dał znak, że droga wolna, Quinto otworzył powgniataną tylną klapę furgonetki i wszyscy wysiedli. Znaleźli się na sporym parkingu przed pięciopiętrowym budynkiem z powybijanymi szybami i łuszczącym się tynkiem. Wyglądał na opuszczoną rudere, ale w niektórych oknach widać było mdłe światelka, więc pewnie był to po prostu kolejny z typowych, zdewastowanych apartamentowców na obrzeżach Mariny.

– Co to jest... dojo? – zapytała Jenny, kiedy szli już za Quinto w kierunku bramy wejściowej.

– Już tak tego nie nazywają – odpowiedział Thierry. – A właściwie, nigdy tak tego nie nazywali na Gai. To słowo z waszej cywilizacji. Pochodzi ze starego języka, japońskiego, pewnie go pamiętacie. Oznacza „miejsce, w którym podąża się Drogą”. Chodzi o salę ćwiczeń, coś w rodzaju siłowni, w której trenuje się sztuki walki. Z taką różnicą, że dzisiaj nie wszyscy obywatele mają do tego prawo.

Tylko niektóre grupy społeczne posiadają ten przywilej. Quinto, jako były żołnierz, może to robić.

– Skąd ty tyle wiesz o naszej cywilizacji?

Zatrzymali się przed głównym wejściem. Wisiał nad nim napis CENTRUM TRENINGOWE. – Ponieważ mój ojciec – Thierry odwrócił się do Iana, który właśnie wkładał marynarkę Marka, dygocząc z zimna – był jednym z dzieci uratowanych przed końcem waszego świata. Jednym z was. Natomiast zanim to wszystko się wydarzyło, uczęszczał do dojo Kendo na przedmieściach Mediolanu.

Ian potarł oczy, kiedy zalała go fala wspomnień. Sarkofagi, lista nazwisk dzieci poddanych eksperymentowi jeszcze przed swoim narodzeniem, eksperymentowi jego ojca. I Mediolan. Jego Mediolan.

– Byłby zbulwersowany, mój staruszek – ciągnął Thierry – gdyby zobaczył, co stało się z tymi miejscami. W jego czasach one były święte. Służyły do osiągnięcia idealnej równowagi między zen a ken. Między umysłem a ciałem. A wszystko to, podążając Drogą. Przestrzegając nauk swojego sensei, czyli Mistrza. Wiele się zachowało z tamtej tradycji, często zastanawialiśmy się jak to możliwe. Morskie znaleziska częściowo to tłumaczą, ale nie do końca. Quinto coś o tym wie. Czasem myślę, że te wschodnie filozofie strzegą swych sekretów w nieskończoność. Że potrafią umierać i odradzać się w odwiecznym cyklu. Może klucz leży w naszych genach.

– Twój ojciec... był jednym z tych dzieci... – spojrzenie Iana błędziło po horyzoncie, gdy Quinto odmykał kraty i zapraszał wszystkich do wejścia.

– Ivan zabił ich wszystkich – powiedział Thierry, kiedy znaleźli się w środku. – A ja muszę żyć z poczuciem winy. Byłem jednym z jego ludzi, jednym z najbardziej zaufanych. Przyłożyłem rękę do wielu, zbyt wielu zbrodni. Aż do momentu, gdy odkryłem, kim był mój ojciec, wtedy się przebudziłem. Sala dojo była obszernym pomieszczeniem o ścianach w całości pokrytych drewnem, tak jak podłoga i sufit podtrzymywany przez grube i szerokie belki. Na tylnej ścianie umieszczono ogromne przeszklenie wychodzące na wewnętrzny dziedziniec budynku. Chroniła je gruba krata. Pod prawą ścianą leżały stosy materaców, a po drugiej stronie stały drewniane konstrukcje, o które oparto długie kije. Kilka obrazów wiszących przy wejściu przedstawiało stylizowane sceny walki. Alex zatrzymał się, zauważając, że na pierwszych malowidłach przystojny bohater wyraźnie góruje nad swoimi przeciwnikami, ale na ostatnich ulega rywalowi o drobniejszej budowie ciała. Quinto podał Ianowi parę spodni z czarnego płótna, koszulkę z logo dojo i szary sweter. Staruszek poszedł się przebrać, po czym wrócił do reszty.

– Przypomniałem to sobie. Ale nie tu... w Sam-en.

– Co takiego? – Zapytał Thierry.

– Widziałem wszystko. Listę... zabójstwo jednego z tych mężczyzn. – Wiem,

kiedy to widziałeś – dodał Alex. – Kiedy byłeś w sypialni. Jenny przytaknęła, przypominając sobie te Pory na ziemiach Sam-en, kiedy to wszyscy spodziewali się, że chłopiec umrze w każdej chwili. Thierry uniósł brwi z zaskoczeniem.

– To, do czego zdolne są wasze umysły jest naprawdę niesamowite.

Doktor opowiedział im to samo, co wcześniej Annie, o swoich odkryciach na temat dziedziczenia niezwykłych zdolności potencjatów. Wszyscy słuchali go, siedząc po turecku na dużym dywanie na środku dojo. Nie dało się nie myśleć o Annie, serca mieli rozdarte bólem. Siedzieli w milczeniu, ktoś nie zdołał powstrzymać łez, wszyscy rozpamiętywali kobietę, która padła od żołnierskich karabinów, Ian miał rację. Anna umiała podróżować, Gaja nie była jej jedynym życiem. Przy ogromie Wszechświata, śmierć traciła znaczenie. Ale gdziekolwiek by się teraz nie znajdowała, było to zbyt daleko od nich. Pozostawiła po sobie pustkę, która ciążyła im jak ołowiana kula.

– Czy to miejsce jest bezpieczne? – przerwała ciszę Jenny.

– Miejsce tak – powiedział Quinto, wstając. – Nie możemy jednak wykluczyć, że zidentyfikowali furgonetkę i śledzili trasę naszego przejazdu.

– Są w stanie monitorować ruch mikrochipów? – zapytał Ian.

– Nie – odpowiedział Mark. – To znaczy teoretycznie tak, ale zdezaktywowałem nasze profile.

– A jego? – Quinto wskazał głową na Iana.

– Sprawdziłem to, był nieaktywny już wcześniej. Pewnie wymazali go z archiwów po wyroku dożywocia.

– Dla nich byłem już martwy... – stwierdził Ian bez żalu, a nawet z lekką satysfakcją. Alex zerwał się na nogi.

– Zapłacą za to. Zapłacą za śmierć Bena i Anny. Za to, że zamknęli nas w laboratorium jak szczury i za to, co zrobili Ianowi. Teraz jesteśmy wolni i jesteśmy wszyscy razem. – Spojrzał na Jenny i starego przyjaciela z determinacją. – Wreszcie możemy coś zmienić.

Mark odchylił się do tyłu i wyjął z kieszeni zwiniętą tabliczkę. Rozprostował ją i coś na niej sprawdził.

– Właśnie otrzymałem sygnał, na który czekałem. Ktoś za chwilę złoży nam wizytę.

– Kto? – zapytała Jenny.

– Kryminalista, z którym lepiej pozostawać w przyjaznych stosunkach.

Tabliczka Marka pisnęła, na co mężczyzna podniósł się i podszedł do drzwi dojo. Quinto ruszył za nim z kluczami w ręku. Alex i Jenny w międzyczasie, kontemplowali w milczeniu miecz bambusowy, który Quinto określił słowem „shinai”. Ich nadświadomości przechowywały ponadczasowy dramat, być może tak stary jak historia tego kija. Wystarczył im ułamek sekundy, aby się porozumieć. W jednej chwili ich myśli zbiegły się w jeden strumień. „Czeka nas jeszcze jedna rozgwieżdżona noc” – powiedzieli sobie. Ian podszedł do nich, uśmiechając się czule.

– Nadal jesteśmy tą trójką dzieci ze wsi – powiedział ze szklistymi oczami.

– To prawda – przytaknęła Jenny z wdzięcznością. – Przyznaję, że część mnie była bardzo nieufna wobec ciebie i twoich teorii. Przepraszam cię za to.

– Każdy byłby nieufny. Nie mogliście pamiętać.

– Teraz nie możemy zapomnieć. Od kiedy podano nam ten lek... wciąż widzę sceny, osoby... przeszłość. Nie jestem w stanie wyrzucić tych obrazów z głowy.

– Ze mną jest tak samo – potwierdziła Jenny. – Bez przerwy.

– Przypominacie sobie skąd pochodzimy. Kim jesteśmy. Kim byliśmy... – Ian rozłożył ramiona i zamknął ich w uścisku. Przytulili się mocno, na ułamek wieczności znowu byli trójką rówieśników, przyjaciółmi wybranymi przez los, związanymi na zawsze przez niewidzialną nić, która łączyła ich historie.

– My wiemy, że Anna wciąż żyje – szepnął. – Prawda?

– Oczywiście. – Oczy Alexa były zaczerwienione i opuchnięte, łzy płynęły po jego dorosłych policzkach. Quinto i Mark wrócili na środek sali, a przed zaintrygowanymi oczyma ich towarzyszy pojawiły się sylwetki trójki nowo przybyłych. Był to imponującego wzrostu czarnoskóry mężczyzna, kobieta o płaskiej twarzy i skośnych oczach oraz chłopiec z długimi, ciemnymi włosami, z przepaską na oczach i ustami zaklejonymi taśmą.

– Mam zaszczyt przedstawić wam Aimara – oświadczył Mark – oraz panią doktor Sarę. Nie znam imienia chłopca, ale jestem pewny, że zaraz powie nam to i owo.

Młódzian wymamrotał coś, a kobieta o azjatyckich rysach twarzy postąpiła krok do przodu, ze wzrokiem utkwionym w Ianie. Potem odezwała się łamiącym głosem:

– To ty...

Starzec, marszcząc brwi przyglądał się uważnie tej kobiecie, usiłując odgadnąć kim była.

– Znamy się? Spotkaliśmy się... wcześniej?

– Nie – odpowiedziała i złapała go za rękę. – Ale pracowałam przez lata ramię w ramię z twoim synem Benem, w tej samej grupie badawczej. Byliśmy razem na Mnemonice, to my odnaleźliśmy Jenny, a ty... Opowiedział mi o tobie. Dopiero na samym końcu, tuż przed ucieczką. Był z ciebie bardzo dumny. Ian poczuł jak ściska mu się gardło, a oczy zachodzą mgłą. W jego głowie na nowo pojawiły się obrazy z pierwszej ekspedycji, w którą wybrał się razem z synem. Przez moment znowu znalazł się pod powierzchnią morza, dumny ze swojego ucznia, który niedługo miał przejąć jego badania dna oceanu.

– To ja byłem dumny z niego – powiedział, kurtuazyjnie całując dłoń kobiety.

Zapadła cisza.

Sara odwróciła się do dziewczynki, teraz już dorosłej, która uciekła z Benem z pokładu Mnemoniki.

Jenny nie mogła zapomnieć. Badania, analizy, rehabilitacja, tygodnie spędzone na pokładzie stacji podwodnej. Twarz lekarki, która się nią wtedy zajmowała, nic się nie zmieniła przez ostatnie osiemnaście lat, może oprócz kilku ledwo zauważalnych zmarszczek wokół oczu. Patrzenie na nią sprawiało, że jej umysł wracał do dramatycznych chwil ucieczki z okrętu.

– Sara...

Rzuciły się sobie w ramiona, mając przed oczami dobroduszne oblicze Bena.

– Ty wciąż... – wykrztusiła Sara. – Wciąż żyjesz.

– Gdzie mam go zaprowadzić? – rozległ się tubalny głos Aimara, który brutalnie przytrzymał chłopaka, ściskając jego wąską szyję między swoim łokciem a brzuchem.

– Chodź za mną – poprosił Quinto, zabierzemy go piętro niżej. Zresztą chodźcie wszyscy.

– Słuchawka przestała działać – stwierdził Thierry, postukując palcem w ucho.

– Wyłączyłem centralkę – odpowiedział mu Mark. – Na razie nie będziemy się rozdzielać, więc to niepotrzebne. Nie chciałbym, żeby rozładowała się bateria. Quinto skierował się do niewielkich drzwi w głębi sali. Za nimi znajdowały się tonące w ciemnościach schody, po których zeszli. Kiedy byli już na dole, zapalili światło. W przeciwieństwie do prawdziwego japońskiego dojo na górze, dolna sala przypominała bardziej klasyczną siłownię wyposażoną w różnego rodzaju sprzęt do ćwiczeń. Quinto złapał ławeczkę do podnoszenia ciężarów i przeciągnął ją na środek.

– Połóż go na tym – powiedział.

Aimar przyciągnął długowłosego chłopca do ławeczki i go na niej rozłożył. Quinto zdjął mu przepaskę z oczu i młodzieniec ujrzał nad sobą konstrukcję podtrzymującą sztangę z ogromnymi obciążnikami na jej dwóch końcach. Zamruczał coś pod kneblem, więc Thierry ukląkł obok i odkleił mu usta. Ten zakaszłał kilka razy, po czym podniósł spoconą twarz i usiadł, rozglądając się wokoło. Policzył obecnych.

– Ośmiu na jednego, gratuluję... – oświadczył z ironicznym grymasem.

Potem wlepił wzrok w oczy Alexa, nachalnie i natarczywie, tak że dla wszystkich było jasne, co próbuje zrobić.

– Czemuż ty, kuźwa, nie słuchasz – szepnął w końcu do siebie po dłuższej chwili wysiłku.

Alex, odpowiedział mu pogardliwym uśmiechem.

– Jeśli próbujesz zmanipulować mój umysł, to źle wybrałeś.

Chłopak nie miał czasu zastanowić się nad tymi słowami, ponieważ Quinto i Aimar unieruchomili go w żelaznym uścisku, a Thierry wbił mu igłę w ramię.

– Kim wy... jesteście... – wycedził przez zęby, patrząc na doktora chowającego strzykawkę po wykonaniu zastrzyku.

– Dzięki temu – poinformował go – powinieneś być grzeczny przez jakiś czas.

– My jesteśmy Utopią... teraz i na zawsze... – oświadczył chłopak, uśmiechając się szyderczo do Thierryego.

– Dawka Neurexu, którą właśnie dostałeś, sprawi, że nie będziesz mógł użyć swojego fenomenalnego daru. Domieszałem też trochę środka uspokajającego, bo wydajesz się podenerwowany... Przez kilka następnych godzin będziesz normalnym człowiekiem, zadowolony?

– Znam te twoje oczy – odpowiedział, kiedy Quinto i Aimar już go puścili, choć nadal stali blisko, byli gotowi zareagować. Długowłosa wciąż siedział na ławeczce, wpatrując się w doktora.

– Wiem kim jesteś, chociaż nie pamiętam twojego imienia.

– Oczywiście, znamy się – odparł lekarz spokojnie, w myślach wracając osiemnaście lat wstecz, kiedy budował armię Ivana. Zgniła połowa jego duszy, mdlące poczucie winy ściskające mu gardło. Błąd, który teraz starał się naprawić. – Mam na imię Thierry. Musisz się teraz wysilić. Chłopak nie odpowiedział, tylko zagapił w jakiś punkt ponad ramieniem doktora.

– Powiedz nam, jak się nazywasz – naciskał Thierry.

– Nazywa się Gerard – powiedział Aimar – i jest szefem komórki potencjałów, która wpadła na wspianiały pomysł rozmontowania mojego biznesu.

– Ten Gerard – wyjaśnił Mark, patrząc na Iana – razem ze swoimi kolegami, odkrył serię nielegalnych transakcji między Gają a Wschodem. Chodziło o transakcje, które prowadził tu obecny Aimar. Musimy podziękować Sarze, która

akurat była na pokładzie Mayera. To ona osłaniała interesy Aimara i pomogła mu zbiec, kiedy pojęła cel jego pracy.

– To znaczy? – zapytał Alex.

– Bo widzicie... W normalnym społeczeństwie może i bylibyśmy przestępcami – odpowiedział Aimar. – Przemysłnikami, piratami, kryminalistami. W rzeczywistości jednak nielegalny handel, którym trudnimy się od lat, zrodził się z chęci pomocy naszym braciom na Wschodzie.

– Nie rozumiem – przerwał mu Ian. – Na Wschodzie? Handlujecie ze Wschodem? Kiedy ty siedziałeś w izolatce, Wschód stał się kolonią Gai. Oczywiście pod kontrolą Ivana, tego samego, który zamknął cię w więzieniu i który, choć trzyma się w cieniu, rządzi nami wszystkimi. Na Wschodzie stopniowo obok angielskiego wprowadzają włoski, który wkrótce stanie się oficjalnym językiem, jednocząc oba kontynenty. Jednak oprócz Lender, czyli stolicy, reszta kraju jest w ruinie. Oczywiście tu, w Gai, telewizja pokazuje jedynie piękny Lenders Park, Sunday River z lotu ptaka czy gmaszysko Medical Center. Szkoda, że pozostałych szesnaście metropolii jest w stanie kompletnego opuszczenia. Obywateli dławią podatki, nie ma żadnej opieki medycznej. My próbowaliśmy pomóc, budując nielegalną sieć wymiany handlowej wykorzystującą niektóre dziury w systemie transportu morskiego. Dopóki Gerard i jego kumple nas nie przyłapali.

– Jemu pomogłam uciec – dodała Sara. – Ale wielu jego współników dopadli. Zamknęli, może skazali. Niestety sieć Gerarda jest dużo potężniejsza od tej należącej do Aimara.

– A wy... – wymamrotał potencjat. – Wy wyobrażacie sobie, że co niby możecie zmienić na tym świecie? Aimar odwrócił się momentalnie i spiorunował go lodowatym wzrokiem.

– Milcz.

Młody roześmiał mu się w twarz. Aimar skoczył i rąbnął głową chłopaka o ławeczkę, potem złapał sztangę i przycisnął mu ją do szyi.

– Zabiję cię – wycedził, tymczasem reszta stała jak sparaliżowana, obserwując jego imponującą muskulaturę, zza której nie było widać bladej twarzy Gerarda.

– Aimar, przestań – jęknął Thierry.

Wielki Murzyn chyba nie usłyszał jego słów, jeszcze mocniej przycisnął sztangę do grdyki Gerarda, oczy chłopaka nabiegły krwią jakby chciały wyskoczyć z orbit. Aimar odetchnął i wstał, rzucając sztangą o ścianę, w której zostały dwa okrągłe ślady po obciążnikach. – Jest nam potrzebny żywy – powiedział, siląc się na spokój Thierry. – Dzięki niemu możemy śledzić ruchy innych potencjatów. To bardzo cenne informacje.

– Banda niewolników – wykrztusił Gerard, spluwając krwią na podłogę. –

Jesteście zwykłą bandą niewolników.

Thierry spojrzał na niego ze współczuciem i znowu pomyślał o szkole. Dwanaście lat automatyzacji umysłowej, setki tysięcy godzin nagrań wideo, które dzieci były zmuszone oglądać, siedząc w ciemnej sali ze słuchawkami na uszach. Trening hipnotyczny, sugestie podprogowe, wymuszone psychoindukcje. Wreszcie liczne kuracje i eksperymenty medyczne, którym poddawano uczniów przez cały okres szkolenia. Thierry miał już nigdy nie zapomnieć tych dzieci, tej szkoły. I szyderczego napisu wiszącego nad głównym wejściem do gmachu, w którym to wszystko się odbywało, napisu informującego o nazwie błyskotliwego programu Ivana.

UTOPIA

– Musimy się pośpieszyć – oświadczył Mark. – Nie możemy tu zostać. Aimar, Quinto, zabierzcie chłopaka.

– Traciecie czas – wybełkotał Gerard. – I tak was znajdą...

– Cisza! – wrzasnął na niego Thierry.

Ian podszedł do Marka i wziął go na stronę.

– Zdezaktywowałeś też profile Aimara i Sary?

– Oczywiście, jeszcze zanim tu przybyli. Zanim udało się nam ciebie uwolnić.

– A chłopak?

– Potencjaci nie mają żadnych mikrochipów, Ian.

– Muszę zrozumieć, o czym dokładnie mówimy.

Thierry podszedł do nich, kiedy Mark tłumaczył staruszkowi jak działa oddział tajnych agentów na usługach Ivana. W tym samym momencie z górnego piętra doszedł ich ogłuszający huk, a potem seria krzyków. – Wysadzili główne wejście! – wrzasnął przerażony Quinto.

– Cholera! – Mark rzucił Thierry'emu spojrzenie, które oznaczało „wynosimy się stąd”.

Quinto pobiegł pod przeciwną ścianę pomieszczenia, gdzie znajdowały się niskie drzwiczki.

– Tędy, szybko!

Aimar ciągnął za sobą chłopaka, który zwisał bezwładnie jak worek kartofli. Quinto przytrzymał wszystkim drzwi, po czym wyszedł ostatni.

Cała grupka wspięła się po wąskich schodach i znalazła na wewnętrznym dziedzińcu. Po prawej zobaczyli, że za wielkim przeszkleniem we wnętrzu dojo świecą się światła.

Gerard spróbował krzyknąć, ale Aimar go przejrzał i precyzyjnym kopniakiem w żołądek pozbawił tchu.

– Za mną – nakazał Quinto, biegnąc przez dziedziniec w kierunku wyjścia po przeciwnej stronie. Wszyscy ruszyli w ślad za nim. Przeszli przez niedomkniętą furtkę i znaleźli się na ulicy oświetlonej przez długi rząd latarni. Na twarzach poczuli rześkie, nocne powietrze.

Quinto wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Markiem.

– Musimy dostać się do samochodu.

– Pójdziemy po niego – oświadczył Mark. – A wy się tu ukryjcie.

Thierry poprowadził grupkę za niewielki budynek po przeciwnej stronie drogi z napisem „informacja” wiszącym na fasadzie. Quinto i Mark skradali się natomiast wokół budynku w kierunku parkingu. Kiedy dotarli do rogu, za którym znajdowało się wejście do dojo, Mark dał Quinto znak, aby ten się zatrzymał.

– Podejdę tam i sprawdzę czy zostawili strażę na zewnątrz – szepnął.

– Dobra, tylko uważaj na siebie.

Mark wychylił się zza ściany budynku, próbując dostrzec plac przed wejściem. Zobaczył jakiegoś przechodnia, który jednak wyglądał na zwykłego mieszkańca okolicy. Jediną oznaką obławy był opancerzony radiowóz zaparkowany nieopodal, lecz ani śladu warty. – Droga wolna, idziemy! – syknął Mark do Quinto.

Przeszli przez skrzyżowanie i skręcili w stronę parkingu, który znajdował się jakieś sto metrów dalej. Starali się iść jakby nigdy nic, udając przypadkowych przechodniów, ręce w kieszeniach, swobodna pogawędka. Gdy minęli rząd kwietników oddzielających parking od chodnika, usłyszeli za sobą głosy. Odwrócili się, widząc czterech umundurowanych wychodzących z bramy dojo. Dwóch miało karabiny, dwóch pistolety w dłoniach.

– Sprawdźcie tych dwóch – rozkazał jeden z agentów.

Gdy Quinto usłyszał te słowa, nie spojrzawszy nawet na Marka, uskoczył momentalnie za furgonetkę, ledwo zdążył uchylić jej drzwi, gdy żołnierze otworzyli ogień.

– Za drzewo! Kryj się za drzewem! – ryknął na Marka, rozsuwając zamek czarnych toreb, które leżały na tyle samochodu.

Mark nie zdążył, padł na kolana gdy jedna kula trafiła go w plecy, a druga przeszła udo. Krzyk bólu, który z siebie wydał, dotarł do wszystkich jego przyjaciół, również tych ukrytych po drugiej stronie skrzyżowania.

– Niech to szlag! – wrzasnął Quinto, ciskając zza samochodu dwoma ostatnimi granatami w stronę wejścia do dojo, na ślepo.

Rozległy się dwa wybuchy, a zaraz potem potworne zawodzenie. Chłopak momentalnie podjął decyzję, wyłonił się zza furgonetki z karabinem maszynowym w rękach i posłał cały magazynek w stronę chmury kurzu powstałej po eksplozji granatów. Ci, którzy cudem przeżyli, teraz padli od kul, nie mając szansy na podjęcie walki.

– Do środka! Szybko! – wrzasnął Quinto.

Mark, kuśtykając dowlekł się do samochodu, marynarka i spodnie przesiąknięte były krwią. Quinto pomógł mu załadować się na tylną pakę, po czym trzasnął odkształconymi drzwiami, które nie chciały się zamknąć i biegiem wrócił za kierownicę. Odpalił silnik i z piskiem opon wyrwał do miejsca, gdzie ukrywała się reszta. W największym pośpiechu zapakowali się do środka. Thierry usiadł z przodu.

- Mark jest ranny.
 - Wiem, cholera – Quinto ruszył, wciskając gaz do dechy. – Trafili go, musimy go jak najszybciej opatrzyć.
 - Jak nas do cholery znaleźli?! – wrzasnął doktor.
 - Musimy pozbyć się tego samochodu.
- Po kilku minutach nad peryferyjną dzielnicą Mariny znowu zaległa cisza.

– Cóż za cudowny widok, nie sądzisz? – głos starca był głęboki i łagodny. Jego wzrok błędził gdzieś za wielkimi przeszkleniami. Znajdowali się na sześćdziesiątym piątym piętrze najwyższego wieżowca w centrum Mariny. Żaden z pracowników rządowej siedziby Gai nigdy nie postawił stopy w tym pokoju z eleganckim parkietem, drogimi mapami wiszącymi na ścianach oraz ogromnym jacuzzi zamontowanym na samym środku. Nieopodal stało solidne, drewniane biurko pokryte dokumentami i tabliczkami interaktywnymi. Mężczyzna uśmiechnął się kontemplując panoramę miasta. Potem połknął tabletkę, którą przyjmował zawsze o świcie. W ten sposób kontrolował swoje galopujące nadciśnienie. Była czwarta trzydzieści w nocy.

– Czy ty mnie słuchasz? – zdenerwowała się kobieta stojąca za jego plecami.
– Sytuacja jest poważna. Bardzo poważna.

– Za rozświetlonymi drapaczami chmur i slumsami na peryferiach – ciągnął staruszek – wciąż mogę liczyć na pocieszający widok oceanu. Ocean to mój najdroższy przyjaciel. Mój wierny powiernik. Czy już ci mówiłem, że kiedy umrę chcę zostać skremowany i rozsypany nad morzem? Mówiłem, moja mała?

– Nie jestem już mała, ojczu, jeżeli się nadal nie zorientowałeś.

– Eh, bzdury – mężczyzna odwrócił się na swoim wózku inwalidzkim. Słabe światło lampy biurkowej podkreślało fałdy pomarszczonej skóry na jego twarzy. Głęboka blizna wystająca spod rzadkich siwych włosów uwydatniła się na chwilę, by zaraz zniknąć w cieniu. – Zawsze będziesz moją małą Daną, moim najlepszym żołnierzem.

– Ojczu. – Kobieta nadęła policzki pełna dezaprobaty. – Nie mamy czasu do stracenia. Byłam w siedzibie Synaptiki. Ta dwójka uciekła, pomogli im lekarze, którzy również zniknęli. Nasz człowiek podał koordynaty satelitarne, ale okazało się, że trafiliśmy kulą w płot. Najwyraźniej mają współników. A my straciliśmy ich trop. Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej, co dodatkowo zirytowało córkę, podjechał bliżej swoim elektrycznym wózkiem.

– Stoję na czele imperium – oświadczył zdecydowanym tonem. – Nikt nie może się nigdzie oddalić bez mojej zgody. Możesz się z łaski swojej przestać podniecać? To nie w twoim stylu. To nie w naszym stylu.

Dana spuściła oczy.

– Do jutra ci durni rewolucjoniści będą martwi – zakończył Ivan niespiesznie, odwracając z powrotem wzrok na panoramę miasta za oknami.

– Nie doceniasz ich... – powiedziała kobieta, jej zazwyczaj ciepły i urzekający głos drżał z niepokoju po raz pierwszy, od kiedy pamiętała.

– A ty ich przeceniasz! – warknął Ivan. – Dziwię ci się! I ty chcesz być kobietą, która rozciągnie mój genialny program poza granice obecnego imperium? Jesteś tylko głupie babę, która robi w majtki ze strachu przy pierwszej przeszkodzie. Zagryzła wargi i starała się nie dać sprowokować. Słowa jej ojca były jak noże wbijające się w jej serce.

– Jesteś tylko głupie babę! – wrzasnął mężczyzna. Potem chwycił zwiniętą tabliczkę i zaczął okładać kobietę po twarzy aż do krwi.

– Przepraszam... nie wiedziałam...

– Dziewczyna ma się nauczyć dyscypliny. Skoro się jej nie nauczyła, to znaczy, że ma złą nauczycielkę. Jeśli jeszcze raz zniknie gdzieś na cały dzień, ty będziesz za to osobiście odpowiedzialna, a to wyda ci się pieszczotą w porównaniu z karą, która cię spotka, jeśli nie będziesz mnie słuchać.

– Gdzie byłaś? – teraz zwrócił się do niej, jego głos był twardy jak kamień.

– Ja, ojciec... nie wiem.

– Żarty sobie ze mnie robisz? Zapytałem, gdzie byłaś! Odpowiadaj albo nie zobaczysz słońca przez miesiąc!

– Przysięgam, że nie wiem. Siedziałam w porcie pod moło. Potem jakby przysnęłam i... kiedy się obudziłam byłam już w zupełnie innym miejscu. Musisz mi uwierzyć...

– Nie wierzę w ani jedno słowo! Gdzie do cholery byłaś?

– Mówię prawdę. Kiedy otworzyłam oczy, morze wciąż tam było, ale miasto było inne. Ludzie byli inni, mówili w innym języku i... to nie był sen. To było prawdziwe miejsce.

– Rozkaże twojej matce zabrać cię do lekarza. Jeśli zmyślasz, źle się to dla ciebie skończy, Dano. A teraz zejdź mi z oczu.

– Proszę o wybaczenie, ojciec – powiedziała. – Masz rację. Do jutra ich złapiemy. I tym razem nie będziemy łaskawi.

– Ja nie będę łaskawy.

– Oczywiście.

– A dokładniej, nie dam się namówić na żadne ustępstwa jak osiemnaście lat temu. Cała ta banda jest już martwa, żaden z nich nie jest mi potrzebny.

– Jest z nimi jeden z naszych chłopców, widziano go w okolicach siłowni, kiedy... – Gównu mnie to obchodzi! Jest tylko pionkiem. Mogą go sobie zabić, jeśli mają taką ochotę. Misja jest święta, żołnierze do poświęcenia. To bezduszne zdanie nie schodziło z ust ojca, od kiedy wydał Thierryemu rozkaz rozpoczęcia projektu Utopia. Dana miała te słowa wdrukowane, jakby były jej własnymi.

– Słusznie – odpowiedziała z szacunkiem. – Słusznie.

– Coś jeszcze? Bo jeśli nie, to chciałbym samotnie nacieszyć się widokiem

dnia wstającego nad moją ziemią...

– Właściwie to jest coś jeszcze – Dana podniosła oczy, które nagle wypełniły się dumą.

– Tylko szybko.

– Chciałam przekazać ci najnowsze wiadomości. Byłam już w ponad pięćdziesięciu równoległych rzeczywistościach. Szczerze mówiąc, to widziałam ich setki, ale wróciłam tylko do tych, w których postęp technologiczny osiągnął poziom przynajmniej akceptowalny, aby móc wykorzystać środki komunikacji masowej. Zweryfikowałam, że we wszystkich tych wymiarach nasi chłopcy istnieją, ale automatyzacja pozostaje w ich umysłach utajona. Mamy wojsko, ale w tej chwili jest rozproszone i bezużyteczne.

– Jaką strategię obrałaś, żeby ich znaleźć?

– Twój symbol był idealnym wabikiem.

– Rozwiń to – spojrzał na nią poirytowany. – Tylko szybko. W mgnieniu oka Dana przeniosła swój umysł do niesamowitych scenerii, które odwiedzała w ostatnim czasie. Zobaczyła siebie jak przechodzi pod wysokimi arkadami otaczającymi ogromny plac Atmen, w centrum miasta Braik. Miała na sobie długą, czarną spódnicę i gruby sweter. To był dzień, w którym zdołała zmanipulować system transmisji wideo na reklamowych telebimach. Słońce właśnie zachodziło za imponującym Zegarem Sey–Aht–Jamel. Jeden z tych wielkich ekranów znajdował się na środku placu i z pewnością przyciągnie uwagę nawet najbardziej rozkojarzonych przechodniów. Dana z zaskoczeniem dostrzegła swoje odbicie w sklepowej witrynie. Jej twarz była inna, tylko częściowo podobna do tej w rzeczywistości Gai. Przyglądając się sobie stwierdziła, że musiała odziedziczyć te ostrzejsze rysy po ojcu, którym nie mógł być Ivan. Wciąż miała jednak głębokie, ciemne oczy po matce i długie, lśniące włosy kobiety, która wydała ją na świat w każdym równoległym wymiarze, który odwiedziła. Kiedy odwróciła się od witryny, zobaczyła pierwsze ziarno posianego przez nią wezwania. Na wielkim ekranie pojawiła się stylizowana twarz bez oczu, jakby naszkicowana. Pod nią napis w języku, którego mieszkańcy Braik nie mogli zrozumieć. MY JESTEŚMY UTOPIĄ. TERAZ I NA ZAWSZE. Ojciec patrzył na nią ze zniecierpliwieniem w ciszy sześćdziesiątego piątego piętra. Ona ponownie zamknęła oczy i otworzyła je we wnętrzu prestiżowego Teatru Onaide, dumy architektonicznej miasta Slidea. Siedziała w towarzystwie mężczyzny na niebieskim fotelu. Światła wciąż były zapalone, scena pusta w oczekiwaniu na początek spektaklu. Na siedzeniu obok niej leżało aktualne wydanie miejscowego dziennika. Podniosła go i przerzuciła kilka stron, upewniając się co do efektu swojego planu. Na dole dwudziestej pierwszej strony, w części reklamowej, widniał wizerunek twarzy bez oczu. Pod spodem slogan. Reszta gazety wydrukowana była w języku, który mieszał litery ze skomplikowanymi ideogramami. Straciła kontrolę, jedna po drugiej wizje

nakładały się w jej głowie, fragmenty wspomnień, myśli i sugestie niemożliwe do przełożenia na słowa płynęły do jej ojca patrzącego na nią z niechętnym grymasem. Ujrzała siebie podczas rozmowy z chłopakiem ogolonym na łyso i wytatuowanymi ramionami. Przypomniła sobie jego imię – Dybren – i jego całkowite oddanie dla sprawy. Przypomniła sobie, że sam ją znalazł, bo coś do niego dotarło. Bo ten symbol, który zobaczył przez przypadek, nadał sens nękającym go od dzieciństwa koszmarom. Koszmarom sennym, w których powtarzał się ten sam slogan w języku, którego nie znał. „Jesteśmy Utopią. Teraz i na zawsze”. Za chwilę znów rozmawiała z grupą chłopców, pierwszych odnalezionych dzięki jej pomysłowi wykorzystania środków masowego przekazu, by obudzić w potencjatach ich utajone zdolności. Widziała siebie w półmroku piwnicy, wydawała pierwsze rozkazy, omawiała strategie i przypisywała zadania operacyjne tym niczego nieświadomym młodzieńcom, którzy od tej pory mieli tworzyć jej własne tajne służby.

– Marnujesz mój czas... – oświadczył Ivan, wrywając ją z wiru wspomnień.

– Przepraszam, ojcze. Twoja rewelacyjna praca przy kształceniu tych chłopców okazała się niezwykle cenna. Slogan i symbol są niezawodnymi środkami komunikacji z ich podświadomością.

– Teraz wreszcie zachowujesz się jak moja córka – uciął Ivan. –Zobaczmy czy staniesz na wysokości zadania.

– Ojcze... – Dana podeszła do drewnianego stolika, na którym stały dwa kieliszki i naląła do nich trunku. – Może wzniesiemy toast za Dobrobyt, zanim się pożegnamy? Ivan uśmiechnął się lekko, podjeżdżając wózkem do stolika. Dana podała mu kieliszek, po czym stuknęła o niego swoim.

– Za naszą dominację na tej ziemi – powiedział i wychylił lampkę.

– Przykro mi, ale nie – odpowiedziała ona. – Za moją dominację nad wszystkimi ziemiami. Był to ostatni obraz, który Ivan zobaczył wyraźnie. Reszta była gmatwaniną kolorów, ściany i meble wirowały, dźwięki i słowa mieszały się ze sobą, a wesoly, zadowolony śmiech rozbrzmiewający w pokoju na sześćdziesiątym piątym piętrze najwyższego wieżowca w Marinie, odbijał się nieskończonym echem w jego czaszce.

– Ty... – zdołał jeszcze jęknąć.

– Nie będę tracić na ciebie czasu. Muszę przegrupować oddziały.

Ivan padł na podłogę, prawym policzkiem uderzył o parkiet.

Oczami pełnymi przerażenia obserwował córkę, serce szaleńczo pompowało krew w jego żyłach. „Moi ludzie” – pomyślał, a Dana wychwyciła jego słowa.

– Już od dawna nie są twoi – uśmiechnęła się do niego cynicznie. – Spójrz na siebie. Nic już nie jesteś wart.

Wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami jeszcze przez kilka gorzkich sekund. Potem gardło zacisnęło się definitywnie, odbierając mu oddech i

obwieszczając koniec jego wędrówki.

– Nigdy we mnie nie wierzyłeś – szepnęła mu Dana do ucha, klękając przy jego ciele. – A tylko o tym marzyłam.

– Tracisz zbyt wiele krwi, musimy cię opatrzyć – powiedział Aimar w furgonetce, która w nocnej ciszy sunęła po ulicach Mariny. Pierwsze krople deszczu zaczynały dudnić o przednią szybę. Ulice były wymarłe, ale wraz z nastaniem poranka miało się to zmienić. Na horyzoncie było już widać poświatę wstającego dnia, gotowego by oświetlić każdy ich krok.

– Spróbuj w tamtej torbie – wskazał Mark.

Czarnoskóry olbrzym przyciągnął do siebie worek i zaczął przerzucać jego zawartość. Znalazł pas z amunicją, pospiesznie wyrzucił z niego naboje, a skórzaną uprząż zaciągnął tuż nad przestrzelonym kolaniem Marka, wykorzystując ją jako opaskę uciskową.

– Pomogę ci się rozebrać – powiedział.

– Tu jest za ciemno... – jęknął Mark, usiłując lewą ręką zdjąć marynarkę. – Alex wyjmij z mojej kieszeni tabliczkę i włącz ją. Chłopak zrobiło to, o co go poprosił i wykorzystał światło ekranu, aby oświetlić ranę w ramieniu mężczyzny. Obserwowali w milczeniu postrzępioną zakrwawioną dziurę w jego ciele, na tyle głęboką, że widać było wiązki nerwów i białawą kość.

– Piecze, cholera! – wykrzyknął Mark, uderzając zdrową rękę o ścianę furgonetki.

– Miałeś szczęście – odpowiedział Aimar. – Kula przeszła na wylot.

– Dziękuję ci, wielkie szczęście.

– Przynajmniej nie musimy jej wyjmować. W przeciwieństwie do tej w nodze. Potrzebuję alkoholu, jakiegoś ostrego narzędzia i bandażu.

– Musimy się zatrzymać – powiedziała Jenny.

– Nie ma mowy – Mark zagryzał z bólu pięść. – Na pewno siedzą nam na ogonie.

– Wystarczy, że straciliśmy Annę – zagrzmiał Ian. – Nie możemy sobie pozwolić żeby to samo stało się z tobą. Quinto zatrzymał pojazd na chodniku przed jakimś warsztatem. Thierry wysiadł, obszedł furgonetkę i otworzył tylną klapę.

– Ten samochód nie jest już bezpieczny – powiedział.

– I tak jesteście skończeni – syknął Gerard rozłożony obok Sary.

Aimar odwrócił się i bez słowa przyłożył mu pięścią w twarz.

– Wychodzimy – olbrzym uniósł Marka i wyciągnął go na zewnątrz.

– Skon... czeni... – Gerard znowu splunął krwią i spojrzał krzywo na Murzyna.

- Zamkniesz się czy nie? – ryknął ten na niego.
- Jest jakaś nocna apteka w tej okolicy? – zapytał Aimar, ścisząc głos. – Musimy coś zrobić albo on nie doczeka jutra.
- Możemy to sprawdzić na urzędzeniu Marka – powiedział Thierry. – Ale teraz wysiądźcie i chodźcie za mną. Kiedy dotarli do warsztatu, Thierry wskazał im drogę przez placyk osłonięty krzakami. Z tego punktu nie było widać głównej drogi. Przed nimi rozciągała się rozległa połać zakurzonej ziemi porośniętej rzadkimi chwastami okalającymi pobliski park. Najbliższy budynek znajdował się trzysta lub czterysta metrów dalej. Na horyzoncie coraz wyraźniej było widać tarczę słońca, podniosła się mgła i zrobiło duszno. Deszcz, który wcześniej pokropił, szybko wysychał w zalążku, nie zdoławszy rozwinąć się w przynoszącą ulgę ulewę.
- Kilometr dalej jest stacja benzynowa – poinformował Thierry, wpatrując się w tabliczkę Marka.
- Ja pójdę – zgłosił się natychmiast Aimar, rzucając okiem na cyfrową mapę wyświetloną na urzędzeniu.
- Ale nie sam – przytrzymał go Quinto, zwracając się następnie cicho do Thierry ego – Jeśli masz jeszcze jedną dawkę Neurexu, użyj jej teraz. Nie chcę, żeby chłopak sprawiał kłopoty pod naszą nieobecność.
- Dobra, idźcie. Tylko się pospieszcie, musimy znaleźć bezpieczną kryjówkę, zanim zaczniesz się poranny szczyt.
- Nie byłoby lepiej wmieszać się w tłum? – zapytała Jenny. –W środku dnia moglibyśmy...
- To byłoby ogromnie ryzykowne – przerwał jej Thierry. – Nasze wizerunki zostały w ciągu nocy rozesłane na wszystkie urządzenia elektroniczne na kontynencie. A w tym bagnie bardziej powinniśmy się obawiać donosu jakiegoś przykładowego obywatela niż policji. Kiedy wszędzie słońce, musimy być daleko stąd. Mamy mniej niż godzinę, zanim ludzie wyjdą do pracy. Quinto i Aimar oddalili się pospiesznym krokiem. Reszta zastanawiała się nad dalszym planem. Alex i Jenny chodzili nerwowo wzdłuż krzaków oddzielających ich od ulicy. Wokół nich panował spokój wydający się ciszą przed burzą.
- Ten chłopak – powiedział Alex, wpatrując się w ziemię – jest tylko ofiarą...
- Kto, Gerard?
- Gerard. Zastanawiam się, co on wie o swoim życiu.
- To wszystko jest szaleństwem – Jenny pokręciła głową i kopnęła rozbitą butelkę płaczącą się pod jej nogami. Następnie zatrzymała się i zapatrzyła na odłamki leżące wśród chwastów. – Nasze życie nie różni się od tego potłuczonego szkła. Alex milczał, pozwalając jej słowom przedrzeć się przez zamęt panujący w jego głowie.
- Rozsypane na milion kawałków – dodała. On wziął ją za rękę i uśmiechnął

się gorzko.

– Wolalabyś żyć jak normalna osoba?

– Alex, patrzę na ciebie i widzę trzydziestosześcioletniego mężczyznę, ale twoje oczy i serce należą do chłopca. Dopiero co odkryłam, że kocham tego chłopca. Tylko kim ty jesteś? Kim jest ten, którego uważałam za brata? On odwrócił głowę w stronę reszty ich towarzyszy, Thierry pochylał się nad Geraldem, robiąc mu kolejny zastrzyk z Neurexu.

– To ciągle jestem ja, Jenny – położył jej ręce na ramionach i spojrzał prosto w oczy. – Gdziekolwiek nie pójdziemy, na którykolwiek fragment szkła byś nie patrzyła, będzie to zwierciadło naszych splecionych dusz. I myślę, że tak było zawsze.

Jenny podniosła szczere spojrzenie swoich oczu i przyłgnęła do niego całym ciałem.

– Gdyby to oznaczało, że musiałabym cię stracić, przestać słyszeć twoje myśli... wtedy nie, nie chciałabym żyć jak normalna osoba.

Alex zanurzył twarz w jej włosach. Ona odchyliła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy, potem delikatnie przycisnęła swoje usta do jego. Jak trudny nie byłby ich los, jak wyboista ścieżka, jak ryzykowny każdy krok, to co ich łączyło było dowodem, że podjęli słuszną decyzję, że podążali swoją Drogą. Nawet jeśli miała ich doprowadzić do śmierci.

Całowali się, a świat wokół zniknął, istniało tylko ich wieczne uczucie. Trwali przytuleni, dopóki głos Iana nie przerwał ciszy.

– Wiedziałem, że znowu się spotkamy. Czekałem osiemnaście długich i ciemnych lat, żeby was zobaczyć.

– Jak udało ci się przeżyć? – zapytał Alex, nie puszczając ręki dziewczyny.

– Żyłem nadzieją, że kiedyś obejmę znowu moich przyjaciół – uśmiechnął się. – Wierzyłem w to. Po kilku minutach Quinto i Aimar wrócili z medykamentami i przy pomocy Thierry ego wyjęli kulę z nogi Marka. Włożyli mu do ust kawałek szmaty, żeby stłumić krzyki bólu i wydłubali nabój z rany. Thierry szybko polał nogę środkiem dezynfekującym i owinął bandażem. Na koniec zrobił zastrzyk ze środkiem przeciwzapalnym. Twarz Marka, zazwyczaj śniada, teraz wyglądała jak woskowa maska pokryta potem.

– Już prawie świta – oznajmił Thierry.

Niektóre okna w otaczających ich budynkach roz błysły światłami jak ciekawskie oczy gotowe podglądać ich następne kroki.

– To, co robimy? – zapytał Quinto.

– Czas uruchomić wszystkie nasze kontakty. – Thierry wziął tabliczkę Marka.

– Już to zrobiłem – mężczyzna rozpuścił swoje czarne włosy, skóra powoli nabierała wcześniejszego koloru.

– O czym mówicie? – zapytała Sara.

– Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem... – Oczy Quinto pełne były niecierpliwości. – ...niedługo będziemy świadkami niezłego spektaklu.

– To, co do wczoraj żyło w cieniu hipokryzji tego kraju – powiedział Mark, pokaszując – dziś wyjdzie na światło dzienne. W tym momencie tabliczka wydała z siebie dźwięk, Thierry wystukał coś na jej ekranie i pokiwał głową zadowolony.

– Dobre wieści? – zapytał Alex.

Doktor obrócił wyświetlacz, pokazując go wszystkim.

– Właśnie się zaczęło.

To, co zobaczyli to obraz jednego z drapaczy chmur w centrum Mariny. Jego elegancka i smukła sylwetka odbijała pierwsze promienie wschodzącego słońca. Wielkie okna w elewacji należały do urzędów administracji rządowej. Dolna część budynku stała w ogniu.

– Kto za tym stoi? – zapytała Jenny głosem pełnym nadziei.

– Komórka dysydentów, z którymi od dawna współpracujemy – odpowiedział Mark. – Dowodzi nimi człowiek o imieniu Sant. Siedział w więzieniu dziesięć lat, niewinnie skazany. Chodziło o oszustwa finansowe. Pracował wtedy dla jednej firmy ubezpieczeniowej. Oczywiście to nie on popełnił błąd, ale potrzebny był kozioł ofiarny.

– On skończył za kratami – ciągnął Thierry, gestykulując i nerwowo uderzając pięścią jednej ręki w otwartą dłoń drugiej. – Tak to sprytnie zmontowali, że prawdziwi odpowiedzialni wyszli czysti. Ludzie na smyczy Ivana. Budynek, który widzicie to siedziba firmy ubezpieczeniowej, dla której pracował Sant. O tej godzinie ich biura są zamknięte, a budynek pusty. Jenny zmarszczyła czoło.

– A co z ochroną, ludźmi od sprzątan...?

– Musimy się z tym liczyć. – Aimar spojrzał im poważnie w twarz. – Dzisiaj zostanie przelana krew. Niestety również niewinna.

– A co z twoimi ludźmi? – zapytał Thierry.

– Są gotowi. Na mój sygnał zatopią Mayera. Po nich przyplyną szalupy z wyspy Limen. Prawdopodobnie tam się wszyscy udamy po zamachu. Żeby świętować. Gdyby ktoś ich śledził aż do wyspy, możecie być pewni, że natknie się na godne przywitanie. To miejsce jest poza czyjąkolwiek jurysdykcją, a jego mieszkańcy nie należą do przyjaznych. „Dobrze to pamiętam” – pomyślał Ian, a w jego umyśle pojawiały się wspomnienia z dobrowolnego wygnania. Sklep zielarski, lodowaty podziemny bunkier i spoczywający w nim sarkofag z ciałem Alexa.

– Świat za chwilę stanie się świadkiem końca Ery Dobrobytu – oznajmił Thierry z dumą. – Dzięki zamachowi na wieżowiec i zamieszaniu, które wybuchnie na pokładzie statku Mayer, zyskamy więcej swobody, aby zaplanować dalsze ruchy.

– Ale wciąż jesteśmy poszukiwanymi zbiegami – zauważył Alex. Doktor

położył mu rękę na ramieniu.

– Do wieczora będzie tylu poszukiwanych, że policja na Gai straci rachubę, gwarantuję ci to.

Kolejny pisk tabliczki przywołał uwagę Marka.

– To powinno wam się spodobać – zwrócił się do Alexa i Jenny, pokazując im pierwszą stronę interaktywnej gazety Gai, medium całkowicie zależnego od rządu i podporządkowanemu Ivanowi.

– Siedziba Synaptiki w Marinie jest okupowana... – przeczytała Jenny głośno. – Grupa rewolucjonistów zabarykadowała się w siedzibie firmy prowadzącej najbardziej przełomowe badania medyczne w naszej metropolii. Policja otoczyła budynek, będziemy na bieżąco informować o sytuacji.

– Tak otwarcie o tym mówią? – zakpił Quinto. – Czy może mamy w tej redakcji swoich ludzi?

– Nie macie pojęcia – odezwał się Gerard, czołgając się po ziemi – w co się wpakowaliście... Aimar kopnął go w twarz i przydepnął jego głowę swoim wysokim, żołnierskim buciorem.

– Masz zamknąć mordę, raz na zawsze. Thierry złapał olbrzyma za rękę.

– Spokojnie, nie rób tego... potrzebujemy go.

Gerard wypluł krew i opierając się na dłoniach próbował wstać. Na próżno. Aimar obserwował go z pogardą, tamten kaszłał, lecz wciąż patrzył na Murzyna wyzywającym wzrokiem, Ianowi było go żal, zdawał sobie sprawę, że chłopak był w tym samym wieku co jego alter ego z Sam-en. Jak różne były ich drogi. Jak dalekie od siebie znaczenia tych dwóch młodych żyć. Ze zdziwieniem stwierdził, że w jego głowie rozważania osiemnastolatka bazują na doświadczeniach staruszka. Aimar odwrócił się na chwilę i nie zauważył zamiarów potencjata, to Jenny krzyknęła alarmująco. Niestety, za późno. Gerard trzymał w dłoni kawałek potłuczonego szkła, policzek przyciskał do asfaltu, z otwartej rany na szyi płynął szeroki strumień krwi. Ostatkiem sił zdołał jeszcze wydać z siebie złośliwy chichot. Przez chwile patrzył na nich wyzywająco, lecz szybko na jego twarz wypełził czysty strach. Alex obserwował umierającego chłopaka, spojrzał mu głęboko w oczy i zadał jedno pytanie, banalne, choć głębokie jak rany, które automatyzacja pozostawiła w jego dziecięcym umyśle: dlaczego?

– Cholera! Cholera! – wrzeszczał Mark.

Sara zakryła twarz rękami, Ian odwrócił wzrok jakby chciał okazać szacunek dla tego tragicznego epilogu. To wtedy do Alexa dotarła konkluzja jego wcześniejszych rozmyślań.

– Po drugiej stronie mogą wybierać – oznajmił. Thierry odwrócił się do niego gwałtownie.

– Co takiego?

Alex zamknął oczy. Słyszał wszystko, jeszcze na początku tej absurdalnej

nocy, kiedy Thierry opowiadał Annie historię potencjatów. Niszczycielski wpływ tego, co robiliśmy z ich umysłami z pewnością odbija się na wszystkich ich wcieleniach. To trochę jak wirus i jego zdrowy nosiciel. Wystarczy odblokować odpowiedni mentalny mechanizm, a armia będzie momentalnie gotowa do działania w którymkolwiek z wymiarów. Dana to zrozumiała i wykorzystuje.

– Po drugiej stronie mogą odrzucić ten los – wyjaśnił Alex. – Tutaj nie mogli.

– Ależ oczywiście... – wyszeptała Jenny, wciąż wpatrując się w jaskrawą czerwień krwi płynącej z gardła Gerarda. Mark kiwnął lekko głową.

– Gdyby tak był sposób... – dodał.

Thierry ukląkł przy ciele chłopca i delikatnie zamknął jego powieki. Potem odwrócił głowę, spoglądając na przyjaciół.

– Ci chłopcy są owocem zbiorowej manipulacji świadomością. Nikt z nas nie jest w stanie ich zmienić.

Z ogromnego okna na sześćdziesiątym piątym piętrze Dana widziała całe miasto Marina, leżące u jej stóp. Nie było już żadnej hierarchii ani władcy, któremu trzeba było się podporządkować. W swoim obezwładniającym delirium władzy absolutnej, właśnie pozbyła się ponad dziewięćdziesięcioletniego starca, który pewnie i tak niedługo by umarł. Starca, który nigdy jej nie zrozumiał. Ciało Ivana spadło ze szczytu najwyższego drapacza chmur w Marinie i roztrzaskało się o chodnik. Świadcami tego makabrycznego przedstawienia było tylko czterech ochroniarzy i kilka sprzątaczek myjących okna w hotelu naprzeciwko. Żadna autopsja nie byłaby w stanie wykryć prawdziwego powodu śmierci Ivana. Kostnicę zawiadywali ludzie wypełniający rozkazy jego córki. Gdy staruszek leciał z pełną prędkością w stronę twardego asfaltu, Dana oddalała się już od jego apartamentów, które niedługo miały stać się jej prywatnym biurem. Zeszła pieszo dziesięć pięter, cyfrowe zegary wiszące nad windami pokazywały piątą rano. Dana dotarła do drzwi z czytnikiem linii papilarnych, otworzyła je palcem wskazującym i weszła do pomieszczenia pełniącego funkcję archiwum. Tam przechowywano papierowe wersje wszystkich dokumentów prawnych, administracyjnych i politycznych Gai. Podwładni Ivana przewodzący rządowi bez twarzy, komunikującym się z obywatelami jedynie za pomocą elektronicznego komunikatora i ogłoszeń odczytywanych przez syntetyczne głosy, nigdy nie postawili stopy w tym miejscu. Wszystkie zasoby tam zgromadzone były łatwo dostępne w formie cyfrowej. Dana zamknęła się w środku i nie zapalając światła podeszła do okna. Wyjrzała ostrożnie, nie chcąc by ktoś ją zauważył. Kilkaset metrów dalej ujrzała wieżowiec stojący w płomieniach. Pokiwała ze rozumieniem głową, słysząc dalekie, stłumione krzyki przechodniów. Wyjęła z kieszeni ciemnej marynarki niewielką słuchawkę i włożyła ją do ucha. Odczepiła od paska interaktywną zwiniętą tabliczkę i ją włączyła. Wybrała kontakt z listy oznaczonej napisem PRYWATNA i poczekała kilka sekund na połączenie.

– Kory X856, na rozkaz – rozległ się nieprzyjemny, metaliczny głos mężczyzny w jej uchu. Szorstki, jakby od zakłóceń.

– Chciałabym poznać tajemniczy powód, dla którego jeden z biurowców w centrum płonie na moich oczach. Mężczyzna milczał przez chwilę, ale Dana nie dawała za wygraną.

– Nie wiemy, moja pani. Wciąż próbujemy ustalić...

– Oczekuję natychmiastowego raportu albo wyciągnę w stosunku do pana i

pańskich kolegów surowe konsekwencje.

– Proszę o wybaczenie. Robimy wszystko, aby zrozumieć co się wydarzyło. W tym samym momencie tabliczka Dana automatycznie otworzyła pierwszą stronę cyfrowego dziennika pokazującego policyjną barykadę przed głównym wejściem do Synaptiki.

– A to... – szepnęła, po czym odetchnęła głęboko.

– Słucham?

– Właśnie zobaczyłam wiadomość, że grupa rewolucjonistów okupuje siedzibę Synaptiki. Wiedział pan o tym? Mężczyzna zawahał się przez chwilę.

– Jesteśmy... jesteśmy tego świadomi – wydukał.

– To wszystko, co ma pan do powiedzenia? – Dana straciła cierpliwość, uderzyła dłonią o framugę okna. – Każę pana deportować do kopalni w Sirio! Razem z pańskimi bezużytecznymi współpracownikami! Jak mam ufać ludziom, którzy nie informują mnie o sprawach takiej wagi i nie potrafią odpowiedzieć na podstawowe pytania?!

– Och, potrafię odpowiedzieć na twoje pytania, moja droga – wyrecytował metaliczny głos. Dana uniosła brwi zszokowana tak otwartym brakiem szacunku.

– Jak śmiesz tak się do mnie zwracać?

Po drugiej stronie rozległ się szyderczy śmiech.

– Głowa faceta, do którego dzwoniłaś, aktualnie toczy się po dywanie. Właśnie na nią patrzę. Więc cóż... śmiem odzywać się do ciebie jak mi się podoba.

Dana poczuła jak całe jej ciało się napina, serce przyszywa kłujący ból. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że za chwilę obudzi się z tego koszmaru. Za oknem kilkaset metrów od niej, w świetle wschodzącego słońca, jakaś kobieta wyskakiwała z okna wieżowca, w tej chwili w całości stojącego już w płomieniach.

– Coś ty powie...

– Przygotuj się na swój koniec i koniec twojego programu. A propos, przekaż moje pozdrowienia twojemu staremu.

– Kim ty, do jasnej cholery, jesteś? – wrzasnęła, zaciskając pięści.

– Nazywam się Paul, jeśli to może mieć jakieś znaczenie. Wiele lat temu moja matka została zamordowana na moich oczach, tylko dlatego, że jej nazwisko znajdowało się na jakiejś liście. Zapytaj swojego ojca, on wie o kim mówię... Dana pomyślała o wyrazie twarzy Ivana, kiedy wiele lat wcześniej opowiedział jej, jak pozbył się wszystkich swoich potencjalnych rywali urodzonych w cywilizacji Dwa Tysiące i posiadających nadnaturalne zdolności umysłowe. Jego błyskawiczna droga do władzy była mokra od krwi.

– Jesteś już martwy – oświadczyła Dana.

– O nie, mylisz się. Nigdy nie czułem się tak żywy. Połączenie zostało zakończone. Dana oparła czoło o zimną szybę. Jak zamroczona wpatrywała się w płomień pochłaniające wieżowiec. Czerwone i pomarańczowe refleksy odbijały

się od okna, sprawiając wrażenie, że płonie całe miasto. Wydawało się, że obwieszczają apokalipsę. W myślach wciąż się zadreślała, powtarzając w kółko słowa nieznanego mężczyzny. Nagle zdała sobie sprawę, że właśnie otruła jedyną osobę, którą mogła prosić o radę w tej kryzysowej sytuacji. Pomyślała o Thierry, uznając, że nie może nikomu ufać. Teoretycznie na czele wszystkich instytucji stali ludzie opłacani przez jej ojca, a od lat przyjmujący polecenia od niej. Jechali na tym samym wózku. Kontrolowali policję i mieli do dyspozycji armię potencjatów, prawdopodobnie najlojalniejszą grupę tajnych agentów. Powinna zwrócić się do nich. Nie było czasu do stracenia. Po kilku minutach Dana była już na parterze, przeszła przez obszerny hall, nie spojrzawszy nikomu w oczy i zniknęła za rozsuwanymi drzwiami. Nikt nie śmiał zatrzymać tej kobiety o stanowczym wyrazie twarzy, maszerującej energicznym, pewnym krokiem, ubranej w szarą garsonkę, która właśnie wsiadała do swej terenówki. Słońce wspinało się na firmamencie, a wraz z nim na miasto opadała nieznośna duchota, ciężka jak wilgotny koc, pod którym nie dało się oddychać. Ulice zaczynały budzić się do życia.

– Znam miejsce, w którym możemy się ukryć. – Mark oderwał wzrok od głowy Gerarda leżącej w głębokiej kałuży krwi.

– Gdzie? – zapytał Thierry.

– Za kilka minut otworzą podmiejską linię metra, ale pierwsze kursy na pewno będą prawie puste. Za jakieś pół godziny do godziny wagony wypełnią się po brzegi.

– Chcesz zejść pod ziemię? – zapytał Quinto.

– Znam plany tuneli. Przystanek Sparty jest niedaleko. Poprowadzę was. Ian podszedł do Marka, który na nowo związywał roztargane włosy w kucyk.

– Jak się czujesz? Wytrzymasz?

– Tak, Ianie. – Były programator Lax uśmiechnął się do niego przekonująco. – Poradzę sobie. Muszę. Mark ruszył na czele grupy, okrążyli warsztat i weszli na chodnik. Furgonetka wciąż stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawili. „Policja musi być bardzo zajęta na innych frontach” – pomyślał Aimar widząc przed oczami płonący wieżowiec. Przeszli na drugą stronę ulicy po czym weszli w przecznicę, którą szli jakieś dwieście metrów aż w końcu skręcili w lewo. Na słupie wisiał znak z dużą literą P oznaczającą zejście do tunelu podmiejskiej kolejki, która kursowała pod całym miastem łącznie z peryferiami.

– Jeśli się na kogoś natkniemy, nie podnoście oczu – nakazał Thierry, kiedy znaleźli się na schodach.

Kiedy dotarli do bramek, Quinto wyjął napaśtek z fałszywym profilem i przeciągnął nim po czytniku, uiszczając w ten sposób opłatę. Kiedy metalowe ramię uniosło się, stanął tuż pod nim, nie pozwalając mu opaść, dopóki wszyscy nie przeszli. Jaskrawy neon wskazywał dwa możliwe kierunki jazdy. Schody po

prawej prowadziły na peron, z którego odjeżdżał pociąg w stronę stacji MARINA WSCHÓD. Po lewej czerwony, ledowy napis głosił FORUM.

– Którędy? – zapytał Quinto.

– To bez znaczenia, musimy przedostać się do tunelu. Chodźmy tędy. – Mark wybrał schody po lewej. – Patrzcie tam – szepnęła Sara gdy dotarli na dół. Dwóch mężczyzn przechadzało się wzdłuż peronu, wyświetlacz nad ich głowami oznajmiał, że do przyjazdu pociągu pozostało sześć minut. Ruszyli ostrożnie w ich stronę.

– Może powinniśmy się rozdzielić, żeby nie wyglądało, że jesteśmy wszyscy razem – zasugerował Ian.

Mark odwrócił się do reszty grupy.

– Musimy poczekać aż przejedzie pociąg. Nie możemy ryzykować, że skończymy pod kołami. Dobra, rozdzielmy się. Pamiętajcie, jeśli zjawią się inni ludzie... nie patrzcie nikomu w oczy. Jak tylko przejedzie pociąg, poczekajcie aż inni pasażerowie opuszczą peron. Spotkamy się pod zegarem.

Wszyscy przytaknęli i podzielili się na trzy grupki. Dwaj obcy mężczyźni wciąż stali odwróceny do nich plecami, kupując napoje z dystrybutora.

Alex i Jenny trzymali się początku peronu razem z Ianem, który usiadł na ławce pod ogromnym plakatem reklamowym wody Frey. Aimar i Quinto z torbami wypełnionymi tym, co zostało z ich uzbrojenia, oddalali się powolnym krokiem w przeciwną stronę. Sara, Thierry i Mark zostali w połowie peronu dyskretnie przesłonięci wejściem na schody.

Dwóch nieznanym odwróciło się w końcu z puszkami w rękach. Spojrzeli na Aimara i Quinto, którzy gawędzili nieopodal i usiedli na ławce, popijając swoje napoje. W pewnym momencie od strony schodów nadeszła nowa grupka złożona z dwóch kobiet i niskiego mężczyzny przy kości. Do przyjazdu pociągu brakowało trzech minut. Nowo przybyłe trio minęło ławkę, na której siedział Ian z dwójką przyjaciół i poszło dalej w kierunku wewnętrznego przejścia. Jedna z kobiet nagle odwróciła głowę w stronę Thierry-ego i ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. Ta natychmiast się odwróciła jakby zmieszana. Powiedziała coś do swoich towarzyszy, a gruby mężczyzna wyjął interaktywną tabliczkę z kieszeni spodni.

– Rozpoznała cię? – mruknęła pod nosem Sara.

– Nie wiem, cholera. Tylko rzuciłem na nią okiem, to był ułamek sekundy...

– Szlag. – Mark rozejrzał się wokoło.

– Nie możemy ryzykować. – Thierry próbował opanować panikę i głęboko odetchnął. – Jeśli sprawdzą nas na tabliczce i to zgłoszą, jesteśmy skończeni. Mark pogrzebał chwilę w kieszeni, po czym wcisnął jakiś guzik. Słuchawki w ich uszach aktywowały się w ciągu dwóch sekund.

– Słuchajcie – powiedział. – Trójka ludzi stojących w połowie peronu mogła rozpoznać Thierryego. Naradzają się między sobą, mają tabliczkę. Nie możemy

dopuszczyć, żeby to zgłosili.

Minęło kilka sekund ciszy, po czym rozległ się głos Quinto.

– Ian... Ian pójdzie.

Staruszek podszedł powoli do połowy platformy, odprowadzany spojrzeniem Alexa i Jenny. Thierry się odwrócił, natomiast Mark i Sara mieli na oku trio obcych, którzy wciąż zajmowali się tabliczką. Po drugiej stronie peronu Aimar i Quinto postawili torby na ziemi, gotowe do interwencji, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Coraz bardziej wyszukane te nowe modele, co? – zagaił Ian, podchodząc do grupki nieznajomych.

Dwie kobiety natychmiast odwróciły głowy udając, że tego nie usłyszały, zgodnie z protokołem społecznym Gai. Mężczyzna zrobił krok w tył i milcząco otaksował staruszkę od stóp do głów.

– Cóż za godne potępienia grubiaństwo, nie odpowiedzieć starszemu panu... – ciągnął Ian, wbijając wzrok w oczy mężczyzny.

Trwało to może ułamek sekundy, ale wystarczyło, aby Ian ujrział sześćdziesiąt lat samotności. Stół nakryty dla jednej osoby. Odbicie smętnej twarzy w lustrze. Pojedyncze łóżko w pustym pokoju. Portal oferujący różnego typu usługi miejskie, otwarty w sekcji rozrywek seksualnych. W końcu surowe spojrzenie starszej pani.

Mężczyzna rozejrzał się wokoło zbity z tropu. Kobiety nadal stały lękliwie obrócone tyłem.

– Proszę mi wierzyć – szepnął Ian, a jego oczy na moment stały się oczami matki tego mężczyzny – jej by się to nie podobało. Tak jak nie podoba jej się, że nigdy nie znalazłeś sobie uczciwej kobiety i płacisz prostytutkom.

Sara i Mark obserwowali całą scenę, ale nie byli w stanie dosłyszeć słów rozmowy. Po kilku sekundach Ian zostawił trio i wrócił do swoich. Uśmiechnął się do Sary i podał jej tabliczkę mężczyzny.

– Daj ją Thierryemu – powiedział pogodnie. – Możesz mu przekazać, że wszystko załatwione.

Światła pociągu pojawiły się w głębi tunelu. Nikt się nie odzywał, dwóch jegomościów obok dystrybutora nadal popijało swoje napoje, Quinto i Aimar podnieśli z ziemi skórzane torby.

Thierry zwinął tabliczkę, sprawdzwszy wcześniej, że nie zostało z niej wysłane żadne zgłoszenie. Odetchnął z ulgą. Skład podjechał na peron, zatrzymał się i po krótkiej chwili pojechał dalej. Kilka osób wysiadło i natychmiast skierowało się do wyjścia, nie podnosząc nawet wzroku. W jednej chwili peron opustoszał.

Dana kopniakiem otworzyła drzwi do przyziemia. Do mieszkania schodziło się po rampie pod trzypiętrowym budynkiem znajdującym się w niczyjej strefie leżącej między centrum a peryferiami. Rolety w oknach były spuszczone, we wnętrzu panował zaduch. Śmierdziało mieszaniną dymu papierosowego, potu i zepsutego jedzenia.

– Wstawaj – rozkazała, włączając światło.

Na podwójnym łóżku leżały splecione ze sobą dwa nagie ciała: chłopca i dziewczyny. Dziewczyna podniosła się gwałtownie, zaspana. Rozczochrane włosy opadały jej na półprzymknięte powieki. Obok łóżka stała kolekcja pustych butelek, podłoga była pokryta rozrzuconymi ubraniami.

– Czekam na ciebie na zewnątrz – syknęła Dana, po czym zwróciła się do dziewczyny. – A ty won.

– Kim pani jest? – wykrztusiła tamta, podczas gdy chłopak wybudzał się z trudem. – Nie może pani tak sobie tutaj wchodzić, to prywatne mieszkanie i... to się kwalifikuje do donosu! Dana uniosła oczy zniecierpliwiona, po czym wsunęła rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjęła Storno kalibru 9 z tłumikiem i wpakowała w pierś dziewczyny dwie kule.

– Co, do ku... Dana! – wrzasnął chłopak, oczy prawie wychodziły mu z orbit. – Dlaczego?!

– Wstawaj i ubieraj się, Stan. Natychmiast.

Odwróciła się i wyszła z mieszkania. Oparła się plecami o zewnętrzną ścianę budynku i czekała, w międzyczasie sprawdzając najnowsze doniesienia na tabliczce. Chłopak włożył koszulę, slipki i szare, płócienne spodnie, po czym wyszedł bosy do kobiety.

– Czemu to zrobiłaś? – zapytał, zapinając koszulę na bezwłosym torsie.

Miał wyraźnie zarysowaną szczękę i twarz poznaczoną bliznami. Lekko falowane, brązowe włosy dotykały ramion. Skośne oczy i nieco spłaszczony nos wskazywały, że któryś z jego przodków, pewnie ze sto lat wcześniej, zanim jeszcze rozpoczęła się zimna wojna, przybył na Gaję ze Wschodu. Ale Stan urodził się i wychował w Marinie, aż do dwunastego roku życia przebywał w szkole Utopii, gdzie został poddany automatyzacji umysłowej pod okiem Thierryego. Potem stał się cieniem. W następnych latach Stan pojechał kilka razy na Wschód. Brał udział w operacjach sabotażowych, atakach na przeciwników politycznych, szpiegował i manipulował masami, wykorzystując środki przekazu. Jego młody wiek, jak i jego

towarzyszy, był ich przewagą. Niepozorni, niewinnie wyglądający chłopcy nie budzili żadnych podejrzeń, a jednak wyrócili światowy porządek, doprowadzając do upadku Wschodu.

– Bo teraz masz skrzyknąć wszystkich twoich kompanów, odtworzyć sieć. Wchodzisz do akcji. Masz się skupić, żadnych pokus. I nie próbuj mi wmówić, że ta dziewczyna coś cię obchodziła.

– No dobra, mów.

– Ach, i na przyszłość, daruj sobie piętnastolatki...

– W wolnym czasie robię, co mi się podoba, ona nie miała z tym nic wspólnego, nie miała znaczenia.

– Wszystko ma znaczenie, Stan. Nie rozumiesz? Chwila nieuwagi, najmniejszy błąd czy niedopatrzenie... To wszystko spowodowało, że w ostatnich latach rozluźniła się nasza kontrola nad ludźmi. I zobacz, do czego to doprowadziło. – Do czego? Dana pokazała mu obraz płonącego wieżowca.

– Do tego.

Chłopak złapał tabliczkę, na której właśnie wyświetliło się najnowsze uaktualnienie sytuacji.

– Oż, kuźwa – zakrył usta dłonią.

Dana wyrwała mu urządzenie z ręki i zobaczyła zdjęcie statku Mayer, jednego z naj solidniej szych we flocie Mariny. Pod spodem słowa: **ATAK TERRORYSTYCZNY NA OCEANIE.**

– Świetnie – syknęła, łapiąc się za głowę, jakby chciała z niej wytrząsnąć jakieś rozwiązanie.

– Co się dzieje? Dana? – zapytał Stan ze zdenerwowaniem. Przez osiemnaście lat służby nigdy czegoś takiego nie widział.

– Rusz się – rozkazała, widząc oczami wyobraźni Ivana duszącego się po wypiciu zatrutego likieru. Potem Thierryego w tajemnicy planującego rewoltę. Iloma ludźmi dysponował? Jakie miał poparcie w społeczeństwie? Był szefem czy współnikiem wyrotowców?

– W porządku – powiedział Stan, mina Dany wystarczyła, aby pojął powagę sytuacji.

– W ciągu godziny chcę was wszystkich widzieć przed Sigmą.

– Przed centrum handlowym na peryferiach? Czemu tam?

– Bo jest w tej chwili zamknięte, na podziemnym parkingu będzie pusto. Żadnych klientów, pracowników, ochrony. Muszę z wami porozmawiać, a nie mamy dużo czasu. Dana odeszła, Stan biegiem wrócił do mieszkania. Usiadł przy biurku zawałonym stertą papierów i uruchomił tabliczkę. W tym samym momencie Mayer zaczął tonąć. Kilka minut później wieżowiec płonący w centrum Mariny zawalił się jak domek z kart. Policja, otaczająca budynek Synaptiki, usłyszała serię kolejnych wybuchów. Ludność powoli wylęgała na ulice, kierując się do swoich

miejsc pracy i nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co się wokół nich działo. Wlewali się szerokimi falami do środków masowego transportu, jak to zwykli robić każdego dnia. Kto miał pod rękę tabliczkę interaktywną, opowiadał innym o aktualnych wydarzeniach, co powodowało niezgodne z protokołem socjalnym Gai formowanie się mniejszych lub większych zbiegowisk w pociągach i na ulicach. W tym czasie Mark i inni zdążyli już przejść jakieś dziesięć metrów podziemnym tunelem kolejki podmiejskiej, docierając do śmierdzącej wnęki, w głębi której znajdowały się wąskie drzwi. Mark je otworzył i weszli do niewielkiego pokoiku. Na jego środku stał pusty stół, na ścianach wisiały tablice elektryczne pełne bezpieczników i kabli oraz rząd płaskich wyświetlaczy transmitujących obraz z kamer zamontowanych na peronie.

– Nadszedł czas wyrównania rachunków – szepnął Mark z płonącymi oczami.

– Słuchaj, to co zrobiłeś w więzieniu... – rzucił do niego Thierry.

– Masz ochotę na powtórkę? – zachichotał Mark. Doktor przytaknął z uśmiechem. Mark natomiast dotknął ramienia i skrzywił się z bólu. Postrzelona noga też rwała go od dłuższego czasu, oblewał się zimnym potem. Zagryzł jednak zęby i zebrał się w sobie. Wyjął z kieszeni spodni mikrochip i wsunął do otworu pod wyświetlaczami.

– Co planujecie? – zapytała Sara.

– To jest panel kontrolny, z którego nadawane są automatyczne komunikaty, którymi nasi ulubieni politycy raczą nas każdego ranka. Slogany, hasła reklamowe, informacje... Kupa bezsensownego cyfrowego chłamu, dobra do otumaniania mas. Quinto skinął, rozkoszując się nadchodzącym triumfem.

– Jednak dzisiejszego poranka zaserwujemy im coś lepszego. – Mark wpatrywał się w ekran urządzenia, na którym wystukiwał jakieś polecenia. – Bo dzisiejszego poranka to my jesteśmy Dobrobytem.

– Ale tutaj... nikt nie pracuje? Nikt tu nie wejdzie? – Jenny rozejrzała się ze strachem, kiedy ziemia pod ich stopami zadrżała z powodu kolejnego pociągu wjeżdżającego na stację Sparta.

– Wszystko jest zautomatyzowane – wyjaśnił Thierry, uśmiech nie schodził z jego ust. – Ale owszem, ktoś mógłby wejść w każdej chwili. Będziemy zaszczytzeni, gotując mu godne powitanie. Aimar zdusił chichot, głaszcząc czule swojego Stormo, dostał go wcześniej od Quinto.

– Przygotuj się, Saro – odezwał się Ian, kładąc kobiecie dłoń na ramieniu. – Przygotuj się, bo zaraz usłyszysz coś z klasą, coś z naszych czasów.

– Gotowe – oznajmił Mark i wcisnął guzik.

Głośniki zamontowane nad wyświetlaczem pokazującym czas do następnego pociągu zatrzeszczały, po czym rozpoczął się spektakl. Pasażerowie, którzy właśnie wysiedli, zadarli głowy zaintrygowani delikatnym wstępem harf i

fortepianów. Żaden z obywateli Gai nigdy nie zdziwił się na dźwięk automatycznych ogłoszeń, nawet tych akompaniowanych przez elektroniczne dzingle służące jedynie lepszemu zakorzenieniu pożądanego przekazu w głowach ludności. Tym razem było inaczej i wszyscy natychmiast zdali sobie z tego sprawę.

– Patrzcie... – powiedział Mark i zamknął oczy, a krystaliczny tembr wokalisty malował urokliwą melodię rozbrzmiewającą nie tylko na peronie, ale w całej sieci kolejki podmiejskiej. Ktokolwiek siedział lub stał w pociągu czy na stacji w jakiegokolwiek części Mariny, ten właśnie słuchał tej piosenki i zaczynał zadawać sobie pytania. – Patrzcie na ekran...

– Niesamowite – Alex pokręcił głową, zdumiony i zachwycony, obserwując twarze mieszkańców Mariny. Piosenka przeniosła go pięćset lat wstecz – teraz doskonale ją sobie przypominam... Każde słowo. To był ulubiony kawałek mojego ojca. Nazywał się Smoke gets in your eyes. – Świetny wybór. – Thierry poklepał go po plecach. Alex zamilkł, próbując wrócić do punktu początkowego tej historii. Co pamiętał na temat swojego ojca, rodziny? Takty tej melodii przeniosły go do przeszłości dawno pogrzebanej, a przynajmniej zapomnianej. Ujrzał swoich rodziców tańczących w salonie ich domu, w Mediolanie. Byli szczęśliwi. Szczęśliwi jak nigdy. Obserwował Valerię i Giorgia Loriów, ich spojrzenia były niewinne, nieświadome, dziecięce. Jak kartki spalone przez historię, pojawiły się w jego myślach obrazy zmięte i poczerniałe, które w końcu obracały się w proch. Proch świata, który się skończył, którego on, Jenny i Marco byli wyjątkami. Byli zachwianiem jego równowagi. Wciąż żywym światłem.

– Ten świat zapomniał o uroku – szepnął Ian, myśląc o swoim synu Benie, którego miał już nigdy nie zobaczyć. Pojedyncza łza spłynęła po jego policzku. Zachwiał się, Sara zdołała go podtrzymać.

Mark obserwował go wzruszony. Wokół wybrzmiewał finał piosenki.

– Ten świat nigdy nie znał uroku – powiedział, rozumiejąc dobrze emocje staruszka.

– Czy oni to wszystko pojmą? – zapytała Sara.

– Ci ludzie urodzili się i wychowali pod dominacją programu politycznego zwanego Dobrobytem – odpowiedział Thierry. – Są przyzwyczajeni do swoich tyranów, a nawet ich bronią. Wierzą, że to co przedstawiają im jako słuszne rzeczywiście jest słuszne. Ale ja wierzę w to miasto. Wierzę, że nie jesteśmy sami. Mark spojrzał na Jenny.

– Kiedy Ben przywiózł cię z Mnemoniki do mojego warsztatu, zapytał, czemu nie zgadzam się z jego rewolucyjnymi ideami, chociaż rozumiem i popieram jego poglądy. Odpowiedziałem mu, że w naszym społeczeństwie niezwykłym wyzwaniem jest przekonanie przyjaciela, żeby otworzył oczy na bagno, w którym żyje.

O przekonaniu go do buntu nie może być nawet mowy. Nawet teraz

zastanawiam się, czy te osoby, które widzimy na ekranie, są gotowe. Czy będą w stanie pojąć, że robimy to wszystko dla nich. Quinto uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– Uda nam się, Mark! Kiedy ruch oporu zaczął się tworzyć, przyłączyliśmy się do niego ze względu na ideały. Była nas garstka. Teraz ludzie wreszcie zaczynają się budzić, a nasza sieć jest solidna.

– Ale ich sieć ma jedną ogromną przewagę... – wtrącił Alex.

– Potencjatów Ivana – dokończyła za niego Jenny. W tym samym momencie Mark zamrugał, czytając nowo przybyłą prywatną wiadomość na swojej tabliczce. Nadawcą był pewien taksówkarz, który pracował głównie w centrum Mariny. Ich informator. IVAN – SAMOBÓJSTWO, CENTRALNY WIEŻOWIEC. POLICJA NA MIEJSCU. UWAŻAJCIE.

– Obawiam się, że potencjaci nie są już na usługach tego mężczyzny – oświadczył Mark, nadal wpatrując się w ekran. – Teraz należą do Dany.

Parking pod Sigmą miał powierzchnię ośmiu tysięcy metrów kwadratowych. Od jego błyszczącej podłogi odbijał się błękitny poblask emitowany przez długie rzędy jarzeniówek. Terenówka Dany kluczyła między kolumnami podtrzymującymi trzy piętra centrum handlowego powyżej, które dysponowało też drugim ogromnym parkingiem na zewnątrz. Cały kompleks znajdował się w południowo-zachodniej części Mariny, niedaleko portu. W tej chwili pozostawał zamknięty z powodu remontu. Dana zatrzymała samochód w pobliżu wiaty na wózki i wyjrzała przez okno. Zobaczyła kilka zaparkowanych motorów, parę zdezelowanych samochodów i kilkudziesięciu nastolatków rozproszonych po całym parkingu. Wielu stało samotnie, inni zbili się w ciasne grupki i komentowali wiadomości wyświetlane na ich tabliczkach. Kiedy kobieta wyszła ze swojego jeepa, wszystkie rozmowy ucichły. Zapadła nienaturalna cisza. Dana podeszła do nich. Stan, z autorytarną miną, wyszedł kilka kroków przed resztę. Obejrzał się na kolegów i nie używając słów kazał im stanąć w szyku. Potem odwrócił się do Dany.

– Jesteśmy do dyspozycji.

– Ilu was jest? – zapytała.

– Tyłu, ilu udało się zebrać w tak krótkim czasie. – Zaczynamy. Stan cofnął się, a kobieta złączyła ręce i zmrużyła oczy. Pod jej zamkniętymi powiekami pojawiło się pełne oddanie. Ponad setka dzieciaków całkowicie otumanionych jej obecnością, echem jej myśli. Nikt nie odważył się powiedzieć słowa, gdy przenikała ich młode i niezwykle umysły, od zawsze w służbie słusznej sprawy. Grupa młodych ludzi, którzy spędzili ponad połowę swojego życia w żelaznej dyscyplinie, która zmieniała ich w buntowników i wyrzutków. Niewidoczni dla społeczeństwa, samotni i bezpańscy, dopóki znów nie usłyszeli jej wezwania, hipnotyzującej unii ich intymnej natury.

– My jesteśmy Utopią. Teraz i na zawsze.

Głos Dany odbijał się echem od betonowych ścian podziemnego parkingu. Magnetyczny, przekonujący tembr, któremu nie sposób było się oprzeć.

– Dziś opłakujemy śmierć mego ojca, wspaniałego człowieka. To on powołał do życia szkołę, w której wykuto wasze dusze. Zdecydował odebrać sobie życie, co oszczędziło mu widoku tego, co właśnie dzieje się na ulicach.

Spojrzenia młodych ludzi były uważne, skoncentrowane. Ani śladu wzruszenia, jedynie głęboki respekt dla człowieka, który w ich oczach był legendą.

Niektórzy kiwali głowami, inni stali ze skrzyżowanymi rękami, zaciśniętymi pięściami, gotowymi umysłami.

– W innych miejscach, równoległych rzeczywistościach, powoli udaje nam się zdobyć coraz więcej terenu. Zaczynamy się rozpoznawać i razem działać... – mówiła z dumą. – Dla lepszego świata. Gdziekolwiek. Aby ludzie nie mieli się już czego bać i wszystko było pod kontrolą. Wszystko.

Armia milczała. Każdy z tych chłopców bez wahania oddałby życie, aby doprowadzić projekt do końca. Tak jak zrobił to Gerard tego samego ranka, poświęcił życie, by Thierry nie mógł go wykorzystać.

– W mieście dzieje się coś strasznego. Grupy rewolucjonistów, którzy uciekli spod naszej kontroli, stawiają nas przed ciężką próbą. Widzieliście zdjęcia. Teraz przyszła kolej na was. Wiemy, że szefem tego zbrodniczego ruchu jest zdrajca. Nazywa się Thierry i był lekarzem odpowiedzialnym za Utopię. Niektórzy z was pewnie go pamiętają. Z siedziby Synaptiki porwał dwóch pacjentów o imionach Alex i Jenny. Następnie pomógł dziewięćdziesięcioletniemu mężczyźnie o imieniu Ian uciec z Zakładu Karnego Mariny. Te wydarzenia zostały poprzedzone precyzyjnym planem. Thierry z pewnością ma dobrze wyszkolonych współników i posiłkuje się nielegalną siecią. Znajdźcie te osoby...

Dana zrobiła pauzę, wpatrując się w tłum przed sobą jakby był jedną zbiorową świadomością.

– ...I nie pozwólcie im zniszczyć fundamentów Dobrobytu. Nasi współobywatele będą wam wdzięczni, dzięki wam nie będą mieli się już czego obawiać.

Kobieta spuściła oczy i odetchnęła głęboko. Teraz zaczęła intensywnie myśleć o symbolu Utopii, herbie, który służył jako zew dla jej ludzi. Twarz bez oczu wymalowana na każdej ścianie szkoły Utopii. Obraz, przed którym już od wczesnego dzieciństwa wszyscy wychowankowie oddawali się medytacji. Zwizualizowała go w głowie i była pewna, że jej armia zrobiła to samo. Nikt nie otworzył ust, ale wszyscy myśleli to samo. Zdanie powtarzane tysiąc razy przez ostatnie lata. „My jesteśmy Utopią. Teraz i na zawsze”.

Kobieta odeszła, a chłopcy zaczęli organizować się w mniejszych grupkach. Spojrzała na nich z daleka, po raz ostatni, jednocześnie dumna i zmartwiona. Potem wsiadła do samochodu i odjechała. Tabliczka leżąca na siedzeniu pasażera rozpalila się pulsującym światłem. Wiadomość nie pozostawiała wątpliwości. Nadawcą był kapitan floty morskiej Mariny, jej osobisty przyjaciel i zaufany doradca jeszcze z czasów podboju Wschodu.

MAYER TONIE

DZIAŁALNOŚĆ PORTU ZAWIESZONA

MUSZĘ Z TOBĄ NATYCHMIAST ROZMAWIAĆ

KAPITAN DESNER

Pokonała rampę wyjazdu i zostawiła za sobą podziemny parking. Gdy córka Ivana jechała w stronę portu Mariny, Aimar i Quinto opuścili tunel kolejki podziemnej, wcześniej ustalili z Markiem i Thierryem dalszy plan działania. Pokonali odcinek, który dzielił ich od peronu, przylegając plecami do ściany i uważając, gdzie stawiają stopy. Pociąg przed chwilą przejechał, więc mieli kilka minut, aby pokonać tunel. Ciemność nie pomagała, ale udało im się dotrzeć do celu. Zanim wskoczyli na peron, Quinto odpiął od paska małą puszczykę będącą granatem dymnym i rzucił ją w stronę pasażerów oczekujących na następny skład. Granat eksplodował po zetknięciu z ziemią, uwalniając kłęby czarnych oparów. Przez następne kilka minut nikt nie był w stanie niczego zobaczyć i nie wiedział, co się dzieje. Ktoś kaszlał, inni próbowali się wycofać lub oddalić od torów. Quinto i Aimar wyposażeni w maski gazowe przemknęli się między ludźmi i wyslizgnęli na zewnątrz. Tam przywitał ich poranny ruch.

– Gdzie kazalesz im czekać? – zapytał Aimar.

– Dokładnie tutaj, przy wyjściu ze Sparty. Nie możemy stać na widoku zbyt dłu...

– Już jest, to on. – Murzyn zrobił krok w tył, gdy samochód z zaciemnionymi szybami zatrzymał się przy krawężniku. Wyrzucili maski do kubła na śmieci i wskoczyli do samochodu. Kilka sekund później włączyli się płynnie do ruchu. W tym samym momencie w ponurej dyspozytorni we wnętrzu tunelu, Alex poszedł do Jenny i przywołał również Iana.

– Co się teraz dzieje w Sam-en? – zapytał.

– Jesteśmy tam bezpieczni – odpowiedział starszek.

– A Anna wciąż żyje... – dodała Jenny, spuszczać oczy.

– Anna wszędzie żyje – odparł Ian. – To jest jej czas, jej śmierć w tej rzeczywistości nie jest niczym innym niż kroplą w nieskończonym oceanie jej egzystencji.

– Ale skoro była w stanie sklonować nas w Garen – Alex spochmurniał – nie mogłaby tego zrobić też gdzieś indziej? Nie mogłaby tego zrobić wszędzie?

– Ale po co? – zapytała Jenny. – Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Czasem się zastanawiam czy nasze zdolności to dar czy przekleństwo. Ian roześmiał się i położył dziewczynie dłoń na ramieniu.

– Zadawałem sobie to samo pytanie, pewnie już z milion razy. Bo widzicie, tutaj jestem... już starcem. Szybko spotkam się ze śmiercią i nie będę się jej opierał. Pozwolę, by mnie zabrała, poprowadziła ze sobą. Czekam na nią od dawna.

– Ale moglibyśmy żyć wiecznie – stwierdził Alex. – Anna mogłaby...

– Nie powinieneś bać się śmierci przyjacielu – przerwał mu Ian poważnie. – Nasz czas skończył się pięćset lat temu. To nie jest nasza epoka. A wiemy już, co

znaczy oszukiwać cykle natury. Gdy czas poskromisz, to na nim zarobisz...

– Co to znaczy? – zapytała Jenny.

– Wydaje się, że to paradoks, ale nauczyłem się tego zdania od naszego najgorszego wroga, wiele lat temu w więzieniu. Kto pożąda władzy, kto uciska innych, aby rozszerzyć swoje wpływy na świecie, ten szuka takich jak my. Od zawsze. Przeżyliśmy zagładę naszej rasy i zabraliśmy ze sobą sekret naszej inności. Teraz możecie zobaczyć na własne oczy, jak tego typu zdolności w niepowołanych rękach mogą okazać się fatalne. W każdym świecie.

– Więc umrzemy, wcześniej czy później – szepnął Alex do siebie.

– Tak będzie lepiej. Zarówno tu, jak i w Sam-en. Ale życie jest niekończącym się cyklem, śmierć jest tylko początkiem nowej historii. Nie trzeba się jej bać. Jesteśmy bytem. Rozkład ciała nie oznacza końca naszych rejsów przez wieczność.

– Byt jest wieczny? – Jenny zbliżyła się do Alexa.

– Tak jak natura – uśmiechnął się Ian. – To podróż bez końca. Ciągły wzrost, transformacja, śmierć i odrodzenie. Ja jestem starym Ianem, który miał tu wspaniałą rodzinę i pełne przygód życie. Jestem Marco, czyli chłopcem, który poskromił czas i pozwolił nam przeżyć koniec świata w 2014 roku. Ale jestem też tym osiemnastolatkiem z Sam-en, który od zawsze żyje z poczuciem winy. Dziś jesteśmy tu, by wszystko naprawić, by odtworzyć równowagę. Wszystko musi odzyskać swoje prawdziwe znaczenie, a ludzie w tych czasach muszą wreszcie zyskać wolność. To nie jest ani dar, ani przekleństwo. To nasza droga. Przebedziemy ją razem.

Dana jechała drogą biegnącą równolegle do morza. Po pewnym czasie skręciła w boczny zaułek i zaparkowała samochód na chodniku. Wsiadła, spojrzała w górę i zobaczyła nad głową groźne, ciemne chmury płynące w kierunku miasta. Przez chwilę wydawało jej się, że rewolucjoniści zdołali sprzymierzyć się z naturą. Nigdy by się nie spodziewała takiego ataku, przecież cała populacja żyła pod ścisłą kontrolą od dziesiątków lat. Niestety ani ona, ani Ivan nie wzięli pod uwagę ludzi, którzy widzieli więcej, nie zrozumieli ich zamierzeń. Nie docenili zachwianej równowagi. Wsiadła i ruszyła piechotą w stronę morza, aż dotarła do portu spowitego dusznym, ciężkim powietrzem. Kapitan Desner czekał na nią oparty o barierki, w dłoni trzymał fajkę. Pomimo wysokiego stanowiska, które zajmował, sam był niskim mężczyzną o gładkiej twarzy i rumianych policzkach przywodzących na myśl dziecko zamknięte w ciele dorosłego. Uchylił kapelusza na powitanie Dany, ukazując łysinę górującą nad krzaczastymi brwiami.

– Mayer? – zapytała, skinąwszy mu głową.

– Zatonie w ciągu dwóch godzin.

– Ludzie na pokładzie?

– Niewielu, to nie był wycieczkowiec. Straciliśmy za to ładunek, ogromne ilości zaopatrzenia.

– Boisz się, że umrzesz z głodu, Desner? – Dana wpatrywała się w powierzchnię wody, w której odbijały się pierwsze promienie porannego słońca.

– Gdzie jest twój ojciec? – zapytał mężczyzna, pociągając fajkę.

– Nie żyje – odpowiedziała, uciekając wzrokiem od pytającej miny kapitana.

– Jestem skonsternowany, Dano. – Zakaszłał i ponownie zaciągnął się dymem. – Składam ci moje najszczerze kondolencje. To pewnie robota tych samych ludzi...

– Wyglądało to raczej na samobójstwo – skłamała, a jej twarz z powrotem się ożywiła. – Ale widzę, że ty zaczynasz rozumieć... –Co?

– Ludzi. Naród. Bo to nie oni wznieśli rewoltę. Mamy do czynienia z pojedynczą grupką. Masy są i pozostaną po naszej stronie. Szczególnie jeśli dokonamy lekkiego przetasowania.

– Co masz na myśli?

– Większość ludzi pojechała dzisiaj rano do pracy, jak gdyby nigdy nic. Z pewnością przeczytali najnowsze doniesienia, ale nie mają pojęcia o zamiarach rewolucjonistów.

– Może i tak, ale ci spiskują przeciwko rządowi, przeciw władzy politycznej. Zaatakowali Marinę i zatopili statek. Uważasz, że obywatele tego kontynentu nie zaczną zadawać pytań?

– Och, Desner, oczywiście, że zaczną. Zwłaszcza kiedy zostaną zaatakowane kolejne cele... cywilne. Mężczyzna wyjął fajkę z ust i zmrużył oczy, wpatrując się w twarz Dany, która nagle rozbłysła jakimś nowym światłem.

– Przepraszam, chyba nie zrozumiałem... Masz zamiar...

– Świetnie zrozumiałeś. Potrzebuję do tego twojej pomocy. Natychmiast.

– Do czego?

Dana znów spojrzała na horyzont, wyobrażając sobie dalszy bieg zdarzeń, tak jak to właśnie zaplanowała.

– Do spalenia szkoły. Oczy kapitana pociemniały.

– I chcesz, żebym przyłożył rękę do czegoś takiego?

– A to nie ty przewoziłeś zepsute jedzenie do Lender, transportowałeś niewolników, handlowałeś podczas zimnej wojny?

– To nie to samo, Dano...

– Chyba nie naszły cię moralne skrupuły, akurat dzisiaj? Pamiętaj, że twoja pozycja, bogactwo, szacunek, jakim się cieszysz, wszystko to zawdzięczasz szczodrości mojego ojca. Desner zdjął kapelusz i szybko potarł czoło ręką, jakby chciał osuszyć pot.

– Chcesz, żebym wysadził w powietrze... dzieci?

– Dokładnie.

– Ale... przecież to akt potwornego barbarzyństwa, nieludzkiego okrucieństwa...

– Brawo – przerwała mu Dana. – Właśnie użyłeś słów, które wykorzystam na pierwszej konferencji prasowej. Od dzisiaj ten świat ma nowego przywódcę. W przeciwieństwie do poprzedniego, będzie miał twarz, wyjdzie z cienia. Pierwszą rzeczą, którą uczynię w tej nowej roli, będzie rozpowszechnienie we wszystkich krajowych mediach podobizny tego parszywego zdrajcy Thierryego, będzie miał na sumieniu kilkaset niewinnych duszyczek.

– Po co miałbym się mieszać w coś takiego... – kapitan zawiesił głos, nie kończąc zdania.

– Bo od jutra będziesz moim Pierwszym Doradcą. Będziesz najbardziej wpływowym człowiekiem w hierarchii tego kontynentu. Zaraz po mnie, oczywiście. Jeżeli masz lepsze alternatywy, droga wolna, zejdź mi z oczu na zawsze. Kapitan spuścił oczy i zapatrzył się w swój długi cień, który czynił jego sylwetkę szczupłą i wysportowaną, choć wcale taka nie była. Kolejny raz w życiu postanowił pokierować się zasadą, że cel uświęca środki. Ivan nie żył, a wraz z nim cały szacunek, którym go darzył. Teraz to Dana była szefem. I właśnie przekazała mu pierwszy oficjalny rozkaz.

– W porządku – odpowiedział, zakładając z powrotem kapelusz na głowę. – Możesz uznać to zadanie za wykonane.

– To mi się podoba, Desner. Przed nadejściem południa chcę zobaczyć w interaktywnym dzienniku wiadomość, że skutecznie wykonujesz powierzone ci obowiązki. Od jutra Thierry i jego banda zdrajców Dobrobytu będzie ryzykować linczem jeśli spróbuje wytknąć nos z kanału, w którym się ukryli. Nawet nie będziemy musieli ich szukać. Dana odwróciła się i odeszła, zostawiając kapitana samego z jego etycznymi rozterkami i odwiecznym poczuciem niedosytu pieniędzy i chwały. W pomieszczeniu kontrolnym znajdującym się w tunelach linii podmiejskiej grupa Thierrego otoczyła go wianuszkiem.

– Kiedy wrócą Quinto i Aimar? – zapytała Jenny.

Mark w międzyczasie sprawdzał najświeższe doniesienia na tabliczce.

– Nie wrócą tutaj – odpowiedział Thierry. – Mają się spotkać z oficerem portu, to nasz człowiek, nazywa się Lars. To również dzięki niemu ludzie Aimara zdołali dokonać sabotażu na Mayerze. Koordynował całą operację na odległość.

– Dołączymy do nich w porcie? – zapytał Ian.

– Najpierw musimy się stąd wydostać niezauważeni. Pobrzękiwanie kluczy sprawiło, że wszyscy odwrócili się w stronę drzwi.

– Ktoś tam jest – syknął Thierry, wyciągając broń. – Czy Quinto dał wam nowe magazynki?

Pokiwali głowami, kładąc dłonie na swoich kaburach.

– O kuźwa – jęknął nieznajomy, kiedy po otwarciu drzwi znalazł się twarzą w twarz z trzema wycelowanymi w niego lufami.

Mężczyzna był rudy i bardzo przestraszony, panicznie rozglądał się wokoło.

– J–ja, j–ja... ja jestem tylko elektrykiem, j–ja...

– Nie chcemy cię skrzywdzić – uspokoił go Mark – ale musisz nam pomóc stąd wyjść.

– Z–zrobię, co zechcecie, tylko nie s–strzelajcie, proszę. Mam malutką córeczkę, urodziła mi się p–przedwczoraj, błagam...

– To cudowna wiadomość – oświadczył nagle Ian, mężczyzna spojrzał na niego zaskoczony.

– Zamknij drzwi – rozkazał Thierry.

– A teraz, z łaski swojej, wyłącz natychmiast prąd na całej linii. – Mark uśmiechnął się wyczekująco, podczas gdy elektryk podchodził do tablicy rozdzielczej. Był blady i drżały mu ręce.

– Stąd mogę odciąć t–tylko stację Sparta – wykrztusił. – Nie mogę zatrzymać pociągów na t–torach.

– To wystarczy, dla nas ważne jest, żeby na peronie zapadły ciemności. I na schodach. No i na piętrze, gdzie są bramki.

– Robi się.

– Jak się nazywasz? – zapytał Thierry, starając się nie przestraszyć nieszczęśnika jeszcze bardziej.

– Nicoló.

– Dobra, Nicoló, słuchaj. Masz samochód?

– Właściwie to nie – odpowiedział. – Ale czasem używam firmowej furgonetki.

– To jeszcze lepiej – stwierdził Mark. – Gdzie ją zaparkowałeś?

– W garażach obok stacji. Ale nie można tam wejść bez... – Ja ci dam przepustkę – Mark wyciągnął do niego rękę. Thierry wymienił z innymi porozumiewawcze uśmiechy, po czym odwrócił się z powrotem do mężczyzny, który opuszczał bezpieczniki na tablicy.

– Nie mamy czasu do stracenia. Musimy iść. Ty będziesz prowadził.

Wszystkie światła na stacji Sparta zgasły w jednym momencie. Tablice wyświetlające czas przyjazdu następnego składu były martwe, dystrybutory z napojami również, to samo z jarzeniówkami nad peronem. Schody i piętro, do którego prowadziły, tonęły w ciemności. Kiedy grupka spiskowców opuszczała tunel, pasażerowie oczekujący na pociąg zaczęli szemrać między sobą z niezadowoleniem. Pięć minut później Thierry i reszta byli już w szarej furgonetce z napisem POGOTOWIE ELEKTRYCZNE MARINY.

Furgonetka włączyła się do porannego ruchu Mariny. Mark siedział na fotelu obok kierowcy i wystukiwał coś na tabliczce. Od kilku minut we wszystkich serwisach informacyjnych zaczęto używać określenia „atak terrorystyczny” w odniesieniu do ostatnich wydarzeń w mieście. Zdjęcia walącego się wieżowca w centrum robiły wrażenie. Chmura szarego dymu unosiła się na przestrzeni dwudziestu metrów wokoło, wyglądając jak szara kopuła górująca nad rumowiskiem. Betonowe filary i rozgrzane stalowe płyty splotły się z piramidą gruzu i ludzkich szczątków leżących pośród szkieletów samochodów pokrytych grubą warstwą pyłu. Makabryczne sceny odbijały się w oknach okolicznych budynków multiplikując horror. Wokół uwijał się tłum strażaków, policjantów i dziennikarzy. Rzędy barier odgradzały obywateli od rumowiska. Mark odwrócił się. W samochodzie nie było ściany oddzielającej przestrzeń ładunkową.

– Przejazd przez miasto trochę nam zajmie.

– Nie szkodzi, tutaj jesteśmy bezpieczni. Nie powiążą z nami tego samochodu – odpowiedział Thierry. W skrytce w drzwiach ktoś zostawił czarną bejsbolówkę. Mark wyjął ją i założył na głowę.

– Chyba nie masz nic przeciwko?

Mężczyzna za kierownicą skinął i przełknął głośno ślinę.

– Kim jesteście? M–mogę spytać?

– Twoimi przyjaciółmi. – Mark odchrząknął i spojrzał na resztę. – Potrzebujemy zaopatrzenia, nie wytrzymamy tak całego dnia. Poza tym jesteśmy zmęczeni. Słuchajcie, spróbujcie wykorzystać tę podróż, żeby się zdrzemnąć.

– A ty? – zapytała Sara siedząca między Alexem a Ianem.

– Potem będę miał na to czas, teraz nie mogę sobie pozwolić na spanie.

– Jak rana?

– Staram się o niej nie myśleć.

Tabliczka Marka zapiszczała, to była wiadomość od Quinto. **JESTEŚMY W PORCIE.**

NAMIERZYLIŚMY DESNERA.

ZARAZ ŁADUJEMY GO DO AUTA.

QUINTO

Mark zamknął komunikator i wrócił na stronę interaktywnego dziennika. Pojawiła się nowa wiadomość: **DOBROBYT NARESZCIE ZYSKUJE TWARZ.** Mark przeczytał notkę z wyraźnym obrzydzeniem.

Marina. Dziś wieczorem o godzinie 19:00 na wszystkich kanałach dostępnych na Gai transmisja na żywo. Dobrobyt nareszcie wyjdzie naprzeciw swoim wyborcom. Po latach ogromnego zaufania i zaangażowania, postępu technologicznego i rozwoju społecznego, owocny program polityczny, który uczynił Gaję bezpiecznym miejscem, w którym z radością wychowujemy dzieci, pokaże swoją twarz. Będzie to twarz kobiety, dzięki której wszystko stało się możliwe. Kobiety, będącej matką wszystkich naszych ideałów. Zdecydowała się ujawnić swoim wiernym obywatelom w tym trudnym momencie poprzedzonym atakami terrorystycznymi w samym sercu Mariny.

Z tego powodu we wszystkich zakładach dzień pracy zostanie skrócony o dwie godziny.

Mark pokręcił głową i podał tabliczkę Thierryemu, wskazując gestem, co powinien przeczytać. Doktor skupił się na tych kilku liniijkach, kiedy dotarł do ostatniego zdania, wrócił do pierwszego i zaczął czytać od nowa. Z niedowierzaniem powtórzył tę czynność trzy razy.

W międzyczasie Alex zasnął z głową opartą na kolanach Jenny, która nie czując senności delikatnie głaskała jasne włosy chłopaka. Po osiemnastu latach uwięzienia w Synaptice zyskały kilka szarych pasemek i były nieco dłuższe na szyi, nad czołem wciąż zwisał niesforny kosmyk.

Jenny próbowała zamknąć oczy, ale w głowie czuła nieprzyjemne łomotanie rytmu własnego serca, nie była w stanie zasnąć. Pieściła włosy Alexa i myślała, że jedyna rzecz, której naprawdę mocno pragnęła, to ucieczka od tego wszystkiego, ucieczka daleko do miejsca, w którym mogłaby co rano budzić się obok niego. Bez strachu.

Sara siedziała naprzeciwko i też próbowała odpocząć oparłszy głowę o ramię Iana. Staruszek natomiast wykorzystywał chwilę ciszy, aby odprężyć się w medytacji, jak to czynił przez ostatnie osiemnaście długich lat spędzonych w izolatce Zakładu Karnego Mariny. Jednak tym razem pewien most porwał go w zupełnie inne miejsce. To była jego ziemia, zapach traw rosnących bujnie na brzegu rzeki. Słońce wisiało wysoko nad głowami mieszkańców Sam-en-Kar, wspinała i ciepło, rządzące Porami i dyktujące terminy zbiorów.

To stało się nagle.

Otworzył oczy po drugiej stronie i ujrzał przed sobą siodło. Potem obraz wyostrzył się i dostrzegł potężną sylwetkę konia. W końcu twarz kobiety. Przez chwilę wydawało mu się, że balansuje między dwoma wymiarami, z jednej strony słyszał silnik furgonetki prowadzonej przez Nicoló, z drugiej dobiegał go słodki, kojący głos kobiety. Kobiety o długich, rudych włosach i oczach, w których wciąż tliła się nadzieja.

– Byłam w Marinie. Trzymają mnie pod obserwacją w szpitalu.

– Chcesz powiedzieć, że cię nie zabili?

– Nie, Ianie. Jestem poważnie ranna i jestem w ich rękach, ale jednak żyję. Ian otworzył szeroko oczy i prawie poderwał się na nogi, gestykułując nerwowo jakby chciał pokazać coś znajdującego się przed nimi.

– Ona żyje! – wykrztusił w końcu.

Jenny spojrzała na niego zaskoczona, Alex przecierał zaspane oczy.

– Kto? O kim mówisz? Miałaś jakiś koszmar?

– Żaden koszmar. Byłem w Kar. Rozmawiałem z Anną.

Mark odwrócił się do nich.

– W Sam-en, oczywiście... – powiedział Alex, siadając po tu-recku przed staruszką. – W Sam-en ona żyje. To tu ją zabili, to tu my...

– Nie, nie! Posłuchajcie mnie, słuchajcie wszyscy! Byłem po drugiej stronie, z nią. Powiedziała, że trzymają ją w szpitalu, tutaj w Marinie. Nie zabili jej, ale jest ciężko ranna. Jenny i Alexa zamurowało. Przed oczami znowu stanął im obraz ciała Anny upadającego na posadzkę więzienia pod ostrzałem strażników. Thierry najpierw się uśmiechnął, potem oczy mu załśniły i spochmurniał.

– Nie możemy jej tak zostawić, w rękach Dany – zwrócił się do Marka.

– O czym wy, do cholery, m-mówicie? – krzyknął niespodziewanie Nicoló, zwalniając przed skrzyżowaniem.

Mark zmarszczył czoło.

– Niedługo się dowiesz – odpowiedział mu.

– Dzisiaj o dziewiętnastej – dodał Thierry. – Na żywo w całym kraju. Mark odwrócił się do okna i zobaczył ludzi stojących w kolejce do urzędnika weryfikującego profile zainstalowanego w ścianie pomiędzy dwoma sklepami, a w głębi ulicy kilku bezdomnych, paru mężczyzn w garniturach, rząd pojemników na śmieci i zardzewiałe latarnie. Tabliczka znowu zapiszczała i Mark odczytał na głos wiadomość: Mamy Desnera. Zaparkowaliśmy przy porcie. Quinto.

– Powiedz mu, żeby kazał Larsowi odeskortować ich do studia telewizyjnego – poradził Thierry. – Spotkamy się na starej stacji za dwadzieścia minut. Mam pewien pomysł.

Mark skinął głową na zgodę i wystukał odpowiedź w programie Tekst, wprowadzając wcześniej kilka kodów szyfrujących, dzięki którym nikt nie był w stanie ich namierzyć.

– Ona żyje... – wyszeptala Jenny z przymkniętymi oczami, przytulając się do Alexa.

On uśmiechnął się i pogładził jej twarz.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho.

„Kocham cię” – pomyślała dziewczyna i potwierdziła to spojrzeniem.

Samochód oficera Larsa stał zaparkowany w ślepej uliczce niedaleko Portu Mariny. Drzwi były zamknięte, a okna zaciemnione. Obok stał rząd pomarańczowych pojemników przeznaczonych do recyklingu materiałów elektrycznych z napisem MARINA –GOSPODAROWANIE ODPADAMI 16B. Panowała nieznośna duchota, szare niebo wisiało ciężko nad ciasno stojącymi budynkami.

– Ja... nie wiem, o czym mówicie! – kapitan Desner próbował wyrwać się z uścisku Aimara już kilkakrotnie, ale jedynym tego rezultatem był coraz ostrzejszy kąt, pod którym olbrzym wyginał jego ramię do tyłu. Jeszcze jeden nieostrożny ruch mógłby skończyć się pękniętą kością. Quinto trzymał tabliczkę, dzięki której wymieniał wiadomości z Markiem.

– Zapalaj silnik – rzucił do współnika siedzącego za kierownicą. – Jedziemy na starą stację.

Lars przekręcił kluczyk i ruszyli. Jego twarz z haczykowatym nosem i krzaczaste wąsy odbiły się w lusterku wstecznym. Wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Aimarem, który na tylnym siedzeniu przytrzymywał Desnera, zaciskając jedną dłoń na jego karku, a drugą na wykręconej na plecach ręce. Twarz Murzyna wyglądała jak wyrzeźbiona w mahoniu, niewzruszona pomimo wysiłku.

– Od kiedy grasz na dwa fronty? – zwrócił się więzień do kierowcy, ale słowa zostały zdławione w jego gardle. – Wiedziałeś o Mayerze!

Lars znowu rzucił okiem we wsteczne lusterko, jego pogodne oczy napotkały przekrwione ślepie przelozzonego.

– Ty wiedziałeś, że czterysta tysięcy deportowanych z Lender, których przewieźliśmy tu w ostatnich latach, trafiło do kopalni w Sirio. Albo do fabryk na południu Delt. Wykorzystywano ich do pracy przez piętnaście lat, po czym zostawiano na śmierć we własnych norach pełnych gazu, którym codziennie oddychali – powiedział z absolutnym spokojem.

Desner nic na to nie odpowiedział. Aimar spojrzał na niego bezlitośnie ale zwolnił uścisk.

– Żadna kara nie byłaby wystarczająca.

Samochód prowadzony przez Larsa opuścił portowe nabrzeża i skręcił w obwodnicę okalającą całe miasto. W tej części Mariny panował względny spokój, choć Quinto dostrzegł z daleka kilka blokad drogowych, o których natychmiast ostrzegł kierowcę, który zmieniał odpowiednio trasę.

– Powiedźcie, czego chcecie – burknął Desner – a to dostaniecie.

– Myślisz, że możesz z nami kupczyć? – Aimar znowu szarpnął ramię kapitana, który zawył z bólu.

– Cholera! – Mężczyzna jęczał i krztusił się. – Ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego! Ja tylko wypełniałem rozkazy! Rozkazy z góry, jak każdy w tym kraju!

– Taaa, same z was niewiniątka.

Quinto odwrócił się i przeszukał kieszenie Desnera, wyjął z nich zwiniętą tabliczkę, o połowę mniejszą od tej, której sam używał. Ta była droższą, ale i praktyczniejszą wersją kupowaną przez zamożniejszych obywateli. Kiedy ją włączył na ekranie pojawiła się wiadomość. Przyszła kilka minut wcześniej, nazwa nadawcy została zakodowana. KONFERENCJA PRASOWA O 19:00.

OCZEKUJĘ, ŻE WYKONASZ ZADANIE PRZED 13:00.

– Od kogo jest ta wiadomość? – zapytał Quinto po odczytaniu jej treści wszystkim obecnym. – Mów.

Desner spuścił oczy, dwie krople potu spłynęły po jego czole i spadły na samochodowy dywanik.

– Gadaj! To Dana? Czy jakiś jej podwładny?

– Chcę gwarancji – szepnął Desner, głowę wciąż miał spuszczoną, oczy wbite w przestrzeń, wyglądał jakby rozmawiał z oparciem fotela. – Albo nie pisnę słowa.

– Masz gwarancję, że nie złamię ci karku jednym ciosem – warknął Aimar. – Teraz gadaj co wiesz.

– Na twoim miejscu potraktowałbym go poważnie – zasugerował mu Lars, wciąż spokojnie, bez podnoszenia głosu. Prowadził, uważając, aby nie przekroczyć prędkości. W końcu zjechali z obwodnicy i skręcili w ulicę prowadzącą do dawnej stacji, ruch zrobił się większy.

– Co się ze mną stanie, kiedy już osiągniecie swój cel? – zapytał Desner. – Bez gwarancji możecie mnie równie dobrze zabić od razu.

– Masz nam powiedzieć, kto wysłał ci tę wiadomość – nalegał Quinto. – I co miałeś zrobić przed trzynastą.

– Słuchaj, Desner – przerwał mu Lars, patrząc w lusterku na swojego przełożonego, który odpowiedział mu nienawistnym spojrzeniem. – Wielu z nas popełniło błędy, służąc temu systemowi. Jedni, żeby zachować stołki, inni, żeby dostać lepsze albo się wzbogacić, jeszcze inni ze strachu przed karą, degradacją albo gorzej: likwidacją. Ale teraz jesteśmy tutaj. Wszystko ma się zmienić. Quinto odwrócił się, czekając na odpowiedź Desnera, który póki co mościł się wygodnie na tylnym siedzeniu.

– Kimkolwiek jest wasz przywódca, jego chwile są policzone – zaczął, po czym się rozkaszał. – Tak jak i wasze.

- A ty nie masz już żadnej nadziei – stwierdził Quinto – oprócz współpracy.
- Chcę gwarancji, już mówiłem.
- Dobrze – odparł Lars. – Pewien podoficer na moich rozkazach jest teraz w twoim domu. Życie twojej żony zależy od jednego mojego słowa. To ci wystarczy jako gwarancja?
- Kłamiesz – warknął Desner.
- Możesz sobie nie wierzyć, to nie jest mój problem – oświadczył Lars, wciąż niewzruszony. – Quinto! Wyślij rozkaz, żeby ją sprzątnąć.
- Cholera, nie! – Desner nerwowo przygryzał wargę, jeszcze nigdy w całej jego karierze nie przyparto go do ściany w ten sposób.
- „Oczekuję, że wykonasz zadanie przed trzynastą”. Co to znaczy?
- Jest pewna misja do wykonania dzisiejszego poranka – przyznał kapitan. – Bezpośredni rozkaz Dany. – Mów. Desner wzniosł oczy do nieba i odetchnął głęboko.
- Wysadzić szkołę.

Aimar zmarszczył czoło i powoli pokręcił głową. Spojrzał na Quinto, który nie wiedział, co odpowiedzieć. Zapadło lodowate milczenie. Tymczasem samochód skręcił w podrzędną uliczkę, zostawiając za sobą poranny ruch.

- A wy będziecie odpowiedzialni za tę tragedię – dokończył Desner.

Kilka minut później auto Larsa zatrzymało się przed starą stacją, konstrukcją liczącą sobie jakieś sto lat, na wpół zawaloną. W czasach, gdy Ivan miał jeszcze mleko pod nosem, po tych torach jeździły pociągi wożące głównie górników do Sirio.

– To chyba oni – powiedział Quinto, wskazując furgonetkę Nicoló zaparkowaną na niewielkim placu po drugiej stronie ulicy. Lars zatrzymał swój samochód obok i rozejrzał się wokoło. Okolica była wyludniona, ale i tak należało zachować szczególną ostrożność. Wystarczyło jedno spojrzenie wścibskiego przechodnia, aby zdradzić ich położenie.

Aimar wysiadł z auta, trzymając głowę zakładnika unieruchomioną pod prawą pachą. Quinto wy dostał się z pojazdu zaraz potem. Zanim podeszli do szarej furgonetki należącej do firmy energetycznej, Lars odwrócił się do Desnera i zachichotał złośliwie.

– A dla pańskiej wiadomości, panie kapitanie... w domu pańskiej żony nie ma żadnego podoficera.

Nieznośnie intensywny zapach płynu dezynfekującego sprawił, że Dana musiała zakryć dłonią nos i usta. Wjechała na drugie piętro prywatnej kliniki o nazwie Alma. Powiedziała coś pielęgniarce oddziałowej i ruszyła w głąb pustego korytarza, zostawiając za plecami chemiczny smród. Zatrzymała się przed drzwiami do sali numer 21 i weszła, nie pukając.

Kobieta leżała na łóżku, w prawej ręce kropłówka, głowa wsparta na dwóch

wysokich poduszkach. Spała, ale skrzywienie otwieranych drzwi ją przebudziło, odwróciła głowę w stronę wejścia.

– Znowu się spotykamy, pani doktor... – powiedziała Dana swoim czarującym głosem. Miała pewne siebie spojrzenie osoby posiadającej władzę i nie wahającej się jej nadużywać.

Anna nie odpowiedziała.

– Nawet się nie przywitasz? – ciągnęła tamta, siadając na taborecie przy łóżku.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Taki błyskotliwy umysł jak twój... powinien być kopalnią informacji. Powinnam była się zorientować, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam. – Jeśli szukasz informacji, możesz wracać skąd przysłaś. Dana zachichotała i spojrzała na nią zrozumiale.

– Jaka szkoda, że pracujesz dla tamtych ludzi. U mego boku byłoby ci lepiej.

– Zabawa skończona – odparowała Anna, czując przy każdym wypowiedzianym słowie przeszywający ból w plecach.

– Uwierz mi, nie jest i nie będzie skończona jeszcze przez długi, bardzo długi czas.

– Niech któremukolwiek z nich spadnie włos z głowy – ciągnęła Anna, prz gryzając wargę z bólu – a wtedy cię znajdę. Gdziekolwiek. Wiesz, co mam na myśli. Dana wstała i zrobiła kilka kroków w stronę okna. Odsunęła kremową zasłonkę haftowaną w kwiatowe wzory i spojrzała na panoramę miasta. Drapacze chmur w centrum wyglądały jak jeden organizm, jak wieże kościoła, który podziwiała we wspomnianiach Alexa odzyskanych w Synaptice. Potem zapatrzyła się w horyzont tonący w morzu, które przechowywało na swoim dnie pamięć o cywilizacji tak odległej jak bliskiej.

– Ja oferuję wszystkim Dobrobyt – oświadczyła z dumą. – Czy ci się to podoba czy nie. Kontrolowane społeczeństwo to zdrowe społeczeństwo.

Anna wbiła oczy w ścianę przed sobą.

– Bredzisz.

– Sondaż, który przeprowadziliśmy jakiś czas temu, dowiódł, że nasz program polityczny spowodował poprawę warunków życia dziewięćdziesiąt siedem i siedem dziesiątych procenta rodzin.

– Nie mają żadnej alternatywy, na co innego mieliby niby głosować? – Anna spróbowała przewrócić się na drugi bok, ale przeszył ją ból silny jak wbicie noża między żebra. – Wasz system to dyktatura.

– Daj ludziom prawo do myślenia, pozwól im się organizować, a zanim się obejrzysz będziesz miała społeczeństwo niemożliwe do opanowania. Mój ojciec zawsze to powtarzał. Nasz protokół społeczny to jedyna droga do zwycięstwa.

– Twój ojciec szybko się przekona, że...

– Mój ojciec jest martwy.

Anna przymknęła powieki i pomyślała, że szaleństwo wszechwładzy u córki Ivana musiało osiągnąć swój szczytowy poziom, teraz, kiedy staruszek został wyeliminowany z gry. Oto czemu okazywała taką pewność siebie. Nie musiała już się z nikim liczyć. Teraz była tylko ona i Wszechświaty u jej stóp. Oraz niezaspokojone pragnienie władzy i kontroli.

– Wasza chaotyczna rewolucyjka szybko obróci się przeciwko swoim twórcom – ciągnęła Dana. – Biedny Thierry, niedługo jego twarz stanie się symbolem wroga publicznego.

– O czym ty mówisz?

– Dziś wieczorem przedstawię się mojemu ludowi. A będzie to dopiero początek operacji, która rozciągnie się daleko poza granice tej ziemi. Operacji, w obliczu której jesteście bezbronnymi, nic nieznaczącymi mikrobami. Wiesz, co mam na myśli. Kobieta odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, twarz Anny wyglądała jak maska cierpienia i niedowierzania.

– Jesteś chora... – szepnęła.

Dana momentalnie się odwróciła i dopadła łóżka. Zmarszczyła groźnie brwi, celując palcem w twarz Anny, która leżała nieruchomo zupełnie bezbronna.

– Co ty... – jej słowa zawisły w powietrzu, podczas gdy Dana złapała jej brodę i obróciła w stronę telewizora wiszącego na przeciwległej ścianie.

– Dziewiętnasta, pani doktor, proszę nie zapomnieć. Cały świat ujrzy swoją nową królową. Nie przegap spektaklu.

Nicoló i Mark wysiedli z samochodu, ten drugi wyszedł naprzeciw Quinto. Parking znajdował się niedaleko strefy przemysłowej zajętej głównie przez magazyny. Pomiędzy nimi wznosił się gmach, który wszyscy nazywali Budynkiem 9. Spośród innych budowli w okolicy wyróżniała go ogromna dziewiątka zamontowana na dachu, która po zmroku rozpalala się elektryzująco niebieskim światłem. W jego wnętrzu znajdowały się studia telewizyjne najważniejszego kanału na Gai. Kanału należącego do rządowej telewizji oferującej głównie serwisy informacyjne, reklamy i programy edukacyjne dla dzieci i młodzieży.

– Kto to jest? – zapytał Quinto.

– Nazywa się Nicoló – odpowiedział Mark. – To elektryk z metra, furgonetka jest jego.

– Czyli jest po naszej stronie – chłopak wypiął nagle pierś i napiął mięśnie pod koszulką.

– Nie miał wielkiego wyboru.

– Słuchajcie, j–ja... – stękał mężczyzna – zostawię wam furgonetkę i kluczyki. Pozwólcie mi wrócić do domu, p–proszę was. Mam córkę, ledwo się urodziła... Mark i Quinto spojrzeli na siebie w milczeniu, słowa Nicoló wciąż wisiały w powietrzu, powoli podchodzili do niego Ian, Alex, Jenny, Thierry i Sara.

– Znikaj – Mark klepnął go w plecy. – Powiedz żonie, że ojciec jej córki był przez godzinę bohaterem.

Nicoló uśmiechnął się, próbując wykrztusić „dziękuję”. Nagły wrzask przerwał ciszę zalegającą na parkingu strefy przemysłowej Mariny. To był młody, męski głos.

– Tam są!

Wszyscy się odwrócili, łącznie z Desnerem, który jako jedyny uśmiechnął się na widok nastolatków nadbiegających od strony drogi. Ten, który krzyczał to Stan, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Dany. Biegł na czele grupy, miał rozpuszczone, długie włosy, chudą sylwetkę i oczy drapieznika, który właśnie dojrzał ofiarę.

– Potencjaci... – szepnął Alex, łapiąc Jenny za rękę, oboje stali na tyłach grupki, ona nic nie odpowiedziała. Patrzyła przed siebie z twarzą zastygłą w wyrazie przerażenia.

– Zaczniemy od tego – oświadczył Stan – że puścicie kapitana.

Aimar błyskawicznym gestem dobył noża z pochwy przy pasku i przytknął

go do gardła Desnera.

– Będziesz musiał mnie zabić! – wrzasnęła.

Mark odetchnął głęboko, Ian przyglądał się wszystkiemu bezradnie. Obok stali nieruchomo Sara i Thierry. Każdy nieostrożny ruch lub próba reakcji mogłaby się skończyć krwawo. Na kilka sekund na parkingu przed dawną stacją zapadła cisza. Oczy potencjatów stojących za plecami Staną były jak dziesiątki luf wycelowanych w ich piersi i gotowych do strzału. Powoli otoczyli ich półokręgiem.

– Jak chcesz – odpowiedział Stan.

W tym samym momencie zza rogu wyłoniły się dwie czarne, błyszczące ciężarówki sił porządkowych Gai. Warkot silników niósł się po całym placu, potem rozległ się pisk hamulców, kiedy zatrzymały się kilka metrów od grupy potencjatów. Wysiadło jakichś dziesięciu agentów w czarnych mundurach, wycelowali karabiny w Thierry ego i resztę.

Stan uniósł otwartą dłoń, nakazując tym samym wojskowym, aby czekali. Potem szybko otaksował twarze swoich towarzyszy. Chłopcy i dziewczęta w wieku siedemnastu lat, których nie łączył ani ubiór, ani kolor skóry. Tylko cel. Wspólny cel był ich jedyną, prawdziwą bronią, bronią zamkniętą w ich głowach.

W jednym momencie wszyscy wbili w Thierryego i jego ludzi spojrzenie kota szykującego się do skoku.

Minęło kilka sekund i Aimar zwolnił chwyt. Jego źrenice rozszerzyły się, a nóż wypadł z dłoni. Ogarnęło go poczucie głębokiej pustki. Zalały go wspomnienia z życia spędzonego na statku, po czym od razu zniknęły, jakby zostały wyrwane z jego głowy.

Thierry poczuł nagłe ukłucie przenikające jego mózg. Stylizowana twarz mężczyzny bez oczu, symbol Utopii, pojawiła się przed jego oczami niczym błyskawica. To była twarz tych poslušnych dzieci, które każdego dnia karnie wykonywały każdy rozkaz swojego pana. Ujrzał rząd próbek i napis Synaptika wytłoczony na drewnianych drzwiach do jakiegoś biura. Zastanawiał się, co się dzieje, próbował krzyknąć, ale z jego gardła wydostał się jedynie słaby jęk.

Sara opadła na kolana. Oczy wbiła w podłogę, dłonie oparła na asfalcie, zanosła się histerycznym śmiechem. W jej umyśle pojawiły się szczere oczy Bena, który wykladał jej plan ucieczki ze stacji podwodnej. A następnie szczegółowa mapa Mnemoniki wisząca na ścianie pomieszczenia, w którym jednostka naukowa badała ciało dziewczynki znalezionej w morskiej otchłani. Próbowała wstać, ale jej głowa była zbyt ciężka. Mięśnie szyi sparaliżowane. Wydawało jej się, że nie będzie w stanie się poruszyć już do końca swoich dni. Chichotała wciąż w niekontrolowany sposób, łzy mieszały się ze śmiechem.

Marka zalała fala gorąca intensywna jak burzowy wiatr. Ręce mu drżały, po plecach przeszedł dreszcz. Przypomnił sobie uśmiech matki, ujmujący i czuły. W

tym wspomnieniu była już stara. Jej twarz pokryta była siateczką głębokich zmarszczek, pod zmęczonymi oczami zwisała rozciągnięta skóra, ciemne plamy pigmentowe w okolicach skroni, jej włosy były srebrne i kruche. „To koniec” – powiedziała, a zabrzmiało to jak ostatnia, fatalna pieszczota.

Quinto zamknął oczy i zwizualizował symbol filozofii życia, którą wyznawał, wieczny symbol życia poświęconego medytacji, kultywowaniu sztuki walki jako środka dyscypliny ciała i umysłu. Zobaczył jak kruszeje przed jego oczami bezradnie, zderzając się z siłą, której pochodzenia nie znał. Siłą, której trudno było się przeciwstawić.

Nicoló usłyszał pierwszy płacz swojej córeczki. Zobaczył jej kruche ciało leżące w kołysce wyściełanej miękką, żółto-czerwoną kołderką. Zobaczył jak pochyła się nad nią, sprawdzając po raz setny czy oddycha. A potem ogarnęło go straszne uczucie, że wszystko to zaraz zniknie. Zostanie usunięte. Wymazane na zawsze. Obraz zbladł, aż w końcu zupełnie rozmył się w powietrzu, w oddali usłyszał ostatecznie echo dziecięcego głosu.

Przez te kilka chwil wszyscy wstrzymali oddech, Desner nie odważył się zrobić kroku. Agenci stojący za plecami potencjatów wymienili zdziwione spojrzenia. Zostali tam wezwani przez Staną i jego ludzi, a Stan i jego ludzie byli w tej chwili głosem Dany. To oni dowodzili.

„Jesteśmy otoczeni” – pomyślał Ian, widząc jak jego kompani poddają się umysłowej przemocy potencjatów. Ta broń mogła doprowadzić do szaleństwa.

Stojąc nieruchomo naprzeciw tej grupy wygłodniałych pożeraczy wspomnień i myśli, manipulatorów marzeń i nadziei, Alex i Jenny przez moment ryzykowali, że również ulegną. W porę jednak uchwycili się swoich najczystszych wspomnień, uśmiechów i głosów odległego dzieciństwa, zapachu oceanu i piękna firmamentu. Zamknęli się w nieprzeniknionej przeszłości, szkatułce z najcenniejszymi skarbami, schronieniu dla nigdy nieodkrytych uczuć. Alex zobaczył trzy gwiazdy w pasie Oriona, skupił się na tej małej części nieba, od zawsze rozświetlającej noc ludzi z wszystkich cywilizacji, którzy wznosili oczy, aby go podziwiać. W umyśle Jenny pojawiły się kontury Triskell, symbolu, który kiedyś posiadała, ale nie pamiętała jak dawno temu. Nosila go na szyi, w tamtym wspomnieniu. Trzymała między kciukiem a palcem wskazującym. Przykładała do ust, lekko pochylając głowę, z zamkniętymi oczami.

Alex i Jenny zdołali odwrócić się lekko w stronę Iana i uchwycili jego zdecydowane spojrzenie. Nie było jednak skierowane do nich. Nawet nie do Staną czy innego z grupy młodzików.

Minął ułamek sekundy, podczas której starzec stał wyprostowany z wysoko uniesioną głową i ramionami skrzyżowanymi na wypiętej dumnie piersi. W pełnej koncentracji, wypracowanej podczas osiemnastu lat izolacji od świata. Osiemnastu lat treningu autodyscypliny i ćwiczeń psychofizycznych. Skierował całą tę

koncentrację na określony cel.

Wystarczyło mgnienie oka.

Żołnierze stojący za potencjatami otworzyli szeroko oczy, po czym podnieśli karabiny maszynowe i w nierealnej ciszy, która nagle zapadła, zaczęli strzelać. Posypał się grad kul. Zerwała się nagle i niespodziewana furia, rozległ ogłuszający hałas.

– W nogi! – Ian odwrócił się i wrzasnął na całe gardło, po czym zarzucił na ramię ciało Sary klęczącej kilka kroków od niego.

Alex i Jenny rzucili się do ucieczki, podczas gdy chmura pyłu unosiła się z ziemi niczym zasłona dymna między nimi a potencjatami. Dziesiątki krzyków bólu rozległo się na parkingu przed starą stacją, niektóre zduszone, inne rozdzierające.

Thierry otworzył oczy i przez moment miał wrażenie, że właśnie przebudził się z koszmaru. Odwrócił się i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była sylwetka Desnera miotająca się w niezdarnej próbie ucieczki, nie mogąc zdecydować jaki kierunek obrać. Doktor skoczył i złapał go za ramię, przyciągając do siebie. Obok niego imponujące ciało Aimara osunęło się w kałużę własnej krwi.

– Uciekać, uciekać! – krzyczał nadal Ian, podtrzymując Sarę, gdy Mark bezradnie przyglądał się umierającemu Larsowi, który został trafiony prosto w pierś.

Rzucili się do ucieczki przez parking, który zmienił się w piekło krwi, ziemi i kurzu, a niewyraźne sylwetki potencjatów padały jedna po drugiej pod ostrzałem żołnierzy. Thierry wepchnął Desnera do bagażnika furgonetki, reszta wsiadła zaraz za nim a Mark w pośpiechu wskoczył za kierownicę. Quinto zajął miejsce obok Marka, przed oczami wciąż miał przerażoną twarz umierającego Aimara. Zacisnął zęby i uderzył pięścią o szybę.

Koła pojazdu zostawiły za sobą wielki, czarny ślad na asfalcie, kiedy Mark skręcił z piskiem w stronę jedynej drogi ucieczki. Wkrótce potworny horror zniknął za ich plecami. Kilka minut później pył opadł na pokryty krwią asfalt parkingu starej stacji Mariny. Dziesiątki młodych ciał leżały w stosach na ziemi. Garstka żołnierzy obserwowała tę scenę, nie rozumiejąc co się właśnie stało. W głowach nadal dzwonił im surowy rozkaz wydany przez ten dziwny głos, przenikający głęboko do umysłu, aby go obezwładnić i się nim posłużyć. Głos starego człowieka, który ćwiczył się przez lata w ciemności, samotności i ciszy. Głos wyższego umysłu.

Gdy wewnątrz pojazdu prowadzonego przez Marka zapadło milczenie i wszyscy rozmyślali o niedawnych wydarzeniach, wspominając poległych przyjaciół, w centrum Mariny kolejny wieżowiec runął jak gigantyczny domek z kart, wzbijając wokół siebie chmurę dymu i płomieni.

– Cholera – wykrztusił Quinto. – Aimar, on...

– Wszyscy byśmy zginęli – odpowiedział Mark. – Oni nas... kontrolowali. –

Musiałem to zrobić – doszedł ich z tyłu głos staruszka, poważny i świadomy. – To była jedyna szansa, żeby się stamtąd wydostać. Thierry podał mu rękę.

– Uratowałeś nam życie. Nie wiem, jak ci się to udało, ale...

– Popelnili błąd – przerwał mu Ian, patrzył przed siebie, jakby powtórnie obserwował tamte sceny. – Gdyby zjawili się sami, nic nie mógłbym zrobić. Ale to szpicle. Nic ponadto. Nie są szkoleni do zabijania, tylko do szpiegowania i manipulowania.

– Musieli wplątać w to policję, bo mieli rozkaz nas wyeliminować – zauważyła Sara. Quinto zgrzytnął zębami.

– Po raz pierwszy w życiu czułem się kompletnie bezradny. To było jakby mnie prześwietlali od wewnątrz, jakby czytali, jakby mi... wrywali kawałki.

Mark położył mu rękę na ramieniu, a drugą trzymał kierownicę, lawirując między długimi rzędami białych, anonimowych magazynów. Quinto pokręcił głową i obejrzał się do tyłu, gdzie napotkał spojrzenie Desnera.

– Ty... nie myśl sobie, że o tobie zapomniałem. Mark zmarszczył czoło.

– Czego się od niego dowiedzieliście?

– Dostał rozkaz, żeby przed pierwszą wysadzić jakąś szkołę.

– Co takiego? – Thierry podniósł się ze swojego miejsca i pochylony podszedł do mężczyzny w mundurze.

– Mów! To prawda?

Desner odwrócił głowę, uciekając przed spojrzeniem doktora. Ten złapał go za szyję, wbijając kciuk w jego grdykę.

– Powiedziałem, gadaj!

– To prawda – odpowiedział zamiast niego Quinto. – Rozkazy Dany. Chce, żeby nasze powstanie splamiło się krwią niewinnych dzieci. Ian odchrząknął, wyobrażając sobie ten przerażający scenariusz.

– Chce, żeby to wyglądało na naszą robotę.

– Nie możemy na to pozwolić – oświadczył Alex. Thierry puścił Desnera, który zaczął kaszleć. Potem zachichotał i spojrzął na Thierry ego z pogardą.

– Porwaliście niewłaściwą osobę.

– Co to ma niby, do cholery, znaczyć? – wrzasnął Mark z kierownicy, wciąż wpatrując się w drogę prowadzącą ich poza dzielnicę przemysłową miasta.

– Myśleliście, że pójde osobiście podkładać ładunki? Wszystko zostało dawno zaplanowane, rozkazy rozdzielone. Przykro mi, spóźniliście się. Thierry obserwował bladą twarz Desnera. Powoli pokręcił głową, ukrywając twarz w dłoniach. Właśnie do niego dotarło znaczenie podobnej tragedii. Kapitan odpowiedział nieludzko obojętnym, okrutnym stwierdzeniem:

– Ta szkoła pójdzie z dymem.

Po wyjściu ze szpitala, Dana udała się do budynku położonego z dala od centrum Mariny i wjechała na siódme piętro. Obiekt był własnością jej rodziny, która wykorzystywała apartamenty na najwyższych poziomach do narad z dala od wścibskich uszu, negocjacji i ubijania interesów. Dotknęła mosiężnego panelu zamontowanego na wysokości oczu na drzwiach z numerem 72. Gdy weszła do środka, światła w mieszkaniu automatycznie się rozjaśniły, przechodząc z zimno granatowej barwy na jasnoblękitną. Podłoga w obszernym salonie była zasłana dywanami przedstawiającymi sceny myśliwskie, po prawej stał szklany stół z sześcioma krzesłami pokrytymi czarną skórą. Po przeciwnej stronie, cztery bordowe fotele ustawione wokół czarnego, błyszczącego stolika. Płaski ekran zajmował całą ścianę po prawej. Na pozostałych ścianach powieszono cienkie, białe półki, w większości puste. Podeszła do stołu, położyła na nim zrolowaną tabliczkę, po czym usiadła na jednym z krzesel w oczekiwaniu na wezwane przez nią osoby. Chodziło o dyrektora pierwszego kanału telewizji publicznej i szefa policji. Po raz pierwszy wydawała rozkazy tym ludziom, teraz kiedy nie było już jej ojca. Brakowało mniej niż osiem godzin do wielkiej chwili. Burczało jej w żołądku, ale nie było czasu na jedzenie. Może później, w nocy, po tym jak przedstawi się światu. Może dopiero następnego dnia. Dzięki tej transmisji ogłosi się przywódczynią nie tylko Gai, ale i Wschodu. Jej następnym krokiem, na planecie już w pełni przez nią kontrolowanej, będzie wysłanie ekspedycji na nieznaną kontynent, którego lokalizację przedstawiały niektóre mapy, na zachód od Gai. Ziemia, którą Ivan nazywał „kontynentem amerykańskim” zasnęła na zawsze w 2014 roku poprzedniego kalendarza. Nadszedł czas, aby skolonizować również tamten, potencjalnie bogaty obszar. Jednak to, co najbardziej Dane interesowało, gdy tylko przywróci pokój w Marinie, było rozciągnięcie swojej kontroli na wszystkie te równoległe rzeczywistości Wszechświatów, w których tylko było to możliwe. Jej tabliczka wydała z siebie dźwięk. Kobieta wstała i wygładziła na sobie marynarkę, zanim poszła otworzyć drzwi.

– Dana – powitał ją z szacunkiem wysoki, rachityczny mężczyzna ubrany w odświętny garnitur. Miał martwe, puste oczy i bladą twarz, kobieta zastanawiała się czy zostało mu niewiele życia, czy to ostatnie wydarzenia wymalowały przerażenie na jego obliczu.

– Powiedziano mi o Ivanie – drugi mężczyzna był niski i przysadzisty, na czubku jego głowy błyszczała łysina, ale oczy miał żywe, uśmiechnął się do niej

pocieszająco. – To straszna wiadomość.

– Zwłaszcza w takim momencie – dodał drugi z przybyszów.

– Sam, Oliver... wejdźcie proszę – zaprosiła ich. Cała trójka zajęła miejsca przy stole, wzrok Dany błędził gdzieś za oknem, wśród czarnych chmur gnanych silnym wiatrem w stronę miasta.

– Poinformowano mnie o twoim zamiarze publicznego wystąpienia – zaczął dyrektor stacji telewizyjnej. – Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Oczywiście, Sam. Dzisiejszy świat tego potrzebuje.

– Twój ojciec byłby tego samego zdania? – zapytał Oliver.

– Jego zdanie nie ma już żadnego znaczenia – Dana wstała i podeszła do okna, wydawało jej się, że widzi surową twarz Ivana unoszącą się nad panoramą miasta.

– Nie mogę zostać długo – odezwał się znowu Oliver. – Zleciłem już kilku zespołom organizację ochrony sali konferencyjnej. Dałaś mi bardzo trudne zadanie do wykonania w bardzo krótkim czasie, wielu rzeczy muszę dopilnować osobiście.

– Dziennikarze? – Dana odwróciła się, opierając plecami o framugę okna.

– Giada, moja asystentka, się tym zajmuje. Będziesz miała pełną salę, ogromny szum medialny o globalnym zasięgu. Nie znajdziesz miasta tu na Gai, czy na Wschodzie, które nie będzie słuchało twojego przemówienia z zapartym tchem.

– A inne kanały? – Dana niewzruszenie przepytowała Sama.

– Zrobią, co im powiemy, jak zawsze. Transmisja pójdzie jednocześnie we wszystkich sieciach.

– Dobrze. Pamiętaj, Sam, chcę, żeby przekaz poszedł na cały świat, mocny, przekonujący. – Dana przygwoździła obu mężczyznom przeszywającym spojrzeniem, zrobiliby dla niej wszystko, tak jak wcześniej dla jej ojca. – Zapewniam was, że wygłoszę skuteczne przemówienie, które na nowo zjednoczy nasz lud pod egidą Dobrobytu. Od was jednak oczekuję profesjonalizmu na najwyższym poziomie, w przeciwnym razie nie osiągniemy zamierzonego celu. Mężczyźni pożegnali ją z uległym szacunkiem i wyszli. Dana została sama w mieszkaniu na siódmym piętrze. Odwróciła się z powrotem do okna i delikatnie oparła czoło o zimną szybę. Jej wzrok poszybował ponad smogiem wiszącym nad Mariną, czarnymi chmurami i oceanem obmywającym miasto od południa. Poszybował poza ten świat, tę planetę, daleko od tych ludzi. Przez kilka chwil obrazy światów, które odwiedziła odżyły po kolei, odbijając się w szybie, odbijając się w jej duszy. Dalekie miejsca, czasem podobne do jej domu, czasem tak bardzo różne. Ujrzała twarz bez oczu wyświetlaną na ogromnych telebimach na ulicach. Zobaczyła ją drukowaną w gazetach. Usłyszała slogan wymyślony przez jej ojca, „My jesteśmy Utopią, teraz i na zawsze”, puszcany w radiu, w automatach telefonicznych, w telewizji. Wyobraziła sobie jak przenika do umysłów nieświadomych ludzi, niczym wąż wijący się wśród gęstych krzaków. Przymknęła oczy i zobaczyła siebie w innych

ciałach, spacerującą po alternatywnych ścieżkach. Wołano ją innymi imionami, innymi językami. Widziała domy, dzieci, mężów, nieznane sobie rodziny. Patrzyła jak nieprzewidywalnie potrafi rozwijać się życie, przyglądała się przypadkowym dewiacjom i anomaliom. No i postęp technologiczny, granice ludzkiej natury, moc komunikacji. Odwróciła się, pozbierała swoje rzeczy i wyszła z mieszkania. Nadszedł czas pokazać się ludowi. Spojrzeć w oczy obywatelom Gai i Wschodu z czułością matki i autorytetem dowódcy. Nadszedł czas, aby wyjaśnić niedawne wydarzenia, uspokoić i pocieszyć, wreszcie pokazać ludziom oblicze prawdziwego wroga.

Instytut Kształcenia Podstawowego Omicron wyleciał w powietrze o dwunastej pięćdziesiąt dwie. W całej dzielnicy rozległ się huk, jakiego mieszkańcy Mariny nigdy wcześniej nie słyszeli. Wybuch miał niewyobrażalną siłę, potem na niebie uformował się ogromny grzyb dymu, leniwie rozwiewający się w powietrzu. Dziesiątki dziennikarzy rzuciło się od razu na miejsce zamachu i otoczyło je wianuszkami kamer, który z kolei starał się powstrzymać kordon policji. Rodziców potworna wiadomość zastała w pracy, oni również pognali na miejsce tragedii. Na to wszystko, rozpaczliwe krzyki matek i łzy ojców, cynizm prasy i pokazową gotowość ratowników, zaczęły spadać pierwsze, ciężkie krople deszczu. W ciągu kilku minut obrazy szkoły w płomieniach obiegały wszystkie wydania dzienników, zarówno telewizyjnych, jak i internetowych działających w Gai. NIELUDZKIE BARBARZYŃSTWO było tytułem pierwszego pełnego artykułu na ten temat, wzbogaconego przerażającymi zdjęciami Omicronu w gruzach i rozpacz na twarzach rodziców. Tak, jak rozkazała Dana zamach w szkole stał się kolejnym tchórzliwym aktem terroryzmu od początku tego dnia. W następnych godzinach rozpoczęto akcję mającą na celu sprawdzenie, czy uda się wydobyć jakieś ciała spod ruin budynku. Rodzinom ofiar nakazano wrócić do domów i tam oczekiwać nowych informacji od rządu Gai. Podniosły się nieliczne głosy protestu, ale szybko je uciszono. Po południu okolice szkoły opustoszały. Dziesiątki zdesperowanych matek i ojców odeszło bez słowa wyjaśnienia. Większość postanowiła czekać na wieczorną transmisję telewizyjną w nadziei, że przyniesie ona jakieś odpowiedzi. W nadziei, że uda się znaleźć słowa do nazwania tego horroru. Dana zaparkowała terenówkę na zewnętrznym parkingu, tuż za białoniebieskim szlabanem, który podniósł się, gdy zbliżyła palec do czytnika zamontowanego przy wjeździe. Wsiadła i spojrzała na sylwetkę budynku wznoszącego się przed nią. W jego elewacji odbijał się otaczający świat, wykrzywiony, zdeformowany. Wiedziała, dokąd się udaje, na jedenaste piętro, do Sali Omega. Jej ojciec w ostatnich latach przeprowadził tam niezliczoną ilość spotkań, ale scena nigdy dotąd nie została wykorzystana. Zaproszeni dziennikarze rozsiedli się już na wygodnych krzesłach obitych bordową skórą i przyglądali się nagraniom puszczanym na dużym ekranie. Automatyczny głos z offu podawał informacje organizacyjne i program konferencji ustalony przez ludzi na usługach Ivana pracujących w wieżowcach w centrum. Tych samych, którzy kilka godzin wcześniej zastali w miejscu swojego zatrudnienia jedynie kupę gruzów. Dana

wsiadła do windy i wjechała na jedenaste piętro, potem ruszyła w głąb długiego korytarza, a stukot obcasów na posadzce z białej żywicy uprzedził wszystkich o jej nadejściu. Dwaj mężczyźni wyszli jej na przeciw i zasalutowali na powitanie.

– Mamy opóźnienia? – zapytała.

– Nie, proszę pani, wszystko idzie zgodnie z planem – odpowiedział jeden z nich, przystojny młody chłopak o zielonych oczach. Na głowie nosił czapkę z napisem OCHRONA.

– Dobrze, zreferujcie mi program.

Drugi z mężczyzn odchrząknął i zaczął recytować.

– W tej chwili mamy siedemnastą cztery. O siedemnastej trzydzieści wchodzi technicy. Porozkładają kamery i połączą się z reżyserką, która już została ulokowana na pierwszym piętrze. O osiemnastej wejście dla prasy. Przed osiemnastą trzydzieści wszyscy muszą już zajmować przypisane miejsca na sali. Makijażyści będą czekali na panią o osiemnastej trzydzieści pięć. O osiemnastej czterdzieści przeprowadzimy próbę dźwięku z zewnętrzną reżyserką.

– Tę ze studia?

– Dokładnie. Transmisja będzie koordynowana z Budynku 9. Stół, który mamy na pierwszym piętrze wystarczy tylko do zarządzania kamerami i mikrofonami, cięcia i ujęcia będą kontrolowane zdalnie. Mówiła pani, że ma ze sobą nagranie.

– Tak – Dana zanurzyła dłoń w kieszeni i wyjęła mikrochip. – Wszystko jest tutaj.

– Zaraz zrzucimy to do archiwum, wtedy będą to mogli puścić z reżyserki, kiedy sobie pani zażyczy.

– Świetnie.

– Szacujemy, że będziemy gotowi około osiemnastej pięćdziesiąt. O dziewiętnastej wchodzimy na żywo, wcześniej puszcza automatyczną zapowiedź nadzwyczajnego przerwania wszystkich programów.

– Wszystko musi pójść gładko – oświadczyła Dana, wpatrując się w oczy dwóch mężczyzn. – Ta transmisja da początek nowemu biegowi. Mężczyźni pokiwali głowami i zaprowadzili ją do sali pełniacej rolę poczekalni wyposażonej w stół bogato zastawiony jedzeniem i pić. Dana wzięła jedynie szklankę wody i usiadła, rozwijając swoją tabliczkę. Sprawdziła najnowsze doniesienia, Synaptica nadal była okupowana, centrum Mariny zostało kompletnie odcięte przez policję po tym, jak zawały się dwa wieżowce, a rodzice dzieci zmarłych w masakrze, którą sama zleciła okazywali rozpacz w rozdzierających scenach na gruzach szkoły. Siły porządkowe próbowały ich uspokajać, ale generalnie wykazywano się zrozumieniem dla niesubordynacji i złamania protokołu społecznego spowodowanych wyjątkową sytuacją. Był to wyłom od zasad, który miał być szybko załatany zbliżającym się medialnym finałem. Dana wybrała z listy kontakt i

zadzwoiła, wpatrując się w talerz słonych przekąsek. W aparacie rozległ się męski głos.

– Danielu, chcę, żeby wieczorna transmisja została wyemitowana na wszystkich większych placach Mariny. Przekaż to samo kolegom z innych miast.

– Tak jest, proszę pani... Tyle, że jest już trochę późno, żeby oczekiwać, że...

– Na każdym ekranie reklamowym w kraju. Do roboty. Wyłączyła urządzenie i odchyliła się w fotelu, w ręku wciąż trzymała pełną szklankę wody. Przymknęła oczy, a pod jej powiekami rozszalały się płomienie. Zgasi je, jeden po drugim, była tego pewna. Obywatele ujrzą w niej nadzieję. Rodzice dzieci spalonych żywcem w szkole zapalają nienawiścią do rewolucjonistów pod przewodnictwem Thierryego. Przecież ilu ich mogło być? Byli co prawda dobrze zintegrowani z systemem, przygotowywali ten zamach w absolutnej tajemnicy, ale ich liczebność musiała być marna, zwłaszcza w zderzeniu z całą populacją, która zwróci się przeciwko nim. Wystarczyło rozprzestrzenić odpowiednie treści. Wskazać ludziom mordercę. Do transmisji, która miała zmienić świat, pozostało mniej niż dwie godziny.

O piątej po południu pracownicy Gai wracali do domów. Na ulicach Mariny ludzie wydawali się zmartwieni, przestraszeni, pragnący wyjaśnień i zapewnień, że bezpieczeństwo zostanie przywrócone. W ciągu dnia każdy dowiedział się, co się stało w centrum: dwa zawałone wieżowce, cały teren otoczony i kontrolowany przez wojsko. Wielu wiedziało też o zatonięciu Mayera i zajęciu Synaptiki, jak i o tragedii Omicrona. Nie każdy widział zdjęcia z tych katastrof, ale każdy był świadom rządowego rozkazu bezzwłocznego powrotu do domu i włączenia telewizorów w oczekiwaniu na specjalną transmisję. Było to zdarzenie bez precedensu w najnowszej historii planety. Gdy wspinali się po schodach albo czekali na windy, lub przekraczali progi swoich mieszkań, pomimo sytuacji pełnej napięcia i strachu, wielu wciąż słyszało w głowie miękki głos, dziwne cudowny i harmonijny. Dla tych wszystkich, którzy skorzystali tego ranka z metra, podczas sabotażu przeprowadzonego przez Marka, ta półwieczna piosenka stała się natrętnie przyjemnym refrenem, który zakorzenił się w pamięci i co jakiś czas rozbrzmiewał znowu i znowu bez pytania o pozwolenie. Fascynujący, nieusuwalny, wieczny. Anna otworzyła oczy około szóstej czterdzieści, po krótkiej i niespokojnej drzemce. Leżała spocona na szpitalnym łóżku, miała obolałe mięśnie, zdrętwiałe ręce, jej plecy co jakiś czas przeszywały ostre ukłucia. Zabrało jej dłuższą chwilę zanim zdołała wyostrzyć wzrok. Wtedy do pokoju weszła czarnoskóra pielęgniarka i uśmiechnęła się do niej chłodno. Włączyła telewizor.

– Zaczyna się za kilka minut – oświadczyła z nutką niezdrowego podniecenia. Anna przypomniała sobie słowa Dany: „Cały świat ujrzy swoją nową królową. Nie przegap spektaklu”. Z każdą mijającą minutą, serce Anny biło coraz szybciej, gwałtowniej i mocniej. Gdy krew zaczęła z powrotem krążyć w jej ramionach, z trudem uniosła się na poduszkach. Odchyliła głowę i spojrzała w sufit. Potem przymknęła powieki. Ujrzała pogodną twarz Sleva stojącego za ladą w ich aptece w Garen. Uśmiechnęła się do jego łagodnych oczu, osadzonych w twardej, kwadratowej twarzy niczym kamienie szlachetne. Jego oblicze było ciemne tylko z pozoru, i ta gęsta broda. Anna miała nadzieję, że ją zgoli pewnego dnia. Jak ona go kochała. Jaki wydawał jej się daleki.

– Transmisja rozpocznie się za minutę, obywatele Gai, wasze oczekiwanie dobiega końca – poinformował metaliczny głos z telewizora.

Anna pokręciła głową jakby chciała pozbyć się z niej słodkiego wspomnienia Sleva i wrócić do rzeczywistości. Próbowwała o niczym nie myśleć

przez tę minutę, wpatrywała się jedynie nieruchomo w ekran wyświetlający odliczanie na białym tle. Ale myślała o wszystkich. O kołyskach Alexa, Jenny i Marca pozostawionych przed wejściem do Centrum Solidarności. O Ianie gawędzącym beztrudnie w salonie z jej ojcem Nathanem. O Danie, która elegancko powitała ją w swoim gabinecie w Synapitice. O nosowym głosie Thierrego, który przyznawał, że jest po ich stronie. O tatuażu w kształcie litery T na piersi Quinta. O strzałach w korytarzu Zakładu Karnego Mariny, które wydawały jej się ostatnią rzeczą w życiu. W końcu pomyślała o sprytnym pyszczku Diletty, jej starej kotki. Kto wie od ilu dni nie jadła, kto wie, gdzie poszła szukać pożywienia. Kto wie, czy za nią tęskniła.

Zbliżenie na olśniewający uśmiech Dany wyrwało ją z tych rozmyślań. Jej twarz zajmowała cały ekran małego telewizora wiszącego nad pustą, drewnianą półką.

Była niczym gość w domach wszystkich mieszkańców planety. Dumne spojrzenie. Błysk w oku. Na każdym reklamowym telebimie, na placach, na rogach ulic, na każdej interaktywnej tabliczce. Dobrobyt nareszcie zyskiwał twarz, twarz atrakcyjnej kobiety o głębokich, ciemnych oczach, ciepłym, urzekającym głosem, który miał rozbrzmieć w każdym zakątku. Który miał pokochać jej lud.

– Czuję ogromne wzruszenie w sercu – zaczęła Dana. – To poczucie obowiązku i odpowiedzialności, głęboko zakorzenione w mojej duszy, skłoniły mnie, aby się tu dzisiaj przed wami pojawić, drodzy obywatele Gai i Wschodu. Od dawna wspieracie ten program, zawsze byliście naszą siłą, filarami, na których opiera się nasz polityczny zamysł. Każdy z was. Dzisiejszego wieczoru, w dniu naznaczonym potwornymi wiadomościami dla miasta Marina, z którego do was mówię, możemy wreszcie nawiązać prawdziwy dialog. To coś, o czym marzyłam od dawna, a co od kilku sekund stało się rzeczywistością.

Anna odwróciła pełne obrzydzenia spojrzenie od telewizora i wbiła je w ścianę tam, gdzie w narożniku pod sufitem widać było wykwyty grzyba. Dana natomiast ciągnęła dalej.

Wyliczyła straty, których doznała Marina podczas ostatniej doby, po czym zapowiedziała wyświetlenie jakiegoś filmiku.

Nagranie z lotu ptaka terenu Omicronu przedstawiało gruzy budynku zmieczonego z powierzchni ziemi w porze obiadu. Szkoła wyglądała jak kupka szarego piasku otoczona przez zrozpaczonych rodziców i ogromne ilości policji. Dana podała szczegółowe dane dotyczące katastrofy, potępiła zamach i wyraziła ubolewanie z powodu śmierci tych wszystkich niewinnych dzieci. Zrobiła to z ogromnym wzruszeniem i współczuciem. Z sercem na dłoni przemawiała do matek i ojców zamordowanych dzieci, aż w końcu za jej plecami pojawiła się ogromna fotografia.

– To jest, proszę państwa, człowiek, którego szukamy. Nazywa się Thierry,

jest lekarzem. I jest odpowiedzialny za tę rewoltę. Macie przed sobą twarz terroru, ale zapewniam was, że w tym samym momencie, kiedy do was mówię, tropi go cała policja Gai. Jego i jego współpracowników. Tych, którzy zatopili Mayera, jeden z naszych najlepszych statków. Tych, którzy zniszczyli wieżowce w centrum, którzy zajęli Synaptikę. Tych... – Dana zrobiła taktyczną pauzę, wpatrując się prosto w oczy każdego obywatela Gai – ...którzy zamordowali wasze dzieci.

Cięcie i szeroki plan ukazujący salę wypełnioną po brzegi dziennikarzami zaproszonymi na konferencję. Ich twarze wyrażały zgodę i jednomyślność z mówczynią, kiwali głowami i potakiwali niemal po każdym jej słowie. Potem ona znowu zabrała głos, głos zwodniczo przekonujący.

– Obiecuję wam, że znajdziemy tego człowieka i nie będziecie musieli więcej się bać. Postawimy przed wymiarem sprawiedliwości także jego współpracowników. Jednak potrzebujemy waszej pomocy. Zgłaszajcie każdą, najmniejszą anomalię, jak to zresztą zawsze się czyniło w Gai. To ważne. Te podłe kreatury mogłyby spróbować was omotać i przeciągnąć na swoją stronę. Natychmiast o tym donieście. Widzieliście, do czego są zdolni. To poległe dzieci, które nie ujrzą już słońca dnia, proszą was o maksymalne zaangażowanie. Gaia na powrót stanie się miejscem, które znamy, w którym króluje Dobrobyt.

„Wygrała” – pomyślała Anna z grobową miną. Była zdeglustowana odegranym przez Dane fałszem. Bała się o przyjaciół, o których losie nic nie wiedziała.

To właśnie wtedy wydarzyło się coś niewiarygodnego.

Muzyka rozbrzmiała na początku cichutko i delikatnie, sącząc się z głośników do dusz wszystkich mieszkańców planety. Potem przybrała na sile, coraz głośniejsze, aż dołączył się do niej również głos. Głos, który wielu już wcześniej słyszało.

Twarc Dany, wyświetlana na każdym ekranie, panelu i tabliczce na całej planecie, zamarła niczym plastikowa maska. Zmarszczyła czoło z przyklejonym do ust fałszywym uśmiechem.

Anna przetarła oczy ze zdumienia i pochyliła się w stronę telewizora.

Rozległ się głos zza kadru, inny niż wcześniej:

– Zwracam się do was, obywateli Gai, z małego, ciemnego pokoiku. Nie przygotowałem sobie przemówienia, żebyście zrozumieli, z kim macie do czynienia. Pozwólcie, że przemówię za mnie obrazy i dźwięki rzeczywistości, o której od jutra, miejmy nadzieję, będziemy mogli zacząć zapominać.

– Mark! – krzyknęła Anna ochryplym głosem, na jej twarzy pojawiło się kompletne zaskoczenie. Zbliżenie na twarz Dany zniknęło z ekranu zastąpione przez nagranie z płonącym Omriconem. Nagle rozległa się rejestracja dialogu dwóch osób, lekko zniekształcona przez zakłócenia. Obraz szkoły zniknął, w ujęciu powtórnie pojawiła się Dana, sparaliżowana.

- Desner?
- Tak, Dano, to ja. Zrobiłem, co mi kazałaś.
- Świetnie, Desner, Świetnie.

Dana spojrzała w stronę reżyserki ulokowanej na pierwszym piętrze. – Natychmiast odetnijcie dźwięk – wycedziła przez zaciśnięte zęby, przykrywając dłonią mikrofon i próbując opanować wściekłość.

- Zdjęcia szkoły w płomieniach są we wszystkich dziennikach.
- Kapitanie, mam nadzieję, że pańscy ludzie potrafią zachować absolutną dyskrecję co do naszej operacji. Spojrzenie Dany zrobiło się groźne, zacisnęła ręce w pięści. Publiczność złożona z dziennikarzy zaczęła szemrać między sobą.
- Nikt oprócz mnie nie wie, że rozkaz wyszedł od ciebie.
- W porządku, możesz się odmeldować, Desner. Dobra robota. Dana spuściła oczy, na jej twarzy malowało się przerażenie. W reżyserce na pierwszym piętrze nikt nie był w stanie zapobiec wyemitowaniu nagrania, dźwięk był bowiem kontrolowany przez główną reżyserkę w studiu, w której w tej chwili siedziało dwóch mężczyzn pograżonych w ciemnościach, za stołem kontrolnym, pełnym migających światełek.

– W takim razie składam ci szczerze wyrazy szacunku.

– A ty przekaz takżej twojej żonie w moim imieniu. Mam nadzieję, że razem obejrzyjecie transmisję dziś wieczorem. Mark zbliżył usta do mikrofonu i wcisnął guzik pozwalający dotrzeć jego głosowi do domów wszystkich słuchaczy.

– Ta kobieta i jej zmarły ojciec, którego nie mieliście nigdy okazji zobaczyć w telewizji, ale który w tajemnicy rządził tym kontynentem przez dziesięciolecia, nie są jedynie odpowiedzialni za dzisiejszą masakrę, o którą próbowali oskarżyć niewinnego człowieka. Oni są odpowiedzialni za każde zło, które wydarzyło się od powstania Dobrobytu. Dziś trudno będzie wam to zrozumieć, ale powoli odzyskacie swoją wolność. Waszą godność. Powoli otworzycie oczy na to, co dzisiaj może wydać wam się stwierdzeniem absurdalnym. Dobrobyt był waszą klątką. Ale teraz to skończone.

Mark odwrócił się w stronę Thierrego i skinięciem głowy zachęcił go do mówienia. Doktor na chwilę przyknuął oczy, po czym westchnął i zebrał się na odwagę.

– Głos, który słyszycie należy do człowieka, którego zdjęcie przed chwilą wam pokazano – zaczął. – Do przywódcy tej rewolty. Nazywam się Thierry i przez pół życia pracowałem dla bezlitosnego człowieka o imieniu Ivan. Ojca Dany. Każdy program polityczny, każdy przepis czy zakaz, który został wam kiedykolwiek narzucony, był dziełem jego szaleńczego geniuszu. Ten człowiek potrafił manipulować nie tylko moją podświadomością, ale również podświadomością setek innych osób, które przez lata pomagały mu realizować zbrodnicze zamiary. Ja jestem pierwszym z winnych i publicznie to dziś przyznaję.

Zbyt późno zrozumiałem, co mi uczyniono, splamiałem się zbrodniami przeciw ludzkości i dobrowolnie oddam się w ręce policji ale dopiero wtedy, gdy na Gai będziemy mieć wolne sądy.

Dana zakryła twarz rękami, niema i nieruchoma przed fermentującą salą. Niektórzy dziennikarze wstali ze swoich miejsc i coś do niej wykrzykiwali. Dziesiątki oczu wpatrywało się w nią oskarżycielko. W domach jej ukochanych wyborców w ciągu tych kilku minut, też coś się zmieniło. Powoli zbiorowa świadomość zaczęła wkraczać w nową erę. To wymagało czasu, ale było jak pierwsza cegła wyrwana z muru dyktatury, który miał niechybnie runąć jak wieżowce w centrum Mariny, które były jej symbolem.

– Chciałbym zakończyć, zwracając się do wszystkich rodziców dzieci z Instytutu Kształcenia Podstawowego Omicron – powiedział Thierry, któremu nagle ścisnęło się gardło. – Bądźcie szczęśliwi, radujcie się i uściskajcie bliskich. Obrzydliwy plan Dany nie powiódł się. Wasze dzieci są bezpieczne, ukryte na terenach magazynów Darren. Zobaczycie ponownie ich uśmiechy, bo ich oczy nigdy nie zgasły. Mam nadzieję, że ten blask w ich spojrzeniach będzie od teraz symbolem nowego światła. Światła dojrzałej ludzkości, świadomej, nareszcie wolnej. Jedźcie po nie. Pewnie się za wami stęskniły.

Mark obserwował błyszczące oczy Thierryego i jego broda też zaczęła drżeć. Odsunął się od mikrofonu i uśmiechnął. Objęli się, a technik przywiązany do krzesła spojrzął na nich z podziwem, pojmując w końcu cel ich włamania.

Gdy głos Thierryego ucichł, Dana cofnęła się o kilka kroków, z oczami utkwionymi w groźnym tłumie przed nią. Odwróciła się w prawo, w stronę zejścia ze sceny, ale za kulisami stało dwóch policjantów o bezlitosnych minach, w ich oczach wyczytała bezapelacyjny wyrok.

Wtedy spojrzała w lewo, ale i tam spostrzegła dwóch mężczyzn, którzy powitali ją wcześniej tego wieczora, a teraz z dezaprobatą kręcili głowami, przyglądając się jej pogardliwie. Jednak to, co najgorsze, to kamienne spojrzenie chłopca stojącego za ich plecami. Potencjata. Jej człowieka.

Rewolucja zbiorowej świadomości właśnie się dokonała.

Dana stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, czując na plecach lodowaty dreszcz. Potem osunęła się na ziemię.

Podczas gdy Anna, wzruszona, wycierała oczy szpitalnym prześcieradłem, Jenny znajdowała się dwie przecznice od Instytutu Kształcenia Podstawowego, w magazynie numer 3 kompleksu Darren. Uśmiechnęła się do jasnowłosego chłopca i wzięła go za rękę. Potem spojrzała na swoich towarzyszy, Quinto związał tabliczkę, a Alex i Ian ściskali się szczęśliwi.

– Wracamy do domu, moje skarby – powiedziała Jenny, a po policzku spłynęła jej łza.

Rodzice uczniów Omicrona zjawili się w magazynach Darren najszybciej jak mogli. Wciąż z niedowierzaniem, zebrali się przed rzędem szarych hal. Burza szalejąca nad Mariną wciąż przybierała na sile. Pioruny uderzały jeden za drugim. Świat dookoła wydawał się mieszanką sztucznych świateł i deszczu, z której wyłaniały się ogromne kopuły przemysłowych budynków. Logo firmy produkującej panele górowało nad bramą wjazdową. Nagle, kilka sylwetek stało się widocznych w oddali. Strzeliła błyskawica i na moment w całej dzielnicy zrobiło się jasno jak w dzień. Pojawił się staruszek z malcem w ramionach i młoda para trzymająca za ręce dwoje innych dzieci. Potem znowu ciemność, ulewny deszcz i podmuchy lodowatego wiatru, który szarpał plakatami reklamowymi i gonił suche liście po zaśmieconych ulicach. Grupa rodziców stała przed bramą, ktoś krzyknął. Inni się cieszyli. Kolejny piorun, kolejna błyskawica na niebie, i za plecami tych osób pojawiły się inne, niższe. Dziesiątki postaci. Quinto wysunął się na czoło grupy i szybkim krokiem podszedł do bramy. Przytknął kartę magnetyczną do czytnika i czerwone światełko zaczęło pulsować w strugach wody. Tłum cofnął się, czekając w milczeniu aż brama się otworzy. Chwilę później nastąpiła eksplozja radości, gdy rodzice rozpoznawali jedną po drugiej, twarze swoich dzieci stojących za plecami wzruszonego Quinta. Gdy tylko brama odsunęła się do końca, matki i ojcowie pobiegli w kierunku swoich synów i córek, emocje odbierały im oddech, chwilę wcześniej myśleli, że stracili na zawsze sens swojego życia. Teraz cieszyli się, mając jednocześnie świadomość, że tej nocy coś się naprawdę zmieniło. Ściskali dzieci i nie potrzebowali słów, aby wyrazić więź silniejszą od czasu i przestrzeni, Ian, Alex i Jenny przyglądali się tej scenie w milczeniu. Serca przepelniało im wzruszenie i dumą. Quinto podszedł do Nicoló i rzucili się sobie w ramiona.

– Czas, żebyś wrócił do domu – powiedział mu. – I żebyś opowiedział żonie i córce, że nie byłeś bohaterem przez godzinę, byłeś nim do samego końca.

– To był zaszczyt móc wam pomóc – oświadczył elektryk z metra, deszcz maskował jego łzy. – Od jutra będę patrzył na życie inaczej. Zbyt długo byliśmy wszyscy ślepi.

– Ten świat będzie potrzebował czasu, żeby uwolnić się od dziesiątków lat manipulacji – stwierdził Ian zapatrzony w rząd latarni ulicznych. – To będzie wymagało ogromnego wysiłku, ale kamień węgielny został już położony. Reszta odbudowy zależy od ludzi. Burza szalała całą noc, zmywając wieloletnie kłamstwa,

spiski i nadużycia władzy, oczyszczając miasto ze zgnilizny fałszywego Dobrobytu. Deszcz bębnił o gruzy w centrum Mariny, symbol władzy pogrzebanej pod swoimi własnymi ruinami. Kapitan Desner błąkał się w deszczu przez długie godziny. Roztrząsał w myślach każdą minutę tego tragicznego dnia, aż w końcu dotarł do portu, z którym wiązało się najwięcej wspomnień. Nawałnica siekała zawzięcie czarną powierzchnię oceanu, on oparł łokcie na poręczy molo i zapatrzony w wodę rozmyślał nad tą ostatnią przyjętą przez niego strategią, ostatnią próbą zachowania wolności.

– Myśleliście, że pójde osobiście podkładać ładunki? Wszystko zostało dawno zaplanowane, rozkazy rozdzielone. Przykro mi, spóźniliście się. Ta szkoła pójdzie z dymem.

Dobrze pamiętał swoje słowa, a jeszcze lepiej następną kartę, którą postanowił zagrać, aby uratować życie.

– O ile natychmiast tam nie pojedziecie i nie ewakuujecie szkoły zanim wybuchnie.

– Mów jak się nazywa szkoła! – wrzasnął Thierry.

– Tylko jeśli mnie wypuścicie.

– Masz moje słowo – doktor wyciągnął do niego dłoń.

– Jakie mam gwarancje?

– Całe życie pracowałem dla hana. Splamilem się zbrodniami gorszymi może od twoich. Nie zostaje ci nic innego, jak uwierzyć mi na słowo. Tak jak ja uwierzę, że nie podasz mi nazwy jakiejś innej szkoły

– Instytut Kształcenia Podstawowego Omicron – powiedział kapitan i uścisnęli sobie ręce. Potem, w nagłym przebłysku człowieczeństwa wyjął z kieszeni kartę magnetyczną i podał ją Thierryemu. – Kilka przecznic od szkoły jest magazyn, numer trzy kompleksu Darren. W tej chwili stoi pusty. Tą kartą otworzysz bramę. Możecie tam ukryć dzieci, dopóki sytuacja nie wróci do normy. Szkoła wyleciała w powietrze o ustalonej porze. Była jednak pusta. Desner został z Thierryem i Markiem, a w chwilę po zamachu zadzwonił do Dany jak to było ustalone. Były inżynier Laxu nagrał całą rozmowę na tym samym mikrochipie, którego użył w więzieniu i metrze.

– Desner?

– Tak, Dano, to ja. Zrobiłem, co mi kazałaś.

– Świetnie, Desner. Świetnie.

Słowa tej rozmowy rozbrzmiewały wciąż na nowo w jego głowie jak refren, kiedy stał i obserwował fale rozbijające się o podstawę molo. To ten jeden krótki telefon sprawił, że wciąż był wolnym człowiekiem. Thierry dotrzymał słowa. Jednak teraz, wystawiony na lodowate smagnięcia wiatru niczym bezlitosnego sędziego sądzącego największe ludzkie okrucieństwa, kapitanowi stanęło przez oczami całe jego dotychczasowe życie. I uznał się za winnego. Nikt nie widział jak

spadał z molo. Nikt nie usłyszał trzasku jego głowy rozbijającej się o skały. Kiedyś przestanie padać, wcześniej czy później. Dla czystych ludzi, którzy służyli Dobrobytowi, nieświadomi i szczerzy w swoich poczynaniach, dla których rodzina była jedynym bezpiecznym schronieniem od życia pełnego wyrzeczeń, dla nich powróci pogoda. Obywatele Gai zasługiwali na słońce po tych wszystkich latach. Zasługiwali na blask w oku kogoś, kto przejrzał.

Burza szalejąca nad miastem Marina uspokoiła się na krótko przed świtem. Świat, który budził się do życia nie miał już pana i dlatego potrzebował nowych reguł, aby zachować swą kruchą równowagę. Mark i Thierry w środku nocy udali się do dojo Kendo, w którym czekali już Quinto, Ian, Alex, Jenny i Sara. W dojo grupka doktora spotkała się z innymi bojownikami, odważnymi przyjaciółmi i wspólnikami, którzy pomogli w przeprowadzeniu rewolty. Jak miał wyglądać następny etap, nikt nie wiedział. Na początku tego przedsięwzięcia, nikt tak naprawdę nie wierzył w jego powodzenie. Wszyscy byli napędzani wolą działania i wiarą w słuszność idei, ale nikt nie zastanawiał się nad konsekwencjami zmiany. Nad jutrem. A jutro nadeszło. W pierwszych promieniach poranka, które delikatnie pieściły miasto, budząc je do nowego życia, zachęcając tęczę, która pojawiła się na niebie niczym opiekuńcza aura, symbol przegnanego sztormu. Burza się skończyła, a wraz z nim niewidzialna dyktatura liczącego sobie pół wieku człowieka i jego córki.

– Co będzie z Daną? – zapytała Jenny, siedząc po turecku na podłodze, oparta o ścianę obok drewnianego stojaka z dwunastoma shinai, bambusowymi mieczami używanymi w Kendo.

– W tej chwili jest w więzieniu – odpowiedział Thierry. – I nie sędzę, żeby szybko stamtąd wyszła.

– A jej ludzie? – zapytał Alex. – Potencjaci?

– To właśnie oni – Mark położył mu rękę na ramieniu – zaciągnęli ją do celi. Dana została sama. Chciała pokazać ludziom twarz wroga i udało jej się. Pokazała samą siebie.

– Zawsze jest jakiś klucz – dodał Thierry – żeby otworzyć zablokowane drzwi umysłu, nawet najbardziej zmanipulowanego i podporządkowanego władzy. Dana chciała zabić dzieci. Niewinne. Potencjaci nareszcie zrozumieli, że twarz bez oczu będąca symbolem Utopii, była ich twarzą.

– Byli ślepi... – zauważył Quinto.

– Co się teraz stanie w równoległych wymiarach... – zastanawiał się Ian.

– To, co zrobiliśmy tutaj – odpowiedział Thierry. – To się odbije na wszystkich światach. Płomień rewolucji rozgorzał w oczach potencjatów i ich przeszłość musi wyjść na jaw. Wszędzie tam, gdzie slogan Utopii penetrował ich umysły, od dzisiaj zyska nowe znaczenie. Wreszcie poznają całą historię.

– Ten system zmanipulował nas wszystkich – oświadczył Mark, wpatrując

się w podłogę. – W taki czy inny sposób. Nie będzie łatwo tego zapomnieć. Może nawet byłoby to niewłaściwe. Tabliczka Thierryego wydała dźwięk.

– Przybyły osoby, które chyba chętnie zobaczysz – powiedział do Iana.

– To znaczy...? – wykrztusił zdumiony staruszek. Thierry podszedł do wejścia i otworzył drzwi. Uściskał kobietę, która weszła wraz z dwoma dziewczynkami. Potem wskazał jej Iana. Próbowali rozpoznać twarze, ale bez skutku. Zapadło milczenie, wszyscy obserwowali tę scenę z zaciekawieniem. Jedna z dziewczynek, o gęstych kręconych włosach, piegowatym nosie i dużych, niebieskich oczach, nieśmiało zwróciła się do Iana.

– Miło cię poznać, dziadku.

Broda mężczyzny zadrżała, a po chwili całe jego życie rozwinęło się jak slajd wyświetlany jeden po drugim, przypominał sobie fotografię, której Ben używał jako tła na pulpicie swojej tabliczki. Na zdjęciu sprzed dwudziestu lat była jego żona Loren oraz małe wnuczki: Melissa i Lara, których Ian nigdy nie poznał. Teraz były tam, przed nim, a on wreszcie rozpoznał łagodną twarz Loren, choć naznaczoną kilkoma zmarszczkami i smutkiem.

Ian wziął ją za ręce i spojrzał w oczy, nie był w stanie powstrzymać łez. Przycisnął jej dłoń do serca i zamknął powieki.

– On jest tu z nami... zawsze – powiedział.

Kobieta rzuciła mu się w ramiona, a córki przyłączyły się do uścisku.

Alex i Jenny wyszli z dojo i wolnym krokiem ruszyli w stronę parkingu. Trzymali się za ręce w świetle nowego dnia, który rozświetlał kałuże i odbijał się w mokrym asfalcie. Nie odezwali się słowem, potrzebowali odpoczynku. Musieli coś zjeść, przemyśleć wszystko, co się stało. Aby zacząć od początku.

– Cześć – odezwał się nagle głos nad ich głowami.

Podnieśli oczy na rząd balkonów, na jednym z nich stała dziewczynka z jasnymi warkoczykami, musiała mieć jakieś trzy–cztery lata. Miała na sobie blad różową sukienkę i była boso.

– Cześć – odpowiedzieli chórem.

– Jesteście narzeczonymi? – zapytała. Jenny osłoniła oczy dłonią i odpowiedziała.

– Tak... jesteśmy.

– A od kiedy? – dopytywała się dziewczynka.

Alex i Jenny patrzyli na siebie w milczeniu przez kilka chwil. Zamknęli oczy i zobaczyli ciemną salę Mediolańskiego Planetarium, rozgwieżdżone sklepienie, ich splecione palce. To tam wszystko się zaczęło.

– Od dawna, zanim jeszcze narodził się świat – odpowiedział Alex.

– Co to znaczy? – zapytała mała, przepychając głowę między słupkami balustrady. Jenny się roześmiała.

– To znaczy, że jesteśmy bratnimi duszami, skarbie.

– Bratnie dusze... – szepnęła zaskoczona dziewczynka.
– Nie przejmuj się tym – zażartował Alex.
– Jak masz na imię? – chciała wiedzieć Jenny, rozbawiona.
– Stella. A wy?
– Ja jestem Jenny.
– Ja Alex. Nie powinnaś się spieszyć do szkoły, Stello? Dziewczynka uśmiechnęła się i podniosła z kolan.
– Tata mówi, że jest niebezpiecznie, nie wiem czy dzisiaj pójdę do szkoły.
– Niebezpieczeństwo minęło, mała, zaufaj nam – zapewnił ją Alex. – Coś się zmieniło. W następnych godzinach dojo powoli się wyludniło. Wielu wróciło do domów, aby odpocząć, Ian postanowił towarzyszyć Loren i wnuczkom, i spędzić z nimi kilka dni. Ben był w każdej rozmowie, każdej myśli. Staruszek zastanawiał się, czy powiedzieć im o Jastelu i jego gospodarce, ale w końcu zdecydował się zachować to dla siebie. Sara obdzwoniła wszystkie szpitale w Marinie, aż wreszcie odnalazła Annę. Spędziła kilka dni przy jej łóżku, czekając aż do siebie dojdzie. Osiem dni później Anna wróciła do swojego laboratorium na obrzeżach Mariny Diletty nie było, a jedno z okien było otwarte. Musiała pogodzić się z faktem, że jej kotka uciekła w poszukiwaniu pożywienia i czułości. Biorąc pod uwagę fakt, że na jej łapkach ciążyło już dwadzieścia długich lat, to lepiej było myśleć, że biega sobie gdzieś po okolicy, przeszukując śmietniki, ale przynajmniej żyje. Anna spała cały dzień, śniąc o uśmiechniętej twarzy Dany zmieniającej się w maskę przerażenia, o kilku różnych zakończeniach tej przygody, śniła o Slevie podającym jej zza lady ich apteki w Garen środek przeciwbólowy na poważne urazy pleców. Obudziła się dopiero następnego ranka, gdy wilgotny pyszczek połaskotał ją w policzek. Spojrzenie kotki było pełne wyrzutu. Lecz, choć miała jej za złe to porzucenie, to jednak była tam, wróciła. Stara, zmęczona, miała zostać z nią do samego końca. Nicoló, który wrócił do domu po uratowaniu dzieci, następnego dnia nie poszedł do pracy. Został z żoną, bez końca powtarzając jej, jak ich nowo narodzona córeczka była piękna. Nie odchodził na krok od kołyski, jak większość ojców w pierwszych dniach życia ich dzieci. Każdy oddech tej maleńkiej istotki był pieszczotą dla jego serca. A kiedy mała otwierała oczy, szukając matki i mleka, Nicoló wciąż powtarzał, że jej ojciec był bohaterem. Nie przez godzinę. Przez cały dzień. Następnego dnia zjawił się w pracy punktualnie. W pokoiku kontrolnym w tunelu metra odnalazł w pamięci urzędnika piosenkę puszczonej przez Marka. Nicoló nie tracił czasu. Gdy peron powoli zalewał poranny tłum, Smoke gets in your eyes rozbrzmiał ponownie. Szybko stało się to nową tradycją rozpoczynania dnia, nowym sposobem na wzbogacanie życia. Niemal nowym hymnem odzyskanej wolności. Żadnego protokołu społecznego. Żadnych donosów. Ludzie na początku byli jeszcze niepewni. Potrzebowali czasu, aby przywyknąć do nowych zwyczajów. W końcu jednak zaczęli patrzeć innym w twarz, nawet

obcym albo spontanicznie wymieniać opinie na temat tej pięknej muzyki. Thierry i Mark odpoczywali aż do późnego popołudnia, a wieczorem spotkali się w lokalu na peryferiach, aby omówić kolejne ruchy. Trzeba było zweryfikować szefów najważniejszych instytucji dawnej, skorumpowanej władzy. Tylko demokratycznie wybrany zespół mógł położyć fundament pod odbudowę. Zbiór dowodów przeciw Danie i jej poplecznikom był konieczny, aby zrozumieć, co tak naprawdę działo się w poprzednich latach i zacząć wszystko od nowa. Żadnych więcej manipulacji, żadnych szantaży. Kilka dni później, kiedy Thierry spotkał się twarzą w twarz z Oliverem, szefem policji od zawsze służącym Ivanowi i oświadczył, że chce odpowiedzieć za zbrodnie popełnione w przeszłości, ten zmarszczył brwi i wyciągnął do niego rękę.

– Ten mężczyzna i jego córka omamili cały naród. W tym mnie. Pan i pańscy ludzie ich powstrzymaliście. Nie sądzę, żeby wtrącenie pana do więzienia było najlepszym rozwiązaniem. Mam inny pomysł.

Alex i Jenny pożegnali się z resztą. Postanowili spać w dojo. Quinto wyszedł jako ostatni, wtedy zeszli na niższe piętro i rozłożyli sobie maty na podłodze. Wyłączyli światła i położyli się.

Leżeli przytuleni przez wiele godzin, przygniecenii ciężarem potwornego zmęczenia psychofizycznego. W końcu zasnęli i spali do rana następnego dnia, przewracając się tylko od czasu do czasu na drugi bok, ale zaraz z powrotem się obejmując. Jenny obudziła się pierwsza, z głową opartą na nagiej piersi Alexa. Powoli otworzyła oczy i zastanawiała się, jaki świat czeka na nią na zewnątrz, jakie życie. Jaka droga, jaki los.

Alex poczuł jej oddech na szyi i uśmiechnął się, nie otwierając oczu.

– To już naprawdę koniec.

– Tak, kochanie – odpowiedziała, całując go delikatnie w usta, kiedy on gładził jej włosy.

– Co z nami teraz będzie?

Jenny sprawnie uniosła się na łokciu, pojedynczy promień słońca wpadał przez niedomkniętą roletę, oświetlając jakieś przyrządy do ćwiczeń. – Ten świat mógłby być niezłym miejscem do życia, nie uważasz?

Alex podłożył ręce pod głowę i pomyślał o swoich przyjaciółach z Sam-en, o adopcyjnej rodzinie, rzece, pokoju Marca. Tam ich al-ter ego będą nadal żyły swoim bezpiecznym życiem.

– Właściwie to zupełnie mnie nie obchodzi gdzie jesteśmy, wystarczy, że razem.

Jenny roześmiała się i zmierzwiła mu włosy.

– Myślisz, że mogłabym cię zostawić samego?

– Nie wiem. Zresztą, chyba po raz pierwszy myślę o nas jako o... dorosłych.

– Cóż, ten wiek ma też swoje zalety.

– Zalety?

Zawahała się przez chwilę.

– Myślałeś kiedyś, że moglibyśmy... razem zamieszkać? – dokończyła w końcu. Alex nie odpowiedział. Leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit.

– Prawie nie pamiętam moich prawdziwych rodziców – ciągnęła Jenny. – A w Sam-en jesteśmy rodzeństwem. Nasza tożsamość została zniszczona. Wszechświaty były naszym sekretem, naszą siłą i naszym przekleństwem. Chciałabym wreszcie zacząć normalnie żyć. Chciałabym móc zaplanować coś konkretnego, choćby to była tylko...

– Tylko co?

– Rodzina, Alex.

Chłopak podniósł się i wziął ją za rękę.

– Kiedy zobaczyłem te dzieci w ramionach swoich rodziców – powiedział, mając przed oczami gruzy szkoły – pomyślałem, że to najczystsza forma miłości jaka istnieje. Na twarzach tych matek i ojców widać było wracające życie. Myśleli, że ich dzieci nie żyją, a kiedy zobaczyli, że jednak wychodzą z tego magazynu...

– ...to było dla nich jakby znowu zaczęli oddychać – dokończyła za niego Jenny.

– Dokładnie tak. To mnie naprawdę poruszyło. Dało do myślenia.

– Myślisz, że byłoby możliwe... – zarzuciła mu ręce na szyję i przyłgnęła do niego, nie kończąc zdania.

– Myślę, że pragnę tego całym sobą – odpowiedział z niespotykaną wcześniej powagą.

– Ja i ty? Prawdziwa rodzina?

– Ja i ty, Jenny.

Alex zbliżył twarz do dziewczyny i dotknął jej nosa swoim. Milczeli z zamkniętymi oczami, czas na chwilę się zatrzymał. Byli razem na molo, trzymali się za ręce, ich spojrzenia błędziły gdzieś za horyzontem.

– Przyszedeś wreszcie... – powiedziała Jenny, jej twarz promieniała szczęściem.

Alex rozejrzał się dookoła. Mewy unosiły się z wdziękiem na niebie, chmury się przeredziły, przepuszczając promienie słońca, które padały na molo i morskie fale w tej jednej chwili poza czasem i przestrzenią, fragmente wyobrażenia mieszającego tysiąc wymiarów i tysiąc historii.

– Ja zawsze tu byłem.

– Masz ochotę się ze mną przespacerować przez to życie, Alex? – Jenny uśmiechnęła się, a on zrozumiał, że to był jego szczęśliwy zakątek Wszechświatów, nietknięte schronienie. Właściwe przeznaczenie. Wtedy ją zobaczyli, dalej na molo. Taka słodka w różowej sukience odsłaniającej pulchne nóżki. Taka wesoła wskakująca na ławeczki i zeskakująca na ugiętych kolanach,

wpatrzona w nich w poszukiwaniu aprobaty. Potargane włosy na czole i ogromne oczy głębokie jak morze, błyszczące jak gwiazdy. Odwróciła się w ich stronę i uśmiechnęła szeroko.

– Nie puściłbym twojej dłoni za nic na świecie, Jenny.

Otworzyli oczy i przez chwilę musieli przyzwyczać wzrok do ciemności panującej w siłowni.

Przez kilka sekund nic nie mówili, ale ich twarze wciąż się stykały, ich usta pieściły delikatnie, potem oderwały się od siebie i znów złączyły.

– Ty też to widziałeś, prawda? – szepnęła Jenny. Alex odsunął jej kosmyk włosów z twarzy.

– Tak, molo. Też je widziałem.

– Co to było według ciebie? – zapytała, przymykając oczy, kiedy całował jej czoło.

– Może przyszłość.

ROK PÓŹNIEJ

Umówili się o północy, ale wszyscy przybyli ze sporym wyprzedzeniem. Z niektórymi nie widzieli się od miesiący, z innymi zaledwie od kilku dni. Dla wszystkich jednak ponowne spotkanie było niezwykle emocjonujące, trzęsły im się ręce, a serca biły szybciej niż zwykle. Anna czekała na nich, siedząc na fotelu w ogromnym hallu budynku. Ubrana w niebieską garsonkę, swoje długie, rude włosy spięła w koński ogon. Kiedy drzwi się otworzyły, zerwała się i podbiegła na spotkanie pierwszych przybyłych. Widok szerokich uśmiechów na twarzach Marka i Thierryego sprawił, że ze wzruszenia ścisnęło się jej gardło.

– Jak cudownie was widzieć... – wykrztusiła łamiącym się głosem przytulając ich po kolei.

– Nowa siedziba jest wspaniała, Anno – powiedział Mark rozglądając się wokoło. Szklany półksiężyc pełnił rolę blatu recepcji, fotele stały wokół trójkątnych stolików, natomiast za ich plecami ogromny ekran wyświetlał mapę budynku z opisami poszczególnych oddziałów.

– Jak idą prace?

– Na początku było trudno, ale wszystko powoli zaczyna się układać. Mam świetny zespół. To miejsce wreszcie przyniesie prawdziwe korzyści dla wszystkich. – Ty szefową Synaptiki – zamyślił się Thierry. – Kto by pomyślał? W tym momencie drzwi wejściowe znowu się otworzyły. Pojawili się Alex i Jenny, dostrzegli przyjaciół i podeszli do nich.

– Miałaś przyjść zainstalować mi w domu to stereo, pamiętasz? – zażartował Alex, witając się z Markiem.

– Uważaj, rozmawiasz z moim Doradcą, nie jakimś tam szeregowym technikiem – odparł rozbawiony Thierry.

– No pewnie, przecież wiemy, że bez Marka nawet nie wychodzisz z domu, panie Gubernatorze – zakpił Alex. – Ale ja chcę właśnie jego do mojego nagłośnienia, jego i archiwum starych kawałków, które wykradł z naszej pamięci...

– Mówiąc poważnie – przerwała mu Jenny – z przyjemnością pokazalibyśmy wam dom, teraz kiedy znowu się widzimy...

– Na pewno przyjdziemy – Mark wziął ją za rękę i skinął głową w stronę Thierry'ego. – Choć ten pan tutaj dźwiga teraz na barkach ogromną odpowiedzialność, od jego polityki zależy czy ten kraj się posypie... ale znajdziemy jakąś lukę w jego kalendarzu.

– Tak się cieszę – powiedziała Anna zwracając się do Jenny, po czym

spojrzała na dwóch mężczyzn pełniących teraz funkcję Gubernatora i Pierwszego Doradcy kontynentu Gai.

– Quinto prosił, żeby was pozdrwić – powiedział Mark. – Nie wiem czy słyszeliście, przeprowadził się do Lender na Wschodzie. Mówi, że tam jest pełno pozostałości po dawnych tradycjach, w które on zawsze wierzył. Zbyt długo były pogrzebane, zapomniane lub zabronione. Doktor Sara pojechała razem z nim. Alex pokiwał głową z zadowoleniem.

– Kiedy przyjdzie Ian?

– Już jest, czeka na nas na dole, w Sali Pamięci.

– Przepraszam cię Anno – Thierry zmarszczył lekko czoło – ale ja wciąż nie pojmuję po co się tu dzisiaj zebraliśmy, oczywiście cieszę się, że mogę was zobaczyć, ale co kombinuje Ian?

– Szykuje się do podróży – odpowiedział Alex.

– My się cały czas spotykaliśmy przez ostatni rok – dodała Jenny. – Towarzyszyliśmy mu, gościliśmy u siebie, czasem podglądaliśmy nasze życie tam...

– W Sam-en – dokończyła Anna.

– Dokładnie. Wiem, że tu na Gai przez jakiś czas mieszkał u rodziny Bena, ale w ostatnich miesiącach trochę się skarżył.

– To znaczy? – zapytał Mark ze zdziwieniem.

– Wiecie jaki on jest... spragniony nowych informacji, odkryć, maniak nauki. Kiedy świętowaliśmy jego osiemdziesiąte dziewiąte urodziny, zdradził nam swoje zamiary. Odebrało nam mowę z wrażenia.

– Wcześniej przedyskutował ten pomysł ze mną – wtrąciła Anna. – A dzisiaj będziemy przy jego realizacji. Chodźcie ze mną. Mark i Thierry wymienili zaintrygowane spojrzenia podszyte odrobiną obawy. Podążyli za kobietą do rzędu wind. Wsiadli do pierwszej z nich, Anna wybrała na interaktywnej mapie obiektu kwadrat z napisem SALA PAMIĘCI.

– Chciałem ci pogratulować Thierry – odezwał się Alex gdy winda ruszyła w dół. – Wszystkiego, czego dokonałeś przez ostatni rok. Gaja stała się lepszym miejscem. Myślałem, że to było niemożliwe. Teraz widać to w oczach mieszkańców. Przebudzili się.

– Wystarczyło sprawić, by zrozumieli, że mają po co żyć. Że ich wolność nie kończy się tam, gdzie Ivan i Dana postawili mur. Trzeba jeszcze dużo czasu, żebyśmy zdołali wrócić do świadomego człowieczeństwa, do jego prawdziwej natury, ale uda nam się.

– Na razie zacząłeś od słuchania dobrej muzyki – zażartowała Jenny. Mark poklepał ją po ramieniu.

– To wszystko zasługa waszych wspomnień. Jesteście mostem łączącym nas z przeszłą cywilizacją, miejmy nadzieję, że ta nasza zdoła się nieco do tamtej

upodobnić...

– A jak idzie z mikrochipami? – zapytał Alex.

– Dobrze, już prawie połowa populacji je usunęła. Reszta czeka w kolejce, to prosty zabieg chirurgiczny. W każdym razie wszystkie zdezaktywowaliśmy. Zastanawiamy się też czy nie wprowadzić nowej waluty, prawdziwej, namacalnej, a nie jakieś wirtualne cyfry. – Jesteśmy na miejscu – przerwała mu Anna. – Chodźcie.

Korytarz, którym szła grupka przyjaciół był wąskim tunelem oświetlonym przez rzędy podłużnych świetlówek emitujących zimne niebieskie światło. Przejście kończyło się drzwiami z zamontowanym na nich ekranem.

Anna musnęła panel i horyzontalna, czerwona linia przesunęła się z góry w dół skanując jej twarz. Wtedy drzwi rozsunęły się, chowając się w ścianie.

– To jest Sala Pamięci – poinformowała ich. – Tylko ja mam do niej wstęp, jak pewnie zauważyliście.

– Gdzie jesteście, Anno? – zapytał Thierry, rozglądając się ze zdumieniem dookoła. Pomieszczenie było ciemne, rozświetlone tylko rzędem ekranów wiszących na jednej ze ścian i wyświetlających w tej chwili kolorowe esy floresy, fiolety przechodzące w granat, błękit w zieleń. Na środku sali stał duży sarkofag o szklanych ścianach i metalowej podstawie.

– Jesteśmy na peronie pierwszym – oświadczył ochryply głos Iana, który wyszedł zza drzwi po przeciwnej stronie pokoju.

– Ian! – Mark podszedł do niego szybkim krokiem z rozłożonymi ramionami i w milczeniu uściskał wątłe ciało staruszka.

– Peron pierwszy? – zapytał Thierry, podając mu dłoń.

– Tak – odpowiedział z szerokim uśmiechem, witając się z Alexem i Jenny. – Jesteście na mojej stacji początkowej. Dziś jest ten dzień. Alex ścisnął dłoń Jenny i zaczął głębiej oddychać. Wiedział, co się miało zaraz stać, ale wołałby maksymalnie odroczyć ten moment.

– Nie chcę tego przedłużać ani żebyście byli smutni – ciągnął Ian opierając dłoń na szklanej kabinie. – Dzisiaj się rozstaniemy, drodzy przyjaciele.

– Spodziewaliśmy się tego. – Jenny podeszła do niego i ścisnęła jego rękę. – Ale teraz, kiedy nadszedł ten moment, nie jest nam łatwo.

– Będziecie szczęśliwi, doczekacie się pięknej rodziny. Często będziecie mnie wspominać, wiem o tym. Jeśli zapragniecie ze mną porozmawiać, to wiecie, że mamy nasz mały kawałek rolniczego raju w Sam-en-Kar. Musicie w końcu spróbować ligali, jest przepyszna. Alex trzymał się z boku, przygryzał wargę żeby powstrzymać wzruszenie. Thierry pokręcił głową.

– Czy tylko ja nie mam pojęcia co tu się dzieje?

Ian odwrócił się do niego, Jenny natomiast cofnęła się.

– Jestem już stary, Thierry. Bardzo stary. I bardzo zmęczony. Niedługo moje

komórki obumrą, a ja razem z nimi. Dlatego dzisiaj wyruszę w podróż.

– Podróż... dokąd?

– Do Pamięci.

Alex zamknął oczy, Jenny znowu złapała go za rękę i poczuła jak drży.

– Za chwilę zamknę się w tym sarkofagu, który zostanie wypełniony siarkowodorem. Anna zapieczętuje hermetyczną pokrywę, a następnie aktywuje funkcję kriostazy. Wszystko jest sterowane z pokoju kontrolnego, w którym przed chwilą byłem. Pożegnajmy się teraz, bo tutaj za chwilę zrobi się odrobinę zimno.

– Ty chcesz... – zaczął zszokowany Mark. – Ty...

– Udaję się w podróż pod prąd historii świata. Nie wiem ile będę miał czasu, ale poprosiłem Annę, aby nie wyciągała mnie z tej kabiny. Od teraz moje komórki będą się starzały bardzo powoli, ale jednak będą się starzały. W końcu umrę, drodzy przyjaciele, jak każdy. Chcę jednak spędzić ostatnie lata życia w Pamięci. Wiecie, tam oczy ludzi są jak portale prowadzące do ich wspomnień. Cofnę się w czasie ile będę mógł. Pragnę wiedzy, poznania. Pragnę zrozumieć koniec naszego świata, domniemaną asteroidę, którą zawsze traktowałem jak pocisk wypełniony nowym życiem, stworzony do zniszczenia cywilizacji i jednocześnie jej odrodzenia. Chciałbym ujrzeć koniec cywilizacji, która była przed naszą, jeśli zdołam. I tej jeszcze wcześniejszej. Nikt nie śmiał przerwać jego wywodu, kiedy opowiadał, wpatrując się w przestrzeń przed sobą jakby wyobrażał sobie zaplanowaną trasę wycieczki.

– Schodzę w tę otchłań z wiarą, że może mi się udać. Że znajdę odpowiedzi. Znajdę je dla was.

– Dla nas – zdziwił się Thierry. – Przecież powiedziałaś, że nie wyjdiesz więcej z kabiny.

– Ja nie, ale moje wizje, odkrycia... będą dziedzictwem, które pozostawię wam i następnym pokoleniom. Anna podeszła do Thierryego i uśmiechnęła się widząc jego zakłopotanie.

– Software twojego autorstwa, ten do ekstrakcji wspomnień. Użyjemy go. Od dzisiaj podróż Iana stanie się przedmiotem badań. Ujrzymy przeszłość jego oczami. Może nauczymy się czegoś o nas samych.

Thierry stał nieruchomo, w końcu mrugnął i dotarła do niego waga tego ekstremalnego eksperymentu. Uśmiechnął się smutno.

– Kiedy ten sarkofag zostanie zamknięty, ty będziesz...

– Martwy? – Ian zaśmiał się kiwając na Alexa żeby podszedł. – Nawet o tym nie myśl. No, dalej, powiedz mi przyjacielu, ile życia może być w takiej kabine? Alex rzucił mu się w ramiona zamiast odpowiedzieć. Oczy miał podpuchnięte, broda mu drżała, mięśnie jakby nagle odmówiły posłuszeństwa. Nie był nawet w stanie porządnie uściskać staruszka, który towarzyszył mu w przygodzie życia, poza czasem i przestrzenią, po niezliczonych labiryntach Wszechświatów. W ciągu

tych kilku chwil, które miał, aby pożegnać przyjaciela na zawsze, starał się nie myśleć o niczym, skupić się na nim i na jego oddechu, który czuł na skórze po raz ostatni. Nie zdołał. Jeden obraz rozepchnął się brutalnie w jego umyśle. Byli razem, pół wieku wcześniej. Leżeli na łóżku Marca w Mediolanie, w innej rzeczywistości, innym życiu.

– Czas spać, Alex. W przeciwnym razie jutrzejszy samolot odleci bez ciebie.

– Jenny istnieje, jestem tego pewien... znajdę ją, prawda?

– Pewnie, że ją znajdziesz, przyjacielu. Musisz tylko mocno w to wierzyć.

Alex uwolnił się z objęć Iana i otarł łzy piętami.

– Żegnaj Marco – powiedział wypowiadając imię, które przenosiło go o wieczność wstecz.

– Żegnaj przyjacielu.

Chwilę później cała grupa opuściła pomieszczenie pozostawiając Annę, która musiała uruchomić kriostazę. Kiedy i ona wyszła na korytarz drzwi do Sali Pamięci zamknęły się za jej plecami, nikt nie wypowiedział ani słowa. Ruszyli do windy, każdy pogrążony we własnych myślach, kiedy do niej wsiedli Anna wybrała z mapy kwadrat podpisany LOŻA IANA. Anna, Alex, Jenny, Thierry i Mark wysiedli z windy, kobieta poprowadziła ich do jadalni o ogromnych oknach, a następnie podeszła do kolumny przy półkolistym blacie i nacisnęła guzik. Okna otworzyły się automatycznie a grupa podążyła za nią na przestronny taras. Tej nocy wiał przyjemny wiaterek. Świeża bryza od morza delikatnie pieściła sny obywateli nowego świata.

– Jak widzicie, nazwałam to miejsce na cześć naszego przyjaciela – powiedziała Anna, podchodząc do balustrady, za którą majaczyła panorama miasta. Wszyscy zamilkli przypatrując się temu widokowi, wieżom nowych drapaczy chmur w centrum miasta, dachom budynków w oddali, a potem jeszcze dalej, peryferiom nareszcie odnowionym i posprzątanym, uzdatnionym do życia dzięki precyzyjnemu planowi rewitalizacji. Dali się porwać myślom i marzeniom ledwo przebudzonego świata, gotowego by przyjąć nowe prawdy, wyznaczyć nowe cele, rozszerzyć horyzonty. Świat nowo narodzony, świat ciekawy świata.

– Bez niego to wszystko nie byłoby możliwe – ciągnęła Anna. – Będziemy tu przychodzić, żeby o tym pamiętać, za każdym razem gdy poczujemy taką potrzebę.

– Byłaś w... innych światach podczas ostatniego roku? – zapytał Alex.

– Chcesz wiedzieć czy Dana jest wciąż groźna?

– A nie jest?

– Tego nie wiemy, Alex. Ale jestem przekonana, że Dana jest coraz bardziej osamotniona. Utopia jej ojca i jej stała się tylko echem katastrofy, która na zawsze pozostanie w pamięci tych dzieci, które wykorzystali. Alex i Jenny oddalili się w ciszy od reszty i podeszli do poręczy. Oparli na niej dłonie i wychylili się lekko do

przodu wpatrując się w księżyc, prawie w pełni, który z góry obserwował ludzkie czyny ale ich nie oceniał. Samotny, cichy i skąpany w tajemniczym, nieco ponurym uroku. Ciągła gra światło–cienia na krawędziach jego ogromnych kraterów czyniła z jego powierzchni niemal ludzką twarz, zastygłą w wyrazie zdumienia. Zawsze tam był, milczący towarzysz ich myśli. Kiedy się odwrócili, Anna, Thierry i Mark siadali przy małym stoliku. Alex wziął Jenny za rękę.

– Widzisz? – zapytał wskazując niebo.

– Tak – odpowiedziała, odnalazłszy trzy gwiazdy w pasie Oriona. – Widzę.

– Nigdy nas nie opuszcza.

Anna podeszła do małego urządzenia i wcisnęła guzik, rozległa się piękna melodia z lat trzydziestych, która zyskała sławę w latach pięćdziesiątych. Jej dźwięki otoczyły ich ze wszystkich stron, Alex i Jenny przytulili się mocno obserwowani przez uśmiechniętych Thierry ego i Marka. Ona oparła głowę na jego ramieniu, on ruszył powoli w takt muzyki, przyciskając ją mocno do siebie. Falowali tak dorośli na zewnątrz, dzieci w sercach. Ich oczy błyszczały blaskiem dwójki berbeci trzymających się za ręce w Planetarium, pod oceanem gwiazd, tego dnia, w którym wszystko się zaczęło. W rześkim, nocnym powietrzu głos sprzed pół wieku wyśpiewywał wieczne i niezaprzeczalne uczucie.

– Czy podaruje mi pani ten taniec? – zapytał Alex.

Jenny otarła łzę, odetchnęła głęboko i uniosła oczy do swego przeznaczenia.

– We wszystkich możliwych światach.

EPILOG

Idę po plaży, która wydaje się nie mieć końca. Woda, która obmywa moje stopy jest tysiącletnim kustoszem życia, wieczną biblioteką genetyki, która przechowuje historię świata. Chciałbym przeniknąć do jej wspomnień, w taki sam sposób, w jaki wnikam w głębię ludzkich dusz. Podróżuję przez wieczność, ale szczerze mówiąc, tu nie ma chronologii. Wszystko dzieje się w tej samej chwili, w momencie, w którym umysł zostaje porwany przez iskrę. Spaceruję w nocnej ciszy i wydaje mi się słyszeć z daleka dźwięki fortepianu. Melancholijny akompaniament, ledwo zauważalna dynamika. Być może jest to echo wspomnień kogoś innego. Albo po prostu kolejne zakłócenie. Czytałem w oczach tysięcy, może milionów ludzi. Żyłem w ich przeszłości, przebrnąłem przez trudy ich egzystencji ze zręcznością osoby, która przekracza rzekę, skacząc z kamienia na kamień. Aż zdałem sobie sprawę, czego brakuje w tej układance. Jakiego zaskakującego elementu. To stało się niedawno, na pewnym zatłoczonym placu. Wokół mnie, intensywny gwar ludzi, kultur, marzeń i nadziei. Splątane życia, splecione historie. Siedząc przy stoliku przed jakąś brasserie, trzymałem pióro nad pustą kartką, nie wiedząc, co napisać. Pod tą kartką leżała francuska gazeta z 1988. Nagle poczułem się zagubiony w kontemplacji ludzkich spojrzeń, unieruchomiony w obliczu krystalizującej się synchronizacji czasu. Dotarłem do tego zakątka Wszechświata na grzbietach nieznanym mi wspomnień, od portalu do portalu, napędzany obsesyjnym pragnieniem poznania. Ale jeśli w innych przypadkach badałem życie innych ludzi jako eteryczny, nienamacalny byt, niewidzialny intruz, tym razem byłem we własnym ciele. Nie byłem obserwatorem, ale bohaterem wydarzeń. Byłem we własnej pamięci. Tyle że przecież w 1988 roku kalendarza cywilizacji zniszczonej przez asteroidę, nie było mnie jeszcze na świecie. Właśnie zabierałem się do próby wyrażenia słowami tego węzła splątanych wątpliwości, który musiałem jakoś rozwikłać, kiedy przy stole naprzeciwko mnie usiadła pewna para. Na ten widok zaprało mi dech w piersiach. Musieli mieć około dwudziestu lat, może troszkę więcej. Ona wyglądała niezwykle wyrafinowanie w beżowym płaszczu do kolan, czarnych rękawiczkach i szalu owijającym szyję. On, również elegancki, w wieczorowym stroju. Spod rozpiętej marynarki wylaniała się ciemnoniebieska koszula, pod brodą przewiązany kremowy fular. Rozpoznałem ich, przez kilka chwil nie byłem w stanie drgnąć. Obserwowałem jak zamówili coś do picia, podczas gdy słońce chowało się za budynkami, a powietrze stawało ostre. Plac zaczynał się powoli wyludniać, ludzie kierować do domów. Widziałem jak

wymieniali spojrzenia mówiące więcej niż tysiąc słów, słyszałem o czym rozmawiali. Nagle wstałem, tak nieoczekiwanie, jakbym to nie ja kontrolował swoje czyny. Podeszedłem do stolika i chrząknąłem przyciągając ich uwagę. On odwrócił się gwałtownie, jego niebieskie oczy uśmiechnęły się na mój widok. „Nie możesz tu stać” powiedział z rozbawieniem, a ona dodała: „No właśnie, co ci strzeliło do głowy?”. Na początku nie zrozumiałem. Wtedy ktoś za moimi plecami krzyknął „Stop!” Odwróciłem się w tamtym kierunku i zobaczyłem kamery. „Wlazłeś w ujęcie, do cholery!” warknął mężczyzna przez megafon. Wróciłem do swojego stolika, oszołomiony i zdezorientowany. Godzinę później śledziłem tę dwójkę aż do przyczepy zaparkowanej w bocznej uliczce nieopodal placu. Zapytałem ich, co się dzieje i dowiedziałem się, że nie byłem w Paryżu w 1988 roku, ale na planie filmowym na obrzeżach Mediolanu w 2017 roku. Próbowałem zaprzeczać, powiedziałem im, że to niemożliwe. Zwracałem się do nich, używając ich prawdziwych imion – Alex i Jenny – ale oni zapytali mnie tylko czy chciałbym dostać ich autografy. „To miasto spaliło się w 2014 roku” zawołałem. „Mały świat... nie pamiętacie?” Wyrzucili mnie z przyczepy. I nie tylko. Wspomnienie rozsypało się w ciągu kilku chwil, zwinęło jak podpalona fotografia. Powinienem był dać mu się ponieść, przeżyć je tak, jak chciało biec, tak to przecież działa w Pamięci. Zamiast tego próbowałem je zmienić, interweniować. Dlatego wypluło mnie z powrotem na początek i teraz stoję tu, w piasku. Zaczynam od nowa, wróciłem już kilkadziesiąt razy, aby odgrywać rolę milczącego statysty, oglądać czyste niebo nad nietkniętym Mediolanem, zastanawiając się wciąż, dlaczego. Idę bez przerwy już od wielu dni, chociaż tutaj czas nie ma znaczenia. Idę i tonę wśród niewiadomych. Asteroida spadła w każdym możliwym wymiarze, tak nam powiedziano. W to kiedyś wierzyliśmy. Chwilę wcześniej podniosłem oczy na nocne niebo. Ja, obrońca nauki, niewolnik rozumu. Podniosłem je i modliłem się o wyjaśnienie, nie wiedząc nawet kogo o nie błagałem. Firmament mi odpowiedział. A może ja sam sobie odpowiedziałem podziwiając konstelację Andromedy. Spojrzałem na nią innymi oczami. Myślałem o względności mojego ograniczonego punktu widzenia. Nad tą plażą gwiazdy przyjmują pewną formę związaną z mitem posiadającym swoją historię. Historię, którą wszyscy znamy. Ale gdybym obserwował to samo tylko z innego punktu w galaktyce, co bym zobaczył? Nie widziałbym Andromedy, nie widziałbym tej konkretnej kompozycji. Zobaczyłbym tych samych aktorów, ale w zupełnie innym filmie. Więc spróbowałem na nowo przyjrzeć się naszej historii, niewiarygodnej przygodzie, która skrzyżowała drogi Alexa i Jenny z moją, przesuwając punkt widzenia. Zastanawiałem się nad naszą podróżą, stwierdziłem, że nasz umysł jest kluczem. Ze wszechświat jest empiryczną manifestacją naszych myśli, że materia jest kształtowana przez nasze intencje, wolę i przekonania. Wtedy ponownie rozbrzmiały mi w głowie prorocтва Thomasa Beckera – halucynacje i odkrycia, które utożsamiałem z osobą starego

profesora. Pojąłem, że te przepowiednie i przeczucia były zakorzenione w moim własnym ja. Tam odnalazłem starego Meurona z Sam-en, on także był jedynie wyrazem moich wizji. Zawsze mówiłem sam. Zawsze widziałem siebie. Nieruchomy przed falami ponurego morza, pod pełnym księżycem wiszącym nad niewyraźnym horyzontem, na progu mego pożegnania. Horyzont zdarzeń, punkt bez powrotu, to jest plaża, na której się odnalazłem. Jestem na końcu ścieżki. Czuję to. Teraz już tak, teraz wszystko stało się jasne. To ja rzuciłem kości o nieskończonej liczbie oczek. To jest moja rzeczywistość. Koszmar. Wyzwanie. Dzieło. Moje Wszechświaty. Wszystko, co było i będzie – tragedia, wybawienie, koniec, odrodzenie – zostało stworzone w moim umyśle, splecione ze wszystkich możliwych wyborów. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego istnieje nietknięty Mediolan. Miasto, w którym Alex i Jenny mogą wychowywać się razem, kochać, przeżywać swoją historię. Beze mnie. Od chwili, kiedy zobaczyłem, w zakamarkach podświadomości, koniec cywilizacji, wpływałem na przyszłość moją i moich bliskich niczym w jakimś przerażającym efekcie motyla. Wszystkie wersje Alexa i Jenny, których ścieżki przecięły się z moją, podzieliły ten sam los. Nasza przyjaźń była ich wyrokiem. To ja byłem malajskim wróżbitą, głosem w głowie Alexa, który w dzieciństwie rysował sceny śmierci i zniszczenia. To ja byłem przepowiednią. To z mojego powodu para, którą spotkałem na planie francuskiego filmu żyje i ma się dobrze. A planeta jest cała. Tam, niech to szlag, jeśli to prawda, nie spadła żadna asteroida. Tam po prostu nigdy się nie poznaliśmy. Byłem statystą, oni głównymi aktorami. W tamtym świecie się minęliśmy, to nawet nie był dotyk, ledwie muśnięcie. Nigdy nie mieli kontaktu z moim dziełem, moim nieświadomym szaleństwem. Szedłem w nieskończoność, boso po tej plaży, czasem nie dowierzając moim własnym wnioskom, czasami martwiąc się, że oszaleję poszukując odpowiedzi, zgubię się w labiryncie paradoksów. Potem poszedłem dalej i znalazłem inne wersje naszej cywilizacji. Bezpieczne wymiary, w których żadna asteroida nie spadła na Planetę Ziemię w 2014 roku. Wymiary, w których ja sam osiągałem dorosłość prowadzony rozwojem wydarzeń sterowanych przez kogoś innego. Nigdy nie zastanawiałem się nad punktami widzenia, nie obserwowałem Andromedy z innej perspektywy, nie otworzyłem naprawdę oczu. Przebyłem alternatywne linie czasu, a w każdym z tamtych miejsc Alex i Jenny byli mi obcy. Szukałem ich, czasem udawało mi się ich odnaleźć, wymienić niepewne spojrzenia, po których wspomnienie się zapadało i na zawsze rozdzielało nasze drogi. To nie była moja scena, splot okoliczności wywołany moimi wyborami. Byłem statystą, nie głównym bohaterem. Obcy dla samego siebie. Wciąż jestem tutaj, na tej plaży. Rozmyślam nad swoim ja, nad naturą istnienia. Myślę, że moja historia mogłaby należeć do każdego. To my decydujemy o przyszłości naszej podróży, wyznaczamy swoją drogę. Każda ambicja, każde żelazne credo, prowadzi do zmian w toku naszego życia. I zaraża wszystkich wokół

nas, w tym konkretnym zakątku Wszechświatów oraz wszystkich jego odnogach. Każdy z nas jest w stanie kształtować swoją rzeczywistość. Wznosić mosty i wieżowce, sprawiać by niemożliwe stało się możliwym. Nie ma przyczyny i skutku. Istnieje jednak moc przekraczająca ludzką wyobraźnię. Czy po to, by wywołać uśmiech na twarzy obcego człowieka, czy by spowodować globalną katastrofę, to nie ma znaczenia. Każdy z nas jest kowalem swojego losu. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na mokrym piasku, zdałem sobie sprawę, że moje życie, a być może również każde inne, to ciągła walka światła i ciemności. Odwieczny konflikt między yin i yang naszej natury, jakby to powiedział Quinto, zgodnie z jego taoistycznymi przekonaniem. Walczyłem we wszystkich możliwych rzeczywistościach, uratowałem siebie i moich przyjaciół od losu, który napisał mój własny umysł, który sam wylosowałem, rzucając kości przeznaczenia. Może było to tylko absurdałne wyzwanie naszych możliwości. Pragnienie, aby zanurzyć się w najczarniejszej otchłani po to, by potem się z niej podźwignąć, wzbogacić, wstąpić na wyższy poziom świadomości. Jak bardzo chciałbym móc ich jeszcze raz uściskać, moich przyjaciół. Naraziłem ich na niebezpieczeństwo, potem uratowałem, w końcu wystawiłem na próbę. Gdzie indziej, z tego co widziałem, żyli spokojnie razem, wszędzie tam, gdzie przypadek pozwolił im się poznać, gdzie nie pozwolił im poznać mnie. Ale tu, w moim Wszechświecie, musieli stoczyć ciężką walkę, by móc być razem. Ich uczucie służyło im za jedyny powód, by budzić się każdego ranka, by wierzyć, by ryzykować życie. Wbrew jakiegokolwiek barierze czasu, wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Byli aktorami mojej historii. Nadzwyczajnymi aktorami. Nierozłącznymi przyjaciółmi. Jestem gotów do drogi. Idę powoli w stronę księżycy, podczas gdy zimna toń morza obmywa najpierw moje stopy, kostki, łydki. Tu kończy się moja podróż. Zamyka się księga moich badań, gaśnie płomień uwalniając obłoczek dymu, który rozplynie się w powietrzu. Panuje cisza. Cisza, która mnie usłyszała. Cisza nocy dziejów, najdalszej granicy, nieprzekraczalnej. Stąd nie ma powrotu. Wszystko powoli ciemnieje, woda zrobiła się nieruchoma niczym stół. Nawet księżyc odbija światło końca. Czuję go. Czekam, przepelnia mnie ciekawość, co znajdę za tymi drzwiami? Teraz wiem, kim jestem. Wiem, kim jesteśmy. Każdy z nas, prestidigitator naszego kosmosu, manipulator naszego losu, rysownik map. Nie wierzymy w nasze możliwości, zamknięte w niewidzialnych klatkach, które wokół nas porozwieszano. A jednak tak to właśnie jest, teraz jestem tego świadomy: w najintymniejszych lochach naszej duszy, do których nikt nigdy nie zdobędzie dostępu, wierzymy z przekonaniem, że to się zdarzy... ..że już się dzieje.

SŁOWO OD AUTORA

Czy na pewno jesteśmy poza wirem?

Pierwszy projekt tej powieści, który wiele lat temu znalazł się na biurku mojego wydawcy Francesco Gungui, przewidywał tylko jeden tom. Jednak już w momencie podpisywania umowy z Mondadori, zarówno ja, jak i wydawnictwo, zdawaliśmy sobie sprawę, że ta podróż nie mogła zakończyć się w ten sposób. To Wszechświaty nas wzywały, zapraszały, otwierając przed nami dziesiątki drzwi, kusiły by kontynuować wędrówkę. W ten sposób propozycja wydawnicza uległa zmianie, oferując mi luksus nie do przecenienia: napisanie trylogii. Dzisiaj stawiam ostatnie kroki w towarzystwie Marca, Alexa, Jenny i reszty bohaterów tej sagi, dorastałem z nimi i walczyłem u ich boku, teraz czuję ucisk w gardle. Część mnie, być może moje alter ego, wie, że to nie koniec. Że w sercach czytelników ta historia będzie nadal biegła, że oderwie ich umysły od teraźniejszości i przeniesie je do alternatywnych wymiarów. Od dzisiaj Wszechświaty przechodzą w wasze posiadanie, stają się waszą historią. Znacie koordynaty. Wasze umysły są kluczem. Skończyło się pewne opowiadanie, wyrzuciliśmy tylko niektóre oczka kości. Ile okrążeń może jeszcze zrobić karuzela? Jestem przekonany, że bohater idzie dalej, nawet kiedy jego autor przestaje prowadzić go za rękę. Zawsze nazywałem moich czytelników Podróżnikami, zapożyczając tytuł z pewnego zabawnego serialu telewizyjnego z lat osiemdziesiątych, w którym młody student grany przez Jerrego O'Connella (pucołowaty chłopak ze „Stand By Me”) odkrył sposób przedostawania się do równoległych rzeczywistości za pomocą tunelu czasoprzestrzennego. Serial o oryginalnym tytule „Sliders” we Włoszech był emitowany jako „Podróżnicy”² i myślę, że właśnie tym jesteśmy. My wszyscy. Ten, kto dotarł aż tutaj, zaczynając od tego dalekiego kosza zdobytego przez Alexa na pierwszej stronie pierwszego tomu, wie, że nigdy nie przestanie śnić na jawie. Z szeroko otwartymi oczami. Kto dotarł aż tutaj wie, że rzeczywistość wokół nas jest tylko jedną z niezliczonej wielu możliwości. Kto dał się ponieść tej opowieści, wyruszył w podróż, z której już nie zrezygnuje. Nigdy nie przestanie wierzyć. Jeszcze się spotkamy, o tak. Może w innej opowieści, na innych ścieżkach. Zawsze będziemy jednak wiedzieć, w głębi naszych serc, gdzie zobaczyliśmy się po raz pierwszy. Te wersety są naszym Planetarium, miejscem, w którym trzymaliśmy się za ręce, podziwiając gwiazdy. Jestem tego pewien, przyjaciele podróżnicy, nigdy o tym nie zapomnimy. Leonardo Partigiani Vignate, 11 grudnia 2013 2. W Polsce emitowany pod nazwą Sliders: Piąty Wymiar.

PODZIĘKOWANIA

Postanowiłem wypełnić tę ważną przestrzeń, zanim naprawdę napiszę słowo KONIEC na ostatniej kartce mojej powieści. Gdyby praca była już zakończona pewnie zbytnio bym się rozrzewniał. Dlatego gdy piszę te słowa, do końca sagi brakuje mi wciąż jakieś pięćdziesiąt stron, a co najlepsze, wciąż nie wiem, jak ona się skończy. Wy zapewne właśnie zakończyliście lekturę, więc jesteście... o krok przede mną! Zależy mi, aby podziękować każdej żywej istocie, która w ten lub inny sposób weszła w kontakt z moim dziełem od dnia jego narodzin. Bloggerom, dziennikarzom, księgarzom, bibliotekarzom, didżejom, kolegom po piórze, fachowcom, fanom i hejterom... Jestem przekonany, że zderzenie tych wszystkich części popchnęło powieść w dobrym kierunku. Czujcie się więc wszyscy częścią tego projektu, bo na to zasługujecie. Po pierwsze dziękuję Francesco Gungui, osobie, której droga w pewnym momencie skrzyżowała się z moją, wielkiemu profesjonalistcie, który stał się również przyjacielem, powiernikiem, kolegą, a także świetnym redaktorem. Był odpowiedzialny za projekt Wszechświata w wydawnictwie Mondadori i nigdy nie przestał wierzyć, że postawił na zwycięskiego konia, gotów wiele dla tego przekonania ryzykować. Nasza współpraca to slalom między zbiegami okoliczności a różnymi deja vu. Wymiana konkretnych energii, coś, co wzbogaciło moje życie i uczyniło solidniejszą moją drogę. Specjalne uściski dla Piergiorgia Nicolazziniego, mojego agenta literackiego. Satysfakcjonujące wyniki, jakie osiąga ta saga za granicą nie potrzebują komentarza, więc powiem tylko, że wykonywanie tej pracy nie jest łatwym zadaniem. Niepewność jutra jest niezmiennym elementem i to tutaj postać agenta staje się litą skałą, której można się chwycić. Przyjaźń, która nas związała stała się ważnym elementem mojego życia, ścieżką, której końca nie chciałbym nigdy zobaczyć. Serdeczne podziękowania dla wszystkich ludzi, którzy pracowali ze mną nad tym projektem. Dyrektorce wydawniczej serii Chrysalide Fiammetta Giorgi, która od początku wierzyła w tę powieść, nieocenionej redakcji, Nancy z biura prasowego, grafikom Nando i Stefano, dzielnemu Alfonso Zarbo. Uścisk dłoni, podziw, wdzięczność i powiedziałbym, że wręcz oddanie dla genialnego Roberto Oleotto, ilustratora, który zaprojektował okładki wszystkich trzech tomów, podziwianych w każdym zakątku znanego nam wszechświata! Z całego serca dziękuję również wszystkim wydawcom zagranicznym, którzy uwierzyli w tę historię i zawieźli do swoich krajów. Chcę wymienić i pozdrowić kolegów po piórze, którzy sprawili, że moje pierwsze lata w tym środowisku były

niezapomniane: Giorgio Faletti, Licia Troisi, Francesco Falconi, Cecilia Randall, Barbara Baraldi, Asia Greenhorn, Dorotea De Spirito, Paolo Bar-bieri, Emanuela Valentini, Marta Palazzesi, Emma Romero, Francesca Costantino. Specjalne pozdrowienia ślę za ocean do Glenna Coopera i jego wspaniałej rodziny! Zasłużone podziękowania również dla moich przyjaciół i cennych współpracowników, którzy krążyli po orbitach mojego życia począwszy od moich zaufanych beta-czytelników, których głos był decydujący w fazie korekty tej powieści: Maurizio „Justice Poetry” Valente i Francesca Belussi. Jednym słowem: JESTEŚCIE WIELCY. Kontynuując wymienię następujące osoby: mój webmaster Edo-ardo Volpi Kellerman, moja rock siostra Cristina Scabbia, Mayer, Mirko „Ibra” Cioffi, Chris „Vlad” Fadda, Giorgia Trezzi, Laura i Dado Brivio, Matteo „Masa” Facchini, Nicoló Bongiorno, Steve Luchi, Sara Menichetti i kultowy Rock City! Chciałbym także wysłać pozdrowienia z drugiego końca planety aby podziękować (że istnieją) dwóm artystom, którzy oświetlili moją drogę: Stephenowi Kingowi, który obudził we mnie pasję do pisania i nauczył mnie jak stworzyć wiarygodną i niezapomnianą postać oraz jak skonstruować historię ponadczasową; Hansowi Zimmerowi, przy którego akompaniamencie przechodziłem przez każdy kolejny etap mojej twórczości, od pomysłu aż po samo pisanie, dziękuję jego ścieżkom dźwiękowym, które stały się uroczystym i epickim tłem mojego pisarstwa, inspiracją bez której nie mógłbym się obejść. Na koniec, jak słodki deser po smacznym posiłku, zostawiam zawsze podziękowania dla najważniejszej osoby na świecie, mojej żony Valerii. Jej uśmiech od kilku lat towarzyszy mi codziennie przy przebudzeniu, jej oczy stały się moją latarnią morską, moim przewodnikiem. Jej pojawienie się w pewnym momencie mojego życia zmieniło wszystko. Od tamtego momentu powróciło słońce. Dzisiaj to słońce odbija się w oczach naszych cudownych dzieci, Eleny i Alberta, którym dedykuję tę książkę. Którym dedykuję nasze życie. Saga powstała po śmierci mojego ojca, Luciano Partigianiego, który odszedł 7 kwietnia 2008 roku. Podczas moich pierwszych dwudziestu ośmiu lat życia, mój ojciec był jedynym, który czytał lub wysłuchiwał każdego mojego dzieła, od komiksów po krótkie opowiadania, od piosenek po powieści. W sercu czułem, że nie było sensu tworzyć, jeśli nie mogłem potem pójść do jego sypialni i zostawić owoców mojej wyobraźni na stoliku przy jego łóżku. Ta saga powstała dzięki tobie, tato, wiesz o tym. Nawet, jeśli nigdy nie mogłeś wziąć jej do ręki. A może w równoległym świecie, niezbyt daleko stąd, właśnie czytasz te słowa?

